Miłość która przełamała świat

Emily Henry

YA!

Emily Henry

Miłość, która przełamała świat

przełożyła Agnieszka Walulik

Tytuł oryginału: *The Love that Split the World*

Copyright © 2016 Emily Henry

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.
This edition published by arrangement with **Razorbill**, an imprint of Penguin Young Readers Group, a division of Penguin Random House LLC.
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII
Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Walulik, MMXVII

Wydanie I
Warszawa MMXVII

Spis treści

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

Podziękowania

Tym, których miłość sprowadziła mnie na ten świat: dziękuję.
Tym zaś, którzy już się tym światem zmęczyli: kocham Was.

1

Przychodzi do mnie znowu nocą przed ostatnim dniem w liceum. Wyczuwam jej obecność w pokoju, zanim jeszcze otwieram oczy. Tak jak zawsze.

– Obudź się, Natalie – szepcze, choć wie, że nie śpię, bo obudziłaby mnie nawet latająca po korytarzu mucha.

Wie też, że leżący przy łóżku zaśliniony i pochrapujący dywanik w postaci psa bernardyna – którego rodzice kupili, żebym lepiej sypiała – będzie się ślinił i pochrapywał przez całą naszą rozmowę.

Otwieram w ciemnościach oczy, odsuwam kołdrę i siadam. Za oknem świerszcze grają jak szalone, a przez liście drzew pada na dywan niebieskozielona poświata księżyca.

Jest, siedzi w fotelu na biegunach w kącie pokoju, dokładnie tak jak zawsze, od czasu mojego dzieciństwa. Jej postarzała twarz skryta jest w mroku, a gęste, czarne, choć przyprószone siwizną włosy spływają luźno na ramiona. Ma na sobie te same popielate ubrania co zawsze i choć upłynęły niemal trzy lata, nie wydaje się starsza, niż kiedy widziałam ją po raz ostatni, a nawet po raz pierwszy. Wygląda wręcz odrobinę młodziej. Ale to pewnie dlatego, że ja też się zmieniłam i zmarszczki czy plamy wątrobowe nie przerażają mnie tak jak kiedyś.

Zastanawiam się, czy nie zacząć krzyczeć albo przekręcić guzik nocnej lampki, wykorzystać wszystkie sposoby, którymi w ciągu osiemnastu lat życia nauczyłam się Ich odpędzać – tylko po to, by dać jej nauczkę, że zostawiła mnie na tak długo, że pozwoliła mi sądzić, iż wreszcie odeszła na dobre.

Mimo rozgoryczenia nie chcę jednak, żeby zniknęła, więc się nie ruszam.

– Miło, że wpadłaś – szepczę. Słowa drapią mnie w gardło, które jeszcze się nie wybudziło. Oczy też nadal się oswajają, składają w całość szczegóły jej pomarszczonej twarzy, linie śmiechu wokół ust i urocze kurze łapki w kącikach ciemnych oczu. – Gdzie się podziewałaś?

– Cały czas byłam tutaj – odpowiada.

To jedna z jej typowych, niezrozumiałych odpowiedzi.

– Minęły prawie trzy lata.

– Nie dla mnie.

Znowu – po raz tysięczny – przyglądam się jej wystrzępionemu szalowi i znoszonej sukience wiszącej na kościstym ciele.

– Rzeczywiście – mówię. – Ty jesteś poza czasem, prawda?

Wzrusza lekko prawym ramieniem.

– Ty to powiedziałaś, nie ja. A czy w tym czasie odwiedzali cię jacyś Inni?

Pocieram oczy rękami, grając na czas. Wstyd mi przyznać, że nikt do mnie nie przychodził i że doskonale wiem dlaczego. Chcę się na nią wściekać, że mnie porzuciła, ale tak naprawdę to moja wina, że przez trzy lata jej nie widziałam. To ja sprawiłam, że zniknęła. Lecz to nieważne, przyznam się czy nie – ona i tak już wszystko wie. Jakby chcąc tego dowieść, mówi:

– Gus chyba puścił bąka.

Wychylam się z łóżka i patrzę na włochate, śpiące psisko. Język wystaje mu z pyska, jego wiecznie cieknący nos nieustannie się porusza, a jedna z tylnych łap zaczyna kopać przez sen. Wreszcie dociera do mnie ten paskudny zapach, o który musiało jej chodzić.

Zakrywam nos przedramieniem.

– Fuj, Gus. Ale z ciebie potwór. Kocham cię, ale jesteś obrzydliwy.

Czekam, aż smród rozwieje się trochę, po czym odpowiadam na pytanie:

– Nie było nikogo. Wszyscy zniknęli. Doktor Langdon uznała, że terapia EMDR się powiodła. Mówiła, że właśnie dlatego przestałaś przychodzić. Podobno uporałam się wreszcie ze wszystkimi traumatycznymi wspomnieniami. Szczęściara ze mnie. A przynajmniej byłam nią jeszcze pięć sekund temu.

EMDR: Eye Movement Desensitization and Reprocessing – terapia odwrażliwiania za pomocą ruchu gałek ocznych. To rodzaj psychoterapii stosowany w leczeniu zespołu stresu pourazowego, a w moim przypadku – aby uwolnić mnie od siedzącej przede mną kobiety i innych postaci, które latami pojawiały się przy moim łóżku.

Zastanawia się sekundę.

– Wiesz, przed chwilą… to jest – dla mnie to było przed chwilą, a dla ciebie trzy lata temu… powiedziałam ci coś o doktor Langdon. Powtarzałaś to komuś?

Nadal wpatruję się w nią uparcie.

– Pamiętasz, co ci powiedziałam, Natalie? – naciska.

Kiwam głową.

– Mówiłaś, że zginie w pożarze.

– No i?

– Wciąż żyje – mówię. – Proponowała też, żebym zaczęła brać lorafen, ale oczywiście mama tego nie pochwalała. Podobno to zwyczajny stres związany z okresem dojrzewania.

Bóg – tak ją sobie nazwałam przed laty, choć ona upiera się, bym nazywała ją Babcią – śmieje się i spuszcza wzrok na pomarszczone dłonie złożone na kolanach.

– Dziecko, co ty w ogóle o tym wiesz…

– A ty byłaś kiedyś w moim wieku? – pytam.

Jej gęste brwi unoszą się nad ciemnymi, zasnutymi zaćmą oczami.

– Tak – odpowiada cicho.

– I stresowałaś się?

Babcia zaciska usta.

– Kiedy byłam w twoim wieku, nic nie wiedziałam. Ani o sobie, ani o wszechświecie, ani o złamanym sercu. Pamiętam, jak przerażała mnie myśl, że muszę dorosnąć, że stracę przyjaciół. Byłam pewna, że zwariuję. Życie było jak blender, który chciał mnie posiekać na kawałki. Ale kiedy byłam odrobinę starsza od ciebie, spotkały mnie rzeczy, przy których blender przypominał relaksującą kąpiel.

Spuszczam wzrok na rozdarcie w kapie. Mama zrobiła ją z wykroju, kiedy biologiczna matka była ze mną w ciąży. Kapa była przeznaczona dla dziecka z adopcji, która się nie powiodła. Zamiast tego trafiła do mnie, gdy ja trafiłam do tych rodziców.

– Tęskniłam za tobą – mówię do Babci.

– Ja za tobą też.

– Przecież mówiłaś, że dla ciebie minęła tylko chwila.

– Bo to prawda.

Przez moment siedzimy w milczeniu, wpatrując się w siebie nawzajem. Wreszcie Babcia pyta:

– Jak bliźniaki?

– Dobrze – odpowiadam. – Coco w przyszłym roku przenosi się do liceum o profilu artystycznym. A Jack wciąż gra w futbol. Mama jest z nas taka dumna, że chyba pęknie, więc wszystko w porządku. Pod koniec wakacji rodzice zabierają nas do San Francisco, a potem do Seattle. – Ta wycieczka była tradycją, którą podtrzymywali od początku małżeństwa. Mama nigdy właściwie nigdzie nie wyjeżdżała i jedynym powodem, dla którego nie mogła się zdecydować na ślub z tatą, była świadomość, że on za bardzo kocha Kentucky, by kiedykolwiek je opuścić. Byli wtedy biedni, ale tata obiecał jej, że obejrzą cały świat, a na pewno kontynentalne Stany. I tak narodziła się Doroczna Wyprawa Klanu Cleary.

Babcia na kilka chwil zamyka oczy, a kiedy je otwiera, marszczą się ładnie w kącikach pod wpływem jej uśmiechu.

– Myślałam, że w tym roku było Boulder, a potem Denver i Mesa Verde – mówi. – Jack dostał zatrucia pokarmowego, więc Coco nie chciała się potem stołować nigdzie poza sieciówkami.

– To było w zeszłym roku – mówię. – W tym roku zaliczamy autostradę 101. To pewnie dobry moment, żeby wykupić udziały aviomarinu, jeśli interesuje cię taki cynk.

– A ty? Co u ciebie?

– Wszystko super. W sierpniu wyjeżdżam do Rhode Island, będę studiować na Brownie… ale pewnie i tak to wiedziałaś.

Babcia kiwa głową i znowu zapada między nami spokój i milczenie. Brakowało mi tego uczucia, tego siedzenia z nią nocą, kiedy reszta świata śpi. Ostatnie trzy lata wydawały się chaotyczne, bez tych momentów ciszy.

– Czy to prawda, że kiedy człowiek dorasta, Bóg go opuszcza? – pytam. – Czy to dlatego cię nie widywałam?

– Nigdy nie mówiłam, że jestem Bogiem.

To prawda: od czasu, kiedy pojawiła się po raz pierwszy, gdy miałam sześć lat, unikała kwestii tego, czym dokładnie jest, choć wypytywałam ją o to uparcie, drążyłam temat i stawiałam różne hipotezy.

Przed Babcią wszystkie moje halucynacje były przerażające: czarne sfery unoszące się tuż nad twarzą, posiwiali mężczyźni w zielonych marynarkach z oczami jak bezdenne dziury, stojące przy moim łóżku kobiety umalowane jak klauny. Kiedy przychodzili, krzyczałam i sięgałam do lampy, ale zanim rodzice zdążali dobiec do sypialni, tamci już znikali, wsiąkali w ściany i nie zostawał po nich żaden ślad.

– To tylko koszmar – zapewniała mnie mama, rozczesując szczupłymi palcami moje splątane włosy.

Tata wyjmował pościel z szafki w holu, robił mi posłanie obok ich łóżka i resztę nocy przesypiałam w pokoju rodziców.

Ale kiedy tamtej pierwszej nocy pojawiła się przy mnie Babcia, poczułam coś

zupełnie innego. Nie dysponowałam na tyle bogatym słownictwem, aby mówić o sprawach duchowości i metafizyki – należę do tych rodzin, które chodzą do kościoła tylko na Boże Narodzenie i Wielkanoc, zresztą te nabożeństwa nigdy nie robiły na mnie wielkiego wrażenia. Ale też nigdy nie czułam niechęci do samej idei Boga – tylko do pomysłu, że możemy Go poznać w najdrobniejszych szczegółach.

Wydaje mi się, że cały czas dostrzegam wokół siebie Jego mignięcia: czasem wyczuwam dookoła pulsowanie jakiegoś ogromnego i nieuchwytnego ciepła, które wzbudza we mnie dreszcz i sprowadza do oczu łzy. Tajemnicze, nieograniczone Coś wypełnia cały świat i nie pozwala sprowadzić się do jednego imienia albo jednego zestawu zasad, wplatając się w miliony historii, prawdziwych i wymyślonych, łączących wszystkie żywe istoty.

Nadałam Babci przezwisko Bóg nie dlatego, że naprawdę uważałam ją za tego Kogoś, ale ponieważ widziałam To w niej i wiedziałam, że ona do Tego należy. Po prostu nie dysponowałam innym słowem, którym mogłabym objąć istotę wyłaniającą się ze ścian, by obronić mnie przed mrokiem.

Tamte wizje rodem ze *Lśnienia* nie wystarczyły, by rodzice zabrali mnie do terapeuty, ale niebiańska istota w postaci starej Indianki, która zjawiała się, by opowiadać mi historie o stworzeniu – owszem. Kiedy któregoś dnia wspomniałam o Babci przy śniadaniu, mama natychmiast wyszła z kuchni, żeby zawołać tatę. Było jasne, że zrobiłam coś złego – nie wiedziałam tylko co, dopóki tydzień później mama nie wróciła ze spotkania zapoznawczego z dziecięcym psychologiem i nie odbyła ze mną pierwszej poważnej rozmowy.

– Kochanie, to naturalne, że ciekawi cię kultura, z której pochodzisz – powiedziała drżącym głosem. Brzmiało to jak tekst z jednej z książeczek, które mi czytała, kiedy byłam malutka, z serii „Byłaś wyjątkowym darem". Miały zastąpić bardziej miażdżące: „Jesteś adoptowana", które usłyszały w starszym wieku niektóre znane mi dzieci. – Nie ma nic złego w tym, że chcesz poznać swoją tożsamość.

– Miałam otwarte oczy – powiedziałam jej wtedy. – To nie był sen. Babcia jest prawdziwa.

Nie potrafiłam przekonać mamy, taty ani doktor Langdon, ale i tak nie miałam wątpliwości: Babcia była prawdziwa. I może nigdy nie przyznała się do tego, że jest Bogiem, ale wiedziałam, że była albo przynajmniej stanowiła część czegoś nieziemskiego.

– W porządku – mówię. – Wielki Duchu, Stary Człowieku z Nieba, Stwórco Ziemi, Holitopa Ishki czy czym tam sobie jesteś albo jak tam się nazywasz… Po prostu odpowiedz mi na pytanie. Czy teraz, kiedy jestem dorosła… a w każdym razie jestem, jaka jestem… zamierzasz mnie opuścić?

Babcia zaciska usta. Podnosi się, a moje serce zaczyna walić jak młotem – nigdy dotąd nie wstawała, ani razu w ciągu żadnej z dziesiątek nocy, kiedy mnie odwiedzała. Przechodzi przez pokój, przysiada na krawędzi łóżka i ujmuje moją dłoń. Jej skóra jest niewiarygodnie gładka, jak aksamit, sproszkowany osad albo stary jedwab.

– To – mówi – może być ostatni raz, kiedy mnie zobaczysz, Natalie. Ale zawsze będę przy tobie.

Mrugam, żeby odpędzić łzy, i kręcę głową. Moja najstarsza przyjaciółka na świecie,

która zdaniem wszystkich ekspertów w ogóle nie istnieje, która należy wyłącznie do mnie.

Nie powinnam się dziwić. Za trzy miesiące wyjeżdżam na studia. Już wkrótce ten bujany fotel, sypialnia, falujące błękitne wzgórza Kentucky staną się przeszłością. Czy naprawdę sądziłam, że Babcia pojedzie razem ze mną? Mimo to słyszę swoje pytanie:

– Dlaczego?

Odgarnia mi włosy z czoła takim samym gestem jak mama.

– Połóż się, dziecko. Opowiem ci jedną ostatnią historię i chcę, żebyś uważnie słuchała. To ważne.

– Zawsze mówisz, że to ważne.

– Bo to zawsze prawda. – Wraca do fotela, przystając po drodze, by podrapać za uchem Gusa, który mruczy przez sen. Siada i odchrząkuje.

– Oto historia o początku świata i kobiecie, która spadła z nieba.

– Tę już słyszałam – przypominam jej. – Właściwie to była chyba pierwsza historia, jaką mi opowiedziałaś.

Babcia kiwa głową.

– Była pierwsza, więc będzie i ostatnia, bo teraz nauczyłaś się słuchać.

Naucz się słuchać, słuchaj kośćmi, niech opowieść cię wypełni. Zawsze powtarza takie rzeczy. Właściwie to nie mam pojęcia, o czym ona mówi, trochę dlatego, że widuję ją tylko w środku nocy, kiedy mam watę zamiast mózgu, a trochę ponieważ jej głos jest niczym pozytywka grająca *Clair de Lune*, tak kojący, że słowa gubią się w kocu dźwięków. Kładę się i zamykam oczy, pozwalam, by ten głos mnie otulał.

– Zanim powstał nasz świat, istniał inny, starszy – zaczyna Babcia. – Świat, który nigdy nie widział śmierci. W świecie tym mieszkała młoda kobieta, bardzo silna i bardzo dziwna. Jej ojciec był pierwszym człowiekiem, który umarł w tej krainie, lecz ona nawet po tej śmierci często rozmawiała z jego duchem. Śmierć pozwoliła ojcu poznać wiele tajemnic, których kobieta nie mogła jeszcze pojąć, i dlatego kazał jej wyjść za obcego człowieka z odległej krainy, którego dla niej wybrał. Tak więc wbrew woli matki kobieta zaufała duchowi ojca, udała się do odległej krainy i przedstawiła się nieznajomemu. Człowiek ów był potężnym czarownikiem i przyjął oświadczyny dość sceptycznie, ponieważ kobieta była jeszcze bardzo młoda, a on potrzebował silnej, zdecydowanej towarzyszki. Postanowił, że podda ją trzem próbom, a jeśli ona je przejdzie, wtedy się z nią ożeni.

Najpierw zabrał ją do swojej chaty i dał kukurydzę. „Zmiel to ziarno”, nakazał. Ona zaś wzięła je i obgotowała, a choć było go wiele korców, błyskawicznie zmieliła wszystko na kamieniu, tak że czarownik się zdumiał.

Jako drugą próbę nakazał jej zdjąć ubranie i ugotować kukurydzę nad ogniem. Kukurydziana papka bulgotała i pryskała, lecz kobieta się nie odsunęła. Stała niewzruszona, póki kleik się nie ugotował, choć kukurydza parzyła jej skórę.

Na ostatnią próbę czarownik otworzył drzwi swego szałasu i wezwał zwierzęta, które mu służyły, a kiedy do niego przybiegły, zaprosił, by zjadły kukurydzianką papkę z nagiego ciała kobiety. I choć ich ostre zęby raniły ją i cięły, a jęzory budziły obrzydzenie, zachowała spokój i nie poruszyła się. Tak więc czarownik postanowił się z nią ożenić.

Przez cztery noce nowożeńcy spali, stykając się podeszwami stóp, a po tym czasie mąż odesłał żonę do jej wioski z darem w postaci ogromnej ilości mięsa. Kazał jej podzielić je po równo między wszystkich członków plemienia. Powiedział też, że powinni odkryć dachy swoich domów, by tej nocy mógł pobłogosławić ich deszczem białej kukurydzy. Tak też uczyniła i tak się stało.

Kiedy wróciła, chata czarownika stała się także jej domem. Kobieta zaczęła spędzać dni pod jednym szczególnym drzewem, które rosło pod domem. Kwitło kwiatami ze światła tak jasnego, że opromieniało całe włości czarownika. Kobieta pokochała to drzewo – dzięki niemu czuła się tam mniej obca, mniej nie na miejscu – toteż siadała pod nim i rozmawiała ze wszystkimi duchami i ze zmarłym ojcem. Kochała drzewo tak bardzo, że jednej nocy, kiedy wszyscy spali, wyszła na dwór, zległa z nim i stała się brzemienną.

Mniej więcej w tym samym czasie jej mąż zachorował i żaden uzdrowiciel nie mógł go uleczyć. Wszyscy jednak mówili, że chorobę sprowadziła na niego żona. Czarownik wiedział, że mieli rację; nigdy dotąd nie spotkał nikogo tak potężnego jak ona. Spytał ich, co powinien uczynić. W tamtym świecie nie istniały rozwody. Jedyną osobą, która dotąd zmarła, był ojciec tej kobiety, więc nikt nie poznał też śmierci. Uzdrowiciele byli jednak mądrzy i znaleźli sposób.

„Wykop świetlne drzewo – powiedzieli – przywołaj ją do niego i podstępem spraw, żeby wpadła w dziurę po korzeniach. Potem na powrót wkop drzewo w ziemię, a twoja moc powróci".

Czarownik wykopał drzewo światła, lecz kiedy zajrzał do dziury w ziemi, zobaczył zupełnie inny świat. Zawołał żonę, a kiedy przyszła, rzekł do niej: „Nachyl się i popatrz – pod nami jest inny świat". Kobieta uklękła przy drzewie i zajrzała w pustkę, gdzie dawniej były korzenie drzewa. Najpierw ujrzała tylko ciemność, lecz potem, daleko w dole, zobaczyła błękit, połyskliwy jasny błękit, przepiękny. Pełen nadziei, radości, marzeń i tego samego światła, które wypełniało jej drzewo. Źródło jasności, która niosła jej pociechę, kiedy czuła się samotna. Obejrzała się na męża i powiedziała z uśmiechem: „Kto by pomyślał, że drzewo światła rosło wprost nad takim pięknym miejscem?". Czarownik pokiwał głową i odezwał się ostrożnie: „Ciekawe, jak tam jest na dole?".

Kobieta przytaknęła, odpowiadając: „Ja też jestem ciekawa".

„Może ktoś mógłby tam zejść i sprawdzić", zastanawiał się mąż.

Kobieta zdumiała się ogromnie. „Jak ktokolwiek mógłby tego dokonać?", spytała.

„Wystarczyłoby skoczyć", odpowiedział czarownik.

„Skoczyć?", powtórzyła, znowu nachylając się nad dziurą. Próbowała się domyślić, jak głęboko znajdował się ten nowy świat, ale nie umiała tego ocenić. Była jednak pewna, że nigdy nie widziała nic położonego tak daleko.

„Ktoś tak odważny jak ty z łatwością by tego dokonał – zachęcał ją mąż. – Stań się łagodną bryzą, płatkiem lub kwiatem z drzewa światła albo czymkolwiek innym, skocz lekko i spłyń na dół lub zanurkuj jak jastrząb w ten piękny świat pod nami".

Kobieta przez kilka chwil wpatrywała się w połyskliwy, nieskończony błękit składający się z rzeczy, jakich nigdy nie widziała, i snów, jakich nigdy nie śniła.

„Mogłabym skoczyć – powiedziała. – Mogłabym spłynąć. Mogłabym wpaść w ten

lśniący błękit”.

„Tak, mogłabyś”, potwierdził jej mąż.

Klęczała przez kolejne minuty, spoglądając w dół i namyślając się. Wreszcie wstała i rozciągnęła mięśnie, ugięła kolana, uniosła ramiona nad głowę i zanurkowała przez dziurę w swym świecie w piękny błękit.

Przez kilka chwil czarownik (bo teraz już nie był jej mężem) patrzył, jak ciało kobiety mknie poprzez mrok. Uzdrowiciele, których się radził, przyszli do dziury, nad którą stał.

„Skoczyła”, powiedział im, a potem podnieśli drzewo na miejsce i zakryli dziurę, która wiodła do nowego świata.

A ponieważ ona skoczyła, powstał nasz świat – kończy Babcia.

– Niektórzy by się z tym nie zgodzili – mówię, siadając.

Babcia przekrzywia głowę.

– Niektórzy by się z tym nie zgodzili – przyznaje.

Mniej więcej jedna trzecia historii, które mi opowiadała, to opowieści o stworzeniu świata, a każda jest inna. Nie wiem, skąd właściwie pochodzą, choć zwykle jestem w stanie się tego domyślić, kiedy padają imiona w rodzaju: Wiewiórka, Kukurydza albo Abraham i Izaak.

– Wiesz, Natalie… – Babcia nabiera głęboko powietrza i spogląda na swoje dłonie. – Istnieje powód, dla którego opowiadałam ci te wszystkie historie.

Znowu siadam. W końcu pytałam ją o to z milion razy: „Czemu pojawiasz się w środku nocy w moim pokoju i opowiadasz mi to wszystko?”.

– Mówiłaś, że te opowieści same w sobie były powodem – przypominam.

Babcia wzdycha i jej głos staje się słabszy, bardziej szorstki.

– Te historie mają znaczenie. Liczą się niezależnie od nas. Jesteśmy ich częścią, Natalie. Jesteśmy o wiele mniejsi od nich. Ale istnieje też inny powód.

Widzę łzy wiszące na jej ciemnych rzęsach i nagle wydaje mi się o wiele młodsza.

– Co się stało? – pytam. – Babciu, co się dzieje?

– Nie chcę cię straszyć – mówi. – Ale musisz się przygotować na to, co nadchodzi.

Czuję na ramionach gęsią skórkę. Babcia kryje twarz w dłoniach. Wstaję z łóżka, żeby przed nią przykucnąć. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Zawsze była idealnie opanowana. Chwyta mnie mocno za ręce i jej oczy odnajdują moje.

– Te historie – mówi. – Wszystko jest w tych historiach.

– Ale co?

– Wszystko. Prawda. Cały świat, Natalie – mówi obcesowo. – Ta kobieta wskoczyła do dziury, nie wiedząc, co się stanie, i narodził się cały świat. Rozumiesz to, prawda? Cały świat.

– Rozumiem – kłamię, by ją uspokoić.

Teraz naprawdę się boję i potrzebuję, by Babcia stała się taka jak zawsze, żebym mogła wrócić do roli dziecka, które trzeba uspokajać i uśmierzać jego lęk przed mrokiem.

– To dobrze. – Jej dłoń muska mnie po policzku. – Dobrze. Bo masz tylko trzy miesiące.

– O czym ty mówisz…

– Masz trzy miesiące, żeby go ocalić, Natalie.

– Ocalić? Ale kogo?

Jej oczy, nagle ogromne i zamglone, patrzą ponad moim ramieniem i Babcia otwiera usta.

– Ty – szepcze. – Już tu jesteś.

Oglądam się przez ramię, czując, jak włoski podnoszą mi się na karku, lecz nikogo tam nie ma.

– Nie bój się, Natalie. Alice ci pomoże – mówi Babcia. – Znajdź Alice Chan.

Kiedy na powrót się odwracam, fotel na biegunach jest pusty, kołysze się jeszcze tylko w przód i tył, jakby staruszka dopiero co się z niego podniosła.

Znowu jestem sama. Nie jestem już dziewczyną, która rozmawia z Bogiem.

2

Wytaczam się z łóżka, żeby uciszyć wyjący budzik. Nie wiem, jakim cudem zdołałam zasnąć po wydarzeniach ostatniej nocy, ale najwyraźniej mi się udało. Księżyc zbladł, a zamiast niego zapaliły się przyćmione latarnie oświetlające nasz zaułek, które rzucają teraz żółtawy blask na moje fioletowoniebieskie, pokryte rosą szyby. Budzą się pierwsze ptaki i silniki furgonetek, tylko grające świerszcze nie przyswajają jeszcze informacji, że ta nieludzko wczesna godzina to już zasadniczo poranek.

Włączam światło w garderobie, a Gus mruczy coś niezadowolony, po czym przekręca się i z powrotem zasypia. Tak mu tego zazdroszczę, że ciskam w niego poduszką. Natychmiast ogarnęłyby mnie straszne wyrzuty sumienia, gdyby nie to, że Gus tylko wydaje z siebie chrapnięcie i zakrywa oczy łapą.

Jestem wykończona, ale mimo to nie potrafię otrząsnąć się ze strachu, jakim napełniła mnie ostatnia noc. Od kiedy pamiętam, Babcia przynosiła mi ukojenie. No, może jej opowieści trudno nazwać wesołymi czy uspokajającymi, ale sama jej obecność zawsze dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Aż do ostatniej wizyty.

O czym ona mówiła?

Nocne poszukiwania „Alice Chan” w internecie zaprowadziły mnie donikąd. Wygląda na to, że połowa ludzkości składa się z osobniczek noszących to imię i nazwisko, a każda wydaje się jeszcze bardziej przeciętna od poprzedniej.

„Masz trzy miesiące, żeby go ocalić”. Potrząsam głową, jakbym chciała wyrzucić z niej te słowa.

Narzucam na siebie dopasowaną czarną sportową sukienkę i ściągam z wieszaka dżinsową kurtkę. Temperatura na dworze może wynosić dziś dwadzieścia siedem stopni, wilgotność powietrza sto procent, ale przy menopauzie dyrektorki klimat w szkole stał się zupełnie nieprzewidywalny. Lepiej być gotowym na wszystko. Spoglądam na rząd obcasów, które kiedyś mnie kręciły, a teraz są mi do niczego niepotrzebne, i wybieram parę botków, po czym wracam do pokoju.

Dwie ściany mam pomalowane na straszny pomarańcz, a dwie – na połyskliwą czerń: barwy Liceum Ryle. Jakby tego nie było dość, większość jednej z czarnych ścian zajmuje maskotka szkoły: Grasant, jednooki pirat ze skrzyżowanymi na plecach mieczami. Mam białą pościel, białą latarenkę na świeczki oraz starą białą lampę na biurko. Kiedy boli mnie głowa, koncentruję się na jednej z tych trzech rzeczy albo kładę się na podłodze garderoby.

Rodzice udekorowali tak mój pokój w wakacje przed siódmą klasą, kiedy byłam na letnim obozie i nie mogłam się już doczekać liceum. Oczywiście te krzykliwe kolory wydawały mi się ósmym cudem świata, póki rok temu nie odkryłam, że mam oczy – wtedy nagle stały się absolutnym koszmarem. Wystarczyłoby zainstalować lepsze nagłośnienie i dokupić parę albumów Black Eyed Peas, a moja sypialnia mogłaby śmiało służyć jako sala tortur w Guantanamo Bay.

Z upływem czasu efekt Piekielnej Redekoracji wzmocniły moje dodatki: korkowe tablice pokryte liścikami od przyjaciół, gablotki wypełnione wstążkami i medalami

z zespołu tanecznego, pomarańczowo-czarne pompony upchnięte za biurkiem i toaletką, oprawione zdjęcia z karnawałowych imprez, meczów futbolu i potańcówek.

Oto ja, w milionie różnych wersji, uśmiechająca się do siebie: te same sztywne ciemne włosy, głębokie brązowe oczy i ciemna skóra, ta sama kwadratowa twarz i wysokie kości policzkowe. Tu całuję Matta Kincaida, z którym chodziłam przez cztery lata. Tam stoję na sali gimnastycznej w samym środku centralnego rzędu zespołu tanecznego, otoczona dziewczynami, z których wszystkie są zupełnie przeciętnego wzrostu. Tam znowu obejmuję Megan i zupełnie bez ironii wykonuję z nią tę nieszczęsną pozę z *Aniołków Charliego*, w każdym możliwym miejscu Gimnazjum Graya.

Odkąd Babcia zniknęła, czułam się coraz mniej jak dziewczyna na tych zdjęciach, a coraz bardziej jak ktoś, kto musi się stąd wyrwać. Rzuciłam zespół taneczny, rzuciłam Matta, a od kiedy dostałam się na Browna, zaczęłam w ogóle odcinać się od Kentucky. Teraz jednak, na trzy miesiące przed wielką ucieczką i nowym początkiem, wizyta Babci znowu wprowadziła zamieszanie.

– NAT! JACK! COCO! ŚNIADANIE! – krzyczy mama z kuchni, więc wymijam fotel na biegunach i idę na dół, słysząc, że burczy mi w brzuchu.

Zazwyczaj rano jako ostatnia opuszczam pokój. Coco, ucieleśnienie organizacji, zawsze pierwsza zasiada do śniadania i po kilku minutach wraca na górę, żeby pospieszyć Jacka, wyliczając po kolei wszystko, co powinien zabrać do szkoły, i jednocześnie wysyłając wiadomości, zaplatając warkocz albo nakładając tusz do rzęs. Bez niej Jack prawdopodobnie w kółko wychodziłby z domu bez spodni i szczerze mówiąc, pewnie zupełnie by mu to nie przeszkadzało.

Na dole zastaję Jacka nad stertą smażonego boczku, który ładuje sobie do ust widelcem. Zdaje mi się, że jeszcze nie otworzył oczu.

Naprzeciwko niego Coco pisze jakąś wiadomość nad miseczką z owocami. Ładne niebieskie oczy ma idealnie otoczone cieniem do powiek i eyelinerem. Przypomina mamę, choć ma kościsty nos, który odziedziczyła po tacie. Zawsze się zastanawiam, jakie to uczucie wyglądać jak rodzice.

Jedną z zalet bycia adoptowanym dzieckiem jest to, że zawsze można się zamartwiać, czy przypadkiem nie zaczęło się chodzić z kimś, kto ma te same geny. Gdybym była stuprocentową Indianką, nie musiałabym się tym przejmować w miasteczku takim jak Union, gdzie dominują biali, ale mówiono mi, że mój biologiczny ojciec też był biały, więc to trochę komplikuje sytuację.

Mama spogląda znad kuchenki, zakrywa usta dłonią i wciąga powietrze, jakby zapalił jej się rękaw.

– Kochanie, jak ty pięknie wyglądasz. – Zaczyna kręcić głową, potrząsając luźnymi lokami w kolorze rudawego blondu, jakby to miało pomóc jej nad sobą zapanować, po czym wyciąga ramiona. Niechętnie podchodzę i daję się objąć. – Nie mogę uwierzyć, że to twój ostatni dzień w szkole! A wydaje się, jakbyśmy dopiero wczoraj przywieźli cię do domu.

– Tak, straszna była ze mnie beksa.

– Och, daj spokój, wcale nie. Byłaś bardzo spokojna, ale bardzo ciekawska. Pierwszej nocy w ogóle nie położyliśmy się spać, tylko siedzieliśmy i wpatrywaliśmy się w ciebie, a ty patrzyłaś na nas i nawet nie pisnęłaś…

– Mamo… – zaczyna Jack od stołu.

– Od razu wiedzieliśmy, że jesteś wyjątkowa, i patrz, na jaką elegancką, zdolną…

– Mamo, chyba coś się pali – mówi Coco, nie podnosząc wzroku znad telefonu.

– Co? – Mama odwraca się do kuchenki i natychmiast załamuje ręce nad czerniejącym omletem przywierającym do żeliwnej patelni. – Kurwa!

– Nie wiedziałam, że mówisz po francusku – stwierdzam.

– Słyszałaś, jak mama powiedziała „kurwa”? – pyta Jack Coco z ustami pełnymi boczku.

– Tak, mama jest dziwna – stwierdza obojętnie Coco.

Ona i Jack to całkowite przeciwieństwa: Coco jest konkretna i jest perfekcjonistką, a Jack to wyluzowany, błaznujący sportowiec. Mimo to są nierozłączni. Pewnie dziewięć miesięcy wspólnego zamieszkiwania w macicy robi swoje.

Mama macha ścierką, żeby rozwiać dym.

– Daj mi pięć minut – mówi do mnie. – Usmażę ci jeszcze jednego.

Nalewam sobie kawy i wychodzę przez szklane drzwi na taras, gdzie stoi tata, ubrany w dżinsową koszulę z długim rękawem, mimo gorącego poranka.

– Dzień dobry – mówię.

Podrywa się z zaskoczeniem, po czym odwraca się i mierzwi mi włosy.

– Co tam, cukiereczku?

Wzruszam ramionami, a on odstawia kubek na balustradę i krzyżuje ramiona.

– Miałaś koszmary?

Tata ma jakiś szósty zmysł, przynajmniej jeśli chodzi o mnie i konie. Może nie zna szczegółów typu „jak” i „dlaczego”, ale nigdy o nie nie dopytuje. Chciałabym powiedzieć mu wszystko, ale nie mogę wydobyć z siebie głosu i nagle zaczynam rozumieć, o co chodzi: przeraża mnie myśl, że to on – a co, jeśli to jego mam ocalić?

Kręcę głową i wychylam się na ocienione podwórko. Tata wypija duży łyk kawy.

– Pamiętasz, jak miewałaś ataki wściekłości? Nie wiem czemu, ale właśnie o nich myślałem. Kładłaś się na podłodze, krzyczałaś, kopałaś, gryzłaś i płakałaś, bez względu na to, gdzie akurat byliśmy.

Wzdycham.

– Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Słońce prześwieca przez las za naszym podwórkiem, nadając wszystkiemu złocisty połysk, nawet brązowym oczom taty. Dawniej bardzo się cieszyłam, kiedy ludzie, którzy nic o nas nie wiedzieli, mówili, że mam jego oczy. Kiedy byłam mała, myślałam, że może są w tym samym kolorze, ponieważ naprawdę należę całkowicie do taty.

– Wiesz, kiedy koń kopie albo gryzie, to znaczy, że po prostu się denerwuje, bo nie potrafi się z tobą porozumieć.

Unoszę brew.

– Naprawdę?

Tata głaszcze mnie po karku jak klacz.

– Jeśli chcesz pogadać, zawsze cię wysłucham. – Całuje mnie w głowę i odwraca się, by wejść do środka.

– Tato.

Odwraca się z powrotem.

– Tak?

Gdybym mogła powiedzieć mu o ostrzeżeniu Babci, przyniosłoby mi to ulgę, ale nie potrafię wydobyć z siebie słów. Czasami trudno jest coś powiedzieć, bo sama myśl człowieka przeraża. Serce bije mi mocniej, ręce drżą i stwierdzam, że łatwiej wszystko zataić niż wyciągać na światło dzienne.

– Uważaj na siebie – mówię wreszcie z trudem.

Tata marszczy gęste, kasztanowe brwi, ale o nic nie pyta.

– Dla ciebie, cukiereczku, zawsze.

Trzy miesiące, żeby go ocalić – a ja nawet nie wiem, o kogo chodzi. Muszę odszukać Alice Chan.

W szkole rezygnuję z lunchu i wymykam się do łazienki, gdzie podłączam umierający telefon do kontaktu i wznawiam paniczne poszukiwania w internecie. Sprawdzam każdy rezultat, jaki mogę znaleźć (Alice Chan, lokalna dentystka; Alice Chan, specjalistka od prawa karnego w pobliskim mieście; Alice Chan, wykładowca Northern Kentucky University), aż wreszcie dzwoni dzwonek i biegnę do swojej szafki. Szykuję rzeczy na lekcję, gdy nagle ktoś zasłania mi oczy.

– Zgadnij, kto to.

– Harry Styles?

– Niesamowite, prawie zgadłaś.

– No dobra, proszę o podpowiedź.

– Jestem jednym z twoich największych fanów.

– To nie ułatwia sprawy, bo poza Harrym Stylesem przychodzi mi do głowy tylko duch Rivera Phoenixa, a jego rąk bym nie czuła.

Matt odkrywa mi oczy i opiera się o sąsiednią szafkę, uśmiechając się tym idealnym uśmiechem złotego chłopca, którego nie podrobiłby nawet najlepszy ortodonta. Włosy w kolorze piaskowego blondu ma odgarnięte z czoła. Ubrany jest w swoją drużynową kurtkę.

– Natalie Cleary, czy już ci mówiono, że jesteś strasznie dziwna?

– Wydaje mi się, że kiedyś nawet zapisano to w prawie stanu Kentucky. To jedna z przyczyn, dla których na studia wybieram się do Rhode Island.

Matt wysuwa dolną wargę.

– Będzie mi brakować tego twojego dziwactwa.

– Tylko dlatego, że sam jesteś go pozbawiony.

– Pewnie tak. – Patrzy mi w oczy o chwilę za długo i jego jasna skóra zaczyna się pokrywać rumieńcem.

Zerwaliśmy ze sobą prawie rok temu i od tego czasu żadne z nas nie próżnowało, ale czasem stare uczucia zdają się wypływać na powierzchnię.

Jakby pod wpływem podświadomości, która doskonale wie, że nie mam zamiaru skończyć jako żona Matta Kincaida i zamieszkać na jego farmie w Union w stanie Kentucky, przełamuję wreszcie milczenie, mówiąc:

– Ale twoja mama jada tylko beżowe jedzenie. A to dość dziwaczne.

Matt marszczy czoło.

– O czym ty mówisz?

– Mówiła mi kiedyś, że nie znosi wszystkiego, co zielone. A raz powiedziała nawet: „Nie lubię owoców”.

– Masa ludzi nie lubi owoców.

– Tylko tacy, co mają mniej niż dziesięć lat.

– Inni też.

Wzruszam ramionami.

– W każdym razie – mówi Matt – chciałem tylko zapytać, czy wybierasz się na zakończenie szkoły?

– Owszem, w końcu kończę szkołę.

– Ale nie jesteś już w żadnym zespole.

– No i…?

– No i już ze sobą nie chodzimy.

– Czekaj… naprawdę? Od kiedy?

Matt przewraca oczami.

– Więc idziesz?

– Idę.

– To fajnie – mówi z uśmiechem. – Powinniśmy potem coś razem zrobić. Przez wzgląd na dawne czasy.

– Dawne czasy? – pytam podejrzliwie.

Po zerwaniu nadal się ze sobą zadawaliśmy, ale od kiedy pół roku temu zaczęliśmy znowu wpadać w dawne przyzwyczajenia, i to po raz trzeci, solennie postanowiłam, że nigdy nie będę przebywać z Mattem sam na sam poza murami szkoły. Tamten pocałunek zupełnie mi nie przeszkadzał, ale choć bardzo nie chciałam zrywać naszej przyjaźni, to jeszcze bardziej nie chciałam chodzić z Mattem, a byłam właściwie pewna, że on nadal chce chodzić ze mną.

– Wiesz, Matt, nie wiem, czy „dawne czasy” to coś, czym powinniśmy zaprzątać sobie głowę.

– Chodzi mi o dawne, dawne czasy – uściśla Matt.

Aha. Czyli ma na myśli piątą klasę, wieki ciemne, nim jeszcze Matt Kincaid wybrał mnie na swoją dziewczynę, idealną parę dla najpopularniejszego chłopaka w szkole. Już wtedy przyciągał do siebie ludzi, wszyscy chcieli się z nim przyjaźnić. To, że zwrócił na mnie uwagę, sprawiało, że czułam się jak najzabawniejsza, najbardziej interesująca istota ludzka pod słońcem.

Już wcześniej kolegował się z Megan, więc i ja naturalnie się z nim zaprzyjaźniłam. Nim doszliśmy do siódmej klasy, zaczął mi rzucać długie, nieśmiałe spojrzenia, które sprawiały, że czułam się jak gwiazda. Minął następny rok, zanim mnie pocałował, a po czterech kolejnych latach się rozstaliśmy. Do tej pory Babcia zdążyła zniknąć i czułam się jak zapadająca się supernowa – wszystkie rzeczy, które dotąd czyniły mnie mną, nagle zaczęły ze mnie opadać.

Matt usiłował zrozumieć, dlaczego zaczęłam się odsuwać, dlaczego taniec, popularność i szkolna wspólnota zaczęły mnie odrzucać. Tak naprawdę nie chodziło o żadną z tych rzeczy ani nawet o samego Matta, tylko o fakt, jak to wszystko na mnie działa; o to, że przez lata robiłam to, czego nie chciałam robić, śmiałam się z rzeczy, które mnie nie śmieszyły, i chodziłam na imprezy, które mnie nie obchodziły, ponieważ

najważniejsze dla mojego przetrwania i szczęścia zdawało się bycie postrzeganą jako Taka Sama Jak Wszyscy w Union. A kiedy przestało mi na tym zależeć, w naszym związku pojawiły się rysy. Zakończyłam go, zanim sytuacja się pogorszyła, tym samym skazując nas oboje na stan wiecznego, choć znośnego zawieszenia.

Matt rumieni się, kiedy długo milczę.

– No wiesz, ja, ty, Megan. Cała reszta – mówi.

– Okej. To mamy randkę.

– Randkę?

Dlaczego ciągle to robię? Dlaczego mówię takie rzeczy za każdym razem, kiedy już prawie możemy zostawić przeszłość za sobą?

– No tak. Ty, ja, Megan i duch Rivera Phoenixa – dodaję, usiłując mówić lekkim, żartobliwym tonem.

– Kto to jest River Phoenix?

Przekrzywiam głowę.

– Matty, czy ty masz internet na tej swojej farmie? O czym, twoim zdaniem, powinien wieczorami rozmyślać człowiek, jeśli nie o aktorze cierpiącym na ból istnienia, który zmarł przed naszym urodzeniem?

– O futbolu.

– Okej, nie mam co do tego pewności, ale zapewne istnieją całe strony internetowe poświęcone futbolowi.

– Faktycznie – mówi Matt. – Ale nie rozumiem, dlaczego masz taką obsesję na punkcie tego Phoenixa, kiedy salę muzyczną naszej szkoły nawiedza nasz własny duch.

Wciągam głośno powietrze i łapię go za rękaw.

– Czekaj… a może to właśnie River jest Duchem Sali Muzycznej?

Matt przewraca oczami i otwiera usta, ale zanim cokolwiek powie, czuję, jak żołądek podjeżdża mi do góry, i zginam się wpół, walcząc z wrażeniem, że spadam. Światła na suficie gasną. W korytarzu zapada mrok i cisza. Klnę pod nosem i wyciągam rękę, próbując odnaleźć Matta, ale chwytam tylko powietrze.

– Matt?

Czuję mrowienie na karku, a kalejdoskop kolorów blednie, pozwalając oczom przyzwyczaić się do ciemności. Serce zaczyna mi walić w piersiach, a wzrok usiłuje wmówić coś niemożliwego: wszyscy zniknęli. W korytarzu panują niemal egipskie ciemności i jestem zupełnie sama.

W powietrzu czuć coś, co czułam tylko w kilku bardzo konkretnych momentach swego życia: drżący szturm snu napierającego na rzeczywistość, tak jak robił to mężczyzna w zielonej marynarce i inne zjawy przed pojawieniem się Babci.

Ja śnię. To jakiś zupełnie nowy rodzaj halucynacji i jak zawsze wszystko wydaje mi się zbyt rzeczywiste, niemożliwe, a przecież niezaprzeczalne. Próbuję przełknąć ślinę, ale mam za suche gardło. Ręce mi się trzęsą, kiedy posuwam się bardzo wolno naprzód, przesuwając dłonią po chłodnym metalu szafek.

– Matt?! – wołam głośno.

Mój głos odbija się echem o wytarte płytki.

Coś ociera mi się o ramię i tłumię zduszony krzyk. Zupełnie nagle jarzeniówki na suficie migoczą, zapalają się i na powrót widzę dookoła ludzi.

– O Boże. – Chwytam się za pierś i usiłuję wyrównać oddech.

Moje oczy rejestrują rękę Matta na moim ramieniu, jego delikatne piegi. Matt ściąga brwi i ogląda się przez ramię, jakby spodziewał się widoku mknącego ku nam tornada.

– Nat? – Potrząsa lekko moim ramieniem. – Nic ci nie jest?

– Prąd – dyszę. Matt przechyla głowę. – Wszystkie światła zgasły.

I wszyscy zniknęli.

– Hm. – Matt wzrusza ramionami. – Chyba to przegapiłem.

Zmuszam się do przełknięcia śliny przez gardło szorstkie jak papier ścierny.

– Pewnie tak.

Matt rozgląda się i nachyla usta do mojego ucha.

– Nat, co się dzieje? – naciska. – Możesz mi powiedzieć.

Odsuwam się od niego o krok, wtłaczając strach z powrotem głęboko do brzucha.

– To nic. Wszystko w porządku.

Matt wzdycha.

– To do zobaczenia wieczorem.

Kiedy odchodzi, wpadając ramieniem na Dereka Dillhorna, podnoszę wzrok na panele świetlne na suficie, patrzę, czekam. „Nie chcę cię straszyć – mówiła Babcia – ale musisz się przygotować na to, co nadchodzi”.

3

Po kolacji Jack i Coco jadą ze mną z powrotem do szkoły. Dżip wydaje z siebie dźwięki, jakby do silnika trafił kot.

– Chryste, co to może być? – pytam.

– Nie wiem – odpowiada Jack. – Chłodnica?

– On nie ma pojęcia – mówi Coco, nie podnosząc głowy. – Hej, czy ty i Matt zamierzacie się zejść?

– Czemu o to pytasz?

– Abby mówiła, że zaprosił cię na randkę, a ty się zgodziłaś. Moim zdaniem to świetnie.

– Naprawdę? Bo mówisz takim tonem jak Stephen Hawking.

– Nat, nie bądź wredna – rzuca zdecydowanie Coco. – On nic nie poradzi na to, że tak mówi.

– To nie on tak mówi, tylko jego urządzenie. Mógłby sobie wybrać każdy głos, jaki mu się podoba. Gdyby chciał, mógłby mówić jak Morgan Freeman.

– Jeśli się zejdziecie, to czy Matt mógłby pomóc mi się dostać do reprezentacji szkoły? – pyta Jack.

– I przyjeżdżałabyś częściej w odwiedziny ze studiów – dodaje Coco.

– Jack, nie na tym polegają klasyfikacje do drużyny. A przede wszystkim nie zamierzam się schodzić z Mattem. No i co wydaje ten dźwięk?

– Gaźnik – odpowiada Jack.

– On nie ma pojęcia – powtarza Coco.

Parkujemy na skraju parkingu i idziemy asfaltową drogą. Wieje lekka bryza, ale jest tak wilgotno, że włosy i sukienka przylegają mi do skóry i mam nadzieję, że wieczór szybko zleci, żebym mogła wrócić do klimatyzacji.

Dawniej marzyłam o tym wieczorze.

Idziemy na boisko, którego jasne światła przyzywają nas niczym komary do lampy owadobójczej. Rodzice ubrali się z przesadną elegancją – ich oficjalne stroje są zbyt ciepłe na taki upał – więc kompensują nieunikniony zapach potu nadmiarem zapału i wesołości. Tuż za łańcuchowym ogrodzeniem na wyższym poziomie dostrzegam Rachel i dziewczyny z zespołu tanecznego. Wrzeszczą, pokazują mnie palcami i machają, aż odmachuję i idę do nich. Jack i Coco oddzielają się, żeby poszukać jakichś pierwszoroczniaków z drużyny futbolowej i dziewczyn, z którymi ci się kumplują albo z którymi chodzą.

– Świetnie wyglądacie – mówię do koleżanek z zespołu.

Grasantki mają dziś występować, więc wszystkie są w pełnym rynsztunku, lśniących makijażach, z włosami zgarniętymi w schludne kucyki i niemożliwie długimi rzęsami.

Rachel wysuwa dolną wargę.

– Szkoda, że z nami nie występujesz. Dziwnie tak patrzeć na ciebie bez kostiumu.

– Taaak… – mruczę niepewnie. – Rzeczywiście dziwnie, ale musiałam się skupić na nauce, a zresztą, jak widać, radzicie sobie i beze mnie. Tak czy inaczej, powodzenia.

Albo połamania nóg. Albo merde. Albo co tam chcecie. Róbcie swoje i zróbcie to dobrze.

Odwracam się i schodzę po metalowych stopniach trybun. Na widok Megan siedzącej przy dziewczęcej drużynie piłki nożnej ogarnia mnie ciepło i ulga. Przysiadam się do niej.

– Cześć.

– Czeeeeeść! – woła Megan, ściskając mnie. – Co u ciebie?

– Była u mnie Babcia.

Megan otwiera usta.

– Nieee…

Kiwam głową. Mogę jej mówić o Babci, bo tylko ona naprawdę w nią wierzy. Wierzy też w Boga bardziej niż ktokolwiek, kogo znam. Zawsze wierzyła. Co prawda Bóg nie przemawia do niej tak jak Babcia do mnie i nawet nie do końca zgadzamy się w naszym rozumieniu tego, czym On jest, ale Megan nawet nie mrugnęła, kiedy pierwszy raz zdradziłam jej swoją tajemnicę, bo wierzy w rzeczy niewidzialne i kocha mnie tak, że jej zdaniem, gdyby Bóg naprawdę zszedł na ziemię, to oczywiście objawiłby się właśnie jej przyjaciółce.

– Wow. – Jeszcze raz szybko mnie ściska. – No dobrze, opowiadaj.

Znowu kiwam głową. Dziewczyny z zespołu schodzą z widowni równym rzędem, z pomponami za plecami, z łokciami wystawionymi na boki, z wysoko zadartymi nosami.

– Opowiem – obiecuję. – Tylko niech Rachel objawi nam sens istnienia swym tańcem.

A kiedy ona to robi, w powietrzu poza wilgocią wyczuwam coś gęstego i magicznego.

Może chodzi o oślepiający blask świateł na żółknącym boisku i na trybunach. Może to orkiestra w czapkach z białymi piórami, ustawiona na lewo od jasnopomarańczowego pola punktowego, trąbiąca zagrzewającą piosenkę. Muzycy wykonują swój numer, jakby byli na rauszu – mówię to w pozytywnym sensie. Tak jak mama, kiedy wypije lampkę czerwonego wina i zaczyna się poruszać takim rozkołysanym krokiem. Zazwyczaj chodzi idealnie wyprostowana, jakby połknęła kij, jakby nadal była Miss Października w *Kalendarzu Cheerleaderek Kentucky University* z tymi swoimi ładnymi blond włosami rozwianymi przez stojący za kadrem wiatrak.

Wino sprawia, że mama zapomina o sztywności, a może dodaje jej tyle pewności siebie, że zwyczajnie chce jej się kołysać biodrami. W każdym razie ładnie to wygląda i sposób, w jaki orkiestra gra bojową pieśń dla naszej drużyny, trochę przywodzi mi to na myśl.

Nagle zaczynam odczuwać emocje, o których zapomniałam w ciągu dnia w szkole, kiedy ściskałam ludzi, których znam od zawsze, żegnałam się z nimi i obiecywałam, że będziemy w kontakcie.

A potem myślę o Babci i o tym, że może nigdy już jej nie zobaczę.

I o frontowym ganku i wszystkich wieczorach, które przesiedziałam na nim w dzieciństwie z Megan – letnich wieczorach, kiedy biegałyśmy brudne i lepkie od zabawy, a Gus był tylko szczeniakiem. I kiedy graliśmy w chowanego i w berka

z dzieciakami z sąsiedztwa, które chodziły do Szkoły Świętych Piotra i Pawła. Czasem nawet siadywałam tam z Mattym, kiedy jego tata podwoził go po wykonaniu wszystkich prac na farmie – aż w końcu słońce zachodziło i zapadała noc.

Teraz widzę świetliki w trawie przy bieżni, która otacza boisko, i wokół pagórka po lewej stronie orkiestry – tego samego, gdzie w ósmej klasie po raz pierwszy całowałam się z Mattem Kincaidem, rozgrywającym drużyny futbolowej.

Moje powieki robią się ciężkie, a pieśń bojowa coraz bardziej zwalnia i zwalnia, i chyba w końcu przysypiam, bo nagle znowu mam w środku to wrażenie, jakbym spadała, a potem wszystko znika.

Nie stadion ani boisko – ale dźwięk, zespół, ludzie. Nawet Megan.

Wszystko i wszyscy, z wyjątkiem mnie, świerszczy i tych nieziemskich stadionowych świateł.

Pojawia się ktoś jeszcze, zupełnie jakbym nagle dostrzegła kątem oka kolejne światło na samym środku boiska. To chłopiec odwrócony do mnie plecami, wysoki, o szerokich barkach, z długimi, ciemnymi, ale jakby brudnymi włosami. W prawej ręce trzyma papierową torbę i podnosi ją do ust, pociąga łyk tego, co w niej ma, po czym odchyla głowę i patrzy do góry.

Cisza jest tak ogromna, że cały świat nią nabrzmiewa, a chłopiec wydaje się bardziej odległy, niż to możliwe.

Podążam za jego spojrzeniem do góry i niebo Kentucky wydaje mi się o całe mile wyżej niż zwykle. Widać niknący sierp księżyca, trochę chmur i garść gwiazd. Znowu spoglądam na potargane włosy chłopca, na jego plecy i pupę, próbuję go sobie przypomnieć, ale nie mogę.

Śni mi się nieznajomy. Chyba nie ma w tym nic specjalnie dziwnego. Przypomina mi się tamten pierwszy raz, kiedy przy moim łóżku zjawiła się Babcia – powinnam się bać, ale się nie bałam. Wiedziałam, że mogę jej zaufać, i czułam, jakbym ją znała, w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych nocnych gości.

Wstaję i opieram się o barierkę w przejściu między trybunami. Chcę zejść na boisko i stanąć z tym chłopcem między niebem a murawą, póki każda część mnie nie zetknie się z każdą warstwą świata. Mam wrażenie, jakby to było ważne, lecz mimo że jestem całkowicie przekonana, iż to sen, nadal czuję się odrobinę zawstydzona i skrępowana, jakbym nie wiedziała, co powiem, kiedy już się tam znajdę.

Ale to parcie, by zejść, jest silniejsze od reszty. Robię krok w dół i metal skrzypi mi pod nogami.

Chłopiec na boisku musiał to usłyszeć, bo zaczyna się odwracać, ale nim mogę zobaczyć jego twarz, wszystko wskakuje z powrotem na miejsce: piosenka dobiega końca, tłum krzyczy, klaszcze, wiwatuje.

A jego już nie ma.

– Nat? – pyta Megan, przekrzykując hałas.

Stoję w przejściu, trzymając się balustrady.

– Wszystko w porządku?

– Nie wiem.

– Chcesz wyjść? – pyta. – Jeśli chcesz, to możemy stąd iść.

– Nie – odpowiadam zgodnie z prawdą, na powrót siadając przy niej.

Nie chcę odrywać wzroku od tego boiska. Coś się tam dzieje i boję się, że to przegapię.

– Na pewno?

Kiwam głową. Muszę tu zostać i obserwować. Muszę zrozumieć, o co w tym chodzi.

Poza tym nie jestem w żadnej drużynie, ale Megan owszem, i ten wieczór jest ważny dla niej i wszystkich dziewczyn, z którymi siedzimy.

Po występie tanecznym następuje rozdanie nagród dla najstarszego roku w kategoriach softballu i baseballu, popis cheerleaderek, nagrody za piłkę nożną, ale wtedy jestem zmuszona wymierzyć Megan kuksańca w żebra, bo Brian Walters bezwstydnie taksuje ją swoim lodowato błękitnym spojrzeniem.

– On chce się z tobą ożenić i mieć gromadę pięknych, błękitnookich dzieci – szepczę.

– Żeby tylko nikt mu nie powiedział, że bez macicy ich nie urodzi – odpowiada również szeptem.

Następna nagroda jest za łucznictwo i dzięki temu dowiadujemy się z Megan, że w naszej szkole istnieje drużyna łucznicza. Potem koszykówka, potem parada z machaniem flagami, aż wreszcie na koniec przychodzi pora na futbol amerykański.

Na podium wchodzi trener Gibbons i wzywa na boisko ostatni rocznik. Tłum zaczyna gwizdać i tupać. Matty stoi na końcu, w swojej kurtce i ładnych dżinsach jest zarazem przystojny i gapowaty, jak disnejowski książę.

– Większość z was wie, że nie lubię tracić słów – zaczyna mówić do mikrofonu trener Gibbons. – I że wolno je wymawiam. – Po trybunach przetacza się śmiech, a trener zaczyna po kolei i z namaszczeniem opowiadać o wszystkich zawodnikach ostatniego roku i o tym, w jaki sposób pomogli drużynie.

Zawsze lubiłam oglądać, jak Matty gra w futbol. Ma w sobie gracje, której pozbawiona jest większość sportowców. Można być dobrym i bez niej – dobrym, ale nie świetnym. Mama mówi, że tata miał taki sam wdzięk w koszykówce, zanim zerwał sobie więzadło krzyżowe podczas pierwszego semestru na uniwerku. Jej zdaniem był wtedy na prostej drodze do NBA. Zawsze trudno było mi to sobie wyobrazić, bo nie znałam taty z innej strony niż lekarza i tresera koni. Jest w tym tak dobry, że wydaje się niemożliwe i niesprawiedliwe, by miał także inne równie wielkie talenty. Jack w tej chwili myśli tylko o futbolu, ale jakaś część mnie zastanawia się, jakie jeszcze ukryte zdolności mógłby w sobie odkryć, gdyby nie mógł grać – a potem odsuwam od siebie tę straszną myśl, żeby przypadkiem nie sprowadzić na młodszego brata nieszczęścia.

Wielka chwila Matta sprawia, że niemal zapominam o swoim śnie, ale nagle wszystko się powtarza: widzę błysk na boisku i nagle tuż obok ośmiu uczniów stojących przy trenerze pojawia się dziewiąta osoba. Tylko coś się tu nie zgadza, bo za każdym razem, kiedy ją widzę, inni znikają.

Pozostaje tylko ten chłopiec, wysoki, o szerokich ramionach, pełnych ustach, długich ciemnych włosach i poważnych orzechowych oczach.

Obrazy migają mi szybko cztery czy pięć razy, jakby dwie ogromne dłonie zasłaniały mi na zmianę to drużynę, to chłopca. Kiedy migotanie ustaje, widzę już tylko nasz zespół.

Rozglądam się po tłumie, wypatrując znaków, że ktoś jeszcze zauważył pojawienie się dziewiątej osoby na boisku, ale wszyscy są pochłonięci mową trenera i zupełnie się

nie przejmują tym, że świat właśnie zadrżał.

– Nat? – szepce Megan.

– Widziałaś go? – pytam.

– Kogo?

– Tego chłopaka na boisku.

Jej niebieskie oczy zwracają się na trenera i Megan przesuwa się, żeby zobaczyć drugą stronę podium, ale kiedy spoglądam z powrotem na boisko, chłopca już nie ma.

– Tracę rozum.

– Wcale nie – odpowiada Megan szeptem. – Mówiłaś, że Babcia wróciła. Może to jeden z jej przyjaciół?

– Ona chyba nie ma żadnych przyjaciół…

– Oczywiście, że ma. A kim twoim zdaniem są aniołowie?

– Nie jestem pewna, czy ona jest jak twój Bóg.

– Przecież opowiada ci historie z Biblii, prawda? – Megan zawsze zachowuje się tak, jakby Babcia była zamaskowanym Jezusem.

Ja z kolei nigdy nie wiem, gdzie kończy się jej Bóg, a zaczyna mój. Czasem, kiedy Megan mówi o swojej wierze, myślę: „Tak, dokładnie!", ale opowieści Babci wzbudziły we mnie przekonanie, że Bóg to zbyt wielkie pojęcie, by zmieścić je w jednej książce albo w grupie ciał stojących równo w kościelnej ławce czy nawet w religii o światowym zasięgu. Bóg to coś, co rozpoznaję, kiedy rozglądam się dookoła – widzę Go wszędzie, w Megan, w nocnym niebie, w porannym słońcu, a szczególnie w Babci.

– No tak… czasami. Ale opowiada mi też o ludziach o imionach takich jak Wiewiórka albo Pręgowiec. Czy to są postaci z Biblii? Czy Babka Pająk wykradła ogień w Starym lub Nowym Testamencie? Bo wydawało mi się, że to opowieść plemienia Czoktaw.

Megan szturcha mnie łokciem.

– No dobrze, może nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale znam ciebie. Nie jesteś szalona. Babcia jest prawdziwa i cokolwiek się z tobą dzieje, na pewno nie jest to tylko wytwór twojej wyobraźni. Jakoś to wszystko rozpracujemy, jasne?

Zagryzam wargę i kiwam głową. Wyjmuję z torebki telefon, żeby kontynuować internetowe poszukiwania, i widzę, że ikonka z baterią jest niemal pusta. Dopiero wtedy przypominam sobie, że zostawiłam ładowarkę w szafce razem z resztą rzeczy, które zamierzałam zabrać w przyszłym tygodniu.

Już mam powiedzieć Megan, że pobiegnę do szkoły, żeby podładować telefon, kiedy trener kończy przemowę i tłum zaczyna entuzjastycznie klaskać. Gdy członkowie drużyny zaczynają wracać na trybuny, wszyscy wstają i zaczynają się wachlować i wietrzyć spocone koszule. Matt przeskakuje stopnie, podbiega w naszą stronę, obejmuje nas obie za szyję i całuje; zauważam przy tym, że jego przyjacielski całus wyciśnięty na moim czole trwa dość długo.

– Fuj, aleś ty spocony – mówi Megan i go odpycha.

Matt ignoruje ją i pyta:

– Macie ochotę coś zjeść?

– Jasne – mówię. – Tylko najpierw muszę zabrać coś z szafki.

– Lepiej się pospiesz; gdy tylko rozmontują podium i przeniosą je z powrotem na salę

gimnastyczną, zamykają szkołę.

Mama i tata zeszli już do nas po schodach i obejmują Matta i Megan.

– Jak miło znowu widzieć waszą trójkę razem – mówi mama, ściskając Megan za łokieć i uśmiechając się tym swoim uśmiechem, który zapewnił jej licencję agentki nieruchomości. – Prawda, że miło, Patrick?

Tata potakuje, ale nic nie mówi. Trenerowi może się wydawać, że jest małomówny, ale ciekawe, co by powiedział po dniu spędzonym z tatą w stajni. Mama odwraca się do mnie i robi minę pełną takiego współczucia, że chyba bolą ją od tego mięśnie.

– Pewnie ciężko ci było patrzeć na występ zespołu? – mówi.

– Mnie było ciężko – wtrąca cicho tata. – Myślałem, że oczy Rachel Hanson wyjdą na wierzch. Jak się nazywa to, co ona robi z twarzą?

– Ekspresja? – podsuwa Megan.

– Moim zdaniem ten konkretny wyraz twarzy nazywa się „puszczanie bąka podczas *grand jeté*" – mówię.

– Natalie – upomina mama.

– Kiedy koń robi taką minę, to wiadomo, że jest w sytuacji podbramkowej i albo będzie walczył, albo uciekał – stwierdza w zamyśleniu tata.

– Kiedy Rachel tańczy, wszyscy szykują się albo do walki, albo do ucieczki – zgadza się po namyśle Megan.

Mama chowa twarz w dłoniach.

– Przecież ona pochodzi z rozbitej rodziny…

– Tak, mamo. Tak samo jak Koń Wojenny i Seabiscuit. To żadne wytłumaczenie.

W szkole panuje mrok i chłód, choć powietrze wciąż jest wilgotne. Spoglądam z balkonu na stołówkę i przeszkloną ścianę wychodzącą na trawnik, po czym, przypominając sobie popołudnie, jeszcze raz rozglądam się po zacienionym holu i ruszam ciemnymi korytarzami.

Im bardziej oddalam się od wyjścia, tym bardziej boję się samotności i mroku. W mojej głowie z każdym krokiem rozbrzmiewa głos Babci. „Musisz się przygotować na to, co nadchodzi".

Szybko wybieram kombinację otwierającą szafkę, przekopuję się przez chorobliwie porządne rzędy segregatorów i pamiątek, których jeszcze nie zabrałam, wpycham ładowarkę do torebki i odwracam się, by uciec, nim w nieunikniony sposób dopadną mnie mordercy z siekierami.

Lecz coś mnie powstrzymuje.

Piękna muzyka, rozlewająca się po ciemnym korytarzu z sali muzycznej.

Od czterech lat słuchałam opowieści o Duchu Sali Muzycznej, lecz myśląc o tym, co bym zrobiła, gdybym usłyszała jego syrenią pieśń, nigdy nie wyobrażałam sobie, że mogłabym udać się w jej kierunku.

Ale przecież nie ma żadnego ducha, upominam się. To tylko jakiś podstępny uczeń ostatniej klasy, którego na pewno znam, i poruszająca piękna pieśń przemykająca swobodnie po klawiszach fortepianu.

Zakradam się korytarzem i przystaję pod drewnianymi drzwiami, słucham przez chwilę. Melodia jest smutna, wręcz rozdzierająca, i ogarnia mnie frustracja, że nie

potrafię znaleźć lepszego słowa, by ją opisać. Przychodzi mi do głowy, że Babcia by to umiała. Miałaby całą historię, która jakimś cudem brzmiałaby zupełnie jak ta muzyka. Jak najciszej otwieram drzwi i wsuwam się do środka.

Czarny koncertowy fortepian stoi w przeciwnym rogu, mocno porysowany, lecz wciąż elegancki. Grająca na nim osoba nie włączyła ani jednej lampy i trudno ją zobaczyć. Ale gdyby nie zdradziły jej szerokie barki i długie, trochę brudne włosy, zrobiłaby to na pewno papierowa torebka na fortepianie.

Kim, do licha, jest ten chłopak? Może naprawdę jest istotą podobną do Babci. Tak czy inaczej, nie chcę zakłócać jego gry. Staję pod pokrytymi lekką wilgocią drzwiami, opierając się o nie głową, słucham i patrzę. Jego duże dłonie przemykają z gracją po klawiaturze, jego zbyt szerokie ramiona napinają się pod znoszoną koszulką. Ten obraz – skulony nad fortepianem chłopiec wielkości niedźwiedzia grizzly, który nie powinien być w stanie wydobyć z klawiszy takich dźwięków, z taką czułością, z taką wdzięcznością – byłby zabawny, gdyby melodia nie była tak urzekająca.

Zamykam oczy, myślę o wszystkich opowieściach Babci i odnajduję taką, która najbardziej przypomina mi tę muzykę.

– Ta historia jest prawdziwa, dziecko – powiedziała Babcia. – Więc słuchaj uważnie.

– Mówisz tak o nich wszystkich – odparowałam.

Miałam dziewięć lat i jak dotąd żadna z opowieści nie wydawała mi się prawdziwa.

– Bo wszystkie takie są – powiedziała Babcia. – Ale ta wyda ci się prawdziwsza niż pozostałe.

– Chcesz powiedzieć, że rzeczywiście się wydarzyła.

– Żadna historia, w której jądrze kryje się prawda, nie jest bardziej prawdziwa od innych.

– O czym ty w ogóle mówisz? – Westchnęłam.

– Opowieści rodzą się z naszej świadomości – powiedziała, splatając sobie palce na podołku. – Pochodzą z rzeczy, które już wiemy. Z tego, czego nauczyliśmy się od swoich przodków i krewnych. Wszyscy uczymy się różnych rzeczy w zależności od tego, gdzie się rodzimy, więc historie, jakie usłyszysz, będą się od siebie różniły. Tak samo różne będą rzeczy, które postanowią uczynić twoi krewni. I rzeczy, które postanowisz uczynić ty sama. Aby podejmować najlepsze decyzje, należy słuchać wszystkich opowieści, wyuczyć się ich na pamięć i poczuć je w kościach. Musisz wiedzieć, Natalie, że żadna historia nie jest prawdziwsza od samej prawdy. Wszystkie dobre opowieści i wszystkie nasze życia rodzą się ze świadomości tego faktu.

– Więc jaka jest ta prawda?

– Trudno powiedzieć. Dlatego tak ważne jest, by słuchać i spoglądać w przód i w tył wzdłuż nici, które Babka Pająk rozciąga między wszystkimi rzeczami. Rozumiesz?

– Nigdy nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz – odpowiedziałam.

Wzruszyła ramionami.

– No cóż, w każdym razie ta historia ci się spodoba, bo wydarzyła się naprawdę i jakiś biały facet w fikuśnym kapeluszu zapisał ją i opieczętował woskiem. Zaczyna się w miejscu zwanym Ni-a-ga-ra albo jeśli wolisz wymawiać nazwy w głupi i nieprawidłowy sposób tylko dlatego, że nikt ci nie zabroni, możesz je nazywać Niagara; prawie jak viagra. Oznacza to „grzmiące wody”.

– To ten wodospad?

– Tak – przyznała Babcia. – Ni-a-ga-ra to było święte miejsce plemienia Seneków, które wierzyło, że jest ono bramą do świata duchów, Krainy Szczęśliwych Łowów. Kiedy tam chodzili, słyszeli ryk potężnego ducha, który mieszkał w wodach.

– Chcesz powiedzieć, że słyszeli wodę – powiedziałam.

– Może – rzekła Babcia.

– Na pewno.

– Skąd wiesz?

– Bo nie ma żadnych duchów – odparłam.

– Skąd wiesz? – spytała znowu.

– Mama mi powiedziała.

– A co mówiła ci mama o mnie? – spytała Babcia, a gdy nie odpowiedziałam,

ciągnęła opowieść z odcieniem zadowolenia: – Co roku lud Seneka składał wielkiemu duchowi wodospadu ofiarę w postaci młodej dziewczyny z plemienia, a wybór uznawano za wielki zaszczyt. Kobiety walczyły o szansę, by stać się tą, która położy się w białym kanoe i spłynie wodospadem do świata duchów. Tam miała przebywać ze swoim ludem, który odda jej cześć w podzięce za jej ofiarę.

W 1697 roku żyła sobie piękna i silna kobieta o imieniu Lela-wala, która pragnęła stać się tegoroczną ofiarą. Lela-wala była córką wodza Seneków, Orlego Oka, i choć jego żona i inne dzieci dawno już umarły, pobłogosławił on decyzję córki i Lela-wala została wybrana. Był tam też francuski odkrywca o nazwisku La Salle, który mieszkał od jakiegoś czasu wśród Seneków i – zwyczajem tamtych wieków – pragnął nawrócić ich na chrześcijaństwo. Kiedy dowiedział się, że Lela-wala ma zostać złożona w ofierze, udał się do wodza Orlego Oka i innych przywódców i błagał ich o wstrzymanie obrzędu.

Oni jednak nie dali się przekonać. Jeden z przywódców plemienia powiedział mu: „Twoje słowa świadczą przeciwko tobie. Mówisz: Chrystus dał nam przykład. Podążamy jego śladami. Dlaczego jego ofiara ma być wspaniała, ale nasza jest straszna?”.

La Salle odszedł więc zrozpaczony i wściekły na wodza Orle Oko. Nie rozumiał Seneków ani ich zwyczajów. Nie widział bólu Orlego Oka z powodu decyzji córki, ponieważ wódz był bardzo dzielnym człowiekiem, który musiał sprostać oczekiwaniom jej i swego plemienia, mimo że Lela-wala była mu bardzo droga. Dopóki był częścią wielkiej sieci życia oraz plemienia, i tego ludzkiego, i tego nieludzkiego, dopóty córka była najdroższą jego sercu istotą, która mu pozostała na świecie.

W dniu obrzędu lud Seneka zebrał się nad rzeką, by świętować, ucztować, śpiewać i tańczyć, i zabawą uczcić ofiarę. Kiedy nadszedł czas, by białe kanoe wypłynęło zza zakrętu rzeki, wszyscy zamilkli i patrzyli, jak pojawia się łódka ozdobiona owocami i kwiatami, które miały uświęcić życie Lela-wali i jej śmierć, i rolę, jaką jedno i drugie odgrywało w historii plemienia.

Gdy jednak łódź weszła w główny nurt, plemię ujrzało, jak spomiędzy drzew po drugiej stronie rzeki wypływa drugie białe kanoe. Żal wodza Orlego Oka był tak wielki, że postanowił on dołączyć do Lela-wali w ofierze. Prąd poniósł go szybko ku wodospadom i wkrótce znaleźli się obok siebie.

Popatrzyli na siebie i wyciągnęli dłonie nad dzielącą ich wodą, a całkowity spokój plemienia ustąpił nagle miejsca krzykom rozpaczy i jednocześnie wdzięczności. Obie łodzie runęły razem w dół wodospadu, a dziewczę i wódz przeszli do Krainy Szczęśliwych Łowów, gdzie stali się czystym duchem, pełnym, nieskalanym i silnym.

Od tej pory żyli pod wodospadem, gdzie ryk wody brzmi jak cicha muzyka.

– Pomyliłaś się – rzekłam po długim milczeniu.

Ciemne brwi Babci podjechały do góry, a w jej oczach pojawił się błysk.

– Pod jakim względem?

– Nie podobała mi się ta historia.

– A myślałaś, że nigdy się nie mylę.

Przez parę chwil zastanawiałam się intensywnie.

– Czy Lela-wala i wódz Orle Oko naprawdę odeszli do Krainy Szczęśliwych Łowów?

Teraz to Babcia musiała się namyślić.

– Sądzę, że tak.

– Ja się boję śmierci – powiedziałam.

– Nawet Jezus bał się śmierci, kochanie.

– Skąd wiesz?

– Ja wiem wszystko.

– Na pewno nie wszystko.

– W porządku. Przeczytałam to w książce i czułam, że to prawda. Zadowolona?

– A ta dziewczyna, która spadła z nieba, ona też się bała, kiedy skoczyła, prawda? – spytałam i Babcia pokiwała głową.

– Nikt z nas nie jest sam, Natalie. Jej historia to moja historia, to twoja historia.

Właśnie to przywodzi mi na myśl ta melodia. Tak się skupiam na tym wspomnieniu, że kiedy chłopak przestaje grać i sięga po butelkę w papierowej torebce, żeby się napić, jeszcze przez chwilę nie mogę się otrząsnąć.

– To było piękne – mówię, idąc przez pomieszczenie, a on odwraca się gwałtownie na stołku i z zaskoczenia pryska napojem na wykładzinę.

Ociera usta mocnym, opalonym ramieniem i pyta:

– Kim jesteś?

– Poważnie? – odpowiadam z uśmiechem. – Chyba to ja powinnam cię o to spytać.

W korytarzu rozlega się śmiech i chłopiec chwyta mnie za ramię, po czym ciągnie na drugą stronę pokoju.

– Hej! – protestuję i próbuję się wyrwać. – Co ty wyprawiasz?

Odsuwa jedną z kotar, które osłaniają dwa głębokie okna wykuszowe oraz alkowę, gdzie stoją w stosach krzesła i metalowe pulpity do nut. Wpycha mnie za zasłonę i wchodzi za mną. Dokładnie w tym momencie słyszę skrzyp otwieranych drzwi i śmiech wlewa się do środka. Natychmiast rozpoznaję głosy: Matt, Megan, Rachel i Derek Dillhorn.

– Dzisiaj nam się uda – mówi tryumfalnie Rachel. – Znajdziemy tego ducha.

– Albo moglibyśmy wrócić na parking. Pewnie Nat już tam na nas czeka – mówi Matt.

– Niech sobie czeka – mówi Rachel. – Ja nie zamierzam zakończyć liceum bez dobrej historii o Duchu Sali Muzycznej.

– Uhuu-uuu-uuu-uuu – błaznuje Derek. – Duch nerda: czy może istnieć coś straszniejszego?

– No dobra, mówcie sobie, co chcecie – mówi Rachel – ale w zeszłe wakacje w urodziny Matta spiłam się z Kelly Schweitzer cynamonową wódką i niechcący zaczęłam się całować z Wade'em Gordonem. Poważnie, jak na kogoś, kto cały czas spędza z ustnikiem do puzona w ustach, on naprawdę dobrze całuje.

– Nie udawaj, że to pamiętasz – odparowuje natychmiast Derek. – Zresztą w końcu się na niego porzygałaś, a on pewnie i tak nadal myśli, że to był najlepszy wieczór w jego życiu.

– O Boziu, totalnie o tym zapomniałam! – Rachel wybucha histerycznym śmiechem.

Spoglądam na chłopca stojącego pomiędzy mną a zasłoną. Przez wielkie okno za

nami wlewa się światło księżyca, więc widzę go wyraźnie. To naprawdę ten chłopak z boiska. Przenosi na mnie wzrok i unosi palec do ust, po czym nachyla się do mojego ucha i szepcze tak cicho, że prawie go nie słyszę:

– Nie psujmy im tego ducha.

Ma uśmiech nieśmiałego dziecka, zupełnie niepasujący do jego poważnych orzechowych oczu. Trudno je sobie wyobrazić z wyrazem innym niż lekka troska. Kiedy się odsuwa, kiwam na potwierdzenie, że zrozumiałam.

Matt, Megan i reszta wciąż chodzą po sali i nagle oboje orientujemy się, co może nas zdradzić. Chłopak wskazuje nasze stopy. Zasłona sięga niemal do podłogi, ale nie do końca, więc jeśli moi przyjaciele zamierzają kręcić się tu dłużej, mit o Duchu Sali Muzycznej na pewno legnie w gruzach.

Chłopak sięga mi przez ramię, żeby odstawić butelkę na parapet wykuszowego okna. Patrzy mi w oczy i zawiesza ręce przy moich biodrach, milcząco proponując, że podsadzi mnie do góry. Kiwam głową, ale kiedy mnie podnosi, czuję na policzkach rumieniec i serce mocno mi bije: jesteśmy tak blisko siebie, a przecież zupełnie go nie znam. Jeszcze godzinę temu patrzyłam, jak spogląda na księżyc, a przed chwilą słuchałam, jak gra tę niezwykłą melodię. I nagle znalazłam się tak blisko niego.

Jego skóra i koszulka są ciepłe, wilgotne od potu, a włosy miękkie na mojej szyi. Pachnie przyjemną mieszanką trawy, potu i słodkiego alkoholu z torebki.

Podsadza mnie i puszcza, a ja przesuwam się w milczeniu aż pod boczną szybę okna. Poprawiam kucyk, żeby mieć jakieś zajęcie, kiedy on podciąga się na parapet i opiera o ścianę naprzeciwko mnie, z odchyloną głową i lekko rozchylonymi ustami.

Przez jakiś czas usiłuję na niego nie patrzeć, ale za każdym razem, kiedy się poddaję i jednak to robię, na jego ustach widnieje ten nieśmiały dziecięcy uśmiech, co sprawia, że sama zaczynam się uśmiechać jak idiotka. Jestem tak zażenowana, że odwracam wzrok, ale kiedy znowu na niego patrzę, powtarza się to samo, tylko jest gorzej. Wreszcie poddaję się i po prostu siedzę w wykuszu okna, gapiąc się na tego zupełnie obcego człowieka i szczerząc wszystkie zęby, podczas gdy moi przyjaciele rozmawiają po drugiej stronie świata za czerwoną zasłoną.

Chłopak wyciąga do mnie butelkę w papierowej torbie. Biorę i piję, choć nic o nim nie wiem; może nie myje zębów albo zarazi mnie opryszczką? Nie mam pojęcia, co jest w butelce, ale przypomina syrop, jest kwaśne, więc krzywię się, przełykając. Kiedy otwieram oczy, widzę, jak ramiona chłopaka unoszą się jakby w bezgłośnym śmiechu. Odbiera mi butelkę i kładzie sobie na kolanach.

– Jak myślicie, dokąd poszła Natalie? – Dźwięk głosu Matta wypowiadającego moje imię ściąga naszą uwagę z powrotem na rozmowę za zasłoną.

– Natalie, Natalie, Natalie – jęczy Rachel. – Matty, serio, czy ty nie widzisz, że odkąd dostała się na Browna, kręci nosem na nas, maluczkich z Union?

– Och, przymknij się – mówi Megan. – Matt, pewnie czeka przy samochodzie.

– Spróbuj znowu do niej zadzwonić – podsuwa Matt.

Z sercem walącym jak młot chwytam torebkę, udaje mi się znaleźć telefon i wyłączyć dźwięk, nim Sheryl Crow i Stevie Nicks zdążą zdradzić moją obecność, pytając świat dźwięcznymi głosami, czy „jest na tyle silny, by być moim facetem”.

Ale telefon nawet nie rozświetla się z informacją, że ktoś dzwoni, a Megan mówi:

– Od razu włącza się sekretarka.

Patrzę na ekran, spodziewając się informacji, że nie mam zasięgu, ale według ikonki z kreskami wszystko jest OK. Co za szmelc.

– Może nie mogła już nas znieść i ruszyła do Rhode Island piechotą – kpi Rachel. – Może jest taka mądra, że zdążyła sobie wybudować poduszkowiec.

– Albo wezwała ducha w postaci konia – podsuwa Derek.

– Jesteście wredni – mówi Megan. – Chodź, Matt, wracajmy na parking.

– Och, przecież tylko się zgrywamy – protestuje Derek. – Wiecie, że uwielbiamy Natalie.

Nadal rozmawiają, ale znowu słyszę skrzypnięcie i trzask drzwi, a głosy nagle robią się stłumione. Nasłuchuję cichnącej w korytarzu rozmowy i przez chwilę oboje z chłopcem nie poruszamy się i nic nie mówimy. Nawet nie mogę na niego spojrzeć. W sumie wszystko mi jedno, co mówi o mnie Rachel albo Derek, ale trochę mi wstyd, że powiedzieli to w obecności nieznajomego, z którym muszę teraz rozmawiać.

Wreszcie patrzę mu w oczy, a on po chwili milczenia kiwa głową i mówi:

– Cześć.

Śmieję się, ale brzmi to cicho i trochę dziwnie. Może dlatego, że jest ciemno, a my siedzimy dość blisko siebie.

– Cześć.

Znowu podaje mi butelkę i biorę ją, choć wiem, że cokolwiek jest w środku, smakuje okropnie. Wypijam kolejny łyk z trudem, co próbuję zamaskować, ale na pewno bezskutecznie. Gęste brwi chłopca wyginają się, a kącik ust unosi się z rozbawieniem. Oddaję mu butelkę.

– Możesz wypić do końca – mówi, nie wyciągając nawet ręki. – Chyba smakuje ci bardziej niż mnie.

– Szczerze wątpię – wyduszam z trudem.

Znowu się śmieje i bierze butelkę, patrząc na nią, jakby chciał odczytać etykietę przez papier torebki.

– Faktycznie nic specjalnego.

– Tak smakują siuśki szatana, kiedy ma infekcję moczowodów. Co to w ogóle jest?

– Nie mam pojęcia – odpowiada chłopak. Mówi niskim głosem i jakoś powolnie, ale brzmi to całkiem ładnie. Przywodzi mi na myśl lipiec i zastanawiam się, skąd pochodzi jego rodzina, bo akcent ma nieco cięższy niż większość ludzi w tych stronach. – Dostałem w prezencie.

– Aha – mówię. – Stąd pewnie ten papier pakowy.

– Podoba ci się? Cały tata, o wszystkim pomyśli.

– Twój ojciec podarował ci w prezencie Siki Szatana? Chcesz, żebym zadzwoniła po opiekę społeczną? Mam pod ręką najgorszy telefon świata.

Chłopak znowu śmieje się, unosząc ramiona i mrużąc ciężkie powieki, ale nie wydaje z siebie żadnego dźwięku, po czym pociąga łyk z butelki.

– Ta melodia była naprawdę śliczna. Co to takiego?

– Nie wiem – mówi, spoglądając z uśmiechem na swoje ręce. – Usłyszałem ją chyba w reklamie sklepu z częściami samochodowymi.

– A, faktycznie – przyznaję. – Pewnie stąd ją znam. Ich reklamy wzruszają mnie do

łez.

Lewy kącik jego ust podnosi się, a oczy patrzą w moje. Ignoruję odruch, by odwrócić wzrok.

– A tak w ogóle, to co tu robiłaś? – pyta.

– Tak się składa, że to moja szkoła – odpowiadam. – Do dziś. A co ty tu robiłeś?

– Nawiedzałem ją – mówi, wyciągając ramiona na boki.

Siki Szatana chlapią z butelki i spływają mu po ręce na parapet. Śmiejemy się i sięgamy do plam, żeby je wytrzeć.

– Przepraszam – mówi chłopak, patrząc na mnie zza ciemnych włosów, które opadły mu na twarz. – Oblałem ci whisky całą szkołę. Co za brak wychowania.

– W porządku – odpowiadam. – Właściwie dziś był mój ostatni dzień tutaj. Już jej nie potrzebuję. Możesz sobie po niej chlapać, ile chcesz.

– Ale ubrudziłaś sobie rękę – mówi chłopak, a kiedy spuszcza wzrok na moją dłoń, tuż obok jego, czuję, jak czoło i policzki oblewa mi rumieniec. Są chwile, kiedy naprawdę się cieszę, że mam ciemną cerę, i ta właśnie do nich należy.

Chłopak wraca do mnie spojrzeniem, a ja prostuję się i odsuwam na bezpieczną odległość.

– Przyjaciele na mnie czekają – mówię. – Powinnam wracać.

Kiwa głową. Zeskakuję z parapetu, odsuwam zasłony i poświata księżyca zalewa całe pomieszczenie. Odwracam się jednak i waham przez chwilę.

– No to idę – mówię, szarpiąc kucyk, i ruszam do drzwi.

– Hej – zatrzymuje mnie.

– No?

– Natalie? Tak się nazywasz?

Kiwam głową. Jego twarz jest w cieniu, ale nadal widzę kąciki jego uśmiechniętych ust.

– Natalie Cleary – dodaję.

– Fajnie było cię poznać, Natalie Cleary – mówi.

– Ciebie też fajnie było poznać…?

– Beau – mówi.

– Beau.

Kiwa głową.

Beau.

– To na razie.

Kiedy wracam na parking, Matt Kincaid zadaje akurat pytanie: „A może do Hooters?” i od razu wiem, że czas iść spać.

– Ja chyba wrócę do domu – mówię i cała czwórka podrywa się z miejsc.

– Chryste, Natalie. – Rachel chwyta się za piersi i dramatycznie trzepocze rzęsami.

– No właśnie, skąd się tu wzięłaś, sfrunęłaś z nieba? – pyta Derek.

– Gdzie byłaś? – pyta Matt, natychmiast wzbudzając we mnie poczucie winy. Za to, że się przed nimi schowałam, że kazałam im się szukać i – jeśli mam być szczera – że flirtowałam z kimś, kto nie jest Mattem.

– Przy szafce. – Podnoszę torebkę, jakby stanowiła dowód.

– Byliśmy przy szafkach – mówi Rachel, opierając rękę o biodro. – Nie było cię tam. I przy okazji, przegapiłaś Ducha Sali Muzycznej.

– Zajrzałam też do łazienki. – Teraz już kłamię w żywe oczy i wiem po sposobie, w jaki Megan unosi cienkie jasne brwi, że i ona zdaje sobie z tego sprawę. Nie szkodzi – i tak zamierzam jej wszystko powiedzieć, ale nie będę psuła wszystkim historii o duchu, a już na pewno nie zamierzam gadać o chłopakach z Mattem Kincaidem.

– Nie musimy iść do Hooters – mówi Matt. – Możemy iść do BW3.

– A co ci nie odpowiada w Hooters? – pyta Rachel.

– Dosłownie wszystko – mówię.

Rachel śmieje się cierpko.

– Tobie naprawdę się wydaje, że jesteś za dobra, żeby tam jadać.

– Rachel, każdy, kto dysponuje działającymi kubeczkami smakowymi, jest za dobry, żeby jadać w Hooters – mówię. – Mają obrzydliwe żarcie, a poza tym jestem zmęczona.

– No to Barleycorn – proponuje Matt. – Dawno tam nie byliśmy.

Matt należy do chłopaków, którzy zawsze stają po stronie swojej dziewczyny, przynajmniej publicznie. Wszystkie: „Nie rozumiem, czemu nie mogłaś się zgodzić/cię to uraziło/nie chcesz już robić tego co dawniej" zawsze przychodziły później, kiedy byliśmy sam na sam, ale przynajmniej miałam wrażenie, że naprawdę chciał wiedzieć, o co chodzi.

– Właściwie ja też nagle zrobiłam się zmęczona – mówi Megan.

– Chodźmy się nachlać do Rachel – rzuca nagle Derek.

– Nie mam ochoty na chlanie – mówi Matt.

– Człowieku, co z tobą? – pyta Derek.

– Kiedyś jadałaś w Hooters – mówi Rachel, która nie może się ode mnie odczepić. – Zanim zrobiłaś się nadętą wojującą feministką z topowej uczelni.

– A ty kiedyś używałaś niebieskiego tuszu do rzęs – odparowuję. – Ludzie dorastają.

– Tak, wiesz, pamiętam ten niebieski tusz. Dostałam go od mojej puszczalskiej siostry. Tej, która pracuje w Hooters.

– Rachel – mówię zniecierpliwiona. – Nie obchodzi mnie to, że Janelle chce pracować w Hooters. Nic mnie nie obchodzi, jeśli ty i reszta świata chcecie wydawać kasę na wysuszonego kurczaka i sosy z keczupu. A już na pewno nie obchodzi mnie życie seksualne twojej siostry lub jego brak. Nie jestem sobie w stanie wyobrazić niemal niczego, co mniej by mnie interesowało. My, „nadęte wojujące feministki", już tak mamy: wszystko nam jedno, czy inne kobiety chcą nosić durne obcisłe pomarańczowe gacie i białe tenisówki i sypiać, z kim popadnie, albo czy wdziewają habit i idą do klasztoru, albo zaklejają sobie sutki i nie chcą się całować z języczkiem. Byle tylko wolno im było robić dokładnie to, czego chcą. A w tej chwili to, czego ja chcę, to iść spać. Okej?

Rachel krzyżuje ramiona i wbija we mnie gniewne spojrzenie, więc odwracam się i ruszam przez parking do swojego auta. Nie wiem, co ją naszło, ale ostatnio wykłóca się ze mną o wszystko, co powiem.

– Zadzwoń do mnie! – woła za mną Megan.

Wsiadam do dżipa i oglądam się na nich, stojących w jaskrawobiałym świetle reflektorów na końcu parkingu, kilka rzędów dalej.

– Jutro! – odkrzykuję.

Jutro muszę znaleźć odpowiedzi.

Wyjeżdżam szybko z parkingu szkoły, mijam farmę Matta, pobielone kościoły, ciemne wąskie drogi obrośnięte bujną zielenią, które wiją się i skręcają zgodnie z trasami stad bizonów chadzających tędy w dawnych czasach. Myślę o Beau i jego melodii, której nie mogę już sobie przypomnieć, ale nadal ją czuję.

„Oblałem ci whisky całą szkołę".

Wymawiał „całą" jak „cało". Myślę o nim przez całą drogę do domu.

„Fajnie było cię poznać, Natalie Cleary".

Wymawiał „cię" jak „cie". Myślę o nim, kiedy zasypiam.

Trzy miesiące.

5

Cały weekend spędzam na przekopywaniu się przez kolejne Alice Chan, bez żadnych rezultatów. W niedzielę wieczorem wciąż przewracam się i wiercę w łóżku, zastanawiając się nad każdym słowem wypowiedzianym przez Babcię, odgrywając w głowie zniknięcie Matta i całej reszty w szkole oraz pojawienie się Beau na boisku, i usiłuję zaprowadzić w tym jakiś porządek.

Przed terapią odwrażliwiania za pomocą ruchu gałek oka miewałam straszliwe koszmary, niektóre się powtarzały. Najgorszy był ten, w którym ogromna, bezkształtna plama mroku ścigała mamę i mnie jakąś wiejską drogą i wpadała na nas z taką siłą, że samochód obracał się, wpadał w poślizg i rozbijał o drzewo, składając jak harmonijka. Po tym śnie budziłam się czasem, nie mogąc złapać oddechu, ale nawet nie to było najgorsze. Najgorsze były zwidy. Miewałam dwa rodzaje halucynacji, hipnopompiczne i hipnagogiczne, ale nie wiedziałam, do której kategorii należałoby zakwalifikować to, co wydarzyło się z Mattem na korytarzu albo z Beau na boisku.

Halucynacje hipnopompiczne następują podczas snu. Ciało – włączając w to oczy i zmysł wzroku – budzi się, zanim umysł zdąży je nadgonić. Można więc widzieć swoją sypialnię dokładnie tak jak zawsze, tylko że po całym twoim ciele łażą pająki albo ze ścian wycieka krew, albo w fotelu na biegunach siedzi stara Indianka. Takie halucynacje mogą być wzrokowe, zapachowe, dźwiękowe lub dotykowe.

Halucynacje hipnagogiczne polegają prawie na tym samym, tylko że dochodzi do nich przed zaśnięciem, a nie wybudzeniem: ciało, oczy i zmysł wzroku pozostają przytomne, mimo że mózg już śni.

Znacie to uczucie, kiedy zaczynacie odpływać, już prawie zasnęliście, i nagle ktoś wyciąga spod was materac i zaczynacie spadać? Podrywacie się i zdajecie sobie sprawę, że nic wam nie grozi – nadal leżycie spokojnie w łóżku.

Gratulacje, właśnie doświadczyliście najbardziej typowej nocnej halucynacji.

Jeśli budzicie się z wrażeniem spadania, nie potrzebujecie leczenia. Potrzebujecie go natomiast, kiedy doskwiera wam bezsenność, strach, nocne lęki i trzy razy do roku nawiedza was jakoby wszechmocne bóstwo.

Terapia położyła temu wszystkiemu kres, niemal przekonując mnie, że Babcia naprawdę była tylko snem.

Po raz pierwszy zaczynam pragnąć, by tak było naprawdę. Wtedy jej ostrzeżenie nie miałoby znaczenia. Nie musiałabym uganiać się za jedną z pięciu miliardów mieszkających w okolicy Alice Chan. Odpycham od siebie pysk chrapiącego Gusa, żeby po raz kolejny przekręcić się na drugi bok. Dziś nawet urywany halucynacyjny sen byłby mile widziany, lecz nie nadchodzi.

O drugiej w nocy poddaję się i sięgam po leżący na szafce nocnej telefon, po czym sprawdzam w wyszukiwarce jeszcze kilka kombinacji słów. Nagle w przypływie natchnienia wpisuję coś zupełnie nowego: Alice Chan Kentucky halucynacje hipnopompiczne.

Wciskam ENTER i serce mi staje na widok pierwszego wyniku.

Nawiedzenia: Zapowiedzi przyszłości i inne zjawiska paranormalne związane z hipnopompią i hipnagogią, autorstwa Alice Chan, profesor psychologii na Northern Kentucky University.

Otwieram fragment książki i od razu pozbywam się wątpliwości: znalazłam właściwą osobę.

Pierwszym wydarzeniem Tygodnia Absolwentów jest wielka parada, na której akurat najmniej mi zależy, ale po sukcesie ostatniej nocy jestem niezwykle podekscytowana i przejęta. Brak snu i nadmiar kofeiny na pewno nie pomagają.

Kiedy dojeżdżamy do szkoły, mży i robi się burzowo. Wysadzam Jacka i Coco przed głównym wejściem do szkoły i przejeżdżam na tylny parking, gdzie komitet organizacyjny ustawia już „platformy paradne" – najwyraźniej zwykła furgonetka z pomarańczowo-czarnym bannerem może sobie rościć prawo do takiego miana.

Widzę przydzieloną mi platformę oraz towarzysza i parkuję jak najdalej od nich. Czekam na Megan, w międzyczasie raz po raz czytając urywek z publikacji Alice Chan, choć znam go już na pamięć. Chwilę później obok mnie zatrzymuje się czarna honda civic. Wyskakuje z niej Megan i przesiada się do mnie, wytrząsając z włosów i kaptura ciepły deszcz.

– No dobra, pokaż.

Natychmiast podaję jej telefon.

– Czemu twoja komórka wygląda tak, jakby zleciała na ziemię przez pas asteroid?

– Hm, może dlatego, że nie wypuszczałam jej z ręki przez ostatnie dwie doby, a w międzyczasie robiłam też sobie kanapki z chipsów i bitej śmietany.

– Ach, pokarm dla szarych komórek. – Megan kieruje wzrok na telefon i przegląda tekst. – Zapowiada się to na lekkie, przyjemne plażowe czytadełko…

Stukam palcem w widniejący w prawym górnym rogu ekranu portret kobiety o surowych rysach, z włosami na pazia i zaciśniętymi ustami.

– Alice Chan to dziekan wydziału psychologii NKU.

– A na jakiej podstawie uważasz, że to o nią chodziło Babci?

– Na takiej. – Wyjmuję telefon z ręki Megan. – Patrz. Ona pisze o różnych dziwnych zjawiskach sennych, dokładnie to miałam przez te wszystkie lata. Hipnopompiczne i hipnagogiczne halucynacje to zasadniczo zwykłe sny, tylko takie, które śnią się, kiedy organizm jest wybudzony. Może to właśnie przydarzyło mi się wtedy na korytarzu i podczas zakończenia roku. W każdym razie doktor Langdon zawsze uważała, że tym właśnie jest Babcia: po prostu nocnym omamem.

Megan zaciska usta.

– Ale to nieprawda. Ona wie zdecydowanie za dużo jak na zwykły pomiot twojej podświadomości… bez urazy.

– Dzięki, że to rozumiesz. Ale chodzi o to, że Alice Chan nie jest terapeutką. To badaczka. Pisze, że te halucynacje to tak naprawdę „nawiedzenia i zjawiska paranormalne". Może ona wie, jak je wywołać. Gdyby mogła sprowadzić Babcię z powrotem… – milknę, a Megan wyciąga rękę między fotelami i ściska moją dłoń.

Chce mnie uspokoić, ale na jej twarzy wyraźnie widać troskę. Nie powinnam jej mówić o ostrzeżeniu Babci. I tak denerwuję się do tego stopnia, że wystarczy za dwie.

– Istnieje jakiś powód, dla którego Babcia kazała mi odszukać tę kobietę – mówię. – Ona może mi pomóc.

Megan zaciska wąskie wargi.

– A dzwoniłaś już do tej wspaniałej doktor Chan?

– Jeszcze nie. Ale zadzwonię, zaraz po ślubie.

Megan krzywi się i wygląda za okno w kierunku mojej platformy. Na bannerze widnieje napis: PAN MATT I PANI MATTOWA KINCAID, otoczony pomarańczowymi i czarnymi serduszkami. Matt stoi na furgonetce w swojej drużynowej kurtce, a pod spodem ma sportową bluzę. Naciągnął kaptur, żeby deszcz nie padał mu na twarz i szyję. Czy można sobie wymarzyć ceremonię ślubną z większą klasą?

– Myślisz, że była już wcześniej jakaś para, która nawet nie była parą, kiedy nominowano ją do tytułu Najbardziej Prawdopodobnego Przyszłego Małżeństwa? – pytam.

– Ludzie są durni – odpowiada Megan.

– Durny to jest ten banner.

– Nawet nie dali twojego imienia, że o nazwisku nie wspomnę?

– Przecież wystarczy mi nazwisko męża – stwierdzam z ironią. – W przeciwieństwie do ciebie, dzierżycielko tytułu Najbardziej Wysportowanej Dziewczyny.

– Fakt – zgadza się Megan.

– Gotowa?

– Owszem – mówi. – Za to ty nie. Widziałam tę suknię ślubną z ciuchlandu, którą załatwiła ci Rachel i reszta komitetu.

– O Boże…

– Zgadza się. Lepiej zacznij się modlić. Przy okazji, co to za cholerny dźwięk?

– To chyba gaźnik.

– Co to jest gaźnik?

– To takie samochodowe urządzenie, które wydaje dziwne dźwięki, kiedy kierowca zamierza wstąpić na pace furgonetki w związek małżeński z nieodpowiednią osobą.

– Ooooo, bingo – zgadza się Megan. A potem dodaje: – Wiesz, że on nadal cię kocha.

– A ja kocham jego. Ale chyba nie w ten sam sposób.

Megan kiwa głową. O, tak to powinno wyglądać. Dwoje pasujących do siebie ludzi powinno się nawzajem rozumieć i sobie ufać. Powinnam była czuć, że mogę powiedzieć Mattowi o Babci i że on by mnie wysłuchał, ale jakoś nigdy nie byłam o tym przekonana, więc nie powiedziałam. Spędzaliśmy ze sobą każdą wolną chwilę, a mimo to ukrywałam przed nim tyle spraw… wszystko, czego by nie zrozumiał. Było mi tym trudniej, że zawsze wydawał się taki idealny, tak niewzruszenie rozsądny i normalny. Kiedy się rozstaliśmy, na pewno się tego nie spodziewał, ale z perspektywy czasu widzę, że od dawna się na to zapowiadało.

Wysiadamy z wozu i biegniemy w deszczu do platform.

– Fajnie, że raczyłyście się pokazać! – krzyczy Rachel przez parking. – Nie, nie przejmujcie się, nic nie szkodzi, że wszyscy czekają na was i mokną.

Zaangażowała się w komitet organizacyjny tylko dlatego, że w przeciwnym wypadku musiałaby chodzić do letniej szkoły (co z kolei stanowiło alternatywę dla wszystkich zaległych odsiadek w kozie), a zachowuje się tak, jakbyśmy zepsuły jej własny ślub.

Opiera rękę na biodrze, a drugą dobitnie wskazuje najpierw moją platformę, a potem Megan.

Idę wzdłuż rzędu furgonetek i kabrioletów w kierunku wiśniowoczerwonego wozu Dereka. Wszyscy uczniowie ostatniego roku zapraszani są do udziału w paradzie, ale na przodzie jadą ci, którzy „wygrali" jakąś kategorię. To tylko kilka kółek dookoła szkoły. Młodsze roczniki oglądają to z okien klas, a potem wszyscy idą do stołówki na śniadanie z naleśnikami. Nic specjalnego, ale zawsze cieszyłam się na udział w tej tradycji. Chyba wszyscy ją lubiliśmy.

– Oto moja piękna oblubienica! – obwieszcza Matt z tyłu furgonetki.

– Cześć – witam go sztywno.

Nie chcę traktować go na dystans, ale to chyba najlepsza strategia, kiedy każą ci stać ze swoim byłym, któremu wolałabyś nie łamać dalej serca, na platformie stanowiącej hołd dla waszego związku, tak jak te dawne napisy z rodzaju „Matt & Nat", wyryte na wszystkich drzewach i wyrysowane we wszystkich toaletach naszego dawnego gimnazjum. Nawet kurtka Matta stanowi świadectwo naszej „wiecznej" miłości: Matt, pierwszy rozgrywający, w wieku dwunastu lat wybrał sobie koszulkę z numerem 4, na moją cześć, bo urodziłam się czwartego kwietnia.

Podaje mi rękę i wciąga na górę. Mój wzrok pada na stertę szkaradnej tafty i koronek, rozłożoną z boku paki.

– Moja suknia ślubna – mówię. – Dokładnie o takiej marzyłam.

Matt śmieje się, podnosi suknię i przekłada mi przez głowę liczne warstwy materiału.

– A ty nie powinieneś się ubrać w smoking albo coś takiego? – burczę, wciskając głowę i ramiona w odpowiednie otwory.

– Rachel dała mi marynarkę – mówi Matt. – Mam ją pod spodem.

– Ale ci dobrze – stwierdzam i nagle czuję zapach czegoś słodkiego. – Czyżbym wyczuwała od ciebie whisky?

Matt spuszcza wzrok, drapie się po karku i patrzy na mnie z ukosa.

– Może.

– Od kiedy to pijasz whisky o ósmej rano?

– Dziwi cię, że nie wiesz? To ciekawe, bo nie zauważyłem, żebyś ostatnio do mnie wydzwaniała.

– W sumie racja – mówię.

Jeszcze zanim ze sobą zerwaliśmy, zaczynało mnie drażnić, że Matt powoli zmieniał się w imprezowicza. Z początku myślałam, że to przez kolegów z drużyny; presja grupy potrafi być tak przytłaczająca, że człowiek zaczyna się zatracać. Ale kiedy zaczął pić coraz bardziej regularnie, wiedziałam, że nie w tym problem.

– Chcesz trochę? – pyta Matt, klepiąc się po kieszeni, w której widać wybrzuszenie w kształcie piersiówki.

– Piersiówka? – upewniam się, a Matt przytakuje. – Przenieśliśmy się w czasy prohibicji?

– Chcesz czy nie?

– Chwilę, właśnie obmyślam jakiś dowcip o tym miasteczku abstynentów z Footloose.

– Natalie – mówi Matt. – Tak czy nie?

– Nie, dzięki – odpowiadam. – Bo jeszcze się potknę podczas mojego kabaretowego numeru i spadnę ze sceny prosto na mafijnego bossa.

Matt znowu się śmieje, po czym chwyta mnie za ramiona.

– Okej, w porządku? Jesteś gotowa?

– Żeby pochwalić się cekinową kiecką przed zgrają bimbrowników?

– Żeby się pobrać – mówi.

– Aha. – Przenoszę wzrok na szkolny budynek z cementu i wyblakłej cegły, potem na przyciętą zieloną trawę i drzewa, na kolumny ciemnych chmur formujące się nad nami. W oddali rozlega się grom i moja używana suknia zaczyna nasiąkać wodą, z każdą chwilą robiąc się coraz cięższa.

I nagle to się powtarza.

Czuję, jak żołądek podjeżdża mi do gardła, jakbym jechała kolejką górską. Matt, Megan, Rachel i pozostali, furgonetka Dereka i w ogóle cała szkoła – wszystko znika.

Jestem sama na polu wśród granatowozielonych wzgórz, stoję w powiewie chłodnego wiatru z włosami i sukienką ociekającymi wodą, a nade mną zaczyna się burza. Znowu rozlega się grzmot, tym razem bliżej, deszcz spływa mi po rzęsach i zaciera widok. Na wzgórzu przede mną, gdzie powinna być szkoła, widzę stado bizonów.

Słyszę, jak przeżuwają trawę, wydając z siebie ciężkie, sapiące odgłosy. Z ich aksamitnych nozdrzy unoszą się kłęby pary. Wielkie łby obracają się podczas jedzenia to w jedną stronę, to w drugą; duże brązowe oczy o niemożliwie długich podwiniętych rzęsach przypatrują mi się, choć zwierzęta chyba nie przejmują się moją obecnością.

I nagle wszystko znika równie szybko, jak się pojawiło.

Żołądek opada mi na miejsce. Przede mną znowu pojawia się szkoła. Bizony rozpływają się jak sen. Na powrót widzę Matta, a pod nogami mam twardą blachę furgonetki. Znowu napływają do mnie dźwięki: koledzy z klasy pokrzykują, śmieją się i rozmawiają, trąbiąc klaksonami i doprowadzając do białej gorączki Rachel, która usiłuje ruszyć z całą paradą.

– PIERDOL SIĘ! – wrzeszczy. – Mówię poważnie, Tony, pierdol się!

– Nat? – pyta Matt. – To był tylko żart. Ja naprawdę nie oczekuję, że się pobierzemy. Wiesz o tym, prawda?

Kiwam głową, nie słuchając.

– No, chyba że byś chciała, bo wtedy…

– Matt… – przerywam, natychmiast wracając do rzeczywistości.

– Nat, nie bądź taka. Nie wymawiaj mojego imienia takim tonem, jakbyś miała mi do obwieszczenia coś strasznego. To był tylko żart.

– Zależy mi na tobie – mówię. – Jesteś dobrym człowiekiem.

– Ale… – ciągnie Matt głosem bez wyrazu.

Ale wciąż nie mogę się pozbierać po tym, jak przed sekundą zniknąłeś.Ale jestem za bardzo zajęta próbami zrozumienia, co się ze mną dzieje, żeby poświęcać czas na odgrzewanie tego tematu.

Ale martwię się, że zakochałam się w tobie tylko dlatego, że dawałeś mi poczucie normalności, w takim sensie, w jakim rozumie się tutaj to słowo.

Ale wciąż próbujesz na powrót zmienić mnie w tę Natalie, w której się zakochałeś,

tę, która rozpaczliwie chciała być typową królową szkoły, a nie dziewczyną z dwiema matkami, dwoma ojcami i dwoma narodami.

– Ale chociażby to, że wyjeżdżam do Rhode Island – mówię wreszcie.

– Czemu musisz jechać właśnie tam? – pyta.

– Nie wiem. Może po prostu nie mogę zostać w Kentucky.

Matt śmieje się cierpko.

– Bo co, najpierw musisz sprawdzić, czy nie zdołasz sobie przygruchać kogoś lepszego?

– Matt, nie idę na studia, żeby znaleźć chłopaka. Chcę się dowiedzieć, kim jestem i co chciałabym robić. Czemu tobie wolno się nad tym zastanawiać, a mnie nie?

– No tak, jasne, jestem szowinistą. Zapomniałem – odgryza się.

– Przepraszam, ale nie przypominam sobie, żebyś proponował, że sam pojedziesz ze mną na studia w Rhode Island! – krzyczę. – Jesteś przekonany, że dokładnie wiesz, jak powinno się potoczyć twoje idealne życie. Nawet nie zauważyłeś, że ja tego nie chcę i że nie jestem dziewczyną, której ci potrzeba. Lubisz mnie pomimo tych rzeczy, na których mi właśnie najbardziej zależy; masz pojęcie, jakie to dla mnie uczucie?

Przez chwilę milczymy i wpatrujemy się w siebie. Zastanawiam się, czy którekolwiek z nas jest jeszcze w stanie naprawdę zobaczyć to drugie, czy też oboje widzimy jedynie zastygłe obrazy osób, którymi byliśmy dawniej. Tylko tak potrafię wyjaśnić, dlaczego Matt nadal chce ze mną być, choć w niczym się już nie zgadzamy.

Rachel i Tony zakończyli sprzeczkę i pierwsza furgonetka szarpie nagle do przodu, ku uciesze wszystkich z wyjątkiem nas.

Pozostali wiwatują i krzyczą, pokazując środkowe palce młodszym kolegom z drużyny i wyznając miłość patrzącej z dezaprobatą pani Perez, a ja widzę, jak Matt odwraca się ode mnie w kierunku miejsca, gdzie jeszcze kilka minut temu widziałam pasące się bizony.

Jest mi zimno i czuję się samotna, w dodatku nadal mam przed sobą układankę, której elementy nie chcą ułożyć się w całość.

Bizony i nieoświetlone korytarze, tajemniczy chłopcy na boisku i opowieści Babci. Ostrzeżenie i odmierzany czas. Bolesna pustka w moim brzuchu. Co Babcia próbuje mi powiedzieć?

6

O ósmej wieczorem we wtorek przyjeżdżamy do szkoły w piżamach. Meldujemy się przy głównym wejściu, gdzie pan Jackson, pan Delvin z policji i kilkoro rodziców sprawdzają nam torby i podpisane pozwolenia, po czym kierują nas na dół do stołówki, gdzie czeka pizza i napoje.

O dziesiątej puszczają w sali gimnastycznej jakiś romantyczny film. Jakby specjalnie chcieli doprowadzić do tego, by jakaś wrażliwa, rozemocjonowana nastolatka w przypływie smutku, że opuszcza szkołę, dała się zapłodnić w toalecie – no ale przecież film jest od lat trzynastu, a my kończymy już liceum! Spędzam te dwie godziny tak jak ostatnie kilka dni: z przygnębieniem czekając na maila albo telefon od doktor Alice Chan.

Po filmie wracamy do stołówki po kolejny zastrzyk cukru w postaci bufetu z lodami. Kiedy stoimy w kolejce, Megan trąca mnie ręką i wskazuje stolik w rogu, gdzie Matt i Rachel czekają, aż Derek przyniesie im przepustki do toalety. Cała trójka należy do koterii, która najwyraźniej zdołała przemycić za dużo maleńkich buteleczek z tequilą. W miarę jak członkowie drużyny futbolowej i ich dziewczyny zaczynają padać jak muchy w starciu z alkoholem, przepustki do ubikacji stają się chodliwym towarem.

Rachel opiera się bezwładnie o ramię Matta. Usta ma otwarte i głowa jej opada. Co kilka sekund przysypia. Matt patrzy mi w oczy szklanym wzrokiem i widzę, że też nie wygląda za dobrze.

– W końcu będziesz musiała z nim porozmawiać – mówi Megan, jakby czytając w moich myślach.

– Wiem – odpowiadam.

Od kłótni na paradzie nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa – to chyba najdłuższy czas, jaki kiedykolwiek ze sobą nie rozmawialiśmy. Czuję, jakby ktoś zawiązał mi płuca w węzeł. Nawet kiedy nie myślę o Matcie, moje ciało wie, że coś jest nie w porządku. Zawsze starałam się unikać takich sytuacji – zerwałam z Mattem między innymi po to, by nie dopuścić do tego, żebyśmy się znienawidzili. A teraz czuję, jakbyśmy balansowali na tej granicy.

– Lepiej wcześniej niż później – mówi Megan.

– Może.

– Najlepiej byłoby przed sobotnim wieczorem.

– Uch, jego urodziny… – stękam, nagle sobie przypominając. – Tak sobie myślałam, czy tego nie olać i nie zrobić w zamian czegoś fajnego. Na przykład powycierać kurze w domu.

– Nat – mówi łagodnie Megan. – Za szesnaście dni wyjeżdżam na szkolenie w Georgetown. Nie chcę, żebyś całe lato spędziła sama.

– Jak śmiesz inicjować odliczanie? – oburzam się. – Ja tu się staram, jak mogę, żeby zapomnieć, że zaraz się rozstajemy.

Megan marszczy brwi i mnie ściska.

– Ja też.

– Może mogłybyśmy na zawsze o tym zapomnieć? – podsuwam.

– Raczej trudno mi będzie ignorować tę Natokształtną dziurę, która zrobi mi się w sercu, gdy przestanę cię codziennie widywać – mówi Megan.

– Nie, mam na myśli to, żebyśmy po prostu zapomniały o studiach i wyniosły się gdzieś razem.

– W porządku – mówi Megan, odsuwając się. – Fajny plan. Nie jedziemy na studia.

O pierwszej w nocy chłopcy zostają odesłani ze śpiworami do sali gimnastycznej, a dziewczyny do biblioteki. Przyzwoitki czuwające nad obiema grupami sprawdzają dokładnie obecność i zamykają nas w środku. Z początku pomieszczenie rozbrzmiewa gwarem rozmów i śmiechu, ale wkrótce zaczynamy mówić szeptem i chichotać przyciszonymi głosami, aż w końcu rozlega się chór głębokich, miarowych oddechów. Ostatnie niedobitki zasypiają po kolei i tylko ja leżę, nie śpiąc, i patrzę w sufit.

Dzisiaj upływa pełne siedem dni, od kiedy ostatni raz widziałam Babcię. To znaczy, że pozostał mi o jeden tydzień mniej na ocalenie tego kogoś, kto jest w niebezpieczeństwie, a nie dostałam nawet automatycznego powiadomienia o nieobecności z biura doktor Alice Chan. Całą noc przewracam się z boku na bok, zamartwiając się o Babcię i zastanawiając, gdzie zniknęła, o kogo może chodzić w jej ostrzeżeniu i jak będzie wyglądać życie bez Megan i Matta, a nawet Rachel i Dereka, a także wszystkich, których znam.

Wreszcie, całe godziny po tym, jak ostatnia osoba zaczęła oddychać głęboko i miarowo, czuję, że zapadam w sen, a mój umysł odsuwa się od wszystkiego, co mroczne i niepokojące, w stronę tego, co ciepłe i cudowne. Przypominam sobie tamten wieczór na boisku z Beau i wszystkie poprzednie wieczory, które tam spędziłam, kiedy tłum drżał z podniecenia, głosy chrypły od krzyków na wietrze, a słońce zsuwało się za horyzont i na jego miejsce po drugiej stronie nieba wsuwały się gwiazdy.

Widzę fioletowy zmierzch, słyszę zagrzewające do boju okrzyki punktowane gwizdami fanatycznych rodziców, czuję energię par zakochujących się w sobie, w boisku pełnym komarów i świetlików, w samej nocy.

Już niemal śpię, leżę płasko na plecach, kiedy nagle żołądek podnosi mi się do gardła i znowu cały świat się zmienia. Ściany, regały i sufit znikają, pozostawiając tylko bezmiar nocnego nieba.

Siadam prosto i wbijam wzrok w granat i błyszczące gwiazdy w górze. Rozglądam się i odkrywam, że jestem sama na trawiastym pagórku otoczonym lasem. Wiem, gdzie powinien być parking, gdzie za cienką linią drzew powinno zaczynać się pole golfowe, ale w tym miejscu nie istnieje ani jedno, ani drugie. Zamiast tego u podnóża pagórka widzę kilka bizonów wyciągniętych w trawie, śpiących z przymkniętymi powiekami. Niektóre leżą w parach tak, że ich ogromne łby spoczywają jeden na drugim; inne śpią same kawałek dalej. Słyszę swój śmiech.

Brzmi to trochę tak, jakby ktoś mnie dusił, pewnie dlatego, że w płucach zabrakło mi powietrza. Wstaję i obracam się w miejscu, przepełniona jednocześnie strachem i podziwem. Żołądek mi się uspokaja i, ot tak, biblioteka wraca na miejsce, jakby tamto przed chwilą nigdy się nie wydarzyło. Tylko że teraz jestem w niej sama. Dziewczyny zniknęły. Podobnie jak opiekunki, śpiwory i wszystkie torby z wyjątkiem mojej.

– Co się ze mną dzieje? – szepczę do pustego pomieszczenia.

Zegar nad drzwiami wskazuje czwartą trzydzieści cztery. W bibliotece jest zbyt ciemno, zbyt cicho. To już wolę śpiące bizony. Przez kilka minut po prostu obracam się dookoła, czekając, aż wszystko wróci na miejsce. Wreszcie jednak zaczynam się za bardzo denerwować, żeby spokojnie siedzieć i czekać. Muszę się zastanowić. Muszę zrozumieć, co się dzieje. Chwytam torbę i przekopuję się przez jej zawartość. Megan chciała wybrać się koło szóstej rano na jogging, więc zabrałam sportowy stanik, szorty i buty do biegania, na wypadek gdyby jakimś cudem udało jej się mnie przekonać, żebym tak wcześnie wstała. Porządny sen to dla mnie taka rzadkość, że kiedy już się trafi, nic go nie przebije. A już na pewno nie poranne ćwiczenia.

Ubieram się jak najszybciej, cały czas zdając sobie sprawę, że cały budynek może bez ostrzeżenia zniknąć albo na powrót mogą się w nim pojawić ludzie. Wymykam się na pusty korytarz i zaczynam się błąkać. Moje kroki rozchodzą się echem. Główne drzwi są zamknięte od środka, ale nigdzie nie widać funkcjonariusza Delvina, a kiedy wysilam oczy w ciemnościach, widzę, że i na parkingu panują pustki. Wypuszczam się na zewnątrz, blokuję drzwi, żeby się nie zatrzasnęły, i idąc po asfalcie, związuję włosy w kucyk. Na skraju parkingu zaczynam biec truchtem po chodniku, skręcam w stronę boiska i szatni sportowej. Z rozpędu mijam je i dobiegam do skrzyżowania. Nie wiem, dokąd biegnę – czy zamierzam przebiec sześć mil do domu, czy zawrócić do szkoły – ale ruch fizyczny zawsze pozwala mi się trochę uspokoić i rozjaśnia w głowie.

Kiedyś umożliwiał mi to taniec: w nim mogłam zwyczajnie być sobą, a wszystko inne po prostu odpływało. Dla wielu dziewczyn w zespole liczyły się tylko występy, ale mi zawsze chodziło o komunikację. Wiem, że teoretycznie byłam za mała, aby pamiętać te wybuchy złości, o których wspominał kilka dni temu tata, ale mimo to je pamiętam. Pamiętam uczucie, jakby coś dławiło mi gardło. Pamiętam emocje tak wielkie i nienazywalne, że mogłam tylko płakać, a czasem krzyczeć. Najdrobniejsza rzecz mogła je przywołać, cokolwiek, co uznałam za niesprawiedliwe albo niebezpieczne. Pamiętam, że kiedy nieco podrosłam, walczyłam, by utrzymać te nieokreślone emocje w sobie, ale czasem czułam się tak bezsilna i sfrustrowana, że nocą płakałam w poduszkę. Pamiętam też, jak poszłam na pierwszą lekcję tańca, warsztaty baletowe dla przedszkolaków, i jak wszystko się zmieniło.

Co tydzień przez godzinę dreptałam w czarnym trykocie z falbanką i w różowych rajtuzach, skakałam po podłodze, wykonując wstępne *chassés*, i wirowałam w przygotowaniu do *chaînés*. Naśladowałyśmy zwierzęta, rosnące drzewa i spadające z gałęzi liście, udawałyśmy, że trzymamy w rękach piłki plażowe albo pływamy. Nadymałyśmy się jak najbardziej, a potem starałyśmy się stać jak najmniejsze.

Ale przede wszystkim pamiętam ogromną fizyczną ulgę, jaką czułam, kiedy po pierwszej lekcji wsiadłam do samochodu i padłam na fotel. Tak jakby rzeczy, których nie potrafiłam nazwać, zdołały wreszcie wydostać się na zewnątrz i mogłam się rozluźnić. Teraz mogłam się cieszyć ciepłą, serdeczną ciszą panującą między mną a mamą.

Najbardziej w tych zajęciach, i w ogóle w tańcu, lubiłam chyba to, jak różnie mogą wyglądać te same ruchy wykonywane przez inne osoby. Kiedy w liceum zapisałam się do zespołu tanecznego, nauczyłam się manipulować swoimi naturalnymi odruchami tak, by dokładnie dopasować się do pozostałych dziewczyn, ale kiedy straciłam Babcię,

ta zdolność wtapiania się w tło zaczęła przyprawiać mnie o mdłości. Miałam wrażenie, jakby chodziło bardziej o ukrycie się niż synchronizację.

Biegnąc, przedzieram się przez mgłę wspomnień znów w duszny upał i wciąż ciemny poranek. Skręcam w prawo wzdłuż białego płotu otaczającego tereny należące do rodziny Matta i zaczynam biec szybciej. Moje kończyny się rozluźniają, mięśnie rozgrzewają, tętno przyspiesza, a umysł przenosi się w to cudowne miejsce, gdzie panuje milczący spokój, jaki daje wysiłek fizyczny. Jakimś cudem udaje mi się ominąć ten straszny środkowy etap, kiedy płuca niemal wrzeszczą, a umysł powtarza w kółko „nienawidzę tego, to jest okropne, nienawidzę tego", i nurkuję prosto w nirwanę, gdzie moje ciało oblewa się potem. Nie przeszkadzają mi gęste chmary komarów unoszące się nad trawą wokół moich kostek. Czuję uniesienie na widok maleńkiego jak paznokieć okrawka słońca wschodzącego za wzgórzami.

Biegnę przez falujące pola z powrotem w kierunku dużej farmy Kincaidów i sąsiadującego z nią byle jakiego domku na wynajem, po czym skręcam i kiedy słońce wyłania się powoli zza drzew, zaczynam wspinać się z powrotem w kierunku stadionu i bieżni. Brama jest zamknięta, ale z łatwością przełażę przez druciane ogrodzenie i schodzę z trybun w kierunku płyty boiska. Cały świat – mój świat – obmywa różane światło. Tylko że teraz to miejsce nie należy tylko do mnie. Ktoś inny już tam jest i biega po bieżni.

Wychylam się przez poręcz i patrzę na chłopca biegnącego wokół boiska. Jest wysoki i mocno zbudowany, ale też szybki – na pewno gra w futbol, pewnie na pozycji biegacza. Po przeciwnej stronie boiska zawraca razem z bieżnią i mimowolnie się uśmiecham, kiedy wreszcie mnie zauważa.

– Co ty tu robisz? Zapocisz mi całą bieżnię! – krzyczę do niego.

Zatrzymuje się przede mną i opiera ręce na biodrach, próbując złapać oddech.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Natalie Cleary.

– Mieszkasz w okolicy? – pytam.

Beau podchodzi do trybuny i wyciąga ręce do góry, chwytając się siatki, która nas oddziela. Jego biała koszulka jest znoszona i straszliwie poplamiona błotem i trawą. Rękawki są odcięte i po obu stronach pod pachami widać długie paski opalonej skóry.

– Niezbyt daleko – mówi. – A ty?

– Tuż za Wetherington – odpowiadam.

Kiwa głową, ale milczy. Jego uśmiech wytrąca mnie z równowagi. Trącam siatkę stopą.

– Co ma oznaczać ta mina? – pytam.

– Nic – mówi. – Fajne są tam domy.

– No i?

Ogląda się na boisko. Intensywnie żółte wschodzące słońce błyszczy w jego orzechowych oczach i farbuje koniuszki włosów karmelowymi pasemkami.

– Fajne ubranie. Założę się, że masz fajną rodzinę.

Przez głowę przemyka mi myśl, że moim życiowym powołaniem jest chyba umożliwianie Beau używania słowa „fajny" najczęściej, jak się da.

– Rzeczywiście jest fajna – mówię.

Szary sportowy stanik ze skomplikowanymi ramiączkami i odprowadzające wilgoć szorty do biegania to pewnie najlepsze ubrania, jakie posiadam. Mama uważa, że strój do ćwiczeń jest rzeczą świętą, więc nieustannie wyrzuca moje stare poplamione ciuchy i zastępuje je nowymi.

– A ty? Grasz na fortepianie jak Mozart. Założę się, że twoja rodzina też jest w porządku.

Beau puszcza siatkę, idzie do schodów i podchodzi do mnie. Kiedy opiera się o barierkę, jego ramię ląduje tuż obok mojego i pilnuję, by nawet nie drgnąć, żeby się nie odsunął. Chciałabym tu tak zostać, stykając się z nim skórą.

– Mieszkam z bratem, Masonem, i czasem z mamą – mówi. – Kiedy byłem mały, zmuszała mnie do brania lekcji, bo chciała chodzić z nauczycielem. A teraz, kiedy mam ochotę pograć, przychodzę do liceum.

– Rozumiem.

– To który z tamtych dwóch z sali muzycznej jest twoim chłopakiem? – pyta Beau.

– Żaden. – Czuję, że coraz mocniej się rumienię, a kiedy już bardziej nie mogę i mam wrażenie, że głowa stoi mi w ogniu, dodaję: – Nie mam chłopaka. – Ryzykuję i spoglądam na niego. Patrzy na boisko, ale kąciki jego ust się unoszą i podoba mi się sposób, w jaki powieki mrużą mu się w uśmiechu.

– To teraz już wiem, dlaczego nawiedzasz salkę muzyczną – mówię, przełamując napięte milczenie. – Ale czemu biegasz po naszej bieżni?

– Naszej? – pyta. – Myślałem, że to twoja bieżnia.

– Lubię się dzielić z innymi, zwłaszcza tym, z czego nie znoszę korzystać.

Beau przesuwa po mnie spojrzeniem.

– A mimo to tu przyszłaś.

– No – potwierdzam, bo gdybym wyznała, że widziałam go w wizji, mogłabym go nieco odstraszyć.

Beau odgarnia włosy z twarzy.

– Chciałabyś do mnie wpaść?

– Co… teraz?

Wzrusza ramionami.

– Kiedy chcesz. Teraz. Mamy płatki śniadaniowe.

Śmieję się.

– A mleko? Mleko też macie?

– Mason normalnie dodaje piwo, ale jasne, jak chcesz mleko, to załatwię mleko. Mieszkamy niedaleko stacji benzynowej.

– A wiesz co? Spróbowałabym z piwem – stwierdzam.

– Więc chcesz? – pyta. – To znaczy chcesz wpaść?

– Nie mogę teraz. – Macham ręką w kierunku szkoły. Beau kiwa głową, a ja dodaję pospiesznie: – Ale mogłabym zajrzeć kiedy indziej, w ciągu dnia.

– Jasne.

– Masz telefon? Dałabym ci mój numer.

Beau maca się po kieszeniach spodni.

– Nie mam.

Dopiero wtedy przypominam sobie, że sama też zostawiłam telefon w szkole, choć pamiętałam o gazie pieprzowym, który mama przyczepiła mi do kluczy i który – nagle przypominam to sobie ze skrępowaniem – wisi mi z bransoletki na nadgarstku.

– W takim razie możesz mnie wyszukać w internecie – proponuję bezradnie.

– Jasne.

– Albo możemy się znowu spotkać tutaj.

– Na twojej bieżni – podpowiada.

– No właśnie.

– Z której nigdy nie korzystasz.

– To małe miasto – mówię. – Na pewno łatwo się znaleźć, prawda? – Cichy głosik w mojej głowie zauważa jednak, że do poprzedniego tygodnia jakoś nigdy na niego nie wpadłam.

– Znajdę cię – mówi Beau.

– Mam nadzieję. – Odwracam się i odchodzę.

Serce bije mi mocno, a jednocześnie czuję w mięśniach podbrzusza napięcie po biegu.

Kiedy wracam na parking, wciąż jest pusty, ale przez mgnienie oka na asfalcie migają mi kolory i kształty samochodów. Stoję i patrzę, dopóki nie powtarza się to jeszcze raz i trwa aż trzy sekundy. To wygląda na dobry znak, więc wchodzę do środka. O ile mogę się zorientować, szkoła nadal jest pusta, ale po rozmowie z Beau nie wydaje się tak upiorna jak przed biegiem i nie czuję już takiego niepokoju. Być może się mylę, ale jestem przekonana, że świat na pewno wróci wkrótce do normy, tak jak wracał za każdym razem przez cały tydzień. Idę do przebieralni i opłukuję się szybko, po czym wracam do biblioteki, modląc się, by udało mi się wejść bez problemu.

Kiedy docieram na miejsce, wszystko wygląda dokładnie tak samo, jak kiedy wychodziłam: wszędzie panuje pustka, nie licząc regałów i jednego samotnego śpiwora i torby. Zegar na ścianie wskazuje szóstą jeden, a że nie mam pojęcia, co innego mogłabym zrobić, wsuwam się do śpiwora i kładę, patrząc i czekając, aż świat wróci do normy.

W następnej chwili czuję, jak ktoś budzi mnie potrząsaniem. Uchylam powieki i widzę przed sobą okrągłe, błękitne oczy i jasne, proste włosy.

– Chcesz najpierw dobrą wiadomość czy złą? – pyta Megan.

– Złą – chrypię.

– Zła kolejność. W każdym razie dobre wieści są takie, że świetnie cię znam, więc nawet nie próbowałam cię budzić na bieganie. Nie ma za co.

– Dzięki – mówię, choć mój mózg nadal usiłuje uporać się z mglistą świadomością, że przecież już biegałam.

– A złe wieści są takie, że musisz natychmiast wstawać, bo śniadanie zaczęło się dziesięć minut temu. Oczywiście wszystko ocieka tłuszczem i oczywiście wszyscy mają gigantycznego kaca, więc obsiedli żarcie jak muchy.

– Rachel wyje mi cały boczek – jęczę, pocierając twarz.

– To by była tragedia, więc wstawaj.

– Wychodziłam – mówię.

– Co masz na myśli?

– No, że znowu mi się to zdarzyło. Najpierw szkoła zniknęła, a ja leżałam na polu. Potem szkoła wróciła, ale nikogo w niej nie było, więc wyszłam na zewnątrz. Poszłam pobiegać i widziałam na stadionie Beau.

– Boże. Natalie Cleary śni się ktoś, kto nie jest Mattem Kincaidem. Chyba pęknę z radości.

Kręcę głową.

– To nie był sen. Beau był stuprocentowo prawdziwy. A reszta… to było tak jak wcześniej, jak wtedy, kiedy przychodzi do mnie Babcia. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Strasznie to dziwne. – Megan siada obok mnie. – No to… doszło do czegoś? No wiesz, z Beau.

– Zaprosił mnie do siebie.

– W jaki sposób?

– A istnieją różne sposoby, w jakie można kogoś zaprosić?

– Niezliczone – zapewnia mnie Megan.

– W sensie… przez drzwi frontowe, drzwi kuchenne, okno sypialni itepe?

– Czasami – potwierdza. – To jak, jest mięta?

Chowam twarz w dłoniach, bo doskonale wiem, co ma na myśli, i znam odpowiedź, ale nie chcę jej wypowiadać.

– Błagam, nie każ mi tego mówić na głos.

Megan chichocze i kładzie się przy mnie.

– Jak on wygląda? – pyta.

– No… bicepsy ma jak moja głowa, jego oczy wyglądają jak lato, ma dwa małe piegi po jednej stronie nosa i usta, które wyglądają raz jak u nieśmiałego dzieciaka, a zaraz potem jak u greckiego bóstwa. Nie można się skarżyć.

– Boże – wzdycha Megan. – Taka jestem podekscytowana, że cała się trzęsę. Czuję się zupełnie tak, jakby chodziło o mnie samą. Skąd on pochodzi?

– Nie mam pojęcia – mówię.

– Będziesz się z nim całować – stwierdza domyślnie Megan.

Przetaczam się i chowam twarz w poduszce.

– Może właśnie zapeszyłaś! – jęczę.

– Nie ma mowy. Za bardzo cię kocham. Moja psychiczna energia zwyczajnie nie byłaby w stanie cię skrzywdzić. Jeśli już, to raczej mentalnie wywołam macanko.

– Hej, a może chciałabyś skomentować jakoś fakt, że cały budynek i liczni zgromadzeni w nim ludzie zniknęli na moich oczach? – pytam. – Ale nie, to cię chyba nie interesuje.

– Wręcz przeciwnie – mówi Megan. – Co prawda nieco mniej niż twoje niezrównanie miękkie i wrażliwe serduszko otwierające się właśnie niczym kwiat przed Beau, ale owszem, interesuje. – Jej uśmiech blednie i Megan ściska moją rękę. – Wiesz, lubię sobie wyobrażać, że jestem swego rodzaju ekspertem od mojej najlepszej przyjaciółki, ale prawda jest taka, że nie mam pojęcia, jak ci w tym wszystkim pomóc. Więc powiedz mi, dobrze? Powiedz mi, czego od mnie potrzebujesz, i mów to za każdym razem, kiedy będziesz tego potrzebować, a ja to zrobię.

Również ściskam jej dłoń i przełykam ślinę przez ściśnięte gardło.

– Jesteś najlepsza – mówię. – Ale ja sama nie wiem, czego potrzebuję.

Jednak zanim ostatnie wydarzenie Tygodnia Absolwentów, czyli Pożegnanie, dobiega końca i wszyscy przechodzimy korytarzami szkoły, żegnając się i ściskając nauczycieli i kolegów z młodszych klas, wiem już, co mi pozostało.

– Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym z tobą pojechała? – pyta Megan, kiedy idziemy do samochodów. – Mogłabym dopilnować, żeby doktor Chan nie wzięła cię za czubka.

– Świetny pomysł. Zabiorę koleżankę na nieumówione spotkanie z psychologiem. Najlepiej na samym wstępie zapowiedz: „Ona nie jest czubkiem!”. To od razu rozwieje wątpliwości.

– Mogę poczekać w samochodzie.

– Nie, możesz poczekać w Steak’n Shake z drużyną futbolową, czyli zrobić dokładnie to, co zamierzałaś, zanim ci o wszystkim powiedziałam.

Megan wzdycha.

– Zadzwoń po waszej Specjalnej Kolacji Klanu Cleary na Cześć Zakończenia Szkoły i daj znać, jak poszło, okej?

– Jasne. Albo może zadzwonię jeszcze z kozetki doktor Chan. Jeśli zacznie podważać moje zdrowie psychiczne, zażądam konsultacji telefonicznej z tobą.

– Super. Włączę na głośnomówiący, żeby cała drużyna słyszała. Mogą głosować, czy jesteś szurnięta, czy nie.

– Doskonale. Wielkie dzięki.

Obejmujemy się na pożegnanie i wsiadamy do samochodów. Po kilku minutach jestem już na wschodniej autostradzie numer 275, szerokiej i przeważnie pustawej drodze, która wiedzie z przedmieścia poprzez porośniętą krzakami dolinę, punktowaną czasem miasteczkami jeszcze mniejszymi i spokojniejszymi niż Union, praktycznie aż

na samą uczelnię. Byłam tam już kilka razy na meczach znajomych i imprezach znajomych znajomych, ale kiedy dojeżdżam do kampusu, przez jakiś czas krążę bezradnie, nim udaje mi się znaleźć budynek wydziału psychologii: wielki, szarobrązowy betonowy blok z małymi okienkami pogrupowanymi w pary. Przypominają mi otwory na monety w automatach do gry. Dach jest koloru wyblakłej czerwieni i pnie się w górę ponad trzema wąskimi wieżyczkami rozdzielającymi oba skrzydła. Parking jest prawie pusty, więc wybieram miejsce w pobliżu wejścia i wkradam się do środka.

Budynek jest staromodny i źle oświetlony, ale chłodny. Odnajduję tabliczkę z nazwiskiem doktor Chan na drzwiach z pożółkłego drewna w końcu wąskiego korytarza. Drzwi są uchylone, ale mimo to pukam.

Kiedy nie słychać odpowiedzi, popycham je, a one skrzypią w zawiasach. Mały gabinet jest zapchany do granic możliwości. Między dwoma regałami upchnięto czekoladowobrązowe biurko i białą tablicę, pomiędzy biurkiem a oknem z tyłu ledwo mieści się biurowy fotel. Okno wychodzi na długi pożółkły trawnik i mały błękitny staw. Po mojej stronie stoi dodatkowe krzesło i mała kanapa, jedno i drugie zasypane stertami pękatych segregatorów, luźnych papierów i książek.

– Mogę w czymś pomóc? – pyta ktoś za mną, więc obracam się na pięcie i widzę w drzwiach doktor Chan.

Ma włosy obcięte na równego, krótkiego pazia i nos lekko upstrzony piegami. Prawie jej nie poznaję bez makijażu i żakietu o sztywnym kroju, w którym była na zdjęciu. Wydaje się jakieś dwadzieścia lat młodsza niż surowa kobieta w średnim wieku, której się spodziewałam – właściwie za młoda jak na osobę, która ma dzierżyć klucz do odkrycia tajemnic Babci.

– Mam taką nadzieję.

Doktor Chan siedzi na krześle po mojej stronie biurka, przeżuwając koniec długopisu, jakby pogrążona w myślach. Sterty przełożonych na podłogę dokumentów otaczają jej kostki jak łaszące się szczeniaki; ja tymczasem usadziłam się w kącie zawalonej papierami czarnej kanapy i opowiadam historię swojego życia – życia z Babcią.

– Fascynujące – mówi doktor Chan, nachylając się i przekopując przez stos notatników na podłodze. Wybiera jeden i przerzuca kartki w poszukiwaniu czystej strony. – Nigdy jeszcze nie słyszałam, by ktoś miewał tak długie konwersacje z Nimi, to jest z Innymi. A już na pewno nie słyszałam, by komuś zdarzyła się całkowita zmiana scenerii. – Rozpisuje długopis na kartce.

– Więc jest ich więcej niż ci, których widziałam? – pytam niepewnie. – Kim oni są? Duchami?

Doktor Chan śmieje się i rozkłada ręce.

– Jak dotąd nie mamy zielonego pojęcia.

– No, a czy pani któregoś z nich widziała? – pytam. – Zna pani Babcię?

– Nie – odpowiada doktor Chan. – Ale widziałam Innych, kiedy byłam dzieckiem. Ta czarna sfera, którą opisałaś, jest bardzo typowa u takich osób jak my. Nazywam ją „Otwarciem". Myślę, że tym mniej więcej jest: początkiem spotkań z Innymi. Mogę to nazywać, jak mi się podoba, bo nikt inny nie chce ruszać tematu. W każdym razie nie

w mojej dziedzinie. Tak czy inaczej, jest Otwarcie i jest też coś, co nazywam Zamknięciem, czyli jego przeciwieństwo.

– Więc to się kiedyś kończy?

Doktor Chan kiwa głową w tył i w przód.

– Dla mnie się skończyło. Dla ciebie? Nie mam pojęcia. Badania nad tymi zjawiskami dopiero się rozpoczęły. Aż żal mnie ściska, gdy pomyślę, ile czasu minie od mojej śmierci do momentu, kiedy ktoś to wreszcie rozgryzie. Ale… no cóż, opisałaś kilka bardzo niespotykanych szczegółów. – Nachyla się, opierając łokciami o kolana, i bębni w usta palcami o poogryzanych paznokciach. – No dobrze, więc normalnie ludzie, którzy miewają takie doświadczenia, należą do typów wrażliwych: zwykle lokują się gdzieś pomiędzy INFJ a ENFJ.

– Nie nadążam – mówię.

– To różne typy osobowości – wyjaśnia. – Według Wskaźnika Typu Osobowości Myersa-Briggsa, robiłaś kiedyś ten test? Wiesz, gdzie się lokujesz na spektrum?

– Moja mama ma obsesję na punkcie takich rzeczy, a ja staram się unikać wszystkiego, co mogłaby wykorzystać do śniadaniowej psychoanalizy.

Doktor Chan macha nonszalancko ręką.

– „I” oznacza introwertyków: to osoby, które ładują akumulatory w samotności. Jego przeciwieństwem jest „E”, czyli ekstrawertycy: osoby, które czerpią energię z towarzystwa innych. „N” oznacza intuicję, czyli że kierujesz się raczej wewnętrznymi odczuciami albo nagłymi przebłyskami świadomości, a nie konkretnymi, dającymi się zaobserwować faktami. „F”, uczucia, wskazuje ludzi, którzy podejmują decyzje raczej na podstawie emocji niż analizy. To ważna cecha, ale tak samo ważne jest „J”, czyli umiejętność osądzania. Osoba posiadająca tę właściwość lubi wiedzieć, czego ma się spodziewać, pracuje według grafiku albo listy i woli zawczasu wszystko zaplanować niż zdać się na improwizację. Kombinacja intuicji, uczucia i osądu tworzy osobowość wrażliwą, ale systematyczną. Tacy ludzie wytyczają sobie pewne ramy i mają wobec siebie wysokie oczekiwania, co w typach intuicyjnych i uczuciowych jest rzadsze. Już samo w sobie stanowi to dziwną mieszankę cech, a gdy dorzucić do tego jakiś uraz psychiczny… Bum! Otrzymujemy osobę ze skłonnościami do kreatywnego i symbolicznego trybu myślenia, czyli do śnienia na jawie, do tego ze specyficznym zestawem czynników wywołujących stres oraz sposobów, w jaki reagują na napięcie. Zazwyczaj manifestuje się to po prostu jako krótkie przebłyski. Zazwyczaj, ale nie w twoim przypadku. Innymi słowy, ty, Natalie Cleary, jesteś superotwarta. Jesteś jak supermarket podczas wyprzedaży.

– Ale otwarta na co? – pytam.

– Na to właśnie pytanie spróbujemy sobie wspólnie odpowiedzieć. Więc ta twoja Babcia kazała ci do mnie przyjść… Masz jakiś pomysł, dlaczego?

– Miałam nadzieję, że pani będzie wiedziała – odpowiadam. – Myślałam, że może… że przychodziła też do pani, stąd wiedziała, że pani będzie mogła mi pomóc sprowadzić ją z powrotem. Może pani to zrobić?

– Prawdopodobnie nie – odpowiada doktor Chan. – Właściwie ta ostatnia wizyta mogła być twoim Zamknięciem.

– Ale w takim razie co z tym, co wydarzyło się w szkole i na stadionie, kiedy wszyscy

zniknęli?

Doktor Chan znowu kiwa głową w tył i w przód, jakby ważyła w myślach jakieś argumenty.

– No dobrze, druga teoria: twoje Zamknięcie ma nastąpić za trzy miesiące. Babcia wie, że coś się wydarzy, może w międzyczasie, a może na sam koniec, w każdym razie masz tylko trzy miesiące, żeby zebrać informacje i się przygotować.

– Więc myśli pani, że to ona zsyła mi te wizje? – Kręcę głową. – Czemu zwyczajnie mi nie powie, co się dzieje?

– Kto wie? Ale pomyśl o wszystkich religiach na świecie: zawsze jest w nich miejsce na wizje i proroctwa, choć zapewne bóstwa mogłyby załatwić to wszystko o wiele prościej.

– Pani doktor, proszę posłuchać – mówię. – Doceniam te teorie, ale naprawdę sądzę, że najlepiej byłoby sprowadzić Babcię z powrotem, żeby sama wszystko wyjaśniła.

Doktor Chan kiwa energicznie głową.

– Mów mi Alice – proponuje. – I wierz, bardzo bym chciała ją tu sprowadzić. Zastanówmy się więc. Przechodziłaś terapię EMDR. Opowiedz mi o tym; jakim wspomnieniem się posłużyłaś?

Niespodziewanie czuję się naga, wręcz przejrzysta. Niechętnie zaczynam opowiadać:

– Moja biologiczna matka pojawiła się, kiedy miałam trzy lata – mówię. – Siedziałam na łóżku mamy, podczas gdy ona suszyła w łazience włosy, kiedy nagle usłyszałam dzwonek u drzwi. Zeszłam na dół i otworzyłam, a tam stała jakaś kobieta, która nachyliła się i wyciągnęła do mnie rękę. – Wspomnienie jest mgliste. Nie widzę nawet twarzy mojej biologicznej matki, tylko rozmazaną plamę w jej miejscu. – Spytała, czy nie chciałabym pójść na spacer. Powiedziałam, że tak. Więc poszłyśmy chodnikiem.

Pamiętam, że zapytałam: „Jak masz na imię?”.

Uśmiechnęła się i odparła: „Możesz mnie nazywać Ishki”.

Ishki. Szepnęłam to słowo jeden raz. Potem już nie rozmawiałyśmy, tylko po prostu byłyśmy razem. Zastanawiam się, czy jakaś część mnie już wtedy nie rozumiała, kim była ta kobieta. Może już wtedy to wiedziałam, całe lata przed przybyciem Babci, nim jeszcze zaczęłam przeczesywać internet w poszukiwaniu jakichś wskazówek co do swojej przeszłości i odkryłam, że słowo „ishki” związane jest z co najmniej dwoma różnymi plemionami i oznacza matkę.

– Zgodnie z raportami policyjnymi spacerowałyśmy przez dwadzieścia minut. Wreszcie skierowała mnie do domu, a sama wsiadła kilka przecznic dalej do samochodu. Kiedy wróciłam, na naszym podjeździe roiło się już od radiowozów na sygnale. A kiedy pobiegłam ulicą do mamy, ona płakała. – Pamiętam, że zaczęłam się bać. Umierałam ze strachu. I było mi tak strasznie wstyd, miałam takie wyrzuty sumienia, że wystraszyłam mamę. Mama porwała mnie w ramiona i przytuliła mocno, szepcząc: „Moje maleństwo, tak się bałam, że ona cię zabierze”.

Przed terapią nie mogłam znieść tego wspomnienia. Na samą myśl ściskało mnie w żołądku i dostawałam gęsiej skórki. Kiedy tylko mój umysł błądził w tym kierunku, natychmiast starałam się skierować uwagę na coś innego.

Alice podnosi głowę znad notesu, w którym zawzięcie notuje.

– A jak poszła sama terapia?

– Terapeutka kazała mi wybrać jakąś negatywną myśl o sobie, coś, co mogłoby wyjaśnić, czemu pojawiła się babcia. – Na przykład „Jestem niechciana. Nie mam swojego miejsca na świecie". Nawet nie próbowałam przekonywać doktor Langdon, że tak naprawdę w to nie wierzę. Wizyty u niej zawsze szły lepiej, jeśli na wszystko się zgadzałam. W tamtych czasach miałam ją za totalnego konowała.

– Potem kazała mi wybrać coś pozytywnego, co miało zastąpić tamtą negatywną myśl. Posadziła mnie na kozetce i usiadła naprzeciwko. Zaczęła poruszać dwoma palcami przed moją twarzą, z boku na bok, w górę i w dół. Mówiła, że nie muszę tego rozumieć; mam tylko podążać wzrokiem za jej palcami jak najdalej w prawo, jak najdalej w lewo, w górę i w dół, bez ruszania głową. Wodziła tak palcami i jednocześnie zadawała pytania. O tę negatywną myśl, o tę pozytywną, takie tam. Odpowiadałam i powtarzałam za nią, kiedy mi kazała… – czując się przy tym jak skończona idiotka – …a na koniec kazała mi wrócić do tamtego wspomnienia i naprawdę się w nie wczuć. Przed terapią poprosiła, żebym oceniła na skali niepokój, jaki ono we mnie budzi. Powiedziałam, że siedem na osiem. Po terapii stwierdziłam, że pięć. – Samą mnie to zaskoczyło. – Potem terapeutka znowu powtórzyła cały proces. Palce, pytania, punkty. Przerobiłyśmy to trzy razy, a kiedy po raz ostatni kazała mi wrócić do tego wspomnienia, odpowiedziałam, i to zgodnie z prawdą, że czuję co najwyżej jeden punkt w skali niepokoju.

Kiedy teraz o tym myślę, brzmi to jak jakieś czary-mary. A przecież po tej terapii Babcia, mężczyzna w zielonej marynarce i wszystkie te migotania w moim pokoju zniknęły na prawie trzy lata. I do tej pory, kiedy przypominam sobie tamto wspomnienie… zero niepokoju.

– Nie wiem jak, ale to podziałało.

Oczy Alice lśnią podnieceniem. Nachyla się do przodu i dotyka tyłu swojej głowy.

– W mózgu jest taka część o nazwie ciało migdałowate. Przechowuje ono rzeczy, z którymi człowiek nie potrafi się uporać, wszystkie wydarzenia traumatyczne. Do ósmego roku życia nasze umysły mają bardzo ograniczone zdolności kognicyjne. Wszystko, czego nie umiemy przetrawić w tym młodym wieku, jest więc przechowywane w ciele migdałowatym jako luźne skojarzenia albo niekonkretne związki przyczynowo-skutkowe: takie ostrzeżenia na przyszłość. Kiedy śnimy, ruchy gałek ocznych sygnalizują ciału migdałowatemu, że pora uporać się z tymi zastarzałymi przejściami. Emocje i wrażenia z danego incydentu przechowywane są niemal w tej samej postaci, w jakiej ich pierwotnie doświadczono. Co dziwne, te same związki chemiczne, które zapisują je w ciele migdałowatym, mogą też zablokować powstanie wspomnienia w hipokampie. Możesz więc nie pamiętać świadomie, co się wydarzyło, ale to nie powstrzyma tego wspomnienia przed namieszaniem ci w głowie. Kiedy coś podrażni te zachowane emocje, powracasz do tej samej dziecięcej mentalności co wtedy, kiedy po raz pierwszy ich doświadczyłaś. Na tym właśnie polegają ataki paniki: to pełne doświadczenie strachu bez narzędzi, które pomagają go przetrawić. EMDR pozwala dotrzeć do tych emocji na jawie. Ruch oczu pobudza ciało migdałowate, podczas gdy pytania pobudzają pamięć. W ten sposób twoja dorosła jaźń może niejako nawiązać rozmowę z twoją jaźnią dziecięcą. Wyjaśniasz wszystko swemu dziecięcemu ja tak, że ów niezdrowy wzór myślowy czy też skojarzenie przyczynowo-skutkowe

może zostać skorygowane.

– Ale dlaczego właśnie tamto wspomnienie? – spytałam. – Przecież nic się nie stało. Poszłam tylko na spacer.

– Rozłąka dziecka z biologicznym rodzicem może sama w sobie być traumatyczna, nawet jeśli w nowej relacji otrzymujesz tyle miłości i troski, ile trzeba. W niemowlęctwie jedyne, co znamy, to nasze biologiczne matki. One są dla nas całym światem, tylko one gwarantują nam poczucie stabilności.

Alice penetruje mnie spojrzeniem, pod którym czuję się jak na prześwietleniu. Czasem mam wrażenie, jakby cały świat znał moją historię i tylko ja jedna nie wiem, co się wydarzyło. Wszyscy wszystko wiedzą, tylko ja nigdy nie zdołam się dowiedzieć nic ponad to, co powiedziała mi mama, sprawozdanie z logistyki procesu adopcyjnego: ona i tata od dawna starali się o dziecko. Raz już myśleli, że im się udało. Mama poroniła, oboje byli załamani.

A tymczasem w rezerwacie w Alabamie jakaś osiemnastolatka odkryła, że jest w ciąży. Zanim ktokolwiek zauważył jej rosnący brzuch, uciekła do Kentucky, gdzie mieszkała rodzina jej chłopaka.

Do rodziców zadzwonił znajomy znajomego, do którego zadzwonił inny znajomy znajomego, którego siostrzeniec miał dziewczynę, która spodziewała się dziecka.

Tym dzieckiem byłam ja.

Znajomy znajomego chciał wiedzieć, czy rodzice chcieliby je wziąć.

Mama powiedziała, że muszą się zastanowić.

Znajomy znajomego powiedział, że mają dokładnie dziesięć dni. Dziewczyna, moja ishki, nie chciała, żeby jej dziecko dorastało w rezerwacie. Nigdy nie była tam szczęśliwa, nie miała praktycznie żadnych pieniędzy, żadnych widoków na karierę, miała za to brutalnego ojca, którego nie zamierzała dopuścić do niemowlaka, czyli do mnie. Trzeba było jednak jak najszybciej znaleźć jakąś rodzinę, inaczej musiałaby zabrać mnie z powrotem do rezerwatu.

Mama i tata zawsze mówią, że nigdy nie bali się mnie przyjąć; bali się wyłącznie tego, że mnie stracą – ich zdaniem taki sposób myślenia mojej ishki dowodził, że nie była do końca pewna swojej decyzji i mogła zmienić zdanie.

Kiedy rozmawiali z prawnikiem, wspomniał o Ustawie o Dzieciach Indiańskich: był to przepis wprowadzony w latach siedemdziesiątych w odpowiedzi na fakt, że niemal jedną trzecią indiańskich niemowląt siłą odbierano rodzicom i umieszczano w nieindiańskich internatach i domach adopcyjnych. Aby ochronić dzieci takie jak ja i rodziców takich jak moi biologiczni rodzice przed przymusowym oddawaniem maluchów do adopcji nieindiańskim rodzinom, ustawa ta wprowadziła kilka utrudnień w proces adopcyjny – jedno z nich polegało na tym, że nie można było adoptować dziecka w ciągu pierwszych dziesięciu dni jego życia.

Dziesięć dni, w trakcie których moja rodzona matka patrzyła na mnie, kołysała, może nawet szeptała albo śpiewała mi kołysanki, a mimo to wytrwała w decyzji, by mnie oddać. Zastanawiam się, czy przyszło jej w tym czasie do głowy, że ludzie wszędzie mogą być nieszczęśliwi, samotni i zmęczeni; że nawet w miasteczku takim jak Union będą rodzice, którzy biją swoje dzieci, i dzieci, które patrzą w nocne niebo i marzą o lepszym życiu w lepszym miejscu. Czy w tamtych dniach choć raz zapragnęła

być tą, która ochroni mnie przed światem?

Prawnik rodziców nie przejmował się pozostałymi zapisami – Alabama słynęła podobno z negatywnego nastawienia do tej ustawy, a długi pobyt mojej matki w Kentucky stanowił tylko kolejny argument mogący przekonać sąd w Alabamie, że nie jestem „wystarczająco indiańska", by kwalifikować się do kategorii „wszystkich indiańskich dzieci", które rzekomo obejmowało to prawo.

Wiem, że mama nigdy nie żałowała, że mnie wzięła, ale tę ostatnią część zawsze opowiada z wyrazem poczucia winy w oczach, jakby była przekonana, że adoptując mnie, uczyniła coś złego, skorzystała z systemu, który działał na korzyść ludzi takich jak ona i tata.

Gdyby w ciągu pierwszych dwóch lat moja biologiczna matka naprawdę zmieniła zdanie i była w stanie udowodnić, że decyzję o oddaniu dziecka podjęła pod przymusem, państwo byłoby prawnie zobowiązane do cofnięcia adopcji. Po tamtym spacerze po okolicy mama zaczęła się obawiać, że Ishki spróbuje odzyskać prawo do opieki nade mną, choć oczywiście było to już po upływie ustawowego terminu.

Zresztą wcale nie chciałam opuścić mojej rodziny – nigdy tego nie chciałam. Po tamtym incydencie leżałam jednak czasem bezsennie i płakałam, bo to tak strasznie bolało, że mama myślała, iż moja biologiczna matka będzie chciała mnie zabrać, a w końcu okazało się to nieprawdą.

Nawet jeśli nie chciałabym z nią iść, powinna chcieć, żebym chciała.

Dziwna sprawa, kiedy przynależy się jednocześnie do dwóch światów: czasem człowiek ma wrażenie, jakby nie należał do żadnego.

– Terapeuta stosujący terapię EMDR mógłby powiedzieć, że twoje widzenia to próba poradzenia sobie z traumą przez organizm – mówi Alice i wracam myślami do gabinetu. – Potrzebowałaś jakiegoś ogniwa łączącego cię z twoim pierwotnym światem, z czasem, kiedy biologiczna matka zapewniała ci stabilność. Więc twój umysł je stworzył. Kiedy jesteś w stresie i cofasz się do etapu prekognitywnego, pojawia się Babcia. Specjalista od EMDR uznałby, że podczas snu aktywują się twoje wyparte wspomnienia, co z kolei prowokuje reakcję jak w zespole stresu pourazowego. Czyli halucynacje.

– A twoim zdaniem o co w tym chodzi?

Alice uśmiecha się szeroko.

– Ja bym powiedziała, że trudno udowodnić, kiedy coś jest rzeczywiste, a kiedy to tylko halucynacja.

– To znaczy…?

– To znaczy, że wszyscy moi pacjenci cierpią na zespół stresu pourazowego, ale nie wszyscy pacjenci z tym zespołem widzą czarną sferę. Innymi słowy, twoja trauma może być prawdziwa, ale nie wynika z tego, że Babcia to tylko złudzenie. Może zniknęła po terapii EMDR, bo trauma leży u podstaw twojej zdolności, by ją zobaczyć… może trauma stymuluje twoje marzenia senne tak mocno, że daje ci to dostęp do zupełnie innej sfery. A fakt, że znowu miewasz te wizje, oznacza, że coś tam jeszcze zostało… jakaś resztka strachu związanego z tym wspomnieniem albo jakiś zapomniany szczegół, jakaś inna negatywna myśl, z którą się nie uporałaś. Może nawet zupełnie osobne wydarzenie, którego jeszcze nie przetrawiłaś.

Kręcę głową.

– Rozmawiałam o tym z doktor Langdon – mówię. – Nic więcej nie ma, tylko to jedno wspomnienie.

Alice robi sceptyczną minę, ale nie ciągnie tematu. Odwraca się do biurka i spod chylącego się stosu notesów wyciąga kalendarz.

– No dobrze, Natalie – mówi. – Niestety wydaje mi się, że najlepsza strategia to zrobić to wszystko po bożemu. Zacznijmy od sesji dwa razy w tygodniu i zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. To ważne, żebyś mówiła, o czym ci się żywnie podoba, przynajmniej na początku… bo potem może będziesz musiała opowiadać o czymś, na co wcale nie będziesz miała ochoty. Chciałabym też, żebyś spisała wszystkie historie, które opowiedziała ci Babcia, jak najdokładniej, żebyśmy nie straciły żadnych szczegółów. Dobrze?

Kręcę głową.

– Nie mogę.

– Czego nie możesz? Spotykać się dwa razy w tygodniu? – pyta Alice.

– Nie, mam na myśli, że nie mogę zapisać tych historii. Babcia tego nie chciała.

– Nie chciała, żebyś je zapisywała?

– Chciała, żebym je pamiętała – wyjaśniam. – I żebym ich słuchała.

Ciemna brew Alice unosi się nad zielone oko, żądając pełniejszego wytłumaczenia. Właśnie dlatego boję się opowiadać o takich sprawach – czy raczej boję się przewracania oczami, znudzonego wzruszania ramionami i nierozumiejących spojrzeń, które mogą potem nastąpić.

Może i drażniłam albo męczyłam Babcię, ale zawsze brałam sobie do serca to, co mówiła. Te rzeczy stanowią część mnie, a nic nie wzbudza w człowieku większego poczucia bezbronności niż dzielenie się czymś, co jest dla niego ważne.

– Większość z nich to opowieści indiańskie. Przekazywano je ustnie z pokolenia na pokolenie. Babcia chciała, żebym właśnie w ten sposób ich doświadczała, w ich odwiecznej postaci.

Pragnęła, bym pokochała te historie, bym wzięła je sobie do serca i pozwoliła, aby stały się częścią mnie, łącząc mnie ze wszystkimi ludźmi, którzy opowiadali je przez wieki. Oddać je komuś tak po prostu, zapisane na kawałku papieru – to byłby brak szacunku. Nie móc przekazać sposobu, w jaki Babcia wypowiadała pewne słowa i robiła pauzy – to byłoby niewłaściwe.

Skoro mam podać te opowieści dalej, powinny być owinięte w mój głos, hołubione ostrożnie jak woda, żeby żadne słowo się nie wylało.

– Jeśli chcesz poznać opowieści Babci, trzeba to zrobić tak, jak ona to robiła. Bo te historie tak jakby należą do niej, rozumiesz?

„Należą też do ciebie, Natalie”, mawiała Babcia.

Alice przygląda mi się przez kilka chwil i jej głowa ponownie wykonuje ten kołyszący ruch.

– No dobrze, a gdybym dała ci dyktafon? Mogłabyś nagrać mi te historie.

Zastanawiam się.

– Tak, to chyba mogłabym zrobić – odpowiadam. – Ale nie spisuj ich potem. Tylko słuchaj. W ten właśnie sposób należy ich doświadczać.

– Umowa stoi. W końcu nie chcemy wkurzyć tej, którą próbujemy odnaleźć. Możesz tu przyjeżdżać we wtorki i czwartki o dziewiątej?

– Mogę. – I tak codziennie rano będę musiała odwozić Jacka na treningi.

Tak się umówiliśmy z rodzicami: oni płacą za ubezpieczenie i paliwo, a w zamian za to w godzinach ich pracy ja jestem szoferem bliźniaków.

– A tymczasem postaraj się jak najbardziej stresować. Tak naprawdę, ale to naprawdę wydobyć tę traumę na powierzchnię. Wiesz, co mam na myśli?

– Oj, chyba tak – odpowiadam.

Może dlatego właśnie zgadzam się iść następnego wieczoru z Megan na urodziny Matta, połączone z imprezą na zakończenie szkoły. A może w sprawach Matta Kincaida jestem po prostu masochistką. Czuję, że nie powinnam z nim być, ale może boję się pozwolić mu o sobie zapomnieć, bo ucięcie tej ostatniej nitki mogłoby sprawić, że odlecę.

8

– Pamiętaj: miałaś z nim w końcu porozmawiać – mówi łagodnie Megan. Mój dżip zaczyna się rozkładać ze starości, więc postanowiłyśmy pojechać jej hondą, która toczy się z chrzęstem od parkingu prezbiteriańskiego kościółka aż po żwirowy podjazd prowadzący do domu Kincaidów, ten, który udostępniają każdej jesieni gościom przyjeżdżającym obejrzeć ich labirynt w polu kukurydzy, no i kiedy urządzają u siebie wesela. – W końcu zdarzało wam się już kłócić.

– Przedtem to były tylko sprzeczki – poprawiam. – Zresztą i tak polegały głównie na wzdychaniu na zmianę, póki jedno z nas się nie złamało. Tym razem to coś innego. Tak jakby on szturchnął mnie kilka razy w żebra, a ja w odpowiedzi wzięłam i werbalnie go zdekapitowałam.

Megan przewraca oczami.

– Mogłabyś go nawet zupełnie niewerbalnie wykastrować, a on i tak by chciał, żebyś przyszła.

– Przecież właśnie dlatego ze sobą zerwaliśmy, żeby się więcej nie kłócić.

– Chyba masz na myśli sprzeczać – drażni się Megan. – A ja myślałam, że to dlatego, żeby nie międlić w nieskończoność tych samych problemów, aż wreszcie się znienawidzicie. Chodziło o to, żeby ocalić waszą przyjaźń.

Wzruszam ramionami.

– Może lepiej by było pozwolić mu mnie znienawidzić.

– Musiałabyś być o wiele wredniejsza i brzydsza. – Megan ściska mnie w ciemnościach za rękę. – Wszystko będzie dobrze.

Parking za stodołą jest pełny, więc zamiast tego stawiamy samochód na uboczu żwirowego podjazdu, skąd słychać już walącą z domu muzykę. Rodzice Matta wyjechali na weekend za miasto, dając tym samym gwarancję, że 1) impreza wyrwie się spod kontroli, 2) nie będę musiała wysłuchiwać uwag w rodzaju: „Jakie to straszne, że nie będę miała wnuków o twojej karnacji” z ust Joyce, Która Jada Tylko Beżowe Jedzenie.

– Będzie fajnie – upiera się Megan.

Wysiadamy z samochodu, przechodzimy ostatnie kilka jardów pod górę i nagle wita nas chór okrzyków z ust grupki siedzącej na furgonetce Dereka.

Nawet Rachel wydaje się szczerze ucieszona na nasz widok, zupełnie jak dawniej.

– Wszystkiego najlepszego, Matt. Niesiemy ci w darze ten oto nektar – mówi Megan, podnosząc butelkę burbona.

Matt wstaje, szczerząc się i chwiejąc niczym źdźbło na wietrze.

– Ostrożnie, kowboju – mówi Rachel, łapiąc go za koszulę, żeby się nie przewrócił. – Bo skręcisz sobie kark we własne urodziny.

– Chodźcie, chodźcie – zaprasza Matt, wymachując dziko rękami.

Nigdy jeszcze nie widziałam go aż tak pijanego i nie jestem pewna, co o tym sądzić. Mimo to po naszej kłótni czuję ulgę, że w ogóle się cieszy na mój widok.

– Widzę, że zaszalałeś – stwierdzam, starając się mówić lekkim tonem.

Derek ryczy śmiechem.

– A tam zaszalał! – woła. – Przecież to u niego normalka. Spuściłaś go ze smyczy i teraz sobie odbija.

– E, przymknij się – mówi Matt, niezgrabnie trzepiąc Dereka w ramię. – Dziewczyny, wskakujcie.

– A zmieścimy się? – pytam, patrząc na zatłoczoną furgonetkę.

– No jasne! – odpowiada. – Ładujcie się.

– Ty i ty – mówi Rachel, wskazując dwie dziewczyny z drugiej klasy. – Spadówa. Sorry, życzenie solenizanta.

Dziewczyny spoglądają po sobie z urazą, ale w końcu schodzą, a wtedy Matt pomaga nam wspiąć się na pakę – w każdym razie wydaje mu się, że pomaga, choć jest na to zbyt pijany.

– Dacie wiarę? – mówi Derek. – Mały Macio kończy osiemnaście lat. Ale jesteśmy dorośli.

– Tia, dorośli – odpowiada Rachel. – A pięć minut temu chciałeś, żebym zrobiła zdjęcie twojego gołego tyłka razem z wołu Matta.

– A no taaak – przypomina sobie Derek i podrywa się z miejsca. – Prawie o tym zapomniałem. Chodź, idziemy.

– Stary, nie ma mowy.

– Ale czemu?

– Czemu? A temu, że nie robię w fotografii dup, zresztą potem będziesz rozsyłał te foty jakimś biednym pierwszoklasistkom. W życiu się z tego nie otrząsną.

Derek bierze ją za rękę i całuje szarmancko.

– Moja piękna, cudowna Rachel. Czy uczynisz mnie najszczęśliwszym mężczyzną na świecie i zrobisz zdjęcie mej dupy z dupą wołową?

– No dobra – wzdycha zniecierpliwiona Rachel. Kiedy ruszają zygzakiem do stodoły, widzę Jacka i Coco stojących z boku w półkolu dziewczyn z pierwszej i drugiej klasy. Jak zwykle uwaga grupy skupiona jest w całości na Coco i jej najlepszej przyjaciółce Abby, a Jack tylko szczerzy się fajtłapowato. Zawsze dobrze się dogadywał z dziewczynami, tak samo jak Coco potrafiła się dogadywać z chłopakami, a jako młodszy o cztery minuty zwykle pozwala jej decydować, gdzie, jak i z kim będą spędzali czas. Niby jestem ich starszą siostrą, ale właściwie od początku nikt mnie na tym stanowisku nie potrzebował. Zawsze ograniczałam się do obserwacji z dystansu.

Megan kładzie się obok mnie na pace furgonetki i nagle dociera do mnie, że reszta grupy gdzieś się rozeszła. Zostałyśmy tylko my dwie i Matt, jak dawniej. Odchylam się i również kładę na podłodze, Matt tak samo, i wszyscy troje patrzymy w niebo.

– Patrzcie – mówi Megan. – Wielki Wóz.

– Jaki wóz? – bełkocze Matt. – No bo serio, gdzie tu widać wóz?

– No taki popychany wózek – mówi Megan.

– To wcale nie wóz – protestuję – tylko łódź. – Tak przynajmniej brzmiała moja ulubiona z Babcinych historii. – Kiedy umiera dobry człowiek, ta łódź przewozi jego duszę na drugą stronę Drogi Mlecznej, czyli so-lo-pi he-ni, do Miasta na Zachodzie.

– So-lo-pi he-ni – powtarza rozmarzonym głosem Megan.

– Ssolopa Heni – bełkocze Matt.

– Hej – rozlega się głos z tyłu furgonetki.

Patrzę wzdłuż nóg i widzę Briana Waltersa z drużyny piłki nożnej. Jego ładne błękitne oczy wlepione są w Megan.

Megan natychmiast siada, podciąga z powrotem ramiączko koszulki i odgarnia grzywkę.

– Cześć – mówi.

– Widziałaś już zwierzaki? – pyta Brian, niezręcznie przestępując z nogi na nogę.

– Nie, jeszcze nie – mówi Megan, jakby zapominając, że przecież oglądałyśmy krowy, kozy, osła i wołu Matty'ego już tysiące razy.

– Ja też nie – mówi Brian, kiwając głową.

Patrzę z powrotem na nocne niebo. Co za żenada.

– To na co czekacie? – pytam wreszcie. – Jak się pospieszycie, to może załapiecie się na dodatkową dupę wołową.

Megan przesuwa się na koniec furgonetki i zeskakuje, po czym podciąga dżinsy za szlufki i strzepuje z siebie luźne źdźbła trawy.

– Tego nie możemy przegapić – rzuca.

Patrzę, jak idą w stronę otwartych drzwi stodoły, zza których złociste światło wylewa się na delikatną miękką trawę i żwir podjazdu. Nagle dociera do mnie, że Matt i ja zostaliśmy sami.

– Jejku, myślałam, że się pochlastam – mówię. – Od kiedy Brian zrobił się taki nieśmiały?

Matt nie odpowiada i przez chwilę leżymy, kontemplując w milczeniu gwiazdy i wszystkie opowiadane przez nie historie.

– Nat, nie było tak źle, prawda? – pyta Matt.

– Co masz na myśli?

– No nas.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam. – Wcale nie było źle.

– Ja teżżak myślałem – bełkocze. – Niechsezebyś myślała, że kocham cię pomimo czegoś. To okropne, że tak się przeze mnie czułaś.

– Matt – przerywam. – Byłeś świetnym chłopakiem. Nie na tym polegał problem.

– Zawsze tak ładnie wyglądałaś, kiedy stałaś na boku boiska z włosami w kucyk – mruczy. – Gdy cię widziałem, od razu chciałem wygrać, żebyś była dumna.

– Zawsze byłam dumna – mówię. Bo to prawda. – Grasz w futbol z precyzją naukowca. Dzięki tobie nauczyłam się kochać tę grę.

Matt śmieje się.

– Ale bujasz.

– No dobrze, nauczyłam się ją tolerować – przyznaję. – Czasem nawet mi się podoba. – To prawda, że nigdy nie kochałam i prawdopodobnie nigdy nie pokocham futbolu. Ale zawsze fascynował mnie widok grającego Matta – i Jacka też.

Jeśli odjąć system punktowania i kultowy status, futbol niczym się nie różni od każdej innej gry czy umiejętności: istnieje jakaś ogólnie przyjęta technika, ale poza nią jest też indywidualny styl. To drugie, dla tych, którzy potrafią patrzeć, jest niczym okno na duszę zawodnika. Indywidualny styl to mama, która po kieliszku czerwonego wina chodzi tak, jakby chciała w ten sposób przywrócić do świata porządek i piękno.

To Rachel, tańcząca, jakby próbowała się wygrzebać z ruchomych piasków, albo Megan biegnąca przez boisko, jakby unosiła się na falach oceanu. I Matt Kincaid grający metodycznie, jakby odhaczał kolejne pozycje na liście.

Zawsze jest we właściwym miejscu we właściwym czasie, rzadko biegnie za szybko albo za wolno. Podnosi wzrok, odnajduje wolnego kolegę z drużyny i w idealnym momencie posyła mu piłkę wysokim łukiem; nie musi przyspieszać, zwalniać ani się cofać, nawet kiedy próbuje przedostać się z piłką do przodu. Po prostu ściska ją niczym złotą cegłę, wyrywa się napakowanym obrońcom i przeskakuje nad powalonymi ciałami jak gazela nad wąskim strumieniem. Lekko wymyka się próbom zszarżowania i w momencie, kiedy rozlega się ostatni gwizdek, zdobywa punkt. Praktycznie każdy jego mecz wygląda jak kolejne ujęcie podczas nagrywania choreograficznej sceny pojedynku w filmie.

– Tak sobie myślałem… – mruczy, a jego rozkojarzony wzrok przesuwa się na mnie. – Pamiętasz pierwszą piosenkę, do której razem tańczyliśmy?

Szukam w pamięci.

– Właściwie to wydaje mi się, że w ogóle nie mieliśmy takich pierwszych razów. Przez początkowe sześć miesięcy chyba nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ze sobą chodzimy.

– No, ja pamiętam – mówi.

– Nie wierzę.

– Właśnie że tak.

– No to zaśpiewaj – żądam.

Matt zaczyna nucić coś, co brzmi jak składanka kilku różnych piosenek, aż wybucham śmiechem. Nagle czuję, jak wierzch jego dłoni muska moją. Oboje milkniemy, a po sekundzie Matt przeplata ze mną palce. Jestem w takim szoku, że nieruchomieję.

– Nat, czemu mnie odepchnęłaś? – pyta. – Byłaś dla mnie wszystkim. Tak strasznie cię kochałem.

– To nie takie proste – mówię roztrzęsiona.

Serce wali mi jak po sprincie i modlę się, żeby ktoś do nas przyszedł, nie chcę do niczego dopuścić. Nie chcę, żeby znowu przez to przechodził.

– Ja cię kocham – mówi Matt. – Nie masz pojęcia, jak mi ciężko, że nie mogę o wszystkim z tobą rozmawiać. Ostatnio w ogóle nie czuję się sobą. Strasznie mi trudno, tak bardzo cię kocham.

Ja też go bardzo kocham. Wydaje mi się, że nie można znać kogoś tak dobrze, jak ja znam Matta, i go nie kochać.

– Matt… – mówię błagalnie.

– Mógłbym być lepszy – zapewnia. – Mógłbym dać ci szczęście, jeśli powiesz mi, czego potrzebujesz.

– Matt, nie możesz wszystkich uszczęśliwić. Nie możesz spełnić wszystkich oczekiwań, a już na pewno nie możesz być tym, kogo potrzebuję ja, i jednocześnie tym, kogo potrzebują wszyscy inni, bo nie mogę wciąż na siłę dopasowywać się do tego miasta i muszę stąd wyjechać.

– Znajdziesz sobie kogoś innego – mówi cicho Matt. – Na studiach. Wiem, że tak.

A ja nie.

– Oczywiście, że kogoś znajdziesz.

– Nie chcę nikogo innego.

– Kiedyś zechcesz.

– Nikt nie może cię zastąpić – mówi.

– Matt, musimy to zostawić za sobą. Inaczej będzie nam coraz trudniej.

– Wcale nie musi tak być – upiera się Matt.

Jego oczy patrzą na mnie miękko, są zdecydowanie za blisko mojej twarzy. Zanim się orientuję, Matt zaczyna mnie całować. Wpadam w panikę. Jedna część mojego umysłu myśli, że nie mogę go odepchnąć, to byłoby niewłaściwe i niegrzeczne, ale druga doskonale wie, że nie chcę się z nim całować. Matt ma pewnie wrażenie, jakby całował zdechłą rybę, ale najwyraźniej to go nie zniechęca.

Popycham go lekko w piersi, ale on albo tego nie czuje, albo nie zwraca na to uwagi, i zaczynam się bać.

– Matt… – mówię, ale jego usta tłumią mój głos.

Odpycham go mocniej i tym razem wiem, że poczuł, ale i tak nie przestaje mnie całować. Znowu do niego mówię, znowu odpycham, ale on przyciąga mnie do siebie i przesuwa dłonią po rąbku mojej koszulki ruchem, który wydaje mi się zbyt agresywny.

– M a t t… – warczę.

Próbuję się podnieść, lecz on przytrzymuje mnie za biodro. Odpycham go od siebie, naprawdę mocno, i wreszcie stacza się ze mnie i siada, mrugając w ciemnościach.

– Ja… – nie wiem, co chcę powiedzieć, ale nie mam czasu się nad tym zastanowić, bo Matt zeskakuje, a właściwie na wpół stacza się z furgonetki, i rusza wściekły do domu.

Cała drżę, w głowie mi się kręci, czuję się zraniona i jednocześnie nic nie rozumiem.

Czemu to zrobiłam?

Nie wiem, jak długo siedzę tak roztrzęsiona, zadając sobie w kółko te same pytania bez odpowiedzi, aż w końcu otrząsam się i dociera do mnie, że przecież ja nic złego nie zrobiłam. I nagle ogarnia mnie wściekłość.

To dopiero drugi raz, kiedy naprawdę wkurzam się na Matta. Najchętniej wróciłabym do domu, ale jakiś głos w mojej głowie mówi: „Nie. Nie możesz pozwolić, żeby uszło mu to na sucho”. Bo to przecież nie była moja wina. Matt nie powinien był mnie całować, a przede wszystkim nie powinien był zachowywać się tak, że zaczęłam się bać. Nie powinnam czuć strachu w ramionach swojej pierwszej miłości.

Wyłażę niezgrabnie z furgonetki i ruszam w kierunku domu, a po twarzy zaczynają mi spływać łzy wściekłości. Niewyraźnie słyszę, że Jack coś do mnie woła, ale nie zwracam na niego uwagi. W przesłodzonej wiejskiej kuchni Joyce siedzą jacyś ludzie, inni rozwalają się na miękkiej kwiecistej sofie w salonie, ale nie ma wśród nich Matta. Ruszam korytarzem do jego pokoju i pukam do drzwi, próbując zapanować nad płaczem.

Matt nie odpowiada, ale skoro mnie nie uszanował, to dlaczego ja mam szanować jego prywatność? Matt Kincaid zranił mnie i ten wieczór nie może już być gorszy.

Otwieram więc drzwi na oścież i… jasny gwint – odkrywam, że byłam w błędzie.

Mój wzrok ląduje na Rachel, która piszczy zaskoczona i zsuwa się z Matta na krawędź łóżka. Zrywa się i zasłania ramionami, ale Matt nadal leży rozwalony na kołdrze, zupełnie nieprzejęty. Żałuję, że nie odwróciłam oczu, gdy dotarło do mnie, na co patrzę, ale cała ta sytuacja wydaje się jakoś tak nierealna, że zwyczajnie zesztywniałam.

– Chryste, Natalie! – wrzeszczy Rachel, czerwieniąc się i wytrzeszczając oczy. – Może byś tak nauczyła się pukać?

Ale najgorsza jest mina Matta, który wygląda na wkurzonego, ale też jakby zadowolonego z obrotu spraw, jakby nie mógł tego lepiej ułożyć. Odwracam się, biegnę korytarzem i tym razem, po raz pierwszy w życiu, Matt nie biegnie za mną.

Przebiegam przez salon i kuchnię i wypadam na parking. Spazmatyczny płacz wyrywa mi się z ust jak odpadające od drewna drzazgi.

Muszę się stąd wydostać.

Obracam się, szukając Megan albo kogoś, na kim mogłabym się wesprzeć. Ale nagle wszystko się zmienia i nie mogę się połapać, gdzie jestem. Stara czerwona stodoła, która stała tam od zawsze, znika, a na jej miejscu majaczy ogromny błękitno-biały magazyn, który wydaje się całkiem nowy. Wciąż są tu ludzie, ale szczegóły zupełnie się nie zgadzają. Derek siedzi w kabinie swojej furgonetki i obcałowuje się z Molly Haines, która przecież nienawidzi go, od kiedy w dziewiątej klasie nierozważnie postanowiłam ich wyswatać. Jakby to nie było wystarczająco dziwne, auto stoi w innym miejscu. Biegnę na koniec żwirowego podjazdu, ale nigdzie nie widzę hondy Megan. Nic się nie zgadza, jak w koszmarze, ale nie do tego stopnia, bym zyskała pewność, że śnię. Właściwie jestem całkowicie przekonana, że to jawa, ale niewątpliwie coś się stało ze światem. Ludzie, samochody na parkingu i muzyka zaczynają mnie przytłaczać i nie mogę złapać tchu. Nie panuję nad własnym ciałem i odwracam się, szukając pomocy, a potem biegnę, pragnąc jak najbardziej oddalić się od tego złowieszczego magazynu.

Zbiegam podjazdem i u podnóża pagórka kieruję się do leśnego mostku, który prowadzi z farmy Kincaidów do kościoła. Proszę, niech to się już skończy. Proszę, niech cały ten wieczór się cofnie. Proszę, chcę do miejsca, gdzie wszystko jest takie jak zawsze, i świat jest normalny, i ja jestem bezpieczna.

Zza zakrętu wyłaniają się jasne światła. Pospiesznie zbiegam na pobocze i rozklekotana furgonetka mija mnie, po czym cofa się i przystaje. Oślepia mnie blask świateł, ale mimo to widzę, jak drzwi się otwierają i ktoś patrzy na mnie w mroku, mrużąc oczy.

– Natalie?

Z pojazdu wyskakuje Beau i podchodzi w moją stronę.

– Co się stało? – pyta. – Nic ci nie jest?

Zagryzam wargę i kiwam głową. Jeśli spróbuję coś powiedzieć, zacznę płakać. Beau stoi przede mną, opierając ręce na biodrach.

– Natalie, co się stało?

Ukrywam twarz w dłoniach i staram się powstrzymać łzy.

– Nie mogę… – wyduszam w końcu.

Kiedy znowu na niego patrzę, łagodnie chwyta mnie za ramiona i przyciąga mnie do siebie, obejmując moją głowę dużą dłonią.

– Coś się stało? – Czuję w ciele wibrowanie jego niskiego głosu i kręcę głową. – Chcesz, żebym cię zawiózł do domu?

Przytakuję z trudem. Żadne z nas nie odsuwa się od razu. Ogarnia mnie ogromny smutek – pękła ostatnia nić łącząca mnie ze światem, który myślałam, że znam.

Beau łagodnie bierze moją twarz w dłonie i odsuwa się, żeby popatrzeć mi w oczy.

– Jedźmy.

Idę za nim do furgonetki i wsiadam po stronie pasażera. Auto różni się od forda Dereka: jest pudełkowate i przysadziste, środek wykłada szorstka tkanina pokryta plamami i wypalonymi dziurami, a okna otwierają się ręcznie.

– Co tu robiłeś? – pytam Beau.

Beau uruchamia silnik.

– Znajomy zaprosił mnie na imprezę.

– Aha. – Przesuwam rękami po twarzy, żeby otrzeć ją z łez. – Przepraszam. Powinieneś jechać. Ktoś inny może mnie podwieźć. – Na samą myśl, że po tym koszmarze miałabym dzwonić do rodziców, żeby po mnie przyjechali, robi mi się niedobrze.

– Ta impreza jest w pobliżu twojej bieżni – mówi dalej Beau. – Więc pomyślałem, że może wciąż będziesz tam czekać, żebym cię znalazł.

Nie jestem pewna, jak na to zareagować, ale wtedy Beau uśmiecha się i moje usta również mimowolnie unoszą się w uśmiechu.

Odrywam od niego wzrok i wyciągam z kieszeni telefon.

– Muszę komuś dać znać, gdzie jestem. – Miałam nocować u Megan; jej rodzice mają luźniejsze zasady co do tego, gdzie ich córka może się kręcić i o której wraca do domu. Kiedy jednak wybieram jej numer, nie ma sygnału i dostaję automatyczną odpowiedź, że połączenie jest niemożliwe. Rozłączam się i zamiast tego wysyłam wiadomość tekstową, przeklinając pod nosem swojego operatora.

– Gotowa? – pyta Beau.

Kiwam głową, bo nie bardzo wiem, co innego mogłabym zrobić. Beau przerzuca ramię przez oparcie mojego fotela i wykręca szyję, żeby sprawdzić, czy droga za nami jest wolna. Tyłem wtaczamy się na żwir i jedziemy na wstecznym przez mostek, skrawek lasu i na leżący dalej parking przy kościele. Beau ustawia furgonetkę przodem i zatrzymuje się.

Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że kościół wygląda nie tak, jak trzeba.

– O Boże.

Beau spogląda na mnie, po czym nachyla głowę, żeby sprawdzić, na co patrzę. Kościół ma ten sam kolor i stoi w tym samym miejscu, za to jest o wiele większy. Widzę całe skrzydło, którego nie powinno tam być – i nie było, kiedy niedawno przejeżdżałyśmy tędy z Megan!

– Widzisz to? – pytam.

– Ale co?

– To skrzydło. – Otwieram okno, żeby mieć lepszy widok, i pokazuję palcem. – Skąd to się wzięło?

– To dar rodziny Kincaidów – mówi Beau. – No, w każdym razie dali pieniądze na budowę.

– To ty znasz Kincaidów? – pytam, nic już nie rozumiejąc.

– Nie – mówi po chwili. – Moja mama chodziła kiedyś z facetem, którego poznała w tym kościele. Gość był w porządku. Mieli się na sto procent pobrać, gdy tylko się rozwiedzie z pierwszą żoną.

– Przecież Kincaidowie nie chodzą do tego kościoła – mówię.

Beau wzrusza ramionami i wyjeżdża na drogę, również opuszczając szybę. Przez jakiś czas jedziemy w milczeniu, ale nie czuję się niezręcznie, mimo wyraźnego napięcia między nami. W każdym razie dla mnie jest ono wyraźne. Dla porównania mam jedynie doświadczenia z Mattem, a to zupełnie ich nie przypomina.

Matt. Sama myśl o nim sprawia, że przewraca mi się w żołądku.

– Nie chcę jechać do domu – wyznaję. Jeśli tam wrócę, zacznę się tylko nad sobą użalać i będę się czuła samotna, będę się zadręczać myślami o Matcie i obsesyjnie zastanawiać nad ostrzeżeniem Babci i tym, dlaczego świat cały czas się zmienia. A kiedy siedzę z Beau, mam wrażenie, że te wszystkie sprawy nie mają do mnie takiego dostępu.

– W takim razie, dokąd chciałabyś pojechać, Natalie Cleary? – pyta Beau. – Masz ochotę na płatki z piwem?

Przelotnie odrywa spojrzenie orzechowych oczu od drogi i patrzy na mnie, a ja czuję, jak moją pierś przeszywa błyskawiczna fala gorąca, która rozchodzi się po ramionach i szyi. Beau obdarza mnie tym swoim uśmiechem, przez który jego powieki wydają się ciężkie. Wpadający przez okna wiatr rozwiewa mu włosy tak, że jeden kosmyk opada mu na usta.

Jakby chcąc pokazać, że nasze myśli chadzają podobnymi torami, Beau zdejmuje ramię z oparcia i odgarnia mi za ucho kosmyk włosów, a potem kładzie mi rękę za głową i odwraca się z powrotem do drogi.

Myśl o tym, że jadę do jego domu, sprawia, że czuję się, jakby w moich żyłach krążyły stada motyli. Ale kiedy przypominam sobie o wszystkim, co się wydarzyło, ogarnia mnie zimno. Chyba nie poradziłabym sobie, gdyby dziś wieczorem doszło do czegoś poważnego pomiędzy mną a Beau.

– Chciałabym pobyć trochę na dworze, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Jasne. – Beau zatrzymuje się na światłach, rozgląda po pustym skrzyżowaniu i zawraca samochód. Wjeżdżając na drogę do szkoły, mijamy tereny rodziny Matta

i z oddali dobiegają mnie stłumione odgłosy imprezy. Czuję ścisk w żołądku się i zamykam oczy, skupiając się na owiewającej mnie ciepłej bryzie, by odpędzić łzy.

Beau parkuje na uliczce za szatniami na tyłach boiska i wyłącza silnik.

– Wiedziałam – mówię.

– Co wiedziałaś?

– Niech zgadnę – dodaję. – Grasz w ataku.

– Skąd ta pewność, że w ogóle gram w futbol? – Beau wysiada z furgonetki, a ja idę za nim na tył samochodu.

– A nie grasz?

Beau odsuwa brezent na pace, wyciąga sześciopak piwa marki Miller High Life i stawia je na bagażniku.

– Daj spokój. Grasz i już – upieram się. Spoglądam w dół i rzeczywiście na podłodze furgonetki leży stara, zużyta w boju piłka. Podnoszę ją.

Beau patrzy na mnie przez chwilę i w końcu mówi z uśmiechem:

– Nie mam pojęcia, skąd to się tam wzięło.

Sięga po piłkę, ale odsuwam ją poza jego zasięg.

– Wiedziałam!

Beau odwraca się i prowadzi mnie w stronę boiska, wołając przez ramię:

– Daj tu tę piłkę, Cleary.

Przełazi przez druciane ogrodzenie, wciąż trzymając w lewej ręce piwo. Rzucam do niego piłkę i wspinam się za nim. Kiedy jestem po drugiej stronie, ale wciąż kilka stóp nad ziemią, skaczę, a on łapie mnie w pasie. Nie puszcza nawet wtedy, kiedy odwracam się twarzą do niego.

– Gram na pozycji biegacza – wyznaje.

Wycofuję się z jego ramion, czując muskanie jego palców, i śmieję się, sięgając po piłkę.

– No dobra, to pokaż, co potrafisz – mówię. – Kawa na ławę. Czy jakoś tak.

Beau wyciąga z plastikowej zgrzewki puszkę i podaje mi. Biorę chyba tylko po to, żeby mieć pretekst, by dotknąć jego ręki. Otwiera drugą puszkę dla siebie i idzie tyłem przez ciemne boisko.

– Możesz rzucać – woła.

Wsuwam piłkę pod ramię, otwieram piwo i pociągam gorzki łyk, po czym odstawiam puszkę na murawę. Ciskam piłkę, która mknie piękną spiralą, po czym spada na ziemię tak blisko, że aż wstyd. Beau przekrzywia krytycznie głowę.

– Hej, ale leciała ładnie – mówię obronnym tonem.

– No fakt – przyznaje Beau, idąc po piłkę. – Bardzo ładnie leciała przez te całe dwie sekundy.

Znowu się cofa i rzuca w moją stronę. Piłka wzbija się wysokim łukiem, a ja odwracam się i biegnę, obserwując małą rozmazaną plamkę ciemności, mknącą pod gwiazdami nad boiskiem. Kiedy docieram do pola punktowego, piłka wpada prosto w moje ręce i ciskam nią o ziemię. Beau klaszcze.

– Szybka jesteś, Cleary! – woła, a jego głos niesie się z daleka.

– A ty nieźle rzucasz. – Łapię piłkę i wracam w jego stronę, podczas gdy on nachyla się po puszkę. – Gotów?

Beau kiwa głową, wypija łyk, a ja rzucam. Biegnie do przodu i czysto łapie piłkę wolną ręką.

– Teraz było lepiej – mówi.

– Ale kłamiesz – odpowiadam.

– Racja, fatalny rzut.

– Ale przynajmniej jestem szybka – mówię. – To na wypadek, gdybyś zapomniał.

Beau kręci głową z szerokim uśmiechem.

– Gdzieżbym śmiał.

Idzie do tyłu i znowu rzuca piłkę, ale tym razem zaraz po rzucie zrywa się do biegu i pędzi w moją stronę. Ruszam sprintem do piłki i pola punktowego. Beau goni za mną.

Zaczynam się śmiać i nie mogę utrzymać tempa. To tak jak przy łaskotkach: człowiek nagle traci kontrolę nad rękami i nogami. Widzę, jak Beau pojawia się w kącie mojego pola widzenia, i skręcam gwałtownie w prawo, starając się zapanować nad sobą i utrzymać przewagę. Beau chwyta mnie w pasie i okręca, a ja wydaję z siebie pisk zmieszany ze śmiechem. Piłka wypada mi z rąk na ziemię. Beau stawia mnie, wciąż obejmując luźno ramionami, jego podbródek znajduje się nad moim ramieniem. Stoimy tak po prostu, kołysząc się w przód i w tył. Czuję na plecach jego ciepło, moja twarz muska leciutko jego policzek. Jeszcze nigdy zapach potu aż tak mi się nie podobał. Jego pot pachnie ładnie, jest ciepły i ziemisty, delikatny.

Odwracam się w jego ramionach.

– Dziękuję, że mnie dziś znalazłeś – mówię cicho.

– W porządku – odpowiada, kręcąc głową.

– W porzondku.

Kącik jego ust unosi się w uśmiechu, Beau nachyla się nade mną.

– Ja tak mówię?

Kiwam głową. Mogłabym go teraz pocałować, ale w końcu prawie go nie znam, no i jest jeszcze Matt…

Wysuwam się z jego objęć. Policzki nadal mi płoną. Znowu podnoszę piłkę i przebiegam ostatnie jardy, by przyłożyć ją w polu punktowym. Beau wyrzuca ręce na boki z udawanym oburzeniem.

– Mała żmija! Mogłem się domyślić, że chciałaś tylko odwrócić moją uwagę.

– Najstarsza sztuczka na świecie – mówię.

– Tak, sprawić, żeby przeciwna drużyna myślała, że chcesz się z nią całować – zgadza się. – Zazwyczaj nie działa aż tak skutecznie.

– To dlatego, że mam prawdziwy talent.

Siadamy na boisku z naszymi puszkami piwa i kilka minut mija w milczeniu, ale mimo to nie czuję się niezręcznie. Nie chcę, żeby zabrzmiało to perwersyjnie, ale przypominają mi się czasy, kiedy chodziłam z tatą do stajni. Potrafiliśmy spędzić w ciszy cały dzień i nawet tego nie zauważyć, póki nie wróciliśmy do domu i do mamy, stuprocentowej ekstrawertyczki, która zasypywała nas milionem pytań i żądała opowieści, co porabialiśmy. Lubię towarzystwo, w każdym razie zazwyczaj, i na pewno nie nazwałabym się nieśmiałą, ale z niektórymi ludźmi – na przykład z tatą albo z Megan – można sobie po prostu pomilczeć i potem człowiek czuje się tak, jakby odbył długą rozmowę od serca. Takie właśnie mam wrażenie, kiedy siedzę z Beau.

Beau kładzie się na murawie.

– Ładna jesteś, Natalie Cleary – mówi cicho.

Śmieję się i kładę obok niego z głową w zagłębieniu między jego ramieniem a obojczykiem. Czuję przy włosach jego nos i wargi i wiem, że gdybym podniosła teraz wzrok, na pewno byśmy się pocałowali. Dokładnie sobie wyobrażam, jakie to by było uczucie.

– Skąd jesteś? – pytam.

– Stąd – odpowiada Beau i mam wrażenie, że nic więcej już nie powie. Jego oczy są zamknięte, czoło poważne. – Ale kiedy byłem mały, mieszkałem przez jakiś czas z ojcem w Alabamie, a potem w Teksasie.

– A dlaczego tu wróciłeś?

Czuję, jak wzrusza ramieniem.

– Tata wytrzeźwiał, ożenił się powtórnie, a jego żona zaszła w ciążę. Uznali, że nie ma sensu, żebym dłużej z nimi mieszkał. Ale nadal pamięta o ważnych okazjach. Oczywiście nigdy na nie nie przyjeżdża, ale pilnuje, żeby co parę miesięcy przysłać mi butelkę whisky.

Opieram się na łokciu i patrzę na niego, aż wreszcie otwiera oczy.

– Strasznie mi przykro – mówię.

– W porzondku – mówi. – Zresztą tutaj jest mój dom.

Zastanawiam się, jakie to uczucie, wiedzieć to z tak absolutną pewnością. Tutaj jest mój dom. Rozglądam się po boisku, patrzę na gwiazdy i z powrotem w orzechowe oczy Beau. Słucham grania świerszczy i patrzę na latające wokół nas świetliki. Kiedy świat milknie i nikogo dookoła mnie nie ma, Union nadal wydaje mi się domem. Mam wrażenie, że to uczucie tak naprawdę nigdy mnie nie opuściło. To tylko ludzie sprawiają, że czuję się stłamszona i przytłoczona, jakbym znalazła się na scenie i wszyscy obserwowali każdy mój ruch, czekając na jakieś potknięcie.

Chciałabym sądzić, że jestem na tyle dojrzała, by wiedzieć, że ta myśl jest zarówno narcystyczna, jak i absurdalna, ale jednocześnie wciąż zachowuję się tak, jakby była prawdą. Przebywanie w towarzystwie innych mnie wyczerpuje. Ale przebywanie w towarzystwie Beau jest jak bycie sam na sam ze sobą, tylko lepiej – ta sama swoboda, lecz więcej zabawy.

Znowu się kładę i Beau obejmuje mnie ręką, jego palce zamykają się delikatnie na moim ramieniu.

– Ja nie znam swoich prawdziwych rodziców – mówię. – Adoptowano mnie, kiedy miałam jedenaście dni. Spędziłam tutaj całe życie, ale nie wiem, skąd tak naprawdę pochodzę.

– Założę się, że twoja matka była lekarzem – mówi Beau.

– Ach tak? Czemu tak myślisz?

– Pewnie z tego samego powodu, dla którego ty wiedziałaś, że gram w futbol.

– Bo jestem taka napakowana i chodzę w znoszonej koszulce? – pytam.

– Powiedz mi, że nie wyjeżdżasz na żadną nadętą uczelnię, żeby zostać lekarzem, prawnikiem albo kimś podobnym – mówi Beau.

– Nie do końca – odpowiadam.

Spogląda na mnie.

– Więc zostajesz tutaj.

– No… nie. – Nie mogę spojrzeć mu w oczy. – Wyjeżdżam na nadętą uczelnię, ale chyba będę studiować historię.

– Historia. – Beau unosi gęste brwi. – Zaskakująca z ciebie osóbka.

– Brzmi to nieciekawie?

– Powiedzmy, że nigdy nie był to mój ulubiony przedmiot – mówi.

– A co nim było?

– Pewnie gimnastyka – żartuje Beau.

– To była moja opcja zapasowa – mówię. – Tylko nie jestem pewna, czy na Brownie oferują dyplomy z przedmiotów, do których trzeba się przebierać w trykoty.

– Ich strata. – Beau unosi się lekko, żeby napić się piwa.

– Ale tak szczerze. Naprawdę gimnastyka?

Beau przesuwa oczami po rozgwieżdżonym niebie.

– Nie wiem… – mówi wreszcie. – Może stolarstwo na zajęciach technicznych.

Zastanawiam się, czy nie zażartować, że to kolejny przedmiot, do którego trzeba specjalnego stroju albo przynajmniej rękawic ochronnych, ale zamiast tego patrzę, jak jego pierś powoli unosi się i opada pod wpływem oddechu, i wyobrażam sobie jego ręce kształtujące drewno z taką samą czułością i entuzjazmem, z jakimi poruszały się tamtego wieczoru po klawiaturze w sali muzycznej. Wszystko do siebie pasuje: to naturalne, że dłonie, które potrafiły wydobyć takie dźwięki z klawiszy, umieją też tworzyć piękne przedmioty. Byłoby to fizyczne ucieleśnienie jego muzyki. Beau kieruje na mnie poważne spojrzenie.

– Ale tak szczerze, Natalie – mówi, papugując mnie. – Naprawdę historia?

– Historia – potwierdzam. – Albo studia kobiece.

– Studia kobiece. Czyli coś w rodzaju… – Beau waha się, po czym wzrusza ramionami i kręci głową, jakby nie potrafił sobie tego z niczym skojarzyć – … ginekologii?

Wlepiam w niego spojrzenie nie do końca pewna, czy mówi poważnie, aż w końcu Beau nie wytrzymuje i się uśmiecha.

– Będę z tobą szczery, Natalie – mówi. – W szkole nie przepadałem za czytaniem i oblałbym historię nie raz, ale dwa razy, tyle że nauczyciel nie chciał, żeby wywalili mnie z drużyny futbolowej. Ale owszem, słyszałem o studiach kobiecych.

– Więc wiesz o nich przynajmniej tyle, ile ja o stolarstwie.

– Dokładnie tak – przytakuje. – Więc czemu historia albo studia kobiece?

– Lubię rozumieć, jak wszystko do siebie pasuje: kto wpłynął na kogo, jak jedno wydarzenie doprowadziło do innego albo jak jedna mała rzecz może wszystko zmienić. To chyba dlatego, że… – waham się, próbując ująć w słowa bezkształtną myśl, która przychodziła mi do głowy miliony razy od odejścia Babci, ale której nigdy nie wypowiedziałam na głos – …czuję się, jakby ktoś zapomniał napisać mój początek i pojawiłam się w samym środku, w samą porę, żeby zobaczyć to. – Wyciągam ręce w parne nocne powietrze, jakbym chciała objąć niebo. – I właściwie nie rozumiem, co mam zrobić z tą teraźniejszością, bo nie widzę całości. Więc dopóki się nie dowiem, jakie jest moje miejsce w tym wszystkim, chcę słuchać opowieści innych ludzi. Poznawanie opowieści, które istnieją od wieków i setki razy prawie je utracono…

moim zdaniem to ważne.

Po krótkiej chwili milczenia Beau odzywa się:

– Pamiętam jedną opowieść z lekcji historii.

– Tak? Jaką?

– Kiedy testowali bombę atomową i wreszcie im się udało – zaczął – wszyscy zaangażowani w te prace wiedzieli, że świat nigdy już nie będzie taki sam. I jeden z tych facetów, którzy ją wynaleźli, powiedział: „Teraz stałem się Śmiercią, niszczycielem światów".

– Nawet sobie nie wyobrażam, jakie to musiało być uczucie. – Przetaczam się na bok, żeby popatrzeć na Beau, i widzę, że jego oczy utkwione są w gwiazdach, a czoło marszczy się z namysłem. – Powiedz mi coś. Jak to możliwe, że ktoś, kto „nie przepadał za czytaniem", potrafi dokładnie zacytować wynalazcę bomby atomowej?

– O, to dlatego, że jestem świetny w oglądaniu filmów. – Beau znowu uśmiecha się szeroko i zaraźliwie.

Policzki zaczynają mnie już od tego boleć, ale nie jestem w stanie ich rozluźnić.

– Poważnie?

Kiwa głową.

– No. Mogłem przejść na zawodowstwo.

– Więc tak naprawdę chcesz powiedzieć, że dobry z ciebie słuchacz.

– O tak – mówi Beau poważnie. – Najlepszy.

– Teraz tylko się popisujesz.

– No – przyznaje. – Ale to prawda. Opowiedz mi jedną ze swoich historii.

– A potem będziesz potrafił ją zacytować? – pytam wyzywająco.

– Jeśli będziesz dobrze opowiadać – odpowiada i uśmiecha się dopiero, kiedy na niego prycham.

Wyciąga rękę, by odsunąć mi włosy z ramienia, i wolno całuje mnie w bok szyi. Przeszywa mnie fala ciepła i czuję mrowienie, jakby jego usta były księżycem wzbudzającym przypływ w moich żyłach.

– Jaką historię chcesz usłyszeć? – pytam cicho, by ukryć drżenie głosu.

– Szczęśliwą.

Babcia opowiadała masę historii, które nazywała „szczęśliwymi”, ale pamiętam tylko jedną, po której rzeczywiście poczułam się szczęśliwa. Miałam dziesięć lat i śnił mi się koszmar, a kiedy się obudziłam, zastałam ją w pokoju.

– Czemu płaczesz, kochanie? – spytała, więc opowiedziałam jej mój sen.

To był jeden z tych powracających, w których jadę z mamą samochodem. Jedziemy przez wiejskie okolice, rozmawiamy i śmiejemy się. Na zewnątrz jest bardzo jasno, a niebo jest jasnobłękitne i bezchmurne, strumienie płynące wzdłuż drogi lśnią w słońcu. Nagle pojawia się przed nami ciemna kula, unosi się nad samochodem i spycha nas z drogi. Przelatujemy, kręcąc się, nad rowem i auto uderza przodem o grube drzewo, świat ciemnieje, grom rozdziera niebo i spływają na nas strugi deszczu. Samochód stopniowo zaczyna się wypełniać, nie wodą, tylko krwią, choć ani mama, ani ja nie jesteśmy ranne. Nigdy przedtem nie mówiłam nikomu o tym śnie. Za bardzo się bałam, że się spełni. Ale z Babcią to zupełnie inna sprawa.

– Miewałam dawniej taki sam sen – powiedziała mi. – Miałam wrażenie, że nigdy nie odejdzie. Ale odszedł, Natalie. W końcu odchodzi wszystko poza prawdą. A teraz połóż się, a ja opowiem ci historię.

I opowiedziała, a historia ta brzmiała tak:

Na samym początku Księżyc, Słońce, Wiatr, Tęcza, Grom, Ogień i Woda mieszkali na ziemi. Po prostu obudzili się tam, nie wiedząc, skąd się wzięli, i nic im to nie przeszkadzało. Żyli sobie szczęśliwie, aż któregoś dnia napotkali bardzo Starego Człowieka. Ten Stary Człowiek okazał się ich przywódcą, Wielkim Duchem. Dopiero co skończył kształtować ludzi, by wypełnili wszystkie miejsca pomiędzy Księżycem, Słońcem, Wiatrem, Tęczą, Gromem, Ogniem a Wodą.

– Stary Człowieku – rzekł Grom – czy możesz uczynić ludzi mymi dziećmi?

Ale Stary Człowiek rzekł:

– Nie, Gromie. Nie mogą być twoimi dziećmi, ale mogą być twymi wnukami.

Słysząc to, Słońce z kolei zapytało:

– Stary Człowieku, czy w takim razie możesz uczynić ludzi moimi dziećmi?

A Stary Człowiek odrzekł:

– Nie, Słońce. Oni nie są twoimi dziećmi. Mogą być twoimi przyjaciółmi. Będą twoimi wnukami. Ale twoim głównym zadaniem jest okryć ich światłem i zapewnić im ciepło.

Dalej zapytał Księżyc:

– Stary Człowieku, jeśli nie mogą być dziećmi Słońca, czy możesz uczynić ich moimi?

– Nie, nie mogę oddać ci ludzi tego świata, Księżycu – powiedział Stary Człowiek. – Będziesz ich wujem i przyjacielem, będziesz oświetlał im drogę nocami, dając im jednocześnie spoczynek.

– Stary Człowieku, proszę, uczyń ludzi tego świata moimi dziećmi – powiedział Ogień.

– Nie mogę tego zrobić, Ogniu – odparł Stary Człowiek. – Będą twymi wnukami.

Stworzyłem cię, byś ogrzewał ich w zimie i w nocy. Będziesz gotował im jedzenie, by mogli napełnić żołądki.

Potem zapytał Wiatr, lecz odpowiedź Starego Człowieka brzmiała tak samo:

– Nie, przyjacielu Wietrze. Będą oni jednak twymi wnukami, ty zaś będziesz oczyszczał powietrze, którym oddychają, czyniąc ich zdrowymi i silnymi.

– Stary Człowieku, a czy ja mogłabym dostać ludzi za dzieci? – spytała Tęcza.

– Nie mogą być twymi dziećmi – wyjaśnił Stary Człowiek. – Ty zawsze będziesz zbyt zajęta pilnowaniem, by deszcze nie padały zbyt ulewnie i by nie zrywały się powodzie, oraz malowaniem nieba ku uciesze ich oczu.

– A co ze mną, Stary Człowieku? – spytała Woda.

– Nie – rzekł Stary Człowiek. – Ludzie tego świata nie mogą być twoimi dziećmi, Wodo. Ale ty będziesz ich oczyszczać i gasić ich pragnienie, dzięki tobie będą mogli przeżywać długie żywoty na tej ziemi.

Księżyc, Słońce, Wiatr, Tęcza, Grom, Ogień i Woda popatrzyli na siebie, nie rozumiejąc. Wtedy Stary Człowiek mówił dalej:

– Dobrze was stworzyłem i powiedziałem wam, jak macie żyć, by najlepiej pomóc ludziom tego świata. Ale zawsze musicie pamiętać, że te dzieci ludzkiej rasy są moimi dziećmi.

I taka, zakończyła Babcia, jest prawda.

Dzisiaj, przy Beau, ta opowieść budzi we mnie te same uczucia co za pierwszym razem: czuję się niczym wyzwolona od koszmaru, jakby świat objął mnie ramionami.

Kiedy kończę, Beau milczy przez kilka chwil, patrząc w zamyśleniu na niebo, aż w końcu mówi:

– Naprawdę jesteś dobra.

– W opowiadaniu historii? – pytam.

– W tym… i w ogóle.

– We wszystkim – zgadzam się.

– Z wyjątkiem futbolu.

– A tam, nie jestem taka zła. Po prostu gorsza od ciebie.

Beau opowiada mi o swoim pierwszym meczu, kiedy zdobył punkt, tylko w nie tej strefie końcowej co trzeba, o swojej pracy w warsztacie samochodowym i że o wiele bardziej wolałby pracować w budownictwie, ale jakoś nie może dostać wystarczająco dużo godzin. Któregoś dnia chciałby wybudować dom. Mówię, że mógłby zbudować coś i dla mnie i że koniecznie muszę mieć ganek. Beau przytakuje, bo co to za dom bez ganku. Opowiada mi, jak jego matka znika czasami na kilka miesięcy, kiedy wydaje jej się, że poznała Tego Jedynego, a po jakimś czasie wraca tak załamana, że przez tydzień nie może wyjść z łóżka, i nie chce mówić, co się stało. Ja z kolei mówię mu o tym, jak mama potrafi zmienić wszystko, co robię lub czuję, w jakąś metaforę na temat mojej „adopcyjnej odysei".

– Myślisz, że ma rację? – pyta Beau.

– Nie wiem – odpowiadam szczerze. – Czasem myślę, że nie czułabym się tak zagubiona, gdyby mama nie starała się tak usilnie przekonać mnie, że to nic złego, iż próbuję się odnaleźć. Zawsze wiedziałam, że jestem inna od reszty rodziny, ale nie czułam potrzeby, żeby się usprawiedliwiać, dopóki nie poszłam do szkoły. Za każdym

razem, kiedy rodzice podwozili mnie na jakieś przyjęcie urodzinowe albo zabierali na lekcje czy na basen, wszyscy koledzy z klasy pytali, dlaczego wyglądam inaczej niż oni. Znaczy, mama przygotowała mnie na to. Ale któregoś dnia jeden dzieciak z sąsiedztwa zapytał, jak się naprawdę nazywam. Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi. A on na to: „No wiesz, jak brzmi twoje indiańskie imię? Mknąca Łania albo coś w tym stylu?". Więc zapytałam rodziców, czy mam jakieś indiańskie imię, i zaczęli się śmiać, ale kiedy wyjaśniłam, dlaczego pytam, mama wściekła się nie na żarty. Zaczęła czytać różne rzeczy i przygotowywać mnie na wszelkie potencjalnie krępujące sytuacje, ale jednocześnie powtarzała: „Pamiętaj, kochanie, nie musisz odpowiadać na niczyje pytania, jeśli nie masz ochoty. To nie ich interes, tylko twój".

– Wow – mówi Beau. – Nie wiedziałem, że sześciolatki mają interesy.

– No właśnie – zgadzam się. – Aha, a potem zaczęła mi kupować książki dla dzieci o historii i kulturze rdzennych Amerykanów. Zostawiała je w moim pokoju i wtrącała zdawkowo, że powinnam być dumna z tego, kim jestem, ale to chyba tylko sprawiło, że zaczęłam się czuć jeszcze bardziej inna. Któregoś roku, chyba kiedy miałam sześć lat, chciałam się przebrać na Halloween za Pocahontas. Tę disnejowską wersję, naturalnie. Mama jakoś dziwnie na to zareagowała, właściwie próbowała mnie zniechęcić, lecz nie chciałam ustąpić, więc w końcu zrobiła mi kostium. Ale kilka lat później przeczytała jakiś artykuł o rasistowskich wizerunkach Indian w kulturze popularnej i tym, jakie to szkodliwe. Potem wpadła na jakiś esej opublikowany po tym, jak pewien projektant trafił do gazet, bo pokazał na wybiegu modelki w przybraniach głowy plemienia Nawaho, i w tym eseju pisano, jak to współczesna amerykańska kultura popularna wyzyskuje i zawłaszcza kulturę indiańską. Mama miała takie wyrzuty sumienia, że przyszła do mnie i zaczęła przepraszać. Nawet płakała, a ja nie miałam pojęcia, o co jej chodzi, bo zupełnie nie zachowywała się jak moja mama. Tak jakbym była dla niej zupełnie obcą osobą.

Beau wzrusza ramionami.

– A nie jesteś?

– Co masz na myśli? – pytam zdziwiona.

– Wydaje mi się, że wszyscy rodzice zaczynają od przekonania, że dziecko to część nich samych, kolejne usta, które muszą karmić, kolejne ciało, które muszą ubierać. Aż któregoś dnia patrzą na nas i nagle widzą, że staliśmy się osobnymi ludźmi. Już nie jesteśmy częścią nich, nawet jeśli oni są częścią nas. Ci, którzy i tak nigdy nie chcieli być rodzicami, czują pewnie ulgę. Ale dla takich mam jak twoja… no nie wiem, pewnie było jej smutno, kiedy zdała sobie sprawę, że twoje życie będzie się różniło od jej życia. Na pewno się bała, kiedy dotarło do niej, że nie będzie w stanie cię ochronić i że będziesz musiała sobie radzić z problemami, których ona nigdy nie doświadczyła.

– Tak… – mówię cicho. – Pewnie masz rację, ale jako dziecko i tak nie znosiłam tego, że jestem od niej inna. Czułam się jak nienormalna. Chyba podświadomie przez większość dzieciństwa próbowałam odpędzić to uczucie. Dołączyłam do zespołu tanecznego, nauczyłam się śmiać z dowcipów, jak to rozmawiam z wilkami albo łapię ryby gołymi rękami. Specjalnie starałam się być w centrum życia towarzyskiego. A potem zaczęłam chodzić z takim bardzo popularnym chłopakiem… – milknę, myśląc o tych latach po zniknięciu Babci, kiedy zostałam sama jedna na świecie, do którego

usilnie starałam się dopasować. Nie było już cichych chwil, kiedy reszta Union spała, a ja leżałam i słuchałam jej historii, opowiadanych lekko zachrypniętym głosem, wypełniających mnie barwnymi kroplami prawdy. To były fragmenty mnie samej. Wtedy zaczęłam sobie zdawać sprawę, że nie umiem już powiedzieć, gdzie kończy się fałszywa ja, a gdzie zaczyna prawdziwa.

– Sama nie wiem… Trudno żyć w otoczeniu ludzi, choć przeważnie są to dobrzy ludzie, którzy tego nie rozumieją, którzy myślą, że jeśli coś mi przeszkadza, to znaczy, że jestem sztywna i dziwna. Mam wrażenie, że czasem uważają, iż jestem taka jak oni, właśnie kiedy pod danym względem się od nich różnię, i to naprawę okropne uczucie, a kiedy indziej wydaje im się, że jestem od nich inna, kiedy ja akurat zupełnie tego nie czuję, i to też jest straszne.

Beau zastanawia się nad tym przez chwilę, po czym pyta cicho:

– Dlatego właśnie wyjeżdżasz na tę swoją nadętą uczelnię?

– Może – przyznaję. – Trudno mieć poczucie, że należysz do jakiejś społeczności, kiedy sam nie wiesz, kim jesteś. I trudno się tego dowiedzieć, kiedy nie wiesz, skąd pochodzisz.

– Może ci się po prostu poszczęściło.

– Poszczęściło? Niby jak? – pytam. – Nie masz pojęcia, jakie to trudne, kiedy nie potrafisz dostrzec siebie w nikim z otaczających cię ludzi. Ani kiedy ciągle każą ci próbować.

Beau wzrusza ramieniem pod moją głową.

– A ty nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy dostrzegasz siebie w ludziach, których nie lubisz. Możesz być tylko sobą: nie masz ojca nieroba, matki alkoholiczki, nie ciąży na tobie żadna rodzinna klątwa.

– A może właśnie wszystkie te rzeczy się na mnie składają, tylko świetnie to ukrywam.

– Wiesz, o czym teraz myślę? – pyta Beau.

– O futbolu? – zgaduję, a on śmieje się bezgłośnie.

– O tym też – mówi. – I o tym, że pasujesz tu bardziej niż jakakolwiek inna znana mi osoba.

– Coooo? – pytam, siadając. – Jak to?

– Po prostu tak mi się wydaje.

– Tak ci się wydaje.

– Owszem – upiera się.

– Okej, w porzondku.

– W porzondku. – Po chwili pyta: – Znasz jeszcze jakieś inne opowieści, Natalie Cleary?

Opowiadam o Dziewczynie, Która Spadła z Nieba. Potem wypijam ostatnie piwo i opowiadam o Wampirzym Szkielecie, o Duchu Tetonów i o Podziemnym Domu Duchów.

Kończę właśnie historię Brata Czarnego i Brata Czerwonego, kiedy moja leżąca w trawie komórka zaczyna wibrować.

– Poczekaj chwilę – mówię do Beau.

Siadam, by odebrać telefon od Megan, i dopiero teraz zauważam, że słońce powoli

zaczyna już wschodzić, a niebo robi się ciemnoniebieskie. Przesiedzieliśmy tak całą noc i trudno mi powiedzieć, czy mam wrażenie, że minęło tylko kilka minut, czy całe dnie.

– Halo? – mówię.

– Boże, strasznie cię przepraszam – mówi szeptem Megan.

– Czemu mówisz szeptem?

– Zasnęliśmy z Brianem u Matta. Właśnie wyjeżdżam. Gdzie jesteś? Nic ci nie jest?

– Wszystko w porządku… Jestem na boisku do futbolu.

Słyszę odgłos zamykanych drzwi i głos Megan wraca do normalnego poziomu.

– Boże, Nat. Tak strasznie cię przepraszam. Strasznie, strasznie, strasznie, strasznie, strasznie cię przepraszam. Już jadę. Nie ruszaj się stamtąd.

– Mogę cię podwieźć do domu – wtrąca Beau obok mnie.

– Kto to? – piszczy Megan. – Czy to on? Ale ma niski głos!

Zakrywam słuchawkę ręką.

– To Megan. Jest jeszcze u Matta – wyjaśniam. – Będzie tu za kilka minut. – Beau kiwa głową i odkrywam słuchawkę. – To do zobaczenia za chwilę – mówię do Megan.

Zbieramy z Beau puszki, przerzucamy je z piłką przez ogrodzenie i przełazimy na drugą stronę. Beau znowu mnie łapie i tym razem nawet się nie waha. Opiera mnie lekko o siatkę i całuje w kącik ust, zaciskając ręce na moich biodrach. Zza drzew przedziera się światło, coraz bardziej żółte z nadejściem świtu, podkreśla złotobrązowe pierścienie dookoła jego zielonkawych tęczówek.

Całą noc przymierzaliśmy się do tego pocałunku, ale kiedy Beau się odsuwa, wciąż czuję się zawstydzona i oszołomiona. Z przerażeniem słyszę, jak z moich ust wydobywa się słowo:

– Dziękuję.

Beau śmieje się i dotyka moich włosów.

– Służę pomocą.

W ciszy poranka słyszę samochód Megan skręcający w ulicę na przeciwnym końcu boiska. Puszczam Beau i oglądam się. Megan parkuje na szczycie wzgórza, opuszcza okno i macha.

– Podwieźć cię tam? – pyta Beau.

– Nie trzeba. Przyda mi się spacer.

Beau wyjmuje telefon – jest dwa modele starszy od mojego i wygląda na bardzo zniszczony – i podaje mi go bez słowa. Wpisuję swój numer i oddaję.

– Jeszcze raz dzięki – mówię, po czym dorzucam pospiesznie: – Za to, że uratowałeś mnie od tej imprezy. Przykro mi, że sam ją przegapiłeś.

– Mówiłem ci już, czemu tam poszedłem – mówi Beau.

Przez chwilę milczymy, aż w końcu żegnam się niezręcznie i ruszam pod górę w stronę auta Megan.

– To cześć, Natalie – mówi Beau, a ja odwracam się po raz ostatni i macham ręką.

Gdy tylko wsiadam do samochodu, Megan znowu zaczyna mnie przepraszać, ale kiedy zawracamy i odjeżdżamy, milknie, a potem mówi:

– No dobra, stał tak daleko, że prawie nic nie widziałam, ale… wow.

– No, wiem.

– Wow – powtarza Megan. – Nawet sobie nie wyobrażam, jak to Ucieleśnione Lato

musi wyglądać z bliska.

– Oj, nie, nie wyobrażasz sobie.

– Boże – mówi Megan. – Taka jestem podekscytowana, że cała się trzęsę.

– A co z tobą i Brianem? – pytam.

– E tam – zbywa Megan. – Całowaliśmy się. A potem zasnęłam. Zły znak?

– Niekoniecznie.

– A dziś rano nawet się z nim nie pożegnałam. Co o tym powiesz?

– To nic nie znaczy – stwierdzam. – Pewnie byłaś po prostu skrępowana.

– Może. – Megan patrzy na mnie i marszczy nos. – Smakował cheetosami.

– Fuj, chyba zwymiotuję.

– Wiem – jęczy Megan.

– Prawdziwy pocałunek śmierci.

– Dokładnie – zgadza się. – Już nie żyję. Po prostu moje ciało jeszcze się nie połapało.

– Pewnie te cheetosy były obłożone jakimś zaklęciem reanimacyjnym – podpowiadam.

Megan na sekundę opiera czoło o kierownicę.

– A tak mi się podobał. No, wreszcie to powiedziałam. Jak to się mogło tak skończyć?

– Hm, a czy istnieje jakaś szansa, że po prostu… no nie wiem… jadł przedtem cheetosy?

– Nie żebym była specjalistką od medycyny śledczej, ale prawdopodobieństwo, że tak właśnie było, wynosi jakieś sto procent.

– Przykro mi.

– Tobie jest przykro? Przecież to ja cię porzuciłam, żeby całować się z produktem korporacji Frito Lay!

– Meg, poważnie, gdybym cię potrzebowała, tobym po ciebie przyszła i nic by mnie nie obchodziło, że właśnie się całujesz z pochodną sera w proszku.

– Umieram – jęczy Meg. – Za każdym razem, kiedy o tym myślę, umieram po tysiąckroć.

– A ja myślę, że powinnaś dać mu jeszcze jedną szansę.

Megan patrzy na mnie z wyrazem najwyższego przerażenia.

– Tylko dlatego, że jesteś w romantycznym nastroju! Sama przed chwilą całowałaś się z kimś, kto na pewno nie smakował jak podłoga w domu Dereka Dillhorna po jego urodzinach w czwartej klasie!

– Stawiam na to, że usta Briana nie zawsze smakują w ten sposób.

– Zobaczymy – mówi Megan. – Może się okazać, że nie zdobędę się na drugie podejście. Hej, chcesz zajechać do Waffle House? Umieram z głodu. I chcę usłyszeć całą historię. Marzę o gofrach i marzę, żeby się wszystkiego dowiedzieć.

– Brzmi nieźle, ale chyba najpierw muszę się zdrzemnąć przez jakieś dziesięć godzin. Może pójdziemy razem na kolację? – Przejeżdżamy akurat przed prezbiteriańskim kościołem, który znowu wygląda jak zawsze: dodatkowe skrzydło zniknęło, tak samo jak parking przerastający liczbę niedzielnych uczestników nabożeństwa. – Hej, widzisz może coś dziwnego w tym budynku? – pytam.

Megan wygląda za okno.

– Wszystko pokrywa obrzydliwa, jadąca serem pomarańczowa mgiełka, ale może to tylko moja wyobraźnia.

Zatrzymujemy się przed moim domem. Megan zakrywa oczy rękami, odchyla głowę na oparcie i jakby tego było mało, zaczyna jęczeć.

Klepię ją po ramieniu.

– To minie.

Megan prostuje się i wzdycha.

– Obyś miała rację.

Wysiadam z samochodu. Nogi uginają się pode mną ze zmęczenia. Macham do Megan, kiedy odjeżdża. Odwracam się w stronę domu akurat w momencie, kiedy zza drzwi wypada Gus.

– Jack! – krzyczę zirytowana.

Nigdy nie zamyka na klucz frontowych drzwi, które potem same się otwierają, więc Gus ciągle biega po okolicy. Rzucam się, by złapać go za obrożę, nim ucieknie, ale w momencie, gdy zaciskam na niej palce, wszystko znowu się powtarza.

W jednej sekundzie Gus stoi przede mną, w kolejnej znika. Prawie zaczynam wrzeszczeć, kiedy w rękach zostaje mi pusta obroża. Obracam się dookoła, rozglądając po opustoszałej okolicy.

– Gus? – Mój pies zniknął i nie wiem, co robić. Dalej się obracam, wołając go coraz głośniej: – Gus! Gus!

I nagle wraca. Jakby nigdy nic, stoi w obroży i próbuje zaciągnąć mnie na koniec ulicy, gdzie mieszka absolutnie przerażający pudel. Zapieram się nogami i ciągnę go z powrotem do domu.

W głowie mam zamęt. W żołądku mi się przewraca. Ciągnę Gusa i wbiegam na ganek, ale nagle staję jak wryta. Mam wrażenie, jakby moje serce wpadło na ścianę. Gus znowu zniknął. Drzwi i okiennice są czerwone, a nie zielone jak zawsze. Jestem tak przerażona, że z jakiegoś powodu wciąż usiłuję wepchnąć klucze w zamek, ale to na nic. Wnętrzności strasznie mnie bolą i ledwo oddycham, szarpię się z kluczem, panika zaczyna zalewać mnie jak fala kwasu.

– Gus – mówię znowu. A potem: – Babciu. Babciu! Jesteś tam? Proszę cię!

Wreszcie klucz wsuwa się w otwór i na moich oczach drzwi znowu robią się zielone i pojawia się Gus.

Wbiegam do środka, ciągnąc psa za sobą, i zamykam drzwi na klucz. Opieram się o nie bezwładnie i zsuwam na podłogę. Obejmuję Gusa za szyję, a z oczu płyną mi łzy. Wtulam się w jego sierść, czekając, aż przestanę się trząść.

11

Moja pierwsza sesja z Alice dziwnie przypomina wszystkie poprzednie spotkania z psychologami, nie licząc jej zawalonego biurka, puszczania balonów z gumy i tego, że od czasu do czasu przewraca oczami, kiedy mówię coś, z czym się nie zgadza. Mam wrażenie, jakby tylko wcielała się w rolę terapeutki, odgrywała ją tak, jak ja to robiłam na dodatkowych zajęciach z psychologii.

Jakbyśmy tylko bawiły się w lekarza, póki nie trafimy na coś, co faktycznie może się przydać, a wtedy Alice nachyla się do mnie, bębni palcami po ustach, po czym zapisuje coś byle jak w notesie.

– Jesteś pewna, że nie da się tego załatwić szybciej? – pytam. – Może gdybyś mi powiedziała, co tam zapisujesz…

– Nie da się szybciej – mówi Alice, notując jak szalona. – Idę za intuicją. Niektóre rzeczy mogą ci się wydawać banalne, ale właśnie w nich może kryć się klucz. A inne mogą sprawiać wrażenie bardzo ważnych i nie mieć z tym nic wspólnego. Po prostu mów dalej.

No to mówię. Mówię przez równe dziewięćdziesiąt pięć minut i nie milknę nawet na sekundę. Czuję się przy tym bardzo produktywnie – w końcu to ma do czegoś prowadzić, więc muszę brnąć naprzód.

Opowiadam o swoich napadach wściekłości i jak taniec je ze mnie wyciągnął, i jak mama myślała, że może to znaczy, że mam ADHD. Opowiadam o nocnych strachach, które zaczynały się od koszmarów i zmieniały w gości przy moim łóżku, a ja krzyczałam, póki nie zniknęli, a potem przybiegał tata z kijem bejsbolowym, który trzyma pod łóżkiem. Mówię o rzeczach, których nigdy nie mówiłam na głos, nawet innym terapeutom, bo od samego mówienia czuję się słaba, a kiedy czuję się słaba, płaczę, a kiedy płaczę, tracę kontrolę. Mówię, że kiedy byłam mała, Debra Messing, Isla Fisher i Amy Adams wydawały mi się ideałami piękna, a kiedy bliźniaki skończyły trzy lata i ich dziecięce blond włoski zaczęły ciemnieć do rudawego blondu mamy, w głębi serca byłam zrozpaczona, jakbym coś straciła, nieważne, że brzmiało to strasznie głupio i egoistycznie. Bliźniaki zaczynały przypominać rodziców, a ja zawsze będę wyglądać jak obca.

Mówię Alice całą prawdę, bo po raz pierwszy bardziej zależy mi na tym, żeby terapia podziałała, niż na ukryciu rzeczy, których się w sobie boję.

W którymś momencie wchodzimy na teraźniejszość.

– Te Rzeczy, Które Są Nie Tak – mówi Alice. – Te zmiany czy przebłyski. Opowiedz mi o nich więcej.

Więc opowiadam o ostatnich zajściach z Gusem, z bizonami i z odnowionym kościołem. Ale im dłużej mówię, tym bardziej doskwiera mi przeszywający ból za oczami.

– Nie rozumiem, co się dzieje – dyszę.

– Jesteś we właściwym miejscu – odpowiada Alice, nie podnosząc wzroku znad notesu. Na jej kolanach leży dyktafon, który dziś przyniosłam. – To jest, być może.

Mam nadzieję. W idealnym świecie, owszem, byłabyś teraz we właściwym miejscu. Słuchaj, może i przez całe życie odbywałaś te długie rozmowy z jedną z Nich, ale to, co się z tobą dzieje w tej chwili, jest o wiele bardziej powszechne. No, może normalnie zdarzałoby się tylko podczas zasypiania i wybudzania, ale zasada jest ta sama.

– No więc o co w tym chodzi? – pytam.

– Za wcześnie, żeby powiedzieć. Wiem tylko, że większość ludzi opisuje bardzo krótkie nawiedzenia, jak te przebłyski, o których mówiłaś. Budzisz się i nie jesteś w swoim pokoju, ale gdy tylko zaczynasz krzyczeć, natychmiast wracasz. Przysypiasz w autobusie i kiedy otwierasz oczy, ktoś się na ciepie gapi. Podrywasz się i ta osoba znika. Słyszysz czyjąś rozmowę na dole, więc schodzisz i widzisz jakichś ludzi, którzy jedzą kolację w twoim domu. Włączasz światło i znikają. Zazwyczaj nawet cię nie widzą. A jeśli już, wtedy zdaniem pacjentów są tak samo zaskoczeni. Oni chyba nie do końca zdają sobie sprawę z naszego istnienia.

– Babcia sobie zdawała.

– Babcia, podobnie jak ty, jest inna, droga Natalie. I dlatego właśnie to takie ważne.

– Ona naprawdę jest Bogiem, prawda? – pytam.

Alice głośno wypuszcza powietrze.

– Rozmawiasz z naukowcem, który studiuje nocne halucynacje, wychodząc z założenia, że wiążą się z czymś paranormalnym. Jestem ostatnią osobą, którą powinnaś pytać, czym jest Bóg i czy w ogóle istnieje. Osobiście nigdy nie trafiał do mnie pomysł, że gdzieś tam istnieje jakaś siła wyższa, no ale z drugiej strony zdaniem reszty tutejszych wykładowców równie dobrze mogłabym kierować Zakładem Studiów nad Krasnoludkami. Wiem tylko, że Babcia i wszystkie wizje, które miałaś przed nią, są czymś. Bóg, duch czy coś pomiędzy; dowiemy się, kim ona jest. Wierzę w to, Natalie.

Następnego dnia wszystko znowu się powtarza, kiedy idę z Jackiem do samochodu. Okiennice i drzwi migają mi na czerwono. Obręcz do koszykówki na podjeździe i mój młodszy brat znikają. Stoję na środku podwórka, cały świat wydaje się nieruchomy i zastygły jak galareta, mam wrażenie, że każdy krok to jak przecinanie żelatyny.

Ale równie szybko przez tę ciszę przedziera się jakiś dźwięk i podrywam się z miejsca.

– No szybciej! – woła Jack z samochodu.

Nachyla się nad fotelem kierowcy i trąbi klaksonem. Nie przejęłabym się tym, gdybym wiedziała, jakim sposobem tak nagle się tam przeniósł. Otrząsam się i wsiadam do auta.

– Sorry – mówię. – Wydawało mi się, że zapomniałam telefonu.

Jack prycha śmiechem, po czym zaczyna udawać, że to tylko odchrząknięcie – to sztuczka, którą często posługuje się tata, kiedy mama nie pochwala jego rozbawienia.

– Nic, nic – mówi Jack pospiesznie, nim zdążę zgromić go wzrokiem. – Tylko że od kuchni do drzwi zdążyłaś popatrzeć na niego jakieś trzy razy.

Policzki mi czerwienieją i uruchamiam samochód, udając, że nic nie słyszałam. Od urodzin Matta minęły cztery dni. Nadal się wściekam z powodu tego, co zaszło na imprezie, ale to przez Beau miotam się od podniecenia do obsesyjnych rozmyślań. Chyba już tylko incydenty z Rzeczami, Które Są Nie Tak, i myśl o wyjeździe Megan do

Georgetown za kilka dni potrafią oderwać mnie od zastanawiania się, czemu nie zadzwonił.

Jadąc do szkoły, robię dokładnie to samo co przez ostatnie dwa lata, kiedy nie chciałam o czymś myśleć: wyobrażam sobie siebie na studiach – z nowymi znajomymi, którzy nie wiedzą o Matcie i których nie obchodzi, czemu zrezygnowałam z tańca; w miejscu, gdzie mogę zacząć od nowa. Ale te marzenia na jawie nie przynoszą mi ulgi. Za bardzo jestem wściekła na Matta i za bardzo zawstydzona tym, co wydarzyło się między mną a Beau. W tamtym momencie wszystko wydawało się zupełnie naturalne, słodkie i szczere, odczuwałam to tak intensywnie, że byłam przekonana, iż on musi czuć to samo. Teraz zmuszona jestem odgrywać w głowie wszystkie te intymne szczegóły i aż się krzywię na myśl o tym, jak się przed nim odsłoniłam.

Kiedy zatrzymuję się pod bramą od strony szatni, Jack wyskakuje z samochodu.

– To cześć! – krzyczy, ale nie odjeżdżam od razu.

Patrzę na niego, kiedy pędzi sprintem przez murawę. Pojawia się i znika na moich oczach – zupełnie jak Beau wtedy podczas zakończenia roku. Potem widzę w oddali jego kolegów z drużyny, którzy tak samo migają mi niczym światła stroboskopowe. Tylko że znikają inaczej niż Jack: przesuwają się, zmieniają pozycje z niemożliwą szybkością: raz są po lewej stronie boiska, raz po drugiej; w jednej chwili robią pajacyki, w drugiej biegną truchtem po zewnętrznym torze bieżni. Zwracam uwagę na jednego z nich, T.J. Bishopa, którego fryzura oscyluje między jeżem a żałośnie krótkim kucykiem, jego ciało zaś na przemian rośnie w tężyznę i szczupleje jakby w jakimś równym, naprzemiennym rytmie.

– Rzeczy, Które Są Nie Tak – mówię do siebie na głos.

Nadal nie mam pojęcia, co mogą oznaczać.

Po niebie przetacza się grom, ale wydaje się odległy i łagodny, jak basowy bęben stłumiony ręcznikiem. Siedzimy z Megan w garażu. Drzwi są uchylone, żebyśmy mogły patrzeć na rzęsistą ulewę walącą w podjazd i w niebieskozieloną roślinność rosnącą dookoła podwórka.

Od kiedy pamiętam, oglądałyśmy razem burze i zawsze napełniało mnie to poczuciem spokoju. Nie musimy rozmawiać, by czuć się szczęśliwe i rozumiane. Wystarczy deszcz zalewający uliczkę. Wiem to po jedenastu latach przyjaźni. Może jesteśmy od siebie różne, ale w tej chwili czujemy dokładnie to samo: ten smutny rodzaj szczęścia, kiedy człowiek zupełnie nagle zdaje sobie sprawę, jak doskonałe jest jego życie. Tak doskonałe, że aż boli, można by się wręcz popłakać. Tak doskonałe, że choć wszystko, co znasz, właśnie się kończy, szczerze wierzysz, że życie nadal będzie piękne, nawet – a może szczególnie – w tych czystych momentach, kiedy czujesz ból straty.

Siedzimy tak całymi godzinami. Kiedy deszcz wreszcie przestaje padać, wstajemy i otrzepujemy uda z piachu i smug po zaciekach z benzyny.

Pożegnania zawsze przychodziły nam równie naturalnie jak cisza: dziewięć razy na dziesięć przyjmują postać milczącej zgody. Żadnego „Muszę lecieć” ani „Która to już godzina”. Megan uśmiecha się i obejmuje mnie mocno.

– Kocham cię – mówi.

– Ja ciebie też – odpowiadam. – Uważaj w drodze do domu. I w drodze na studia.

– Zobaczymy się bardzo niedługo – mówi Megan i potwierdzam to ruchem głowy, nie chcę w to wątpić.

Megan naciąga kaptur cienkiej bluzy i biegnie przez mżawkę do swojej czarnej hondy zaparkowanej przy krawężniku.

Włącza światła i wycofuje auto. Gdy tylko wracam do pokoju i zamykam drzwi, widzę rozstawione wszędzie kartony. Na ten widok nie wytrzymuję i wybucham płaczem. Wypłakawszy się, wyciągam dyktafon Alice i opowiadam kolejną historię o miłości i bólu.

– Był sobie kiedyś młodzieniec, któremu wydawało się, że jest zakochany w pięknej kobiecie – zaczęła Babcia. – Poszedł więc do jej ojca, który był wodzem, i powiedział, że chciałby poślubić jego córkę. „Przyprowadź mi tabun koni, odparł wódz, a będziesz mógł ożenić się z moją córką”. Tak więc młodzieniec wyruszył w dzikie ostępy w poszukiwaniu koni, by zadowolić wodza.

Kiedy był daleko, plemię przeniosło się gdzie indziej. Młodzieniec złapał co prawda kilka wspaniałych rumaków, lecz gdy wrócił, nikogo nie zastał. Zamierzał ruszyć w ślad za plemieniem, ale słońce stało już bardzo nisko na niebie, więc postanowił najpierw wypocząć. Udał się do pobliskiego szałasu, ale nie mógł znaleźć wejścia. Wreszcie przekopał się przez darń, która go otaczała, i dostał się do środka, a tam zastał łoże pogrzebowe na czterech wysokich kolumnach.

Na łożu leżała młoda kobieta w szatach ozdobionych zębami łosia. Odwróciła się i popatrzyła na młodzieńca. Ten natychmiast rozpoznał w niej członkinię swego plemienia. Widać umarła, gdy był daleko. Teraz jednak usiadła i pozdrowiła go po imieniu, gdyż także pamiętała go z czasów, kiedy jeszcze żyła.

Młodzieniec pozostał z Kobietą Duchem na wiele nocy. Z upływem czasu coraz rzadziej myślał o córce wodza, a coraz częściej o Kobiecie Duchu, związanej ze swym pogrzebowym łożem, aż w końcu została jego żoną.

Młodzieniec kochał swą oblubienicę i ich wspólny dom, i ziemię, na której mieszkali, lecz któregoś dnia przebudził się, marząc o polowaniu na bizony, w którym nie brał udziału, od kiedy odszedł z plemienia w poszukiwaniu koni dla wodza. Nie wspomniał o tym na głos, lecz Kobieta Duch znała jego myśli. „Dosiądź konia, powiedziała mu, i jedź na skarpę. Tam czekają na ciebie bizony. Kiedy zobaczysz stado, wjedź w sam środek i zabij najtłustszego byka, a potem przywieź go do domu. Upiecz mięso i przynieś mi porcję, zanim sam zjesz".

Młodzieniec wykonał jej polecenie. Kiedy przyniósł jej do szałasu upieczone mięso, zastał ją stojącą na ziemi, co go zaskoczyło. „Proszę, nie lękaj się mnie, mój mężu", powiedziała kobieta, która znała jego myśli.

Młodzieniec uspokoił się, teraz poznał swą żonę jeszcze lepiej niż dotychczas. Podzielili się mięsem, rozmawiając swobodnie o wszystkim, o rzeczach żywych i martwych, i układając plany na przyszłość. „Rozbijajmy namiot za dnia i podróżujmy nocą, zaproponowała Kobieta Duch. W ten sposób obejrzymy cały świat".

I stało się tak, jak powiedziała. Kobieta Duch mknęła przodem przed mężem, z zakrytą głową i milczącymi ustami. Kiedykolwiek młodzieniec o czymś pomyślał, słyszała to wyraźnie, aż w końcu on również stał się Duchem. Teraz mogli wymieniać się myślami, jakby przelewali wodę z miski do miski, nie roniąc ani kropli, i poznali się nawzajem tak dobrze jak znali samych siebie. Ich plemię nigdy ich już nie ujrzało, a córka wodza często zastanawiała się, co się stało z jej ukochanym z czasów młodości, choć ostatecznie poślubiła kogoś innego.

Kobieta Duch zrezygnowała ze spoczynku, a dzielny młodzieniec zrezygnował ze świata żyjących i kochali się bardzo. Proszę, masz swoje szczęśliwe zakończenie.

– Przecież on umarł! – zaprotestowałam.

– Śmierć to warunek życia – odparła. – Zresztą osądzanie historii na podstawie samego zakończenia albo życia na podstawie samej śmierci jest równie bezcelowe jak ocenianie długiej górskiej wędrówki na podstawie faktu, że po powrocie do samochodu widzisz obok niego latrynę pełną sama-wiesz-czego i puszek po piwie.

– To prawda – zgodziłam się. – Więc czemu nie pozostać w lasach na zawsze?

– Ponieważ – odparła Babcia – musisz wsiąść do tego samochodu, żeby dojechać do kolejnej trasy, którą zamierzasz przemierzyć. Chcę, żebyś zrozumiała jedno, Natalie. Nieważne, jak trudne się to wydaje, nie musisz się obawiać przejścia do następnego etapu i nie musisz się też obawiać pozostania w miejscu. Zawsze jest coś jeszcze, co można zobaczyć i poczuć.

– Naprawdę tak myślisz? – spytałam.

– Ja to wiem.

Alice zatrzaskuje notes pół godziny przed czasem, przerywając mi w pół słowa.

– Natalie, ty nie jesteś zestresowana. Jesteś smutna. Nie jestem w stanie ci pomóc, kiedy jesteś smutna.

– Nie do końca mam na to wpływ – zauważam z irytacją.

Minął tydzień od wyjazdu Megan. Rzeczy, Które Są Nie Tak, prawie przestały mi doskwierać. Pewnie fakt, że od trzech dni praktycznie nie wychodzę z domu, niespecjalnie temu sprzyja.

– A powinnaś go mieć. Kiedy zaczynasz się na czymś zanadto skupiać, kiedy nie śpisz nocami, kiedy zmuszasz się, by spędzać czas z innymi, choć potrzebujesz odpoczynku i samotności, wtedy stres zaczyna przysłaniać, transformować smutek.

– Jesteś najgorszą terapeutką na świecie.

– W takim razie całe szczęście, że jestem badaczką, nie terapeutką. Słuchaj, zaczynam dostrzegać w twojej przeszłości jakieś powiązania i zgadzam się z tym, co mówił twój ostatni lekarz: tkwi w tobie jakiś inny uraz, coś, czego jeszcze nie przepracowałaś. Wskazuje na to całe twoje zachowanie, twoje decyzje i nawyki.

– Jakie zachowanie…?

– Fakt, że nie potrafisz sobie przypomnieć nic więcej z tamtego wspomnienia – przerywa mi Alice – i że nie przychodzi ci do głowy żadne inne wydarzenie, sugeruje, że albo wyparłaś coś z pamięci, albo chodzi o coś, co wtedy wydawało ci się nieważne. Czytałam kiedyś o przypadku dziewczyny porzuconej przez ojca. Kiedy przeszła terapię EMDR, odnalazła wspomnienie tego, jak otwiera skrzynkę pocztową w dzień urodzin. Nie chodziło o żadne kłótnie rodziców ani wspomnienie dnia, kiedy ojciec odszedł. Tylko o brak głupiej kartki z życzeniami. Musimy odnaleźć twoją kartkę.

– A co, jeśli ona nie istnieje?

– Istnieje – mówi Alice. – Czuję to. W czwartki zacznę przyprowadzać kolegę i spróbujemy hipnoterapii. A we wtorki będziemy kontynuować nasze zwyczajne sesje jeden na jednego. Ale w międzyczasie musisz się postarać. Rób rzeczy, które budzą w tobie dyskomfort, przekraczaj własne granice. Na dłuższą metę wyjdzie ci to na dobre, a na krótszą da ci jakieś zajęcie.

Mama wraca z biegania, wyglądając jak reklama Nike'a: obcisły różowo-szary strój, ładny świeży rumieniec i skóra lśniąca od potu.

– Cześć, kochanie – mówi, przechodząc za kanapą i mierzwiąc mi włosy.

Pociąga długi łyk z dobranej do stroju różowej butelki i siada obok mnie.

– Wszystko w porządku?

Ton jej głosu mówi mi, że doskonale wie, iż odpowiedź brzmi nie.

– Jasne – kłamię.

Mama kiwa głową, wpatruje się we mnie z natężeniem.

– Na pewno trochę ci dziwnie teraz, kiedy Megan wyjechała, prawda? – pyta.

– No. – Wolałabym zamknąć się w swoim pokoju i czekać, aż Megan skończy trening,

żebym mogła do niej zadzwonić, ale przez wzgląd na Alice siedzę tutaj.

Mama obejmuje mnie ramieniem i ściska.

– Studia szybko mijają – mówi. – Miałam wrażenie, jakbym dosłownie tylko mrugnęła i już koniec. To będzie jeden z najlepszych okresów w twoim życiu, a potem możesz pojechać, dokąd tylko będziesz chciała, wiesz o tym, prawda?

– Wiem.

– Hej, mam pomysł. Może wybierzemy się dziś do kina?

Na myśl o tym, że miałabym pójść gdzieś, gdzie mogłabym wpaść na kogoś z klasy, czuję mdłości i strach. Nie wiem, czy ktoś wie o Matcie i Rachel, ale stawiam na to, że wszyscy, co oczywiście budzi we mnie skrępowanie. I wściekłość. Bo teraz wygląda to tak, jakby to on rzucił mnie, choć najpierw praktycznie chciał mnie zgwałcić, a potem zwiał i dla zemsty macał się z Rachel.

– Jasne, byłoby fajnie – mówię.

– Naprawdę? Bo nie musimy, jeśli tego nie chcesz – odpowiada mama niepewnie. – Albo jeśli masz już jakieś inne plany. Po prostu chciałabym spędzić trochę czasu z córką.

– Nie, nie mam planów – mówię, jakby o tym nie wiedziała.

– Świetnie! W takim razie wezmę szybki prysznic i możemy jechać. – Mama całuje mnie w głowę i odchodzi.

Godzinę później jedziemy do kina. Zgodnie z poleceniem Alice wybieram film, który zapowiada się najbardziej wstrząsająco, jakiś dramat o dziewczynie, która zostaje porwana i przez dziesięć lat zmuszają ją do prostytucji, aż wreszcie udaje jej się uciec.

– Jesteś pewna, że chcesz obejrzeć właśnie ten? – pyta mama, bezskutecznie usiłując zamaskować szok. – Takie rzeczy zazwyczaj wytrącają cię z równowagi, prawda?

– Ale ten chyba dobrze się kończy – odpowiadam.

Mama płaci za bilety i wchodzimy do kina.

– Chodźmy najpierw do toalety – proponuje. I tak w połowie seansu będzie musiała wyjść do łazienki. To podobno przekleństwo rodziny Davidsonów, mama odziedziczyła je po swoim ojcu. Nie wiem, jak to jest, bo nie mam w sobie ani kropli Davidsonowskiej krwi. Pewnie utrzymałabym kontrolę nad pęcherzem nawet wtedy, gdyby porwało mnie tornado.

Mimo to idę się wysiusiać, a potem myję ręce i zaczynam czekać na mamę.

– Poczekam na ciebie w holu, dobrze? – mówię wreszcie.

Kiedy nie odpowiada, nachylam się, by zajrzeć do ubikacji, ale nie widzę jej stóp.

– Mamo? – Jestem w łazience sama.

Mama musiała już wyjść.

Odwracam się i otwieram ramieniem drzwi, natychmiast zderzając się z kimś w holu. Cofam się niezgrabnie i przepraszam, aż nagle widzę, kto przede mną stoi. Krew odpływa mi z twarzy.

– Matt.

Wydaje się zmieszany, patrzy na mnie niemal z niecierpliwością.

– Bardzo przepraszam – mówi nagle, składając dłonie. – Chyba już się gdzieś spotkaliśmy, prawda? Zupełnie nie mam głowy do imion.

– Ty chyba żartujesz – mówię.

Chyba mnie krew zaleje.

Matt znowu spogląda na drugą stronę holu.

– Naprawdę przepraszam – powtarza. – Moja dziewczyna czeka na mnie w środku. Miło było na ciebie wpaść.

Dziewczyna.

Matt biegnie truchtem w stronę jasnoczerwonego podium odgrodzonego aksamitnymi sznurami, które prowadzi do sal kinowych, a ja stoję i gapię się na jego plecy. Mam wrażenie, jakbym stała w płomieniach, a jednocześnie czuję też lodowate mrowienie. Z jednej strony nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek go kochałam, że kochałam kogoś zdolnego udawać (i to przekonująco!), że jestem dla niego zupełnie obcą osobą. Z drugiej strony jestem poważnie przerażona. Znajome błękitne oczy Matta wydawały się puste – nie ukazał się w nich nawet błysk rozpoznania, tak jakby jego mózg naprawdę wykasował mnie z archiwum. Tak bardzo przypomina to zły sen, że kilka razy mrugam mocno w nadziei, że obudzę się w swoim łóżku.

– Gotowa?

Odwracam się i widzę wychodzącą z toalety mamę. Przechodzi mnie jeszcze zimniejszy dreszcz.

– Gdzie byłaś? – pytam, przełykając resztki łez wściekłości.

– W łazience – mówi. Bierze mnie pod brodę. – Złotko, co się stało? Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest – mówię. – Tylko właśnie wpadłam na Matta. Ma nową dziewczynę. – Takie częściowe tłumaczenie jest łatwiejsze niż cała prawda.

– Oj, kochanie moje. – Mama przytula mnie mocno i stoimy tak, aż podchodzi jakaś kobieta i przypominamy sobie, że stoimy w wejściu do toalety. Odsuwamy się i idziemy do kolejki do bufetu.

– Możemy stąd iść – mówi mama. – Nie mam nic przeciwko, jeśli chcesz wracać do domu.

Kręcę głową.

– Przyda mi się coś, co zajmie myśli.

– W porządku. – Mama kiwa głową. – Ale daj znać, jeśli zmienisz zdanie.

Kupujemy popcorn i idziemy na film. Przed upływem pięciu minut wiem już, że popełniłam straszny błąd. Ten film to najokropniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek oglądałam, i nie mogę przed nim uciec. Wnętrzności kotłują się we mnie niemiłosiernie i przypuszczam, że przez kolejnych kilka dni czeka mnie rozwolnienie. Zamykam oczy i wytłumiam dźwięki.

Ale kiedy odsuwam się myślami od okropnej historii rozgrywającej się na ekranie, przed oczami staje mi inny straszliwy obraz. Myślę o chłopcu, w którym się zakochałam, kiedy siedzieliśmy na wzgórzu w chmarze świetlików, i o tym, jak lata później, kiedy złamałam mu serce, obiecał, że nie potrafiłby mnie znienawidzić. Potem myślę o chłopaku, który właśnie zachował się tak, jakby mnie nie znał. Myślę o tych dwóch różnych Mattach, których mój umysł nie potrafi ze sobą pogodzić, a potem przypominam sobie historię, którą opowiedziała mi Babcia.

– Oto opowieść o Bracie Czarnym i Bracie Czerwonym – powiedziała Babcia. – Żyło

sobie kiedyś rodzeństwo, które mieszkało w chacie głęboko w lesie. Rzadko miewali gości. Brat różnił się od innych ludzi, ponieważ jedna połowa jego ciała była czerwona, a druga czarna.

Któregoś dnia wybrał się na łowy, ale ledwo odszedł, siostra ujrzała go wracającego ścieżką.

„Myślałam, że poszedłeś na polowanie", rzekła, wchodząc za nim do szałasu.

„Zmieniłem zdanie", odparł, po czym usiadł obok niej na posłaniu.

Wydawał jej się zupełnie inny niż zwykle, a kiedy spróbował ją objąć, przestraszyła się i go odepchnęła.

„Jesteś moim bratem, więc czemu zachowujesz się, jakbyś był moim mężem?", zapytała ze złością, ale on znowu próbował przytulić ją niczym kochanek, więc ponownie go odepchnęła i tym razem odszedł.

Następnego dnia brat wrócił do domu, lecz siostra nie chciała się do niego odezwać, choć zwykle potrafili rozmawiać całymi godzinami. „Siostro moja, rzekł do niej. Dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś mnie nienawidziła? Co takiego uczyniłem, by zasłużyć na taką odmianę twoich uczuć?".

„Dobrze wiesz, co zrobiłeś – odparła siostra. – Skrzywdziłeś mnie i zniszczyłeś łączącą nas więź". Brat jednak upierał się, że nie rozumie, o czym mowa, tak więc w końcu siostra powiedziała bez ogródek: „Wczoraj próbowałeś mnie objąć jak kochanek, więc dziś nie mogę na ciebie patrzeć".

„Moja ukochana siostro – rzekł brat. – Nie było mnie tu wczoraj. Byłem na polowaniu. Musiałaś spotkać mojego przyjaciela, który wygląda tak jak ja". Siostra rozzłościła się, że brat próbuje się tłumaczyć tak przedziwną wymówką. „Nigdy więcej nie traktuj mnie w ten sposób", powiedziała i brat przez wiele dni wydawał się na powrót dawnym sobą.

W końcu jednak znowu wybrał się na łowy i podobnie jak poprzednim razem siostra spotkała w pobliżu domu kogoś, kto wyglądał tak jak on i był tak samo ubrany. Wszedł za nią do środka i tym razem, kiedy próbował ją złapać, podrapała mu twarz paznokciami, aż uciekł.

Minęły trzy dni i brat wrócił z jeleniem, którego upolował. I znowu siostra nie chciała się do niego odezwać, a on przemawiał do niej łagodnie, powtarzając: „Siostro, bardzo się na mnie złościsz. Czy mój przyjaciel znowu tu był?".

Siostra nie odpowiedziała, ale kiedy powtórzył pytanie, załamała się i wybuchła płaczem. „Jak mogłeś znowu mnie napastować, kiedy już zaczęłam ci ufać? Widzę na twojej twarzy ślady swoich paznokci. Wiem, że to byłeś ty, bracie".

Brat jednak wyparł się wszystkiego. „Twarz podrapały mi ciernie, kiedy polowałem – powiedział – ale jeśli podrapałaś mojego przyjaciela, to rzeczywiście jest powód, dla którego i moja twarz tak wygląda – cokolwiek spotyka jednego z nas, spotyka potem i drugiego". Ona jednak mu nie uwierzyła. Unikała go, jak mogła, aż ponownie ruszył na polowanie i tym razem, kiedy znowu wrócił i ją zaatakował, rozdarła jego łowieckie odzienie od gardła aż po pępek i oblała go gorącym tłuszczem, tak że uciekł poparzony.

Jak wcześniej, tak i teraz brat wrócił i znowu wyparł się wszystkiego, choć koszulę miał podartą i brzuch poparzony tak, jak pamiętała siostra. „Koszulę rozdarłem, kiedy wspinałem się na drzewo, a potem poparzyłem się podczas gotowania mięsa, które

upolowałem", próbował się tłumaczyć, lecz ona mu nie wierzyła. Brat zrozumiał, co musi uczynić. „Siostro, odnajdę mojego sobowtóra i przyprowadzę go tutaj, by udowodnić, że to nie ja cię skrzywdziłem. A potem zabiję go za to, co ci zrobił, choć sam mogę przez to zginąć. Bardziej jednak zależy mi, byś poznała moje serce i moją braterską miłość do ciebie".

Siostra nie uwierzyła mu, lecz brat wyruszył na poszukiwanie sobowtóra. Nie minęło wiele czasu, a wrócił, ciągnąc za sobą człowieka, który wyglądał dokładnie tak jak on i miał tak samo podarte ubrania. „Zdradziłeś mnie, krzywdząc moją siostrę, powiedział do niego brat, a teraz musisz zginąć". Napiął łuk i strzelił mu prosto w serce. Siostra patrzyła, jak krew wylewa się z piersi sobowtóra, który padł na kolana. Nagle usłyszała za sobą inny dźwięk – okrzyk bojowy – a gdy się odwróciła, ujrzała, jak jej brat pada na ziemię. Na jego piersi widniała identyczna rana i krew plamiła jego koszulę.

Wtedy siostra przekonała się, że nic już jej nie grozi, lecz jej serce było złamane.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałam tę historię, byłam wstrząśnięta, lecz teraz nabiera ona nowego sensu. Jestem przekonana, że Babcia wiedziała, co się dzisiaj stanie, i że uczucia Matta do mnie zmienią się tak gwałtownie, jakby nagle stał się innym człowiekiem, któremu jestem zupełnie obca. Musiała to wiedzieć – bo po co opowiadałaby mi tę historię? I które jeszcze z jej opowieści zawierają ukryte ostrzeżenie?

Kiedy wracamy z mamą do domu, idę do pokoju i nagrywam opowieść o Bracie Czarnym i Bracie Czerwonym dla Alice. Jestem w połowie, kiedy ktoś puka do drzwi.

– Tak? – mówię i Coco wsuwa jasnowłosą głowę do środka ze strapionym wyrazem twarzy.

– Mogę wejść?

Siadam prosto i klepię łóżko, zapraszając ją obok siebie.

– Co się dzieje? – pytam.

Coco przysiada na skraju materaca i krzyżuje nogi. Z każdym dniem wygląda coraz bardziej i bardziej jak mama, a choć nie należy do szkolnego zespołu tańca, to chodzi na balet oraz taniec jazzowy i wyraźnie odziedziczyła po mamie jej pełną godności gracje.

– Mama mówiła mi, co się stało w kinie. Że Matt ma dziewczynę – zaczyna.

– Och… – mruczę. – No tak…

– Jakie to dziwne… Nic o tym nie słyszałam. – Coco podnosi na mnie swoje ładne, ciemnoniebieskie oczy. – Czy to Rachel Hanson?

Uciekam przed jej spojrzeniem i zaczynam szarpać luźną nitkę w kapie.

– Nie wiem.

Coco nawija na palec pukiel falistych włosów.

– Abby mówiła mi, co się stało na urodzinach Matta… Że się całowali. Nie spodziewałam się tego po Matcie. A już na pewno nie spodziewałam się, że zaczną ze sobą chodzić.

No jasne, że Coco wszystko wie.

– Matt i ja zerwaliśmy ze sobą już dawno – mówię. – Powiedziałam mu, że nie chcę być jego dziewczyną. Może chodzić, z kim chce.

– No ale jednak… – upiera się Coco. – I w dodatku z Rachel? Przecież wy się kumplujecie. No, a przynajmniej macie ten sam krąg znajomych. I wiem, że cię to ruszyło. Wszyscy gadają o tym, jak uciekłaś z imprezy.

Auć. No dobrze, więc może Coco nie przyswoiła sobie jeszcze wrażliwości mamy, ale przynajmniej wiem, że się o mnie troszczy.

– Wierz lub nie, ale chodziło o coś zupełnie innego. A w każdym razie nie tylko o niego i Rachel. To nie jest cała historia.

Coco krzywi usta w wyrazie głębokiego namysłu.

– To nic złego, że się na nią wściekasz. Ja też bym się wściekła.

– Wcale się nie wściekam – upieram się, ale nie mam pojęcia, czy nie kłamię. – Rachel i ja od dawna się nie przyjaźnimy. Byłoby dziwne, gdybym oczekiwała, że wybierze mnie zamiast Matta.

Coco przewraca oczami.

– Jak sobie chcesz. Ale kiedyś ciągle do nas przyłaziła. Więc nadal jest ci winna babską solidarność.

Najdziwniejsze, że brzmi to jak coś, co Rachel mogłaby powiedzieć kilka lat temu. Zawsze była twarda i bezpośrednia – należała do osób, które bez wahania wygarną komuś, że w drugim numerze robił beznadziejne piruety albo że skakał jak babcia z biodrem do wymiany – cechuje ją jednak również godna pozazdroszczenia pewność siebie i żarliwa lojalność wobec garstki przyjaciół.

Zaraz po tym, jak rozstałam się z Mattem i Kara Van Vleck wyraziła zainteresowanie pozycją jego dziewczyny, Rachel powiedziała Mattowi, że Kara leczy się właśnie z zaraźliwych, trawiących ciało bakterii. Było to straszliwie okrutne wobec Kary i wątpię, by Matt w to uwierzył, ale właśnie w taki porąbany sposób Rachel wyrażała miłość, pomimo że wściekła się na mnie za rezygnację z zespołu i zarzuciła mi, że mam się za lepszą od innych i uważam, że tylko prestiżowa uczelnia będzie dla mnie wystarczająco dobra. Kiedy się dowiedziałam, że to ona rozpuściła tę plotkę o Karze, zdjął mnie ból podobny do tego, jaki czułam w wieczór rozstania z Mattem: tak jakbym nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo kogoś kocham, i jednocześnie odkryła, że tej osoby i mnie już nigdy nie będą łączyć bliskie relacje.

Może właśnie dlatego nie jestem wściekła na Rachel. Bo Rachel nic nie poradzi na to, że nie potrafi ukryć, kiedy próbuje kogoś zranić, dokładnie tak jak wtedy, kiedy jej na kimś zależy. Wyraz jej twarzy w tamtym strasznym momencie w domu Matta mówił mi, że była przerażona tym, iż weszłam do pokoju, i wstrząśnięta tym, że widziałam ich razem, i nieszczęśliwa, że przyłapano ją z Mattem Kincaidem. Nie zamierzała mnie zranić, ale to niemal bolało jeszcze bardziej. Miałam wrażenie, jakby Rachel podświadomie chciała mnie chronić. Natomiast Matt – nie.

– Sama nie wiem, kim Rachel i ja jesteśmy teraz dla siebie – mówię do Coco – ale na pewno nie wrogami.

Coco przez kilka sekund kiwa w milczeniu głową, po czym wstaje.

– W każdym razie chciałam tylko, żebyś wiedziała, że jestem po twojej stronie. W całej tej sprawie z Mattem.

– Dzięki. – Udaje mi się zmusić do nikłego uśmiechu i Coco odwraca się do drzwi. – Coco, czekaj.

– No?

Nie jestem pewna, jak to powiedzieć w taki sposób, żeby nie wróciło do mamy, która na pewno poskładałaby sobie wszystko w całość, na co chyba nie jestem jeszcze gotowa, ale chcę, żeby Coco to usłyszała.

– Czasami człowiek zmienia zdanie na temat drugiej osoby – mówię jej. – Albo zmieniają się jego uczucia do tej osoby, albo sam się zmienia, albo, sama nie wiem… po prostu chce podjąć jakąś inną decyzję. Nie ma w tym nic złego. Nikomu nie jesteś nic winna. Wiesz o tym, prawda?

– Co masz na myśli? – pyta Coco.

– No, na przykład z Mattem. Chciałam z nim chodzić, a potem przestałam chcieć i niektórzy ludzie zachowywali się tak, jakbym powinna mieć z tego powodu wyrzuty sumienia. Tak jakby on zasługiwał na wszystko, czego tylko chciał, a ja byłam samolubna, bo mu tego nie dawałam.

– Mówisz o seksie? – pyta Coco rzeczowym tonem.

– Nie – odpowiadam. – Tak. Tak jakby. Mówię o wszystkim: o chodzeniu ze sobą, o całowaniu, o seksie. O całym tym bajzlu. Nigdy nie jesteś nic nikomu winna, nieważne, jak miła była dla ciebie ta osoba. Związek to nie transakcja.

– Mama już o tym ze mną rozmawiała – mówi Coco. – I to była najobrzydliwsza, najbardziej krępująca rozmowa, jaką jesteś w stanie sobie wyobrazić. Myślałam, że jestem na to gotowa, ale poważnie, nie masz pojęcia, jakie to było straszne.

– Oj, wierz mi, że mam – odpowiadam. – Ja to przeżyłam zaraz po pierwszej randce z Mattem.

Coco marszczy delikatnie brwi i krzyżuje ramiona.

– Tak, tobie pewnie dostało się więcej niż mnie i Jackowi, no nie?

– Więcej czego?

– Tej bzdurnej psychoanalizy, którą mama usiłuje uprawiać.

– Nie chcę cię martwić, ale jestem całkiem pewna, że ja to wszystko zapoczątkowałam.

Coco ogląda się przez ramię na drzwi i spuszcza głos.

– Masz na myśli to o Babci.

Wow, prosto z mostu, z grubej rury. To pierwszy raz, kiedy Coco w ogóle poruszyła przy mnie kwestię moich rzekomych halucynacji.

– Tak, właśnie to – zgadzam się. – No i w ogóle to wszystko o adopcji. Zauważyłaś może, że mamy całą bibliotekę poświęconą temu zagadnieniu.

Coco przewraca oczami.

– Czasami odnoszę wrażenie, że mamie po prostu za bardzo zależy – mówi.

– Mamy fart – odpowiadam, myśląc o nieprzyzwoicie bogatych, ale praktycznie nieobecnych rodzicach Megan, o samotnej matce Rachel, która, od kiedy pamiętam, zawsze pracowała na nocną zmianę, o ojcu Matta wrzeszczącym na niego z bocznej linii boiska podczas treningów mimo próśb trenera, żeby sobie poszedł.

– No wiem – przyznaje Coco, odwracając się do drzwi. – No ale mimo wszystko. Rozumiesz, że przydałoby nam się od czasu do czasu trochę przestrzeni. Może mogłaby nie robić mi wychowania seksualnego, kiedy wcinam bułę.

Śmieję się.

– Hej – zatrzymuję ją znowu. – Jeszcze raz dzięki. Za to, że jesteś po mojej stronie.

– W końcu jesteśmy siostrami – mówi Coco. – I wiem, że ty też byłabyś po mojej stronie.

– Wyglądasz okropnie – wita mnie Alice w następny wtorek.

– Dzięki – odpowiadam. – Chciałam się dopasować do wystroju tego gabinetu.

– Czy ty w ogóle sypiasz?

– Nie – mówię. Do tej pory nie miałam wieści od Beau, dzięki czemu nocami z łatwością znajduję sobie temat do rozmyślań.

– Grzeczna dziewczynka – stwierdza Alice.

Mówię jej o stopach mamy znikających z łazienki i kilku innych drobiazgach – przebłyskach dziwnych kolorów, mignięciach drzew, gdzie nie powinno ich być, i placów budowy, gdzie powinny stać budynki. Opowiadam jej też o bracie Czarnym i Bracie Czerwonym i że to jedyne, co przyszło mi do głowy, kiedy Matt zachował się w kinie jak zupełnie inna osoba, posuwając się nawet do udawania, że mnie nie zna. Nie wspominając już o koszmarnym uczuciu, które mnie naszło, że może naprawdę o mnie zapomniał.

– Czy on może mieć jakieś rozdwojenie jaźni albo coś podobnego? – pytam.

Alice rusza niepewnie głową.

– Nie jestem w stanie tego stwierdzić bez dalszych informacji. Ale może jest tak, jak mówiłaś; może Babcia wie coś o Matcie albo o twojej przyszłości, o tym, co cię spotka w życiu. A może ta opowieść to zupełny zbieg okoliczności. Ale zbliżamy się do sedna. Czuję to.

W czwartek przechodzę pierwszą sesję hipnoterapii. Jestem jednocześnie podenerwowana i pełna nadziei. Nie mogę się pozbyć uczucia, że jeśli w mojej przeszłości kryje się coś mrocznego, to zapewne nie bez powodu wyparłam to z pamięci. Ale o to właśnie w tym chyba chodzi. Alice spodziewa się, że kiedy odnajdę to ukryte wspomnienie i zmierzę się z nim, nastąpi jakaś reakcja – to ma być ten przysłowiowy kop w zadek, którego potrzebuję, żeby Babcia wróciła. Coraz więcej sypiam w ciągu dnia, a nocami czuwam, czekając na mignięcie jej twarzy, jej pomarszczonych dłoni, jej szarego szala na bujanym fotelu, ale jak dotąd bez powodzenia.

Kiedy tego ranka wchodzę do gabinetu Alice, widzę doktora Wolfganga, białowłosego hipnoterapeutę, który mieszka w okolicy od trzydziestu lat, a mimo to nadal mówi z tak ciężkim niemieckim akcentem, że brzmi to, jakby w ogóle nie używał do artykulacji języka. Alice wydaje się wyłapywać każdą sylabę, ale ja muszę korzystać ze wskazówek kontekstualnych, podczas gdy doktor Wolfgang przygotowuje się do sesji. Kiedy mówi coś, co brzmi jak Shaddaenaknappfie, Alice energicznie przesuwa wzrok na skórzaną sofę i domyślam się, że kombinacja ta miała oznaczać: „Siadaj na kanapie”.

Odsuwam stertę papierów i opadam na siedzisko. Doktor Wolfgang przysuwa do mnie stołek i siada, nachylając się nad własnym brzuchem. Jego chrapliwy głos wymawiający słowa, których sens rzadko do mnie dociera, szybko wprowadza mnie w stan podobny do snu, ale w następnym momencie budzę się nagle z poczuciem,

jakby ktoś spryskał mnie zimną wodą. Alice wydaje się zirytowana, a doktor Wolfgang wygląda na znudzonego.

– Jak mi poszło? – pytam.

– Penczemy muszely pacie sie stahać – mówi. – To mosze pothwacz.

Alice znowu powtarza mantrę, którą kończy wszystkie nasze sesje:

– Po prostu rób dalej to, co robisz.

Babcia albo wszechświat najwyraźniej chcą mi pomóc: w drodze do domu dzwonienie pod maską samochodu osiąga niespotykany dotąd poziom i mam szczęście, że w ogóle udaje mi się dojechać do pasa awaryjnego na autostradzie. Znajduję się w dolinie, otoczona zakrzaczonymi wzgórzami, a na drodze panuje niewielki ruch. Wyciągam telefon, żeby zadzwonić do rodziców, ale choć widzę, że mam zasięg, kiedy wybieram numer mamy, słyszę tę samą irytującą wiadomość, którą słyszałam, dzwoniąc tamtej nocy po imprezie do Megan: „Przepraszamy. Numer, który wybrałeś, jest nieosiągalny. Prosimy o rozłączenie się i spróbowanie ponownie".

Wysiadam z samochodu i trzaskam drzwiami. Stres narasta we mnie tak szybko, że czuję, jak czaszka zaczyna mi pulsować migreną. Na dworze jest dwadzieścia pięć stopni i dziewięćdziesiąt procent wilgotności. Otwieram maskę, wiedząc, że zupełnie nic mi to nie da, i dzwonię do taty.

– No dalej, dalej, dalej…

„Przepraszamy. Numer, który wybrałeś, jest niedo…". Rozłączam się i przeczesuję włosy rękami, zastanawiając się, co mogę zrobić.

Nie chcę wsiadać do samochodu z nieznajomą osobą. Po tamtym filmie o uprowadzonej dziewczynie nie wchodzi to w grę.

Mogę pójść piechotą do następnego zjazdu z autostrady, dwie mile dalej, albo spróbować kogoś zatrzymać i pożyczyć działający telefon. Odwracam się do drogi i macham w stronę nadjeżdżającej furgonetki.

Furgonetka zjeżdża na żwirowe pobocze tuż za moim dżipem i czuję, jakby żołądek zjechał mi do ziemi, bo wysiada z niej Beau.

No nie, teraz to wszechświat po prostu robi sobie jaja.

– Cześć – mówi Beau z uśmiechem.

To ten sam uśmiech, który skierował do mnie tamtego wieczoru w salce muzycznej i z którym patrzył na mnie przez całą noc na boisku, i zupełnie nie rozumiem, dlaczego wydaje mu się, że ma prawo tak się do mnie uśmiechać, skoro przez trzy tygodnie zupełnie ignorował mój numer zapisany w swoim telefonie.

Nie powinien przyprawiać mnie o szybsze bicie serca. Nie powinien patrzeć na mnie, jakby miał ochotę mnie pocałować, bo jeśli naprawdę tego chciał, to mógł zadzwonić.

– Mogę pożyczyć twój telefon? – krzyczę do niego. – Bo zakładam, że masz jakiś telefon, prawda? Muszę zadzwonić do rodziców, żeby po mnie przyjechali.

Nie zamykając drzwi furgonetki, Beau podchodzi do mnie i mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym spogląda na otwartą maskę samochodu.

– Chcesz, żebym tam zajrzał? – pyta.

– Nie, dziękuję – odpowiadam. – Chcę tylko zadzwonić do rodziców.

– Mogę cię podwieźć – mówi. – I tak wracam do Union.

– Nie ma potrzeby. Chcę tylko zadzwonić.

Brwi Beau zjeżdżają się razem. Podaje mi telefon. Odchodzę parę kroków i dzwonię najpierw do mamy.

– „Przepraszamy. Numer…”.

Próbuję dodzwonić się kolejno do taty, Jacka i Coco i ciągle to samo. Chodzę po poboczu, otwarcie wzdychając i skrycie jęcząc, i starając się wymyślić jakiś plan, który nie wymagałby pomocy Beau.

– Natalie, pozwól, że odwiozę cię do domu.

Oglądam się. Beau opiera się o mojego dżipa z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Ma na sobie przetarte dżinsy i białą koszulkę, wygląda jak reklama Calvina Kleina i to mnie doprowadza do szału. Rzucam mu telefon i idę gniewnie do furgonetki.

Wsiadam bez słowa, a on patrzy na mnie i idzie w moje ślady, uruchamia w milczeniu silnik i wycofuje auto na jezdnię. Przez chwilę jedziemy w ciszy, ale nie jest to swobodne milczenie jak wtedy, w noc imprezy Matta.

– Powinnaś pozwolić mi sprawdzić, co z twoim dżipem – mówi w końcu. – Może jestem głupi, ale znam się na samochodach.

– Nie jesteś głupi – przyznaję niechętnie.

– Więc widać po prostu nie jestem w twoim typie – mówi. – Wolisz złotych chłopców w rodzaju Matta Kincaida.

– Wcale nie jestem zainteresowana Mattem Kincaidem – sarkam. – Ani teraz, ani nigdy więcej. – Beau patrzy na mnie przez sekundę, a ja walczę, żeby zapanować nad biciem serca. Jego wzrok przenosi się na przestrzeń między nami, a potem z powrotem na drogę. Po paru chwilach zbieram się na odwagę i mówię:

– Nie musiałeś prosić mnie o numer.

– O, jak to miło z twojej strony, Natalie – odpowiada Beau. – Wielkie dzięki. Wiesz co? Ja też ci coś powiem. Następnym razem, jak ktoś cię poprosi o telefon, a ty nie będziesz chciała go dawać, to od razu tak powiedz, zamiast zostawiać mu lipny numer.

– Co? Nie dałam ci lipnego numeru! – krzyczę niemal. – Co to za kretyńska wymówka?

Beau wysuwa z kieszeni telefon, wyciska coś, patrząc jednocześnie na drogę, i wyciąga go w moją stronę. Na ekranie widać informację „Połączenie: Natalie”.

– No i? – pytam.

– Posłuchaj sobie – mówi Beau, podsuwając mi go. – Zaraz się okaże, kto tu ściemnia.

Biorę komórkę i przysuwam do ucha dokładnie w momencie, kiedy sygnał połączenia milknie. „Przepraszamy. Numer…”.

– Nie wierzę – mówię, wpatrując się w ekran. Sprawdzam kontakt jeszcze raz. – Beau, to naprawdę mój numer. Nie wiem, co się dzieje z moim telefonem.

Beau znowu patrzy na mnie, a potem z powrotem na drogę, i nic nie mówi.

– Daję słowo – mówię.

Beau spogląda na mnie jeszcze raz, twarz ma poważną. Jak zwykle chce mi się płakać, może z ulgi, że próbował się do mnie dodzwonić, a może ze strachu, że mi nie uwierzy.

Patrzymy na siebie przez kilka sekund i kiedy Beau przenosi wzrok z powrotem na

drogę, zaczyna się uśmiechać.

– Więc nie przygruchałaś sobie żadnego rozgrywającego, Natalie Cleary?

– Beau, rozgrywający to faceci, którzy lubią sobie pogrywać – mówię. – To dosłownie podręcznikowa definicja tego terminu.

– Ja tam nie wiem – odpowiada Beau. – Chyba powinienem ci powiedzieć, że nie przepadałem za podręcznikami. Skończenie liceum zajęło mi pięć lat. To tak na wypadek, gdybyś zaczęła przeceniać moje możliwości.

– A ja chyba powinnam ci powiedzieć, że nic a nic mnie to nie obchodzi.

Na jego twarzy rozkwita prawdziwy, wesoły uśmiech. Wyglądam przez okno, czując, że też zaczynam się szczerzyć. Jesteśmy jakieś pięć minut od mojego domu, kiedy nagle widzę coś, przez co rzednie mi mina.

– Możesz się zatrzymać? – pytam.

Beau patrzy niepewnie na mnie, a potem na parking po prawej stronie.

– Jasne – mówi, hamując.

Gdy samochód się zatrzymuje, wysiadam i idę w stronę budynku po przeciwnej stronie.

– Nic ci nie jest?! – krzyczy za mną Beau.

Odwracam się twarzą do niego.

– To jest przedszkole.

– Umiem czytać – mówi. – Przynajmniej tyle się nauczyłem.

– Nie, chcę powiedzieć, że tu powinna być szkółka.

– Co to za różnica?

– Szkółka leśna – tłumaczę. – Szkółka Leśna Lindenbergerów. Moja mama pomogła im kupić tę ziemię.

Beau drapie się po głowie i rozgląda.

– Widać ktoś ją od nich odkupił.

– Ale co się stało ze wszystkimi szklarniami?

Beau wzrusza ramionami.

– Pewnie wyburzyli buldożerem.

– Od wczoraj?

– Nie wiem, Natalie.

– Ale ty to widzisz, prawda? Nie wyobrażam sobie tego?

Beau śmieje się i krzyżuje ramiona.

– No, widzę. Ale w czym problem?

– W niczym – kłamię. – Przepraszam, to po prostu strasznie dziwne. Moja mama przyjaźni się z Rhondą Lindenberger. Szkoda, że musieli zwinąć interes.

Beau patrzy na mnie niemal podejrzliwie, ale o nic nie pyta i wracamy do jego furgonetki. Pięć minut później stajemy przed moim domem i wszystko wygląda, jak trzeba, ale koniecznie chcę porozmawiać z Alice. Jest ostatni dzień czerwca, czas szybko ucieka.

– Dziękuję za podwiezienie.

– Służę pomocą – mówi Beau.

– Więc pewnie następnym razem znowu po prostu mnie znajdziesz, kiedy będę w potrzebie? – pytam.

– Albo możesz do mnie zadzwonić.

Wyjmuję telefon i podaję mu. Będę musiała kupić sobie nowy, ale przynajmniej zdobędę numer Beau. Beau wpisuje go i oddaje mi komórkę.

– Kiedy mam zadzwonić? – pytam.

– No, nie wiem – mówi. – Kiedy tylko będziesz chciała, żebym znowu cię gdzieś zawiózł. Może za jakieś pięć minut?

Śmieję się, a on opiera się czołem o moje czoło i kładzie mi rękę na karku.

– W porządku, pięć minut. – Nasze usta niemal się stykają, ale nagle słyszę dźwięk otwieranych drzwi i odskakuję gwałtownie.

– Nat?! – woła tata od wejścia. – Gdzie twój samochód?

– Jeszcze raz dzięki – mówię do Beau i wysiadam z furgonetki.

– Pięć minut – powtarza bezgłośnie przez szybę, podnosząc pięć palców. Kiwam głową.

Rodzice holują dżipa do domu w czwartek po południu, ale dopiero w sobotę rano, po kilku godzinach zmarnowanych przez tatę na grzebaniu w silniku i ciskaniu przekleństwami, decydują się odstawić go do warsztatu. Tata dochodzi do przekonania, że „nikt nie zdoła naprawić tego gów… śmiecia", i zaczyna opowiadać o wszystkich swoich znajomych i kolegach z pracy, którzy mogliby załatwić nam jakieś nowe auto po dobrej cenie, słowem nie wspominając, że może dżipa powinien jeszcze obejrzeć prawdziwy mechanik.

Mama stoi w kuchni z ręką na biodrze, a na jej twarzy widnieje wyraz cierpiętniczej dezaprobaty – to najbliższa gniewu mina, na jaką mama jest w stanie się zdobyć. Kiedy tata wraca do kuchni, przekopawszy się przez całą spiżarnię w poszukiwaniu dietetycznych czipsów ziemniaczanych, których nie znosi, ale które mama wciąż z uporem kupuje, mama mówi spokojnie:

– Najpierw chcę, żeby obejrzał go mechanik.

– Ja mam jednego znajomego – wyrywa mi się mimowolnie.

Kamienny wyraz frustracji na twarzy taty zmienia się w uśmiech.

– To wspaniale, cukiereczku. Zawsze wiedziałem, że potrafisz znaleźć sobie towarzystwo.

– Znajomego, który zajmuje się samochodami – uściślam.

– Zajmuje się samochodami? – powtarza tata sceptycznie.

– Tak, no wiesz, wyścigi i składanie plastikowych modeli. – Mama nie łapie dowcipu i zaczyna tłumaczyć łagodnie, że takie rzeczy nie dają kwalifikacji do naprawy grożącego śmiertelnym wypadkiem samochodu jej nastoletniej córki. – Mamo, przecież żartuję. Mój znajomy Beau… ten, który mnie przywiózł, kiedy dżip się zepsuł… zajmuje się głównie oponami i hamulcami, takie tam, ale mówił, że mógłby zajrzeć pod maskę.

Tata wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć „Skoro ja nie mogę go naprawić, nikt tego nie dokona". Mama zaś kładzie mu rękę na ramieniu i mówi do mnie:

– Oczywiście. Zadzwoń do niego. – I uśmiecha się, jakby mówiąc: „A ja i tak wezwę mechanika, nawet jeśli ten twój kolega pozornie rozwiąże problem".

Tego wieczoru wreszcie zbieram się na odwagę, by zadzwonić do Beau i zapytać, czy

nadal mógłby pomóc z samochodem. Kiedy jednak wpatruję się w jego numer, telefon zaczyna wibrować mi w dłoni i na ekranie pojawia się imię Matta. Natychmiast czuję na piersiach ciężar, jakby usiadł na mnie młody słoń. Mrugam i gapię się na telefon, aż w końcu przy ostatnim dzwonku pod wpływem impulsu decyduję się odebrać.

– Halo? – Mam wrażenie, jakbym wirowała w muszli klozetowej, zaraz zostanę spłukana do ścieku.

– Natalie – mówi Matt.

– Czego chcesz?

Zapada długa cisza, aż wreszcie Matt mówi:

– Po prostu tęskniłem.

– Odczep się ode mnie.

– Daj mi tylko coś powiedzieć. – Nie odpowiadam. – Natalie?

– No?

– Przepraszam cię – mówi. – Przykro mi, strasznie mi wstyd i nie mogę na siebie patrzeć.

– Tak. – Przełykam węzeł emocji, który dławi mi gardło. – Ja czuję mniej więcej to samo.

– Nat – mówi łagodnie. Słyszę po jego głosie, że płakał, i nic mnie to nie obchodzi. – Nat, proszę. Zrobię wszystko, co tylko będziesz chciała.

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz, Matt?

Matt wzdycha.

– Sam nie wiem. Po prostu chcę to naprawić. Powiedz mi, jak mam to zrobić.

– Nie sądzę, żebyś był w stanie to naprawić. Żadne z nas. Matt… to koniec. – Rozłączam się i pomimo wszystkich obietnic, które sobie składaliśmy, chyba wreszcie stało się to prawdą.

Mija godzina, a ja wciąż wpatruję się w sufit. Pieką mnie oczy i czuję ciężar na piersiach. Znowu nie mam odwagi zadzwonić do Beau, ale biorę się w garść i mimo to dzwonię, wstrzymując oddech z nadzieją, że nie będzie problemów z połączeniem. Chyba wszystko działa, ale z każdym kolejnym dzwonkiem popadam w coraz większą rozpacz. W tej chwili chciałabym po prostu usłyszeć jego głos. Słyszę trzask i w moim uchu rozbrzmiewa zgiełk, muzyka i krzyki.

– Halo? – mówię na wpół szeptem, nie chcąc obudzić Coco w sąsiednim pokoju.

Muzyka cichnie powoli, aż w końcu prawie w ogóle jej nie słychać.

– Cześć – mówi Beau jeszcze wolniej niż zwykle.

– Jesteś zajęty – stwierdzam.

– Wcale nie – odpowiada.

– Nie?

– Wyszedłem tylko z bratem. Nie przejmuj się. Cieszę się, że dzwonisz.

– A ja się cieszę, że połączenie przeszło.

– Hej, chciałabyś do nas wpaść?

– Dzisiaj?

– Teraz.

– Leżę już w łóżku – mówię.

– Czyli się zastanawiasz?

Przelotnie kontempluję wymknięcie się z domu.

– Chyba spasuję – mówię wreszcie.

– Chyba? – pyta Beau.

– Hej, a jak ty masz na nazwisko?

– Wilkes, a co?

– Nieee – mówię. – Żartujesz, prawda?

– Wcale nie.

– Beau Wilkes. Dokładnie tak samo nazywał się syn Ashleya Wilkesa w *Przeminęło z wiatrem*, a ty mi mówisz, że to nie żart.

– Założę się, że mama przespała się z ojcem po raz drugi tylko po to, żeby móc nazwać tak dziecko – mówi Beau.

– Beau Wilkes.

– Natalie Cleary, co mogę dla ciebie zrobić? Jest późno i nie chcesz do mnie wpaść, więc o co chodzi? Miałaś kolejny wypadek i trzeba po ciebie przyjechać?

– A przyjechałbyś, gdyby tak było?

– No jasne.

– Nawet gdybyś musiał przejechać powozem przez niebezpieczną dzielnicę biedoty?

– Nie mam pojęcia, o czym ty gadasz – mówi. – Dzwonisz z jakiegoś konkretnego powodu?

– Właściwie to tak. Zastanawiałam się, czy nadal byłbyś skłonny rzucić okiem na mój samochód, zanim zabiorę go do warsztatu.

– Chcesz mnie wykorzystać? – drażni się. – Nigdy jeszcze nie wykorzystywano mnie dla mojego intelektu.

Śmieję się.

– I jak się z tym czujesz?

– W porządku.

– W porzondku.

– A teraz w dodatku naśmiewasz się z tego, jak mówię. Jesteś bez serca.

– Przepraszam, Beau Wilkes. Podoba mi się sposób, w jaki mówisz. A poza tym to chyba oczywiste, że chcę cię wykorzystać w równej mierze przez wzgląd na ciało, jak i na umysł. – Beau milczy przez parę chwil i zaczynam już podejrzewać, że się rozłączył. – Halo?

– No? – odpowiada Beau.

– Jesteś tam jeszcze?

– Właśnie sobie ciebie wyobrażałem – mówi cicho.

– Aha. – Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

– Wyglądasz bardzo ładnie.

Zakrywam twarz ręką i uśmiecham się głupio w dłoń.

– Dzięki, Beau.

– Chętnie obejrzę twój samochód.

– Naprawdę?

– Jasne.

– Kiedy by ci pasowało?

– Przez cały weekend pracuję – mówi. – Ale mam wolne we wtorek rano.

Więc będę musiała przegapić jedną sesję z Alice, chyba że zdołałaby ją przełożyć na później.

– Super – mówię.

– O której?

– Wszystko jedno.

– Pierwsza, druga? – pyta.

– A wyrobiłbyś się może na dziewiątą rano?

Beau śmieje się.

– Jasne, podjadę do ciebie w poniedziałek wieczorem i po prostu prześpię się w furgonetce.

– Jeśli to za wcześnie…

– Może być dziewiąta.

– Dzięki, Beau.

Zapada cisza, aż wreszcie Beau mówi:

– No to dobranoc, Natalie.

– Dobranoc, Beau.

15

W poniedziałek w centrum miasta odbywa się Parada Niepodległości, wielka defilada z końmi w kostiumach, a po niej doroczny pokaz fajerwerków na posesji Luke'a Schwartza. Dawniej uwielbiałam Dzień Niepodległości – maszerowanie w pochodzie z całym zespołem tańca w naszych cekinowych niebiesko-pomarańczowych kostiumach z krótkimi spódniczkami ze spandeksu, wycieczki do Luke'a, żeby oglądać nielegalne fajerwerki, po które asystent jego ojca jeździ aż do Indiany… Kiedy skończyłam jakieś siedem lat, powoli zaczęła do mnie docierać ironia faktu, że ja, osoba pochodzenia indiańskiego, obchodzę to święto, ale dopiero w zeszłym roku zmierziło mnie to na tyle, że w ogóle zrezygnowałam z parady. Mama wiedziała, że dawniej cieszyłam się na te obchody, więc – co zrozumiałe – zaczęła się dziwić. Z jakiegoś zupełnie niewytłumaczalnego powodu uznałam, że najlepszym sposobem, by „w lekki i zdawkowy sposób" wytłumaczyć jej mój rosnący problem z paradą, będzie porównanie udziału w niej do wesołego skakania po Szlaku Łez.

Efekt był taki, jakiego można się spodziewać po każdym dowcipie na temat ludobójstwa. Innymi słowy, ja poczułam do siebie wstręt, a mama się popłakała. Oczywiście rodzice przez solidarność również zrezygnowali z parady, dlatego w tym roku nie dziwię się, kiedy słyszę lekkie pukanie we framugę i mama staje w drzwiach z niepewnym uśmiechem na ustach.

– Tak sobie myślałam, że może moglibyśmy pograć wieczorem w gry planszowe, kiedy Jacka i Coco nie będzie – mówi.

– Przecież tata nie znosi gier – zauważam.

Mama zbywa to machnięciem wymanikiurowanej dłoni, po czym składa ręce na brzuchu i wsuwa się do pokoju.

– Tata uwielbia gry. Tylko przegrywać nie lubi – stwierdza.

Nie zadaję sobie trudu, żeby przypomnieć jej, że ja naprawdę nie lubię gier i w ogóle wszystkiego, co wiąże się z konkurencją – wiem, że mama proponuje to tylko po to, żebyśmy mogli udawać, że dzisiejszy dzień jest jak każdy inny, że to wcale nie święto, które dawniej uwielbiała.

– Właściwie zastanawiałam się, czy nie pójść na paradę – kłamię.

Mama przygląda mi się uważnie.

– Naprawdę?

– Nie – przyznaję. – Ale tylko dlatego, że nie chcę wpaść na Matta. – Gdy to mówię, dociera do mnie, że to prawda.

Przekonania przekonaniami, ale naprawdę, naprawdę, naprawdę chciałabym obejrzeć dziś paradę. Chciałabym siedzieć z przyjaciółmi na kocu na trawniku Luke'a, patrząc na niebo pełne rozmigotanych świetlnych eksplozji. Chciałabym robić sobie z Megan zdjęcia, jak wypisujemy w powietrzu swoje imiona za pomocą zimnych ogni. Piłybyśmy Ale-8-One z ukradkową domieszką wódki, której ani nie dałoby się wyczuć, ani by na nas nie podziałała, ale i tak miałybyśmy poczucie buntu – bo trwa lato, bo się przyjaźnimy, bo jest czwarty lipca, a przecież wciąż kocham to święto. Wolałabym,

żeby te wszystkie zmiany nie były aż tak trudne albo przynajmniej aż tak dojmująco potrzebne, by zrobić w moim życiu miejsce na życie, a w moim umyśle miejsce na myśli.

– Poszłabym – powtarzam. – W innej sytuacji.

– Kochanie moje. – Mama wzdycha i przysiada obok, przyciąga mnie do piersi i gładzi delikatnie po głowie opuszkami palców. Obejmuje mnie mocno.

– To uczucie minie – mówi. – Czas leczy wszystkie rany.

Kiedy rozmowa dobiega końca i rodzice godzą się z faktem, że nic mi nie będzie, jeśli zostanę w domu, podczas gdy oni gdzieś wyjdą, zaczynam myśleć, że mama ma rację. W zeszłym roku się przeze mnie popłakała, a dzisiaj idzie na imprezę ze wspólnym gotowaniem. Może za rok o tej porze na widok albo na samą myśl o Matcie Kincaidzie nie będę czuła, jakby miało mi pęknąć serce. Może znowu będę w stanie myśleć o nim jako o moim przyjacielu.

Ale dziś wieczorem szwendam się na bosaka po pustym domu, wcierając w podeszwy stóp kurz lat i wbijając sobie w pamięć wszystkie kąty, które wkrótce opuszczę. Kiedy zachodzi słońce, idę do swojego pokoju i z okna oglądam prywatny pokaz fajerwerków nad naszą ulicą.

Gdy ostatni sąsiad odpala ostatnie race wielkiego finału, padam na łóżko i wysyłam wiadomość do Megan:

Tęsknię za tobą aż do bólu.

Po kilku sekundach Megan odpisuje: *Ja za tobą wesz*, po czym przysyła kolejną wiadomość o treści: *Zgadza się, autokorekto, chciałam napisać wesz, a nie też. Brawo.*

Bez ciebie faktycznie jest trochę wszawo – odpisuję. – *Tylko zdecydowanie nie tak skocznie.*

Hmm, w sumie na twój widok rzeczywiście skakałabym z radości jak wesz, pisze Megan.

Dziewczyno, miałabyś jeszcze energię na skakanie po tych swoich piłkarskich trendy gach? – odpowiadam. *Nawiasem mówiąc, chodziło mi o „treningi”, ale mój telefon miał inne zdanie.*

Twój telefon ma rację – pisze Megan. – *Piłkarski gach. Ulubiony sport drużynowy. Chcę się starać o miejsce w drużynie olimpijskiej.*

Zawoalujesz się w try miga, piszę i poprawiam: **Zakwalifikujesz*. *ZAKWALIFIKUJESZ*.*

Jesteś cudowna, piękna, zmysłowa i jesteś medium najbliższym kapelom, pisze Megan, a potem: *To miało być „moją najlepszą kumpelą”, głupi telefon…*

Ty moją wesz, odpisuję. Zasypiam jednocześnie smutna i szczęśliwa.

Beau się nie zjawia. Kiedy próbuję się z nim z skontaktować, telefon przełącza się na automatyczną sekretarkę. Dzwonię kilka razy i zostawiam mu wiadomość, ale wreszcie nadchodzi dwunasta i wiem, że Beau już nie przyjedzie.

Tata wziął sobie wolne popołudnie, więc wraca koło pierwszej, rzuca torbę w kuchni i zaczyna szukać w lodówce piwa.

– A gdzie twój znajomy? – pyta przez ramię.

– Coś mu wypadło – kłamię. – Nie mógł przyjechać.

Tata patrzy na mnie podejrzliwie. W końcu jest środek dnia, a ja ciągle siedzę

w kuchni, jakbym czekała. Nic jednak nie mówi. Sama nie wiem, czy bardziej mnie denerwuje, kiedy mama głośno usiłuje pomóc mi w przepracowaniu emocji, czy kiedy tata spogląda na mnie tymi swoimi rentgenowskimi oczami zaklinacza koni, ale zatrzymuje dla siebie to, co widzi.

Tata spuszcza wzrok na butelkę w swojej dłoni i wzdycha do niej jakby przepraszająco, po czym odstawia ją z powrotem do lodówki i odchrząkuje.

– W każdym razie mama ma rację. Pewnie powinniśmy się jeszcze poradzić, czy da się coś zrobić, zanim wyrzucimy kilka tysięcy na nowe auto, a zresztą i tak będę się czuł pewniej, jeśli obejrzy to profesjonalista. Wolałbym, żeby moja córka nie jeździła samochodem poskładanym byle jak przez jakiegoś smarkacza.

W pierwszym odruchu chcę stanąć w obronie Beau, ale wtedy przypominam sobie z dojmującym rozczarowaniem, że przecież Beau miał tu być, a go nie ma. Tak naprawdę w ogóle nie wiem, kim on jest; może to rzeczywiście tylko jakiś smarkacz.

– Gdybyście naprawdę mnie kochali, dalibyście sobie spokój z tym autem i kupilibyście mi samolot – mówię, by odwrócić rozmowę od nieobecności Beau.

– A gdybyś ty naprawdę mnie kochała, kupiłabyś sobie rower. – Tata zgarnia z kuchennego blatu telefon i rzuca ostatnie tęskne spojrzenie w kierunku lodówki. – No dobra. Chodź, odholujemy tego grata.

– A może te? – Coco psika perfumami z kolejnej z setek identycznych fioletowych buteleczek koło mego nosa. Jesteśmy w sklepie od pół godziny i zupełnie już straciłam zmysł powonienia.

– Ładne – kłamię, pospiesznie sięgając po telefon, w którym właśnie zabrzęczała nowa wiadomość. Moje i tak niebotyczne napięcie jeszcze wzrasta, kiedy zamiast przeprosin od Beau, na które liczyłam, widzę grupową wiadomość od Dereka Dillhorna z zaproszeniem na imprezę, którą urządza pod nieobecność rodziców. Od wczorajszego popołudnia nie próbowałam już dzwonić do Beau i on też do mnie nie dzwonił. Minęły cztery dni, odkąd umówiliśmy się, że przyjdzie obejrzeć samochód, i cztery tygodnie, odkąd Babcia dała mi tamto trzymiesięczne ostrzeżenie. Wbrew oczekiwaniom wyprawa na zakupy nie odrywa mnie od żadnej z tych spraw.

– To samo mówiłaś o ostatnich sześciu – skarży się Coco.

– Bo wszystkie były ładne.

– To czemu się tak krzywisz?

– Bo opary przeżarły mi mózg i zaraz stracę przytomność – odpowiadam. – I nie, nie ma to żadnego związku z tymi toksycznymi gazami, którymi pryskasz mi po oczach.

– To po co w ogóle tu przyjechałaś? – jęczy niecierpliwie Coco.

– Bo chciałam spędzić z tobą trochę czasu.

I dlatego, że mama mnie o to prosiła, bo była za bardzo zmęczona po pracy. I ponieważ dopóki dżip jest w naprawie, moją jedyną szansą na wyrwanie się z domu jest załatwianie różnych spraw dla rodziców, bo wtedy mogę pożyczać samochód mamy. I jeszcze dlatego, że musiałam zrobić coś, co zmusiłoby mnie do odklejenia oczu od nieznośnie milczącego telefonu.

Coco wzdycha i składa dłonie.

– To może poczekasz na zewnątrz albo gdzieś? – proponuje. – Bo przez ciebie nie

mogę spokojnie wybierać.

– Serio?

Coco wytrzeszcza oczy i kiwa głową.

– Nie możesz jej po prostu kupić kartki z życzeniami? – pytam. – Abby kończy piętnaście lat, to nie ceremonia wręczenia Nobla.

– Muszę jej pokazać, że pozostaniemy przyjaciółkami, nawet kiedy przeniosę się do nowej szkoły – odpowiada natychmiast Coco. – Jej serce rozumie tylko język upominków. Muszę znaleźć coś idealnego.

– Naprawdę sądzisz, że cokolwiek z tego zrozumiałam?

– Tylko przeciągasz sprawę.

– No dobrze – poddaję się. – Będę czekać przy restauracjach, z twarzą wciśniętą w pizzę, póki nie wywietrzę z nosa woni perfum.

– Super – mówi Coco i na podkreślenie tych słów psika w powietrzu czymś z bladozielonej buteleczki.

Wychodzę ze sklepu, tłumiąc kichnięcie, i idę w kierunku restauracji. Po drugiej stronie widzę Rachel siedzącą przed stoiskiem Sbarro z włosami świeżo ufarbowanymi na nienaturalny odcień blondu, a nie, jak zwykle, na nienaturalny odcień brązu, i czuję, że coś mnie ściska w dołku. Nadal nie powiedziałabym, że jestem na nią wściekła, ale mimo to postanowiłam nie oglądać ani jej, ani Matta, aż do dziesiątej rocznicy skończenia liceum.

Ścisk w dołku robi się jeszcze gorszy, kiedy widzę, kto siedzi naprzeciwko niej.

Beau. Rozpiera się luźno na krześle z rękami opartymi na udach, a stopa Rachel owija się pod stołem wokół jego łydki. W chwili, kiedy ta scena dociera do mojej świadomości, jego wzrok unosi się w moim kierunku. Odwracam się jak najszybciej i natychmiast zawracam w stronę korytarza do toalety, przyspieszając kroku i modląc się, by Beau mnie nie widział. Choć wiem, że to niemożliwe.

Boże, dość już mam tego ciągłego unikania wszystkiego i wszystkich.

Może powinnam być wdzięczna. Po takich akcjach naprawdę łatwo mi będzie stąd wyjechać. Może potrzebowałam, by własne miasto zwróciło się przeciwko mnie, żebym mogła je wreszcie opuścić.

– Natalie! – woła za mną Beau.

Nie odwracam się. Jestem już w korytarzu i praktycznie biegnę do damskiej toalety.

– Natalie, poczekaj! – krzyczy.

Wpadam za drzwi i zatrzaskuję je za sobą, a potem zaczynam chodzić w kółko wzdłuż umywalek, zastanawiając się, ile czasu będę musiała się tu chować. Co za upokorzenie. Powinnam po prostu powiedzieć „Cześć” i zachowywać się, jakby nigdy nic, a zamiast tego nawiałam i teraz już nie da się ukryć, że mnie to obchodzi.

– Natalie! – woła Beau zza drzwi. – Natalie, wchodzę do środka.

Rozglądam się za drugim wyjściem i jednocześnie biegnę do drzwi, żeby je przytrzymać, ale za wolno. Beau wszedł już do łazienki i jesteśmy tu tylko we dwoje. Umieram ze wstydu.

– Beau, to damska toaleta – mówię.

Beau podchodzi do mnie tak blisko, że cofam się pod umywalki, chwyta mnie w pasie i całuje. Przez sekundę jestem tak zdumiona, tak przytłoczona frustracją

i jednocześnie swoim pociągiem do niego, że też zaczynam go całować. Ale kiedy Beau podnosi mnie i sadza na umywalce, otrząsam się nagle i go odpycham.

– Odbiło ci?! – krzyczę. Zeskakuję i wymijam go, idąc do drzwi. – Nie zbliżaj się do mnie.

Wpadam z powrotem do drogerii, zauważając po drodze, że Rachel nie siedzi już w restauracji. Przedzieram się przez opary mdlących słodkich zapachów, maszeruję do Coco i ciągnę ją w stronę lady ze sztucznego drewna.

– Nie wiem, co masz w ręce, ale to właśnie dostanie Abby – mówię.

Budzę się w środku nocy i moją pierwszą myślą jest to, że w pokoju jest Babcia. Siadam i wbijam spojrzenie w fotel na biegunach, ale nikogo na nim nie ma. Zapalam nocną lampkę z papierowym kloszem i Gus mruczy niezadowolony. Może znowu szczekał przez sen – zdarzyło się kilka razy, że mnie w ten sposób obudził.

W tym momencie coś stuka o okno garderoby, pewnie wiatr. Ale po sekundzie słyszę ten sam odgłos, tylko trochę głośniejszy. Wstaję z łóżka, podkradam się do okna i odsuwam zasłonkę.

Patrzę nad dachem ganku na frontowy trawnik, na którym stoi Beau. Wypuszcza z dłoni garść kamyków i macha ręką. Waham się przez chwilę, po czym zamykam za sobą drzwi do garderoby i otwieram okno.

– Cześć – mówi Beau.

Chwieje się lekko na nogach, ubranie ma wymięte, a włosy w nieładzie.

– Co ty tu robisz? – syczę.

Beau spuszcza wzrok na stopy, a potem podnosi go z powrotem na mnie.

– Mogę do ciebie wejść?

– Czy ty jesteś pijany? – pytam.

Dopiero teraz zauważam, jak strasznie wygląda, jego twarz wydaje się lekko posiniaczona, jakby przed chwilą brał udział w barowej burdzie.

Beau odwraca spojrzenie, ociera usta dłonią. Jego milczenie to wymowna odpowiedź.

– Idź do domu, Beau.

– Muszę ci coś powiedzieć – upiera się.

– To wróć, jak wytrzeźwiejesz.

Beau rozgląda się po ulicy i mówi:

– Natalie, ja wiem, co się z tobą dzieje.

Prycham śmiechem, sfrustrowana.

– Niby co? Może zwodzi mnie facet, który prowadza się z moją byłą przyjaciółką?

Beau kręci głową.

– Wcale się z nią nie prowadzam.

Nie obchodzi mnie, co mówi. Widziałam ich razem i ewidentnie była to randka.

– Beau, wracaj do domu.

– Przepraszam za to z samochodem – mówi. – Dałem ciała. Powinienem był przyjechać.

– Skąd. – Niemal śmieję się z niedowierzaniem. – Właściwie to nie powinieneś, Beau. Tak samo jak nie powinieneś był prosić mnie o numer telefonu ani całować

w publicznej toalecie podczas randki z inną dziewczyną, no ale nie wiem, może wtedy też byłeś zalany!

Beau wbija we mnie wzrok, opierając ręce na biodrach. Znowu ociera usta i w końcu odwraca się z powrotem do furgonetki. Patrzę, jak odchodzi, i serce zaczyna walić mi w piersiach.

– Beau, poczekaj – wołam szeptem i wyłażę na dach ganku.

Beau ogląda się na mnie.

– Brawo, Natalie – mówi. – Taki właśnie jestem. Przejrzałaś mnie na wskroś.

Otwiera drzwi furgonetki, gdy ja podchodzę do krawędzi daszku.

– Nie powinieneś prowadzić w takim stanie – mówię.

Rozglądam się po oknach sąsiednich domów, sprawdzając, czy gdzieś nie zapaliło się światło, które doprowadzi do telefonów, a to wpakuje mnie w kłopoty.

Beau patrzy na mnie przez kilka chwil, po czym wsiada do samochodu. Złażę wściekła po balustradzie ganku, zeskakuję na trawnik, idę do furgonetki i otwieram drzwi po stronie pasażera.

– Wysiadaj – mówię.

– To moje auto – odpowiada. – Sama wysiadaj.

– Beau, po co tu przyjechałeś? – pytam. – Dlaczego mi to robisz?

– Wysiadaj, Natalie – powtarza.

Nie ruszam się z miejsca, więc Beau wypada z samochodu, obchodzi go gniewnym krokiem, ściąga mnie z fotela i zamyka drzwi. Rusza z powrotem do drzwi kierowcy, ale biegnę za nim i blokuję mu drogę.

– Nie możesz prowadzić w takim stanie – mówię.

Nagle Beau chwyta mnie w pasie. Ja też łapię go i całuję, a on podnosi mnie i opiera o samochód. Schodzi ustami na moją szyję i obejmuje mnie mocniej. Przesuwamy się na bok, Beau otwiera drzwi i podsadza mnie na fotel, a potem przysuwa się tak, że nasze brzuchy się splatają. Oplatam go nogami, a on przesuwa rękami po mojej szyi i całuje raz po raz.

Co ja wyprawiam? Mój gniew ponownie dochodzi do głosu i odpycham Beau od siebie.

Zatacza się do tyłu.

– W porządku. Chcesz wiedzieć, czemu tu jestem? – pyta. – Bo przez całe życie myślałem, że jestem szurnięty, ale teraz wiem, że nie jestem sam. I wszystko byłoby super, tylko że ta druga osoba, jedyna na świecie, która widzi to samo co ja, to wielka miłość mojego najlepszego kumpla i nie bardzo wiem, co, do cholery, mam robić.

Mam wrażenie, jakby serce stanęło mi w piersiach. Patrzę w ciemnościach w oczy Beau. Są poważne i stanowcze, a jego brwi zmarszczone.

– O czym ty mówisz?

– O tych dwóch różnych wersjach Union – odpowiada. – Wiem, że widzisz je obie.

– Skąd o tym wiesz? – szepczę bez tchu.

– Stąd – mówi – że ja też je widzę.

Kiedy wreszcie zapraszam Beau na górę, niemal zaczynam tego żałować. On nie jest podchmielony, tylko zwyczajnie pijany, z trudem wspina się na dach ganku. Przez cały czas, jaki zajmuje mu wdrapanie się po balustradzie, wyobrażam sobie, jak spada, a potem rodzice budzą się na dźwięk karetki i widzą pod oknem mojej sypialni obcego chłopaka.

Kiedy udaje mu się wejść na dach, wychylam się przez okno, żeby wciągnąć go do środka. Beau wskakuje do garderoby i przyciąga mnie do siebie, obejmuje ramionami.

Jego ciało jest ciepłe i spięte, czuję bicie jego serca w mojej klatce piersiowej i brzuchu. Beau wtula twarz w moją szyję i choć jakaś część mnie rozumie, że powinnam go odepchnąć – że każda sekunda, którą z nim spędzam, prowadzi tylko do tego, że chcę więcej, zresztą nawet gdybym nie miała za kilka tygodni wyjechać, nie powinnam pozwalać sobie na uczucia do chłopaka, który nie przyjeżdża, kiedy ma przyjechać, a potem zjawia się pijany, kiedy w ogóle się go nie spodziewam.

Marzę, by stać tak przytulona do niego w nieskończoność. Ale wiem też, że jeśli do tego dopuszczę, będzie mi jeszcze trudniej.

Odsuwam się i siadam na podłodze, podciągając kolana pod brodę. Beau siada naprzeciwko mnie.

– Opowiadaj – mówię.

Spuszcza wzrok na swoje dłonie i kiwa głową.

– Zaczęło się, kiedy miałem pięć lat – rozpoczyna. – Mama i Mason znikali na godzinę, a potem wracali jakby nigdy nic. Ale szybko zrobiło się gorzej. Czasem zmieniały się całe budynki. Widywałem swój dom w dwóch wersjach. Czasem wychodziłem na dwór się pobawić, oglądałem się za siebie, a on był cały zarośnięty, miał powybijane okna itepe. Potem to samo zaczęło się dziać z ludźmi. Spotkałem wersję Kincaida, która w ogóle mnie nie znała.

– Matta? – upewniam się.

Beau przytakuje.

– Przez całe życie mieszkałem w tym ich domu do wynajęcia. Kincaid i ja bawiliśmy się razem w dzieciństwie, aż któregoś dnia idę do niego, a on zaczyna mi się przedstawiać, jakbyśmy w życiu się nie spotkali. Zabrał mnie do swojego domu i jego ojciec też mnie nie poznał. Nigdy nie traktował mnie tak miło jak wtedy – dodaje z cieniem uśmiechu.

– Przecież w tym domu nikt nie mieszka – mówię.

– Tylko w twojej wersji – tłumaczy Beau. Patrzę na niego, nic nie rozumiejąc, a on mówi dalej: – Kiedy miałem dziesięć lat, mama zaczęła posyłać mnie na lekcje gry. Nigdy nie zdarzało mi się to pod okiem nauczyciela, ale kiedy grałem sam, czasami różne rzeczy znikały z pokoju. Drobiazgi, nic wielkiego. A kiedy przestawałem grać, wszystko wracało do normy. Potem zaczęło się robić coraz gorzej. Mama uznałaby, że tracę rozum, gdyby spędzała z nami wystarczająco dużo czasu. A tak wydawało jej się, że po prostu przechodzę jakąś fazę, i posłała mnie do ojca. Kiedy z nim zamieszkałem,

rzadziej mi się to zdarzało, ale jeśli już, było o wiele gorzej. Któregoś dnia tata nawet nie wiedział, kim jestem, i w środku nocy pogonił mnie z kijem bejsbolowym, ale kiedy po godzinie wróciłem, zachowywał się zupełnie normalnie. Tak czy owak, po półtora roku miał już dość, a kiedy wróciłem tutaj, było gorzej niż przedtem. – Beau robi pauzę. – W pierwszej klasie liceum odkryłem, że mogę swobodnie przechodzić między obiema wersjami. Zwłaszcza kiedy gram na pianinie albo go słucham, albo choćby myślę o jakiejś melodii. Alkohol też to ułatwia. Czasem też potrafię przenieść się do przodu.

– Do przodu?

Beau unosi na mnie orzechowe oczy.

– W czasie.

– To niemożliwe – szepczę bez tchu, a Beau śmieje się.

– Natalie, przecież to wszystko jest niemożliwe.

– Słuszna uwaga – przyznaję, rozcierając sobie skronie. – Więc istnieją dwie przyszłości?

– Nie wiem – mówi Beau, kręcąc głową. – Kiedy przenoszę się do przodu, nie potrafię tego zwolnić. To tak, jakbym… – Zastanawia się przez chwilę. – Jakbym stał w miejscu, a świat płynie obok mnie, ale kiedy chcę go zatrzymać, zamieszkać w nim, natychmiast wracam do teraz, do mojej albo twojej wersji.

– To nie ma żadnego sensu.

– Owszem – przyznaje. – Dlatego nikomu o tym nie mówiłem. Nie istnieje żaden namacalny dowód. Nie ma znaczenia, czy dookoła mnie są inni ludzie, kiedy czas rusza do przodu; gdy się zatrzymuje, wracam prosto do teraźniejszości. Dla nich nic się nie wydarzyło, najwyżej zamyśliłem się na chwilę, nieważne, ile to trwało z mojej perspektywy. Raz w dzieciństwie udało mi się zabrać ze sobą chomika Masona, ale na nic się to nie zdało i nigdy nie udało mi się tego powtórzyć z żadnym człowiekiem, więc dałem sobie spokój. Chodziłem wieczorami do szkoły, żeby pograć na fortepianie, i wtedy przechodziłem do twojej wersji Union, a kiedy przybiegał dozorca, kończyłem grę i przeskakiwałem z powrotem do swojej.

– Duch Sali Muzycznej – domyślam się.

Beau wzrusza ramionami.

– Tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, próbowałem wrócić do swojej wersji, ale nie mogłem. Myślałem, że chodzi o to samo co ze wszystkimi ludźmi… tak jakbym dostrajał się do ciebie, i to właśnie przytrzymywało mnie w twoim świecie. Ale po tamtej nocy ty zaczęłaś widzieć przebłyski mojej rzeczywistości. Widziałaś kościół z dodatkowym skrzydłem, a dziś w centrum handlowym zobaczyłaś mnie z Rachel.

Wbijam wzrok w wykładzinę.

– Ale to była twoja wersja Rachel – mówię, starając się, by mój głos brzmiał normalnie.

Beau kiwa głową.

– Rachel to zawsze Rachel, gdziekolwiek by była – stwierdza.

– Ona jest twoją…

– Niczym – mówi Beau, kręcąc głową.

– Twoją byłą? – domyślam się.

Beau patrzy na mnie przez kilka chwil.

– Coś w tym stylu – przyznaje.

– A tamtej nocy na boisku? Wtedy też była twoją byłą?

Ucieka wzrokiem w stronę okna, a potem z powrotem na podłogę.

– Nie do końca.

Coś przewraca mi się w żołądku i zakrywam twarz, masując sobie skronie.

– Natalie – mówi Beau.

Kręcę głową i opuszczam ręce.

– To bez znaczenia – mówię. – Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Beau wpatruje się we mnie z napięciem, jakby o coś prosił, i mam wrażenie, że moje serce jest zrobione z drącego się papieru.

– Właśnie dlatego nie zjawiłem się we wtorek – mówi wreszcie. – Kiedy się poznaliśmy, w ogóle nie wiedziałem, kim jesteś, jak do tego wszystkiego pasujesz. Ale kiedy zobaczyłaś to wszystko… moją wersję świata… zaczęłaś się zachowywać tak, że nie wiedziałem, co o tym myśleć. A potem twój numer telefonu nie chciał działać w moim świecie i zacząłem składać wszystko w całość. Więc kupiłem sobie to. – Podnosi do góry rozkładany telefon, prawdziwy antyk.

– Co to, jednorazowy numer, żeby umawiać się z dilerami? – pytam cierpko.

Beau patrzy na mnie z udawaną przyganą.

– Tak jakby – mówi. – Mam go, żeby móc do ciebie dzwonić. Kupiłem go w twojej wersji, więc kiedy zadzwoniłaś na ten numer, połączenie przeszło. Chciałem się z tobą zobaczyć. Myślałem, że będziesz w Dzień Niepodległości u Schwartzów, więc tam poszedłem, ale nie mogłem się przenieść do twojej wersji. Czasem tak bywa. Upiłem się, ale nadal nie mogłem się przedostać. To samo następnego dnia. Ale kiedy cię dziś zobaczyłem, postanowiłem spróbować jeszcze raz.

Szarpię za włosie wykładziny.

– I alkohol naprawdę pozwala ci przeskoczyć z jednej rzeczywistości do drugiej?

Beau wzrusza jednym ramieniem.

– Chyba tak. W każdym razie tak mi się wydawało.

– Brzmi to jak niezła wymówka dla alkoholizmu – rzucam. – To nadaje zupełnie nowy sens pojęciu towarzyskiego picia.

Kiedy unoszę wzrok, Beau obdarza mnie jednym z tych swoich intensywnych uśmiechów, w których zawiera się całe lato.

– No wiesz, Natalie Cleary… to może sama wymyślisz, jak się przenosić z twojego świata do mojego? Wtedy nie będę musiał pić, żeby cię odnaleźć.

Śmieję się.

– Jeśli odstawisz piwo, to z czym będziesz jadł swoje płatki?

– Piwo to nie alkohol.

Znowu się śmieję.

– Kolejny wygodny pogląd – zauważam.

– W porządku – mówi Beau. – Z piwa też zrezygnuję. Przestawię się na jajecznicę albo coś innego. Tylko znajdź jakiś sposób, żeby móc przechodzić do mojego Union.

– Okej – zgadzam się, próbując zapanować nad uśmiechem. Nagle przychodzi mi do głowy coś ważnego. – Szukam kogoś i wydaje mi się, że ta osoba może być w twoim

świecie. Ale właściwie nie jestem pewna. Chodzi mi o staruszkę o siwych włosach i ciemnej karnacji, mówi o sobie Babcia. Widziałeś kogoś takiego?

Beau waha się, przesuwa dłonią po karku.

– Natalie…

– Co?

– O ile wiem, u nas są dokładnie ci sami ludzie co u was – wyjaśnia. – Każdy istnieje w dwóch wersjach.

– Każdy?

Beau przez chwilę patrzy mi w oczy.

– Z wyjątkiem nas – mówi.

– Poważnie?

Kiwa głową.

– Przed tamtym wieczorem w szkole nigdy cię nie widziałem.

– A ja widziałam cię tego wieczoru na boisku – mówię. – Byłam na zakończeniu roku i nagle w którymś momencie wszyscy zniknęli. Byliśmy tylko ty i ja.

Beau podnosi na mnie spojrzenie i kącik jego ust podjeżdża do góry.

– Nasze zakończenie roku było tydzień przed waszym. Tamtego wieczoru byłem na boisku sam. – Patrzy na mnie tak, że w końcu odwracam wzrok. – Mogę ci coś pokazać?

Kiwam głową i Beau podnosi się z podłogi.

– Wstań – mówi. – Podaj mi dłonie.

Wykonuję polecenie. Stoimy, trzymając się za ręce. Ciepło emanuje z jego palców wzdłuż moich ramion aż do brzucha. Beau sięga za mnie, żeby zgasić światło, i przyciska głowę do mojego czoła.

– Zamknij na chwilę oczy – szepcze z ustami przy moich ustach i znowu robię to, co mówi.

Wyczuwam go przy sobie, we wszystkich tych miejscach, gdzie prawie, ale nie do końca się stykamy.

Czuję coś na kształt szarpnięcia w żołądku, jakby mój środek ciężkości zapadał się w mokry piasek. Widzę na powiekach błyski światła: czerwone, żółte, niebieskie, fioletowe – jak przewijająca się rolka filmowa.

– Możesz otworzyć – szepcze Beau.

Otwieram niepewnie oczy. Twarz Beau oblewa stłumiona srebrzystoniebieska poświata, ale kiedy na niego spoglądam, światło za oknem zaczyna się zmieniać, przybiera na sile i przechodzi przez setkę odcieni różu w rozpłomieniony fiolet, aż w końcu wybucha oślepiającym złotem, które przebija tęczówki Beau jak miedziana włócznia. W kilka sekund garderoba wypełnia się jasnością dnia, która równie szybko zaczyna gasnąć: policzki, oczy i usta Beau oblewa złocisty blask i słońce obniża się po zachodniej stronie domu. Światło staje się pomarańczowe, potem fioletowe, aż w końcu przechodzi w granat tak ciemny, że prawie czarny.

Cykl powtarza się, kolory obmywają nas w kolejnych wariacjach tych samych odcieni, wirują szybciej i szybciej, jakbyśmy znajdowali się w centrum układu słonecznego i teraz to słońce krąży dookoła nas. Wstaje na wschodzie, znika na zachodzie. A zarazem mam wrażenie, jakbyśmy i my się poruszali, jakbyśmy brnęli po

szyję w wodzie, która napiera na nas łagodnie.

Cały świat się zmienia i nagle wzdycham ze zdumieniem, widząc, że między garderobą a pokojem krąży inna wersja mnie, tak szybko, że prawie jej nie widzę. Garderoba pustoszeje i wypełnia się porządnie ustawionymi plastikowymi pojemnikami, których nigdy przedtem nie widziałam, dookoła przemykają cienie ludzi, których nie znam, przechodzą na wskroś przez nas. Pojemniki również znikają, a zastępują je wieszaki na ubrania, i przez cały ten czas słońce wschodzi i zachodzi, a Beau trzyma moje dłonie w swoich.

Wszystko się zmienia, z wyjątkiem jego i mnie. My jesteśmy wciąż tacy sami.

– Jakie to piękne – szepczę.

Kiwa głową, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Myślisz, że oni nas słyszą?

Teraz ściany i podłoga zaczynają się starzeć, światło wciąż śmiga przez kolejne fazy jak film na rzutniku, aż w końcu gips zaczyna się kruszyć, szkielet ścian zaczyna obrastać pnączami i chwastami jak pajęczyną. Kwiaty na pnączach rozkwitają i więdną, potem znowu odrastają i znowu giną. Pory roku przechodzą w lata, dekady przechodzą w wieki, a wszystko to w kilka chwil, w trakcie których słyszę oddech Beau, widzę zarys jego postaci w milisekundach mroku przed nadejściem kolejnego poranka.

– Chyba nie został już nikt, kto może nas usłyszeć – mówi w odpowiedzi Beau.

Ma rację. Śmieję się, bo nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić. Stoimy na krańcu świata, a światło krąży nad nami jak zapętlone.

Beau przysuwa się do mnie i ciężar w żołądku znika, światło gaśnie i znowu wracamy do mroku garderoby. Mój oddech wydaje się teraz mniej płytki. Ledwo widzę górującego nade mną Beau, ale czuję jego obecność. Moje wargi nadal smakują jego pocałunkiem i nie mogę przestać myśleć o tym, jak mała odległość dzieli jego usta od moich.

A potem nie ma już żadnej odległości. Opieram się o drzwi, a Beau całuje mnie wolno, delikatnie, jego nieco szorstkie ręce są na moim brzuchu, a moje dłonie wsunięte są w jego włosy. Palce Beau przesuwają się do mojej szyi i łagodnie po gardle do obojczyków. Jak przedtem, światło zaczyna krążyć wokół nas, ale tym razem mam wrażenie, że żołądek podjeżdża mi do góry, jakbym spadała, a słońce wschodzi na zachodzie, tuż przy oknie garderoby, i zachodzi za domem, a ciemna noc cofa się w wieczór, potem południe i poranek.

Kiedy pocałunek się kończy, stoimy przez chwilę obok siebie. Serce wciąż wali mi w piersiach, a słońce dalej raz za razem krąży z zachodu na wschód, niczym wirująca wokół nas karuzela barw. Jakaś wcześniejsza wersja mnie chodzi pomiędzy garderobą a sypialnią, przesuwa się niczym niemożliwie szybka plama brązu. Na plecach i nogach czuję nacisk, jakby ktoś ciągnął mnie w tył przez wodę.

Dotarliśmy do Dnia Niepodległości, a kiedy cofamy się przed fajerwerki, znowu połyka nas ciemna noc. Jedyny dźwięk to nasze oddechy w mroku, jedyne, co trzyma mnie w rzeczywistości, to dłonie Beau na moich.

– Pokaż mi, jak to zrobić – szepczę.

Beau wygląda za okno.

– Wydaje mi się, że właśnie to robisz.

Znowu mnie całuje, przypiera do drzwi i unosi z podłogi. Świat na powrót przyspiesza. Tym razem, kiedy docieramy do kruszących się ścian i rozrastających pnączy, próbuję zatrzymać czas wokół nas. Próbuję zatrzymać nas w nim, na końcu świata.

– Dawno temu na ziemi zapanowała susza – mówię do Beau. Leżymy na bokach na podłodze garderoby. Beau obejmuje mnie w talii i opiera rękę na moim udzie. – Cała woda zniknęła, wyschły wszystkie potoki i strumienie, wszystkie rzeki i jeziora, i nawet ocean otaczający Amerykę. Ludzie cierpieli z głodu i pragnienia, błąkali się po świecie w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogliby zjeść lub wypić. Ale kiedy w miejscach, gdzie dawniej była woda, znajdowali martwe ryby i zwierzęta, ogarniała ich wściekłość. Obwiniali te stworzenia o suszę i rozcinali ich martwe ciała, szarpali je na kawałki i rozrzucali w gniewie dokoła.

Trwało to przez jakiś czas, aż w końcu nad ich głowami powiał silny wiatr. Ludzie znieruchomieli i popatrzyli do góry. Zobaczyli niesionego podmuchem człowieka, który zmierzał w ich stronę. Kiedy opadł na ziemię, rzekł do nich: „Postąpiliście jak głupcy. Nie szanowaliście ani mnie, ani siebie nawzajem, ani niczego, co stworzyłem ku waszej radości i oddałem wam pod opiekę”.

Potem wyciągnął liść, a z niego spłynęły cztery krople wody, które rozpłynęły się na cztery strony świata i zalały całą ziemię potopem. Wtedy człowiek ten wybrał kilkoro ludzi, wywiódł ich na pewną górę i podczas gdy poziom wody wciąż wzrastał, nakazał on górze, aby się podniosła, tak by ludzie ci nie utonęli.

Pozostali na szczycie przez kilka dni, aż wody potopu cofnęły się, odsłaniając na powrót zieloną ziemię, dawniej wyschniętą. Wtedy człowiek ów sprowadził ludzi z powrotem z góry, a wtedy ujrzeli, że ci, którzy zostali pod wodą, nie zginęli, lecz odrodzili się jako ryby, aligatory i inne stworzenia, a liczba ich była tak wielka, że pusta ziemia na powrót się zapełniła. I tak człowiek ów odnowił świat, naprawiając wszystkie zło.

– I to koniec? – pyta Beau, przesuwając ręką po moim boku.

– Albo początek – mówię – zależy, jak na to spojrzeć. W każdym razie tak mówiła Babcia.

Beau przekręca się na plecy, a ja składam mu głowę na ramieniu i opieram rękę na jego piersiach, czując pod nią każdy przechodzący przez płuca oddech.

– Pomogę ci, jeśli tylko będę mógł – mówi Beau. – To jest spróbuję ją odszukać, zanim wyjedziesz.

W tej chwili sama myśl o wyjeździe sprawia, że mam ochotę uchwycić się Beau i zamrozić czas. Odwracam głowę, wtulam twarz w jego koszulkę i wdycham zapach.

– Ja bym utonął w tej powodzi – mówi Beau.

– O czym ty mówisz? – pytam, podnosząc się.

– W mojej rzeczywistości Kincaid nie radzi sobie zbyt dobrze – mówi Beau. – Zawsze był szczęśliwszy w twoim świecie. Pewnie dlatego, że miał ciebie.

– Między Mattem a mną wszystko skończone – mówię. – Niezależnie od tego… od ciebie.

Po jego twarzy przemyka nikły uśmiech, lecz szybko znika, zastąpiony na powrót

poważnym, zamyślonym spojrzeniem. Beau muska palcami moje ramię.

– On by mi tego nie zrobił – mówi.

– Nie wiesz, co by zrobił – odpowiadam. – Matt, którego ty znasz, to inna osoba niż Matt, którego znam ja. – Po tym, co się wydarzyło na jego urodzinach, nie jestem nawet pewna, czy w ogóle znam mojego Matta.

– A ty nie znasz tego, z którym się przyjaźnię – odpowiada Beau.

– No właśnie. To dwaj różni ludzie – mówię. – Nie powinieneś robić sobie wyrzutów.

Beau śmieje się bez radości i kręci głową.

– To nie ma znaczenia – mówi. – Nawet gdybyśmy żyli w tym samym świecie; tym, w którym Kincaid cię kocha, i tak byłbym tu z tobą. Gdybyś tylko chciała.

– Dlaczego? – pytam.

Beau maskuje szeroki uśmiech i przesuwa kciukiem po moich ustach.

– Wydaje mi się, Natalie, że świat, łącznie ze mną, nie jest aż tak skomplikowany, jak ci się wydaje. Ja cię świadomie nie wybrałem. Po prostu wiem, że jeśli mam wybudować w życiu tylko jeden dom, to chciałbym, żeby należał on do ciebie, a jeśli istnieje jakaś osoba, której nigdy nie chciałbym zranić ani rozczarować, to jesteś nią właśnie ty.

Ujmuję jego twarz w dłonie i znowu go całuję, wolno i głęboko. Jego ręce obejmują mnie, podnoszą i przesuwają tak, że leżę na nim. Kulę się na na jego piersi i szepczę:

– Ja też bym chciała, żebyś był przy mnie. W każdej rzeczywistości.

Beau obejmuje mnie mocno i całuje w czubek głowy.

– Opowiedz mi jeszcze jedną historię i sobie pójdę.

– Przecież nie musisz – protestuję. – Jeśli ktoś wejdzie, możesz zwyczajnie zniknąć.

– I pojawić się w garderobie jakiejś Bogu ducha winnej osoby – mówi Beau. – Za pierwszym razem, kiedy zacząłem rzucać kamykami w twoje okno, wyszedł jakiś staruch i zaczął wrzeszczeć, że wezwie policję.

– Więc mógłbyś zostać w mojej wersji i zwyczajnie wyjść oknem.

Beau patrzy na mnie i odsuwa mi włosy z twarzy.

– Zostanę, jak długo będziesz chciała.

Na zawsze, myślę. Niech ta chwila trwa na zawsze. Mam do siebie na tyle duży dystans, by wiedzieć, że nie potrafię się skupić na teraźniejszości. Kilka miesięcy przed wyjazdem Megan umiałam tylko rozmyślać o naszych wspólnych latach i o tym, jak to będzie bez niej. Raz nawet tata, przynosząc mi do pokoju pranie, przyłapał mnie, jak płakałam z tego powodu. Z początku przeprosił i odwrócił się, żeby wyjść, ale potem zapewne na jego ramieniu pojawił się malutki aniołek z twarzą mamy i kazał mu zostać i mnie pocieszyć. Kiedy powiedziałam, że płaczę, bo już teraz tęsknię za Megan, chociaż nie zdążyła jeszcze wyjechać, tata powściągnął uśmiech, odchrząknął i stwierdził:

– Cukiereczku, musisz się cieszyć tym, co masz. Jeśli nie będziesz uważać, to całe życie przeleci ci koło nosa, kiedy będziesz zajęta myśleniem o przyszłości albo rozpamiętywaniem przeszłości.

Ludzie ciągle powtarzają takie rzeczy i nie chodzi o to, że w to nie wierzę. Problem w tym, że nie umiem się powstrzymać. Nie potrafię zmusić umysłu, żeby zapomniał o przeszłości, ani serca, żeby nie przejmowało się tym, co może przynieść przyszłość.

Ale w tej chwili, siedząc na podłodze z Beau, nie chcę uciekać w przeszłość ani zaglądać do przyszłości. Nie chcę być sama, bo znowu zacznę rozmyślać i zastanawiać się, jak może się skończyć nasz związek, nim choćby pozwolę, żeby się zaczął. Przy Beau czas jakoś dziwnie staje w miejscu – a może w ogóle znika, jakby naprawdę istniał tylko ten jeden moment i nic poza nim? Zastanawiam się, czy Beau na wszystkich wywiera taki uspokajający wpływ – czy też chodzi o to, że pośród wszystkich ludzi na świecie, w dwóch rzeczywistościach, Beau i ja po prostu do siebie pasujemy.

Nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia, ale może trafiłam na coś tak do niej zbliżonego, jak to tylko możliwe: któregoś wieczoru widzisz kogoś na boisku – kogoś, kto w ogóle nie powinien cię obchodzić – i nagle czujesz: chcę, żebyś był mój, a sama chcę być twoja. Leżysz z kimś na podłodze garderoby i myślisz: nie powinnam cię znać, ale znam. Rozpoznajesz w kimś cząstkę siebie, nim jeszcze życie go nią uczyni, i wiesz ponad wszelką wątpliwość, że żadne z was już nigdy nie będzie tą osobą, którą jest w tym momencie, i wierzysz, że mimo to wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu nadal będziecie do siebie należeć.

Jeszcze nie kocham Beau, przynajmniej nie wydaje mi się. Ale w jego towarzystwie czuję się tak swobodnie jak ze sobą, a nawet lepiej, i myślę, że w tym sensie jesteśmy dla siebie stworzeni.

Patrzę na sufit i czekam, aż przyjdzie do mnie kolejna historia, czuję nitki przechodzące przez mój umysł niczym światło wiedzy, które Babka Pająk wplotła w pierwszych ludzi.

– Jak myślisz, co to wszystko znaczy? – mruczy mi Beau do ucha. – Te wszystkie historie, które ci opowiadała?

– Nie wiem. Może po prostu nie chciała, żeby zostały utracone.

Już mówiąc te słowa, przypominam sobie, co powiedziała Babcia ostatnim razem. Chwyciła mnie za rękę i rzekła: „Wszystko jest w tych historiach. Wszystko. Prawda. Cały świat, Natalie. Ta dziewczyna wskoczyła do dziury, nie wiedząc, co się stanie, i narodził się cały świat”.

– Przed powodzią – zaczynam opowieść – był sobie lud Yamasee. Świat stał się wtedy tak mroczny i brutalny, że nikt nie mógł przeżyć, jeśli nie potrafił zawalczyć o swój byt. Serca Yamasee były więc złamane, bo nie chcieli nikogo zabijać, by sami mogli żyć. Nie potrafili tego usprawiedliwić. Kiedy zatem wody zaczęły się podnosić, zamiast marnować czas na próby przetrwania, lud Yamasee wszedł w samą głębinę ze śpiewem na ustach. I tak zniknął z tego świata.

17

Kiedy budzę się na podłodze garderoby, Beau już nie ma. Nadal otula mnie jego bluza, a okno jest zasunięte, ale nie zatrzaśnięte. Uderzają w nie kropelki deszczu, a szyba drży od odległego gromu. Przez jakiś czas leżę i patrzę w sufit, zastanawiając się, czy ostatnia noc była snem.

Czy Beau tylko mi się śnił? Czy Babcia tylko mi się śniła?

Siadam i z włosów wypada mi drobny biały kwiatek. Podnoszę go i obracam w palcach – opadł z rośliny, która pewnego dnia zacznie się piąć po ścianach mojego pokoju. Za wiele, wiele, wiele lat. Trzymam go i czuję na wargach usta Beau, zalewa mnie fala gorąca i jednocześnie przypływ niezrozumiałego poczucia winy.

Nie chodzi tylko o Rachel, choć częściowo tak. Beau ma cały inny świat, z którym mnie zdradza. Innego Matta Kincaida, z którym się przyjaźni. Inną Rachel Hanson, która jest Nie-Jego-Dziewczyną-Ale-Kimś. Inne Union, w którym ja nie istnieję.

Nagle przypominam sobie, że dziś czwartek.

Zrywam się i pędzę do pokoju, niemal przewracając się o Gusa, który nocą przeniósł się pod drzwi garderoby. W ostatniej chwili hamuję i przestępuję nad nim. Wskakuję w odcinane dżinsowe szorty i koszulkę bez rękawów i sięgam po telefon, żeby zobaczyć, która godzina.

Ósma trzydzieści. Auto stoi w warsztacie, więc Jack jeździ na treningi z kolegami z drużyny, ale i tak zamierzałam zadzwonić z samego rana do Alice i spytać, czy nie zajechałaby po mnie przed naszym spotkaniem. Przewijam kontakty w telefonie do jej nazwiska, ale kiedy dzwonię, nie ma połączenia. Podnoszę wzrok i orientuję się, dlaczego: Gus zniknął, ściany pokrywa bladoróżowa tapeta w kwiatki, a w przeciwnym kącie stoi jednoosobowe, schludnie pościelone łóżko. O, Boże. Nie, nie, nie…

Jestem w cudzym pokoju. Biorę głęboki wdech, wystawiam głowę na korytarz i sprawdzam, czy droga wolna, a potem biegnę do schodów. Zamykam i otwieram oczy, mocno, jak dawniej, kiedy wiedziałam, że śni mi się koszmar, i chciałam się obudzić. Na dole skręcam ostro i pędzę do drzwi.

Dzięki, Babciu. Znowu jestem w swoim świecie. W przedpokoju wpadam na Coco. Drzwi wejściowe są otwarte i staję jak wryta, widząc w nich Matta.

– Cześć – mówi niepewnie zza Coco.

Coco odwraca się do mnie i rzuca bezgłośne „Sorry”.

– Właśnie miałam iść sprawdzić, czy już wstałaś – dodaje na głos, wodząc między nami wzrokiem. – To ja idę na śniadanie – bąka wreszcie i wymyka się korytarzem do kuchni.

– Co ty tu robisz? – pytam Matta, czując, jak zżera mnie poczucie winy. Przypominam sobie, że ten Matt nie zna Beau, ale jakaś cząstka mnie nadal uważa, że właśnie spędziłam całą noc, obcałowując się z najlepszym przyjacielem mojego byłego, i że Mattowi lepiej jest w tej drugiej wersji Union, gdzie nie zmarnował na mnie tyle czasu.

Przesuwa ręką po karku i mierzwi sobie jasne włosy.

– W ogóle nie sypiam – mówi i widzę po jego zaczerwienionych oczach i wygniecionych ubraniach, poznaję po zapachu piwa w jego oddechu, że to prawda. – Nie mogę normalnie myśleć. Musiałem się z tobą zobaczyć.

– Zaraz się spóźnię. – Patrzę na miejsce, gdzie zazwyczaj parkuję dżipa, i wzdycham, zbierając się w sobie. – No dobra. Ty musiałeś się ze mną zobaczyć? A ja muszę się dostać na NKU. Możesz mnie podwieźć.

– Jasne – mówi gorliwie. – Nie ma sprawy.

– Ale to nie znaczy, że znowu się przyjaźnimy.

– W porządku.

– Pewnie nawet się do ciebie nie odezwę.

– Więc może wreszcie będę mógł dojść do słowa – mówi Matt, uśmiechając się potulnie.

Kilka tygodni temu roześmiałabym się na to. A teraz czuję tylko smutek i pustkę. Chcę, żeby Matt był szczęśliwy. Ale z dala ode mnie, bo też chcę być szczęśliwa, a w tej chwili jego widok nie nasuwa mi wspomnień naszej wieloletniej przyjaźni. Przypomina mi tylko tamtą noc.

Matt idzie przodem do swojego samochodu i otwiera mi drzwi.

– Ślicznie dziś wyglądasz, Nat.

– Wszystko jedno – mówię.

Jedziemy w ciszy i wyczuwam jego udrękę wiszącą w powietrzu jak stado os, co tylko jeszcze bardziej mnie irytuje.

– Wiesz, byłem wtedy naprawdę pijany – mówi wreszcie Matt.

– Jeśli tak się zachowujesz po pijanemu, to nie powinieneś pić – stwierdzam.

– Masz rację – zgadza się. – Nie będę już pił.

– Doprawdy? Bo czuć od ciebie, jakbyś wylał na siebie całą beczkę piwa.

– Wczoraj wieczorem faktycznie przesadziłem – przyznaje ostro. – Ale to był ostatni raz. Skończyłem z tym.

– Nawet nie zacząłeś jeszcze studiów.

– No i? – pyta. – Mówię poważnie.

Nie dyskutuję, ale nie wierzę mu. Zastanawiam się mimochodem, czy nadal nie jest pijany i czy naprawdę powinnam wsiadać z nim do samochodu, kiedy jego oczy mają taki wyraz, a jego ubrania tak pachną.

W drodze myślę o tym Innym Matcie Kincaidzie, który przyjaźni się z Beau – spokojnym, pijającym whisky supermanem. Nie potrafię sobie tego wyobrazić, ale z drugiej strony mogłoby się wydawać, że to bardziej naturalne niż związek Beau ze mną.

Beau i Rachel. To już zdecydowanie brzmi sensownie, ale sama myśl doprowadza mnie do szału.

– Po co jedziesz na NKU? – pyta Matt, kiedy zjeżdżamy z autostrady.

– Do psychologa – mówię.

Jego brwi podjeżdżają do góry.

– Wszystko w porządku?

– Niespecjalnie.

– Chcesz o tym pogadać? – pyta.

– Nie. – Cisza nabrzmiewa między nami, niewypowiedziane słowa pieką mnie w piersiach, aż zaczynam mieć wrażenie, że pęknę, jeśli tego nie powiem. – Matt, naprawdę mnie zraniłeś.

– Zachowałem się jak palant.

– Nie sądziłam, że byłbyś w stanie zrobić coś takiego.

– Wierz mi – mówi. – Ja też nie.

Gdy tylko wjeżdża na parking, wyskakuję z samochodu, choć wciąż jesteśmy po przeciwnej stronie kampusu od gabinetu Alice i deszcz leje jak z cebra. Nie mogę wysiedzieć z Mattem ani chwili dłużej. Wszystko, co mówił Beau, świerzbi mnie pod skórą. Nie potrafię przestać o nim myśleć, a Matt nawet nie wie o jego istnieniu. Ruszam do budynku. Matt jedzie obok mnie i spuszcza szybę.

– Jak stąd wrócisz? – pyta, wyraźnie zaniepokojony, a ja patrzę na niego, ocierając deszcz z rzęs.

– Jakoś sobie poradzę – mówię. – Proszę cię, Matt, jedź już sobie.

Matt kilka razy otwiera i zamyka usta, jakby próbował znaleźć słowa, które język mógłby wypowiedzieć.

– Wiesz, to naprawdę nie jest tylko moja wina – mówi wreszcie i w jego głos zakrada się gniew.

– Niby co? Że rzuciłeś się na mnie, a potem zabrałeś za dziewczynę, z którą się przyjaźniłam?

– Chryste, Natalie – mówi ostro. – Popełniłem błąd. Nie musisz mi ciągle o tym przypominać. Nie jestem psem, który nasikał na dywan.

– Och, wybacz, że nie umiem w kilka dni zapomnieć o czymś takim! – krzyczę. – Przeraziłeś mnie, nie rozumiesz tego?! Nie czułam się bezpiecznie. Myślałam, że mnie… – Urywam, to słowo nie chce mi nawet przejść przez usta.

Matt wypuszcza powietrze, a jego policzki robią się wręcz sine.

– No, powiedz to, Natalie! – krzyczy prawie. – Właśnie tak o mnie myślisz. Myślisz, że mógłbym cię zgwałcić.

– Wcale tego nie powiedziałam – mówię.

Cała się trzęsę.

– Ale tak myślałaś.

– Bałam się – odpowiadam. – Kazałam ci przestać, a ty nie słuchałeś. Nigdy przedtem tak się nie zachowywałeś. Co miałam pomyśleć?

– Czasami – mówi Matt, kręcąc głową nad kierownicą – aż trudno uwierzyć, jaką potrafisz być szurniętą suką.

Otwieram usta, wszystkie riposty, jakie sobie przygotowałam, wylatują mi z głowy, a ja stoję pusta i drżąca.

– Nigdy więcej nie próbuj ze mną rozmawiać – mówię wreszcie. – Nie dzwoń do mnie. Nie przychodź do mojego domu. To koniec, Matt.

– I dobrze! – rzuca pogardliwie.

Zasuwa okno i odjeżdża.

Zamykam oczy i pozwalam, by deszcz przemoczył mnie na wskroś. Czuję, jak żołądek podjeżdża mi wyżej – dzięki temu wiem, że świat wokół mnie ulega zmianie. Kiedy na powrót otwieram oczy, budynki znikają, a zamiast nich widzę falujące

wzgórza i gęste bujne lasy, które migoczą i kołyszą się w deszczu. Mimo to idę dalej w kierunku, gdzie powinien znajdować się budynek Alice.

Gdy zabudowania uczelni znikają, to tak, jakby i Matt nie istniał. Jakby nikt nie istniał, więc nic złego nie może się zdarzyć. Cały świat wydaje mi się bezpieczniejszy i łagodniejszy, ale mimo to nie potrafię zapanować nad płaczem i drżeniem.

Muszę po prostu iść dalej. Nie myśleć o Matcie. Nie myśleć o tych trzech miesiącach, które ciągle uciekają, ani nawet o Beau. Zbliżam się do zrozumienia. Zaczynam rozumieć cały świat i moją rolę w tym, by mógł się narodzić. Muszę tylko iść dalej, a wszyscy i wszystko będzie dobrze.

Czuję szarpnięcie w brzuchu i widzę, jak przed moimi oczami znowu pojawia się budynek Alice. Wchodzę do środka, idę po schodach i przechodzę krętym korytarzem do jej gabinetu.

– Odwołaj wszystkie dzisiejsze spotkania – mówię, kiedy ona i doktor Wolfgang, hipnoterapeuta, podnoszą głowy znad jej zagraconego biurka.

– Nie mogę – mówi Alice, przewracając kartkę w swoim notesie. – To ty masz pilnować, żeby być tu na czas, a jeśli nie jesteś w stanie…

– Wiem, kim są Inni.

Alice blednie.

– Doktorze Wolfgang – mówi. – Chyba będziemy musieli przełożyć sesję.

– Alternatywne rzeczywistości zajmujące tę samą przestrzeń – mówi Alice, bębniąc palcami w usta. – Nigdy nie widziałam konkretnych dowodów, ale to ma sens. – Zapisuje coś w notesie, przerywa na chwilę i zaczyna rysować długopisem małe kółeczka, mrucząc coś jednocześnie.

– I tyle? – pytam wreszcie.

– No dobrze, powiedzmy więc, że za trzy miesiące ma nastąpić dla ciebie Zamknięcie – mówi Alice. – Może to oznacza, że wtedy zostaniesz odcięta od tych alternatywnych rzeczywistości. Może one są trochę jak zaćmienia księżyca. Liczne światy, które nachodzą na siebie, ale tylko tymczasowo.

– W porządku. – Już teraz czuję, jak na samą myśl, że zostanę odcięta od świata Beau, ogarnia mnie panika.

– A w takim razie – ciągnie Alice – niewykluczone, że Babcia chce, żebyś dokonała czegoś w tym drugim świecie. Może stąd ten ograniczony termin.

– Może – zgadzam się. – Ale tylko w jeden sposób mogę to potwierdzić. Muszę ją odnaleźć.

– A ten twój przyjaciel, Beau… Czy kiedykolwiek ją spotkał?

Kręcę głową.

– Nie, ale mówi, że spróbuje mi pomóc.

– Myślisz, że potrafi? – pyta Alice, unosząc ciemną brew.

– Nie wiem. Ale o wiele lepiej to kontroluje. Przechodzi między obydwoma światami, od kiedy był dzieckiem.

– Przywieź go tu następnym razem – mówi Alice. – Zobaczymy, jakie podobieństwa między wami zdołamy znaleźć.

– Spróbuję – mówię zdawkowo. Jakoś nie sądzę, że Beau zgodzi się na przesłuchanie

Alice, zwłaszcza jeśli przez całe życie myślał, że traci rozum.

– A tymczasem – mówi Alice – wydaje mi się, że idziemy w dobrym kierunku. Czuję to. Klucz do odzyskania Babci kryje się w twoim umyśle. Doktor Wolfgang musi tylko znaleźć sposób, żeby się do niego dostać. Twój mózg jest jak Alcatraz u szczytu sławy.

– A ja myślałam, że bardziej jak Walmart.

– Walmart, tylko zabezpieczony na maksa – mówi Alice. – Taki, gdzie mile widziane są wizje innych światów i nastoletni futboliści, ale hipnoterapeuci próbujący odnaleźć źródło traumy już nie za bardzo. Jeśli będzie trzeba, przejedziemy po twoim umyśle buldożerem. Musimy się do niego dostać.

– Skoro już mowa o dostawaniu się gdzieś… – zaczynam. – Ktoś musi mnie podwieźć do domu.

Alice zerka na zegarek, po czym wyrzuca ręce do góry.

– Kogo ja chcę oszukać? Jakoś się wyrobię. – Przeciska się między biurkiem a regałem i łapie klucze z tacki balansującej chwiejnie na stercie papierów. Nagle zastyga i chwyta mnie za ramię. – Brat Czarny i Brat Czerwony – mówi jakby w szoku.

– Co?

– Brat Czarny i Brat Czerwony… ta historia, którą nagrałaś mi w zeszłym tygodniu. Ja cię kręcę w mordę jeża o Babuniu.

– Alice. Powiedz, o co chodzi.

– Dwie wersje tej samej osoby – mówi Alice tak cicho, jakby wydychała powietrze. – Odpowiedź kryła się w tej historii.

Czuję, jak pod wilgotnymi ubraniami moja skóra pokrywa się gęsią skórką.

„Wszystko jest w tych historiach. Wszystko. Prawda. Cały świat, Natalie. Ta dziewczyna wskoczyła do dziury, nie wiedząc, co się stanie, i narodził się cały świat”.

Opowiadam Megan o wszystkim, co się wydarzyło, odkąd Beau pojawił się pod moim domem, zatajając tylko nieliczne szczegóły. Prawie każde zdanie wydobywa z jej ust westchnienie zdumienia, a kiedy milknę, Megan wybucha:

– Babcia to naprawdę Bóg! Albo jakiś duch. Albo anioł. Albo brakujące ogniwo… Wiem, to kosmitka! Nie, czekaj, chyba jednak Bóg.

– Nie wiem, kim ona jest – mówię. – Ale nie jest taka jak my. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ona jest kimś innym, ale mi pomaga.

– Więc myślisz, że chodzi o Beau? – pyta Megan. Sapie, a jej stopy głośno ubijają bieżnię w siłowni akademika. – To znaczy, że to on jest tym facetem, którego musisz ocalić?

– Nie wiem – odpowiada. – Jest tylko jeden Beau. Jeśli Alice ma rację, jeśli historia Brata Czarnego i Brata Czerwonego ma coś wspólnego z całą tą sprawą, to chyba muszę szukać kogoś, kto istnieje w obu rzeczywistościach.

– Boże. – Megan przychodzi coś do głowy. – Jak sądzisz, jaka jest ta inna ja? Rany, jakie to wszystko dziwne.

– Na pewno ani w połowie tak ładna – żartuję. – I pewnie wredna z niej baba.

– Pewnie tak – zgadza się Megan. – Myślisz, że ona też jest teraz w Georgetown?

– Pewnie tak. Nie widzę powodu, czemu miałoby być inaczej.

– To wszystko sprawia, że trochę chce mi się rzygać.

– A może to przez to urządzenie do tortur, na którym właśnie się męczysz?

– Fakt, to nie pomaga.

– No to opowiedz mi trochę, jak tam jest – zagaduję.

– Ostro – mówi Megan. – Dziewczyny są w porządku. Kilka lubi imprezować. A kilka w kółko ćwiczy. Jest taka jedna na drugim roku, ma na imię Camila. Jest spoko, tak mniej więcej pośrodku między jedną grupą a drugą.

– Chyba chciałaś powiedzieć: wredna, szpetna i zupełnie niepodobna do mnie?

– No, gdybyśmy miały porównywać, to owszem – przyznaje Megan. – Ale gdyby nie mierzyć jej miarą mojej pokrewnej duszy, to naprawdę jest okej.

– Cieszę się, że znalazłaś sobie towarzystwo – mówię, choć ściska mnie w dołku.

– Nie musisz tak mówić – odpowiada Megan. – Pozwalam ci nienawidzić moich koleżanek dla zasady.

– Właściwie naprawdę ich nienawidzę.

– A jak ty z kolei wyjedziesz wreszcie na studia, to obiecuję, że sama też będę szaleńczo i zapewne dość podejrzanie zazdrosna o wszystkich twoich znajomych geniuszów pasjonujących się historią i noszących nieokreślone płciowo imiona jak Kai, Fern albo Litera Q.

– A czy poprawi ci humor, jeśli się okaże, że Kai w dokumentach ma tak naprawdę wpisane Jamantha?

– Zapłaciłabym każdą cenę, gdyby tylko wszechświat albo Babcia zechcieli post
awić na twojej drodze nową kumpelę o takim imieniu.

– A ja zapłaciłabym każdą cenę, żeby znaleźć się z tobą w Georgetown.

Megan wzdycha.

– Wiesz… – mówi. – Nie chcę wywierać na tobie żadnej presji, ale zawsze można się przenieść. Jeśli tobie się nie spodoba na Brownie albo mnie nie spodoba się w Georgetown, czary-mary i znowu jesteśmy razem.

– Wiem – mówię i niemal mam nadzieję, że tak właśnie będzie.

Poważnie martwi mnie myśl, że zakocham się w swojej uczelni, a Megan będzie pasować do Georgetown jak puchate cytrynowe skarpetki do zziębniętych stóp, i rozejdziemy się w swoje strony, obie cudownie ułożymy sobie życie i z każdym zakrętem będziemy się od siebie oddalać.

– Piękny dziś mamy wieczór w Kentucky – mówię, patrząc nad gankiem na domy po przeciwnej stronie ulicy.

Zachodzące słońce rzuca głębokie cienie na roślinność, malując wszystko w żółte i niebieskie pasy. Pada, ale to tak delikatna mżawka, że prawie nie da się jej wyczuć.

– W Kentucky zawsze jest pięknie – mówi Megan.

Serce mnie boli, gdy przyznaję jej w myślach rację.

„Pasujesz tu bardziej niż jakakolwiek inna znana mi osoba", powiedział Beau.

„Trzy miesiące", powiedziała Babcia.

– Tak czy inaczej, chyba wiesz, o co teraz zapytam? – pyta Megan.

– No wiem.

– Więc jak się z nim całowało? – zaczyna. – Mam nadzieję, że zero chrupkowego oddechu.

– Smakował tanim piwem, a pachniał jak po treningu, i nie wiem jakim cudem, ale była to idealna mieszanka.

Siedzimy z mamą w samochodzie, rozmawiamy i śmiejemy się, jadąc krętą drogą wijącą się przez las. Na dworze jest jasno, nad nami widać błękitne niebo, ani jednej chmurki, a w strumieniu po prawej stronie wąskiej jezdni migocze światło słońca.

Nad nami pojawia się ciemna sfera, atramentowa plama zasłaniająca słońce, lecz mama jej nie widzi. Jedzie dalej, mówi, śmieje się. Nie słyszy, kiedy zaczynam krzyczeć. Podkreśla słowa gestami dłoni, aż nagle ciemność strzela w górę niczym ropa tryskająca z odwiertu. Strumień mroku składa się łukiem i uderza w bok auta.

Teraz i mama krzyczy, i nagle jest noc. Samochód zsuwa się z jezdni i wpada do rowu jak spadająca gwiazda, bok auta wbija się w pień starego sękatego drzewa. Niebo rozdziera piorun i spływają na nas strugi deszczu. Samochód zaczyna się napełniać, nie wodą, ale krwią.

– Mamo? Mamo, nic ci nie jest?! – wołam.

Mama patrzy oszołomiona na kierownicę. Chwytam ją za ramię i szukam ran na rękach, głowie, szyi. Nic nie znajduję, sama też jestem cała, a mimo to samochód tonie we krwi.

„Świat stał się wtedy tak mroczny i brutalny, że nikt nie mógł przeżyć, jeśli nie potrafił zawalczyć o swój byt – słyszę w głowie głos Babci. – Serca Yamasee były więc złamane, bo nie chcieli nikogo zabijać po to, by sami mogli żyć. Nie potrafili tego usprawiedliwić. Kiedy zatem wody zaczęły się podnosić, zamiast marnować czas na

próby przetrwania, lud Yamasee wszedł w samą głębinę ze śpiewem na ustach. I tak zniknął z tego świata”.

Zaczynam śpiewać, ale mój głos drży, bo płaczę ze strachu. Krew podnosi się coraz wyżej, sięga mi już do szyi, brody i mój śpiew przechodzi we wrzask.

– Natalie – mówi jakiś głos i przychodzi mi do głowy, że śnię.

Ten głos pochodzi z zewnątrz.

– Natalie.

Otwieram szeroko oczy. Obraz pływa mi przed oczami i się wyostrza, a ja siadam na łóżku.

– Kochanie, coś ci się śniło – mówi klęczący przy mnie tata. – To tylko sen.

Nadal nie mogę złapać tchu, łzy spływają mi po twarzy i zarzucam ręce na jego szyję, czekając, aż serce przestanie się we mnie tłuc.

– Ćśś – mówi tata, głaszcząc mnie po głowie. – Już dobrze.

– Obudziłam cię? – pytam drżącym głosem.

Tata kuca na piętach.

– Nie. Dzwonił Raymond Kincaid. Ich klacz się cieli. Przyszedłem spytać, czy chcesz ze mną pojechać.

Rozglądam się po ciemnym pokoju, mój wzrok mknie do fotela na biegunach, a potem włączam lampę.

– Która godzina?

– Koło drugiej – mówi tata.

Ostatniej nocy prawie nie spałam i wiem, że potrzebuję odpoczynku, ale teraz już na pewno nie zasnę, nie bez Babci.

– Matthew nie ma w domu – dodaje tata niepytany, przewidując, że będę chciała to wiedzieć.

– Pytałeś o to? – szepczę.

– Chciałem się tylko upewnić, czy Raymond nie jest sam, na wypadek gdybym nie mógł od razu przyjechać – kłamie tata. – Matthew wyszedł. Joyce jest w domu, ale sama wiesz, jak ona reaguje na krew.

– Faktycznie, w „Domu i Ogrodzie” nieczęsto ją pokazują – zgadzam się i tata przekrzywia głowę. – Nieważne. Już się ubieram.

Łapię z garderoby skarpety, buty i bluzę i wychodzę na ganek. Tata pali papierosa, czego nie widziałam od wielu, wielu lat, i wygasza go o balustradę, a niedopałek wrzuca w krzewy.

– Dzięki temu łatwiej mi się obudzić – tłumaczy. – Nie mów mamie.

Wykonuję ruch, jakbym zasuwała usta na zamek, i idę za nim do samochodu. Powietrze jest dziś w nocy wyjątkowo chłodne, a tata otwiera okna. Na drodze nikogo nie ma, więc w kilka minut dojeżdżamy do stodoły Matta.

Tata wyjmuje z bagażnika swoją torbę i idzie przodem do stajni dla źrebaków; to specjalny podwójny boks, sto jardów za główną stodołą, w którym Kincaidowie trzymają ciężarne klacze. Światła są zapalone, a drzwi rozsunięte. Tata lekko puka we framugę.

– Cześć, Raymond.

– Patrick – mówi pan Kincaid, wstając od leżącej na boku klaczy. – Natalie, miło cię

widzieć.

– Pana też – odpowiadam.

To tylko częściowo prawda. Raymond krępuje mnie zdecydowanie mniej niż Joyce, ale choć zawsze był dla mnie miły, pamiętam, jak wydzierał się na Matta na meczach i treningach, i to sprawia, że nie potrafię się przy nim rozluźnić.

Tata wchodzi do ciepłego boksu i przysiada na sianie przy tylnych nogach klaczy. Zazwyczaj kiedy klacz się cieli, najlepiej trzymać się z daleka – sam poród to dla niej wystarczający stres – ale przy tacie konie nie reagują tak jak przy innych ludziach.

– Kiedy wyszły kopyta? – pyta tata, wciągając rękawiczki.

– Będzie ze dwadzieścia minut – mówi Raymond. – Zadzwoniłem do ciebie zaraz po tym, jak się położyła i włączył się alarm. Ale tym razem jakoś sama sobie radzi.

Tata łagodnie ciągnie za kopyta źrebaka, ale nie ma zbyt wiele do roboty. Klacz sapie i prycha na sianie, lecz kopyta źrebaczka szybko z niej wychodzą.

– Grzeczna dziewczynka – mówi łagodnie tata. – Dobra z ciebie mama, o tak, świetnie, przyj jeszcze.

Klacz znowu prycha mocno, kiedy tata ciągnie za tylne uda źrebaka, zapierając się o ściankę boksu. Wydaje się bardziej zaniepokojona, dźwięk brzmi ostrzej.

– Nic jej nie jest? – pytam od wejścia.

– Mamusia jest cała i zdrowa – mówi tata uspokajająco. – Tylko chce, żeby już było po wszystkim, prawda?

Podchodzę kilka kroków, rozdarta między odrazą a podziwem. Z ciała klaczy na siano wysuwa się wolno obślizgła, pełna wypukłości puchata bryła. Po dziesięciu minutach wszystkie cztery nogi są już na zewnątrz i za nimi wyślizguje się głowa źrebaczka, który opada łagodnie na siano i jęczy.

– Ładnego będziesz miał źrebaka – mówi tata do Raymonda.

Klacz zwija się w kłębek i zlizuje worek owodniowy od zadów swego dziecka w kierunku grzywy. Ostrożnie przysuwam się bliżej i opieram o stary filar. Cztery nogi źrebaka sterczą każda w innym kierunku. Mały odwraca głowę do matki i przesuwa nosem po jej szyi, a klacz dalej wylizuje go w świetle lampy. To tylko koń, a przecież wie, jak kochać swoje dziecko.

Nic na to nie poradzi. To nie była świadoma decyzja. Nikt nie tłumaczył jej ciąży, ale kiedy widzi źrebaka, sama wie: ty jesteś mój, a ja jestem twoja.

– Dopilnuj tylko, żeby wydaliła resztę łożyska.

Lecz nagle klacz zaczyna poruszać się coraz wolniej. Wydaje się wyczerpana, jej łeb opada niespodziewanie na ziemię, a z chrap wydobywa się niskie, słabe rżenie.

Widzę zbierającą się na sianie krew.

– Tato – mówię.

– Cholera – mruczy pod nosem. – Nat, kochanie, poczekaj na zewnątrz.

– Nic jej nie będzie?

Tata rzuca na mnie szybkie spojrzenie.

– Idź na dwór, maleńka – powtarza.

– Tato…

Raymond podchodzi do niego i przyklęka na sianie.

– Ale już – ponagla mnie tata.

Odwracam się i wychodzę ze stajni, ale nadal słyszę dobiegające ze środka odgłosy. Dźwięk niesie się ze światłem lampy po trawie. Wiem, że to tylko koń, ale przecież jest też matką. Oddycham szybko, drżę.

Zaczynam iść przez pole. Kiedy docieram do skraju, skręcam i idę dalej. W oddali widzę dom na wynajem, zaniedbany przenośny budynek na długim żwirowym podjeździe. Kincaidowie – ci w mojej rzeczywistości – mieli kiedyś najemców, ale nigdy na stałe. W tym domu zawsze było coś dziwnego. Wszyscy to czuli.

Zaczynam biec w jego kierunku, prosząc świat, by zechciał się dla mnie zmienić.

– Babciu, pomóż mi – mówię, biegnąc.

Jestem już niemal na miejscu, kiedy czuję, jak żołądek zjeżdża mi w dół, i słyszę z tyłu chrzęst opon na żwirze. Odwracam się i widzę zbliżające się światła. Zbiegam na trawę i wymija mnie furgonetka, która zatrzymuje się przed domem.

Tylko że nie jest to ten sam dom co jeszcze przed chwilą. Popękane szyby zastępuje porządne szkło. Zarośnięte podwórko nadal porastają chwasty i koniczyna, ale przynajmniej są skoszone, a pnącza usiłujące wspiąć się po winylowych ścianach zostało przycięte. Z furgonetki wysiada Beau i wytęża wzrok w ciemnościach, patrząc w moją stronę.

– Natalie Cleary?

– Beau – mówię.

W tym momencie ktoś wylewa się z siedzenia pasażera i stacza prosto na ziemię. W przebłysku chwilowej paniki wydaje mi się, że to wersja Rachel z tego świata, ale zaraz orientuję się, że to chłopak po dwudziestce, ale przedwcześnie siwiejący i z piwnym brzuszkiem.

– Cholera, poczekaj chwilę – mówi Beau, przechodząc spokojnie na drugą stronę furgonetki i podciągając go na nogi.

Tamten mruczy coś, a Beau obejmuje go ramieniem i zaczyna prowadzić do drzwi.

– Sam mogę – protestuje pijany.

– Świetnie – mówi Beau i go puszcza. – W takim razie idź.

Mężczyzna robi jeden rozchwiany krok i pada na pierwszy stopień schodów. Beau znowu go podnosi i prowadzi za drzwi. Po chwili wraca na dwór, a ja idę do niego przez trawnik i rzucam się w jego ramiona. Beau obejmuje mnie mocno.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Chyba właśnie widziałam, jak umiera koń.

Beau odsuwa się ode mnie i przechyla głowę, żeby popatrzeć mi w oczy, a na jego ustach igra uśmiech.

– Serio?

– Co w tym śmiesznego? – pytam rozeźlona.

– Po prostu mi ulżyło.

– Ulżyło?

– Natalie, do jasnej cholery. Jest środek nocy, a ty pojawiasz się znikąd w moim domu. Co miałem pomyśleć?

– Przepraszam.

– Chodź do środka.

Oglądam się na stodołę na wzgórzu po drugiej stronie pola kukurydzy.

– Mój tata jest tam z panem Kincaidem – mówię. – Powinnam niedługo wracać.

– Dobrze, niedługo – mówi Beau, biorąc mnie na ręce.

Wciąż drżę pod wpływem szoku, ale śmieję się, kiedy Beau otwiera kopniakiem drzwi.

– Jeśli wniesiesz mnie do środka, to, teoretycznie rzecz biorąc, jesteśmy małżeństwem – mówię.

– Naprawdę? – pyta Beau, patrząc na mnie spod przymkniętych powiek i uśmiechając się szeroko. Przestępuje próg. – Jakoś to przeżyję.

Stawia mnie na podłodze i deski skrzypią w mroku, a potem przypiera do ściany i całuje.

Nagle rozlega się głośne chrapanie.

– Jak się cieszę, że wreszcie poznałaś mojego brata, Natalie Cleary – mówi z uśmiechem Beau.

– Tak, ogromnie mi miło, szkoda tylko, że jest taki nieprzystępny. Nie będę mogła poczuć się tu swobodnie.

– No – mówi Beau, zaciskając ramiona na mojej talii i podnosząc mnie, aż piszczę i śmieję się. – To prawie jak Biały Dom.

Niesie mnie korytarzem aż do uchylonych drzwi maleńkiego pokoju, a ja zaśmiewam się prawie do łez. Układa mnie na leżącym na podłodze jednoosobowym materacu i kładzie się obok.

Nigdy nie widziałam pokoju tak pustego i jednocześnie zabałaganionego. Błękitna pościel jest w nieładzie, po podłodze walają się ubrania. Z kosza na śmieci wysypują się zgniecione butelki po wodzie, a stara lampa na podłodze przy materacu rzuca żółte światło na ściany z drewnianego laminatu. Jest tam jednak jedna rzecz, która nie przystaje do całości. Pod przeciwną ścianą stoi gładka komoda z jasnego czerwonozłocistego orzecha włoskiego, z naturalnym wykończeniem, pod którym widać przecinającą środek jasną plamę i ciemniejsze pierścienie po obu stronach. Małe nóżki z nierdzewnej stali unoszą mebel o kilka cali nad podłogę. Wygląda, jakby zrobiono go z najpiękniejszego drewna z jakiegoś japońskiego lasu. To taka rzecz, która aż się prosi, by jej dotknąć. Wzrok Beau podąża w ślad za moim do tego dzieła sztuki.

– To naprawdę można by postawić w Białym Domu – mówię. – Oczywiście za czasów, kiedy rządziła tam Jackie.

– No tak, prezydent Jackie – mówi Beau i po chwili dodaje: – Sam to zrobiłem.

– Nie wierzę.

– A co, wydaje ci się, że nie umiałbym zrobić nic ładnego, Natalie Cleary?

– Słyszałam, jak grasz; wiem, że byś umiał – mówię. – Po prostu nie spodziewałam się, że poza fortepianem masz jeszcze inne talenty takiego formatu.

– Fakt, fortepian to to nie jest – potwierdza Beau. – Dawniej to była szafa. Kincaidowie ją wyrzucili. Na front wykorzystałem wewnętrzną stronę drzwi. – Kosmyk włosów zsuwa mu się na policzek i w kącik ust, przypominając mi tamten moment w jego furgonetce w nocy, kiedy pojechaliśmy na boisko, a wiatr zdmuchnął mu włosy na twarz. Miałam wielką ochotę je odsunąć.

– Powinnam już iść – mówię.

Beau całuje mnie, zsuwa dłoń po moim udzie i przekłada je sobie przez biodro.

– Powinnaś zostać.

– Tata pewnie już na mnie czeka. – W głowie mi się kręci od jego bliskości, pulsuję ciepłem wszędzie, gdzie moje ciało styka się z nim. Zsuwam nogę i Beau siada, ale ja się nie ruszam.

Przez parę chwil milczy.

– Co robisz jutro?

– Nic, a czemu pytasz?

– Chcesz ze mną iść na imprezę do Dereka?

Jęczę, przypominając sobie grupowe zaproszenie esemesem.

– W twoim świecie czy w moim?

– Wszystko jedno – mówi Beau, wzruszając ramionami.

– Wszystko jedno w sensie, gdzie zechcę, czy gdzie zdołamy się dostać?

– Jedno i drugie.

Ta myśl mnie ekscytuje. To moja szansa, by poznać Innych, spędzić trochę czasu z ludźmi bez żadnej presji. I poćwiczyć przenoszenie się między światami, co może mi pomóc w odnalezieniu Babci.

– No dobrze – mówię. – Chodźmy. Do twojej wersji. – Beau kiwa głową, ale wtedy coś mi przychodzi do głowy. – A co, jeśli mi się nie uda? Jeśli nie będę mogła przenieść się do twojego świata?

– Wtedy po ciebie przyjdę – mówi.

– A jak nie dasz rady?

Beau kładzie mi rękę na szyi.

– Znajdę cię, Natalie. Obiecuję.

Może to nie powinno mi wystarczyć, ale wystarcza.

Beau odprowadza mnie do drzwi i całuje na pożegnanie. Kiedy oglądam się na dom, już go nie ma, szyby znowu są potłuczone, a podwórko zarośnięte. Przeskoczyłam między obiema rzeczywistościami i nawet tego nie zauważyłam. Idę z powrotem do stodoły i znajduję tatę w samochodzie, zapatrzonego w kierownicę.

– Tato? – pytam, wsiadając po drugiej stronie.

– Źrebak przeżył – mówi tata i zapala silnik. – Źrebak przeżył.

– Przykro mi – mówię, dotykając jego łokcia.

– Takie życie – mówi. – Nic się nie stało, cukiereczku. Wszystko w porządku.

Zaczynamy toczyć się z chrzęstem po podjeździe. Myślę o Babci i jej ostrzeżeniu, o tym, że Megan jest tak daleko, o mojej ostatniej awanturze z Mattem i wszystkim innym, co przeraża mnie na tym świecie. Czasami daję się ponieść takim rzeczom, tonę w nich na całe godziny, zafiksowuję się na czymś, na przykład na śmierci konia, aż wreszcie ogarnia mnie taki nastrój, że nawet wstanie z łóżka wymaga wysiłku porównywalnego ze wspinaczką na wulkan, który zaraz wybuchnie.

– Czasami mam wrażenie, że cały świat jest jak ten koń – mówię. – Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Tak jakby wszyscy tylko jęczeli i krzyczeli z bólu w nadziei, że wyjdzie z tego coś dobrego.

Tata kiwa głową.

– Rozumiem – mówi. Wyciąga rękę i obejmuje mnie ramieniem, całuje w czubek głowy. – Ja też tak się czuję.

– Te złe rzeczy są takie wyczerpujące – mówię. – Czasem chciałabym zwyczajnie znaleźć się gdzie indziej. – Nie potrafię wyjaśnić, co mam na myśli, ale wyobrażam sobie miejsce w rodzaju przestrzeni kosmicznej. Gdzie nic nie istnieje.

Wjeżdżamy na drogę. Wzrok taty łagodnieje.

– Kochanie, bystra z ciebie dziewczyna, i do tego wrażliwa. To nic złego, ale takim ludziom niełatwo się żyje. Ciemność będzie ci się wydawała o wiele ciemniejsza i nie będziesz umiała się przed nią ukryć. – Przerywa na sekundę, po czym mówi dalej: – Ale chcę, żebyś mnie posłuchała. Posłuchaj mnie.

Mówi zupełnie jak Babcia.

– Nie wiesz jeszcze wszystkiego – zaczyna cicho. – Jeszcze nie teraz. Ale kiedy znajdziesz te jasne rzeczy, a obiecuję ci, że jest ich cała masa, będą ci się wydawać jeszcze jaśniejsze niż innym ludziom, tak samo, jak otchłań wydaje ci się głębsza i większa, kiedy w nią spoglądasz. Jeśli wytrzymasz, przekonasz się, że warto było się wysilić. Każda chwila, którą przeżywasz, każdy mrok, z którym się mierzysz, wszystko będzie tego warte, kiedy wreszcie ujrzysz przed sobą jasność. Rozumiesz?

Przełykam grudę zatykającą mi przełyk.

– Skąd wiesz? – pytam.

Tata uśmiecha się i mierzwi mi włosy.

– Bo jesteś taka jak ja. Kiedy przywieźliśmy cię do domu, wszystko się zmieniło. Ujrzałem całe swoje życie takim, jakie naprawdę było. Byłem przerażony jak cholera na myśl o tym, co mogłoby ci się przydarzyć, ale kiedy na ciebie patrzyłem, miałem wrażenie, jakby wszystkie te złe rzeczy były tylko snem, a ja wreszcie zacząłem się budzić. I stąd właśnie wiem, cukierku. To tylko początek. Jeśli chcesz dotrzeć do tej dobrej części, nie możesz się poddać.

– Moim zdaniem to świetnie, że idziesz na zabawę do Dereka – mówi mama, stając w drzwiach i wsuwając w uszy wiszące kolczyki.

– Naprawdę? Świetnie? – upewniam się. – Czy ty w ogóle poznałaś Dereka?

Mama zaciska usta.

– No dobrze, nie jest to mój ulubiony spośród twoich znajomych. Ale wiem, że było ci ciężko, teraz, kiedy Megan wyjechała i odsunęłaś się od Matta. Zostały ci tylko dwa tygodnie do wakacji, a zaraz potem wyjeżdżasz na studia… – Mama wydaje się nieco przygaszona, choć stara się wyglądać spokojnie.

Letnie wyjazdy zawsze tak na nią działają. To jedyny czas w roku, kiedy cała rodzina jest szczęśliwa, cieszy się swoim towarzystwem i miło spędza razem czas, a to dzięki temu, że mama tak skrupulatnie wszystko planuje. Ale w tym roku, z Brownem majaczącym na horyzoncie, panuje nieco inna atmosfera, tak jakbyśmy planowali ostatni wielki wyjazd z fajerwerkami przed rozpadem rodziny.

– Powinnaś dobrze wykorzystać ten czas – stwierdza.

– Czyli chcesz, żebym się schlała.

– Natalie! – mówi mama, przykładając rękę do piersi. – Wcale nie to mam na myśli.

– Żartowałam.

– A na tej zabawie będzie picie? – pyta mama, nagle przejęta.

– Ależ skąd – kłamię, usiłując nie odwracać wzroku.

Mama wyciska sobie trochę kremu do rąk, stojącego na moim biurku, i wciera go w dłonie.

– Jeśli będziesz chciała, żeby po ciebie przyjechać, możesz do nas zadzwonić, wiesz o tym, prawda? Nie przeszkadza mi to, bylebyś tylko była bezpieczna.

– No dobrze, teraz to jasne jak słońce. Mam się schlać.

– Wcale nie – protestuje mama. – Po prostu rozumiem, że dorastasz. Będziesz podejmować własne decyzje. Wiem, że mądra z ciebie dziewczyna, ale wszyscy popełniają jakieś błędy. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że zawsze możesz na mnie polegać, cokolwiek by się działo. Zawsze możesz liczyć na tatę i na mnie.

– Aha, więc chcesz, żebym zrobiła sobie dziecko czy…?

Mama krzyżuje ramiona i patrzy na mnie stanowczo.

– Bądź grzeczna – rzuca i odchodzi korytarzem.

Beau przyjeżdża po mnie o dziewiątej, jakąś godzinę po tym, gdy rodzice wychodzą na swoją randkę, i dwadzieścia minut po tym, jak mama Abbey zajeżdża po Coco i Jacka, żeby zawieźć ich do kina. Wybiegam na dwór, kiedy Beau trąbi z podjazdu. Wygląda niemożliwie przystojnie w znoszonych dżinsach i równie starej kraciastej koszuli.

– Gotowa? – pyta, kiedy wsiadam do środka.

– Jak najbardziej. – Szczerze mówiąc, gdy tylko się pożegnaliśmy ostatniej nocy, zaczęłam się martwić, że znowu coś nas rozdzieli, ale teraz, kiedy jesteśmy razem, wydaje się to niemożliwe. Mam wrażenie, jakbyśmy byli skuci łańcuchem.

Przejeżdżamy obok szkoły w stronę eleganckiego osiedla minirezydencji, gdzie mieszkają Dillhornowie, z polem golfowym i klubem towarzyskim. Impreza toczy się już na całego, muzyka wali z głośników, a cały podjazd na szczycie wzgórza zastawiają samochody.

– To mój świat czy twój? – pytam Beau.

Jakiś czas przedtem doznałam tego uczucia zjeżdżania w żołądku, ale było tak delikatne, że może tylko je sobie wyobraziłam.

Beau zamyka oczy.

– Mój.

– Skąd wiesz?

– Mówiłem ci, pasujesz tu bardziej niż ktokolwiek inny – mówi cicho.

– Rzeczywiście tak mówiłeś.

– W twoim świecie jest jakoś inaczej – dodaje Beau. – Tam czuję, że to twoje miejsce.

Śmieję się.

– To kiedy się przenieśliśmy?

Beau wzrusza ramionami.

– Obie wersje są tak podobne, że czasami trudno powiedzieć.

– No to jak na razie dotrzymuję umowy – mówię. – Przybyłam do twojego Union.

– Więc nie wolno mi dzisiaj pić?

– Tylko piwo – mówię. – Piwo się nie liczy.

Wyskakuję z samochodu i idę za Beau po wielkim trawniku w stronę podświetlonego błękitnego basenu i tarasu za domem. Przez otwarte drzwi ogrodowe wchodzi się do kuchni, ludzie gromadzą się przy beczce piwa na kuchennym blacie, po czym wylewają się strumieniem nad basen i na cały ogród. Ćmy trzepoczą wokół osadzonych w ziemi świateł, a ich delikatne skrzydełka wibrują od muzyki.

Beau bierze mnie za rękę i prowadzi przez tłum w stronę mebli ogrodowych po przeciwnej stronie basenu, gdzie zgromadziła się połowa drużyny futbolowej. Wszyscy piją i podają sobie jointy, dziewczyny siedzą chłopakom na kolanach.

Beau kładzie rękę na ramieniu jednego z nich i serce niemal we mnie staje, gdy okazuje się, że to Matt. Jasnowłosa dziewczyna podrywa się z jego kolan, żeby mógł wstać. Przeżywam kolejny szok, rozpoznając w niej Megan.

O Boże. Oni są parą. W tej równoległej rzeczywistości moja najlepsza przyjaciółka i mój były chłopak są razem. To z nią musiał być w kinie Matt tamtego dnia.

– Heja – mówi Matt, klepiąc Beau po plecach, a ja desperacko staram się zapanować nad mięśniami twarzy, biciem serca i mdłościami. Widok Matta z Rachel to jedno, ale to tutaj… to zupełnie inna sprawa.

– Chciałem ci kogoś przedstawić – mówi Beau.

I Matt, i Megan kierują na mnie wzrok. Megan ma krótsze włosy i mocniej umalowane oczy niż zwykle, nosi też większe kolczyki, ale to sobowtór dziewczyny, którą znam od lat. A ten Matt wygląda dokładnie tak jak tamten, który kilka dni temu podwiózł mnie na NKU.

– Cześć – mówię i wyciągam drżącą dłoń najpierw do Megan. – Jestem Natalie.

Nie wiem, czego się spodziewam. Jakiegoś błysku rozpoznania, jakiegoś znaku, że Megan wie, że pisana nam jest przyjaźń. Ale nic takiego nie widzę i czuję, jakby serce

miało mi pęknąć. Megan uśmiecha się tylko uprzejmie.

– A ja Meg – mówi.

Próbując się uspokoić, odwracam się do Matta. Kiedy nasze oczy się spotykają, jego wzrok natychmiast mięknie, a po szyi pnie się w górę rumieniec. Matt toczy po mnie spojrzeniem.

– Cześć – mówi, ściskając moją dłoń.

Kiedy znowu patrzy mi w oczy, ze zdumieniem dostrzegam w nich coś, czego nie powinno w nich być, nie w tym Matcie Kincaidzie: nie błysk rozpoznania, ale jakąś delikatność, sympatię.

Nagle dochodzi do mnie, że stojący obok Beau spuścił wzrok na ziemię, i pospiesznie puszczam rękę Matta. Megan też zauważyła, jak Matt taksował mnie wzrokiem; krzyżuje ramiona i odwraca głowę, unosząc brwi.

– Przepraszam – mówi. – Chyba muszę skorzystać z ubikacji. Albo wziąć prysznic. Albo puścić pawia. W każdym razie coś w łazience.

Mam ochotę pobiec za nią, przeprosić, ale jednocześnie czuję się zdradzona, choć wiem, że to bez sensu. Jak Matt i Megan mogą być razem? I dlaczego Megan nie jest w Georgetown? To nie powinno mieć znaczenia – to nie są moi Matt i Megan. Zachowuję się jak hipokrytka i dobrze o tym wiem. Ale jak mogę mówić Beau, że nie powinien robić sobie wyrzutów sumienia z powodu tego, co się między nami dzieje, kiedy sama mam żal o to, co dzieje się między tą dwójką?

– Skąd znacie się z Wilkesem? – pyta Matt niezręcznie, z napięciem.

To wszystko jest nie na moją głowę.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale nagle z drugiej strony rozlega się czyjś pijany wrzask.

– CHRZAŃ SIĘ, BEAU WILKES! – Odwracam się i widzę Rachel wraz z kilkoma dziewczynami z zespołu. Siedzą na plastikowych leżakach z kubkami fanty w rękach. Rachel uśmiecha się do mnie złośliwie i kiwa uniesionym kubkiem.

– Korzystaj, póki możesz! – woła.

Tłum wydaje z siebie zbiorowe „Uuu!", a Beau kładzie rękę na moich plecach.

– Przynieść ci piwo?

– Albo piętnaście szotów tequili, zależy, co szybciej znajdziesz… – Nieważne, że znajdujemy się w świecie Beau; ten wieczór może się okazać cięższy, niż przypuszczałam. Zerkam na Matta.

– Też chcesz się napić? – pytam.

Beau sztywnieje.

Matt tylko kręci głową.

– Nie, chyba lepiej nie.

Beau znowu się rozluźnia.

– To zaraz wracam – mówi.

Patrzę, jak wchodzi do zatłoczonej kuchni, aż w końcu wyczuwam na sobie spojrzenie Matta.

– My się już kiedyś spotkaliśmy – mówi Matt.

– Naprawdę?

– Wpadliśmy na siebie w kinie. I chyba jeszcze raz przedtem.

– Och. – Zgarniam włosy z szyi i przekładam je sobie przez ramię. – Zgadza się. Chyba wpadliśmy na siebie na jakiejś imprezie w zeszłym roku albo coś takiego.

– Mhm. – Matt wsuwa ręce do kieszeni i wbija spojrzenie w buty. – Jesteś stąd?

– Z Rhode Island – kłamię pospiesznie. – Odwiedzam tu tylko krewnych.

Matt śmieje się.

– Rhode Island? To tam w ogóle coś jest?

– No, choćby Uniwersytet Browna.

– Tam studiujesz?

– Zaczynam jesienią.

Matt ogląda się przez ramię na kuchnię, gdzie Beau nalewa piwo z beczki do dwóch kubków.

– Nie zrozum mnie źle, ale nie przypominasz lasek, z którymi Wilkes się zazwyczaj prowadza.

– A jakie one są?

Matt znowu się ogląda. Podążam za jego wzrokiem w stronę dziewczyny opierającej się o kuchenny blat i gromiącej Beau wzrokiem meduzy.

– Choćby taka Rachel Hanson – mówi Matt. – Ogólnie rzecz biorąc, wariatki.

– Nie nazwałabym Rachel wariatką… – stwierdzam. Matt robi zdziwioną minę i poprawiam się: – To jest, nie sprawia na mnie wrażenia wariatki. Właściwie całkiem ją podziwiam, nie każdy miałby odwagę zwyczajnie wrzeszczeć, co tylko mu przyjdzie do głowy.

– Nawet jeśli miałaby ochotę ogolić cię na zero?

– Proszę bardzo – mówię. – Wyglądałabym super.

– Pewnie tak – przyznaje Matt, rumieniąc się.

Te żarty, ten flirt, to wrażenie, że kiedy Matt Kincaid cię pragnie, powinnaś czuć się zaszczycona… Boże, jak dobrze znam to uczucie. Ale ten chłopak jest też trochę inny od mojego Matta, bardziej wyluzowany. Zdecydowanie mniej w nim sztucznego ożywienia, choć jest tak samo przyjacielski.

Spoglądam za niego, na kuchnię. Rachel już sobie poszła, ale Beau został osaczony przez Dereka i kilku zawodników z drużyny. Opiera się o drzwi kuchennego schowka i patrzy między kolegami prosto na mnie, a kiedy napotykam jego spojrzenie, uśmiecha się leciutko. Taki drobny, spokojny uśmiech, a całkowicie go rozświetla i sprawia, że robi mi się gorąco, aż muszę spuścić wzrok.

– Dobry jest? – pytam.

– Nie, to diabeł wcielony – żartuje Matt.

– Mam na myśli futbol – wyjaśniam.

– No, jest dobry. Naprawdę dobry, tylko leniwy. Gdyby chciał, byłby wspaniały.

– Nie sądzisz, że chce taki być?

– Nie, nie tak naprawdę. Wydaje mi się, że nie umiałby poradzić sobie z faktem, że wszyscy wiedzą, co potrafi. I tak ledwo radzi sobie z tym, że na nim polegamy, a przecież większość z nas gra ze sobą od dziecka. – Matt przerywa i drapie się niepewnie po głowie. – Wiesz, to tak jak z Rachel.

– Och.

Czuję się tak, jakby mnie spoliczkował, i Matt chyba to widzi, bo dodaje pospiesznie:

– Nie mam na myśli jego i ciebie. Chodzi mi o to, że z Rachel było tak samo jak z futbolem.

– Nie rozumiem. Co chcesz przez to powiedzieć?

– Sam nie wiem. Trudno to wytłumaczyć – zaczyna Matt, patrząc na basen. – Chodzili ze sobą tak długo tylko dlatego, że Rachel coraz mniej i mniej od niego wymagała. Na przykład jeśli go zdradziła, zupełnie go to nie obchodziło. Ale za każdym razem, kiedy pokłóciła się z matką albo jakiś facet z nią pograł, Beau był przy niej i jakoś znowu kończyli razem.

Przyłapuję się na myślach o moim Matcie i o tym, ile razy pozwoliłam, by wszystko tak się przeciągnęło, tylko dlatego, że nie potrafiłam oddzielić miłości od zwykłej przyjemności, jaką sprawiało mi jego towarzystwo.

– W głębi serca Wilkes nie może się powstrzymać – mówi Matt. – To typ męczennika. Sabotującego się męczennika, co moim zdaniem jest najgorsze.

– Co za potwór. – Śmieję się.

– Właśnie – mówi Matt, uśmiechając się ze wzrokiem wbitym w ziemię. – Pewnie właśnie dlatego tak dobrze gra. No i z tego samego powodu wziął na siebie całą winę, kiedy pięć lat temu przypadkowo sfajczyliśmy mojemu ojcu stodołę. Fiut jeden, teraz już na zawsze będę miał u niego dług.

– Chcesz, żebym podstawiła mu nogę? Mógłbyś go uratować przed upadkiem.

– A mogłabyś? Byłoby super. – Po chwili Matt dodaje: – To porządny facet. Pamiętaj o tym, jeśli… jeśli zacznie cię odpychać.

Patrzy mi w oczy i czuję dziwny ból. W tej chwili bardziej przypomina Matta, którego znam, niż ostatnimi czasy ten drugi. Właśnie tak by było, gdyby udało nam się pozostać przyjaciółmi, zamiast wchodzić w związek. Dociera do mnie, że za nim tęsknię. Tęsknię za takim Mattem Kincaidem, jakiego nigdy już nie zobaczę.

– Chyba powinnam iść go uratować – mówię, kiwając głową w kierunku kuchni. – Zanim ktoś będzie potrzebował jego pomocy.

– No. – W głosie Matta brzmi nuta żalu, którą może wyłapać tylko ktoś, kto dobrze go zna. – Zdecydowanie.

Przeciskam się między Innym Brianem Waltersem a Innym Skylarem Gunnem i wchodzę do środka. Beau staje prościej, odstawia kubek na blat, obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie.

– Żadnej tequili? – pytam, przekrzykując muzykę.

Kręci głową.

– Czwórka, poznasz nas ze swoją koleżanką?! – krzyczy Derek. – Wiesz chociaż, jak ona się nazywa?

– Lepiej ją o to zapytaj, zanim Rachel się na nią rzuci i będziesz musiał składać zeznania na policji – mówi Inny Luke Schwartz.

– Czwórka? – Staję na palcach, żeby Beau mógł mnie usłyszeć.

– Numer w drużynie – odpowiada.

– Przecież to numer Matta – mówię.

Data moich urodzin.

Beau kręci głową.

– Kincaid gra z dziewiętnastką.

Czuję jednocześnie podniecenie i nostalgię. A więc istnieje cały świat, gdzie Matt nie uczynił ze mnie centrum swojego życia i nie planuje ze mną przyszłości, której nie mogę mu dać – gdzie nikt by się nawet nie domyślił, że coś nas kiedyś łączyło. Oto świat, gdzie nie muszę być nikim poza samą sobą i gdzie jakimś zbiegiem okoliczności, przypadkiem czy zrządzeniem losu Beau gra z numerem czwartym.

A ja urodziłam się właśnie czwartego.

Luke i Derek dalej nawijają i grają w swoją gierkę, na wyścigi próbując mnie zmieszać, zupełnie nieświadomi faktu, że widywałam ich ze ściągniętymi gaciami, nawalonych do nieprzytomności, poprzebieranych na Halloween za postaci z kreskówek i dostających w tyłek od rodziców na szkolnych wycieczkach. Beau zupełnie ich ignoruje, wpatruje się tylko we mnie.

– Chodźmy na zewnątrz – proponuję.

Beau wychodzi za mną na taras. Idziemy bokiem podświetlonego basenu i siadamy na jego skraju, nie zwracając uwagi na chmary komarów krążące nad powierzchnią ciepłej wody. Rachel wyszła z kuchni, ale nie widać jej na dworze – ani jej koleżanek – i ogarnia mnie chwilowe poczucie winy, że przeze mnie uciekła tak, jak ja uciekłam wtedy na widok jej z Mattem.

Przychodzi mi do głowy, że to nie miałoby znaczenia. Dokładnie tak, jak mówił Beau: gdybyśmy wszyscy urodzili się w tym samym świecie – gdyby Matt i Beau się przyjaźnili, a Beau i Rachel byli kiedyś parą – niczego by to nie zmieniło. Nie mogę cofnąć tego, co wydarzyło się między mną a Mattem; nie mogę na powrót stać się wyłącznie jego przyjaciółką. Mogę za to pozostawić tę przeszłość za sobą.

– Wszystko w porządku? – pyta Beau, trącając mnie ramieniem.

– Tak… – mówię, potrząsając głową, żeby odpędzić te myśli. – Hej, zgadnij, co słyszałam.

– Co takiego?

– Że jesteś naprawdę dobrym zawodnikiem.

Beau patrzy na basen jarzący się intensywnie niebieskim światłem, kiwa głową, ale nic nie mówi.

– Zamierzasz grać dalej?

Kręci głową i odchyla ją, by popatrzeć na gwiazdy.

– Nie…

– Co? Czemu nie?

– A gdzie miałbym grać, Natalie? W lidze zakładów wulkanizacyjnych?

– Nikt nie chciał cię zwerbować gdzieś wyżej? – pytam. Beau przez chwilę nie odpowiada. – Ktoś ci to proponował, prawda?

Beau bierze głęboki wdech i patrzy na mnie.

– Nie chcę rozmawiać o futbolu.

Przez chwilę zmagam się, rozdarta między pragnieniem, by go zrozumieć, a tym, by ten wyraz zniknął z jego oczu.

– W porządku – mówię.

Beau nachyla się, żeby mnie pocałować, ale zanim do tego dochodzi, ktoś popycha go mocno w plecy. Beau wpada do basenu i po całym tarasie rozchodzą się piski zaskoczenia, bo woda pryska na nogi. Odwracam się w porę, by ujrzeć Rachel

odchodzącą z wyrazem mściwego zadowolenia na twarzy. Kiedy patrzę z powrotem na Beau, on śmieje się z niedowierzaniem, odgarnia mokre włosy i brnie przez wodę w moją stronę. Ujmuję jego ociekającą twarz w dłonie i też zaczynam się śmiać.

– Myślisz, że to zabawne, Natalie Cleary? – pyta z uśmiechem.

– Strasznie mi przykro – mówię, ale nadal nie mogę się opanować. – To po prostu okropne.

– Faktycznie, widać, że strasznie mi współczujesz.

– Naprawdę! Bardzo mi przykro.

– Mnie też. – Beau obejmuje mnie w pasie i całuje, po czym ściąga prosto w nagrzaną wodę. Sukienka wydyma mi się wokół ud, a sandały próbują spłynąć z nóg.

– Beau! – gniewam się na niby. Rozlegają się kolejne piski, kiedy Derek, Luke i Lauren Peterson wskakują za nami do wody. – Nie wierzę, że to zrobiłeś…

– Strasznie mi przykro! – przedrzeźnia mnie Beau.

Ochlapuję go wodą, a on chwyta mnie za ręce, unieruchamia i całuje. Czuję w żołądku motyle. Beau odsuwa się, by popatrzeć mi w oczy.

– Wybaczasz mi?

Już mam odpowiedzieć, kiedy za jego ramieniem widzę Matta. Stoi na skraju patio i gapi się na mnie, pijany i wstrząśnięty. Nie jest to ten Matt, który przyjaźni się z Beau.

To mój Matt. Nie mam co do tego wątpliwości.

– Muszę z tobą pogadać – mówi, przekrzykując hałas.

Wszystko jest dokładnie takie jak przed sekundą, a przecież zupełnie inne. Dziewczyny z zespołu siedzą na leżakach, wśród nich jest Rachel, jakby w ogóle się stamtąd nie ruszała. Włosy ma jak zwykle lśniące i brązowe. Jesteśmy z powrotem w moim świecie.

Beau odwraca się do Matta i chyba też to do niego dociera, bo milczy. Patrzy z powrotem na mnie.

– Zaraz wracam – mówię do niego, sama siebie zaskakując tą decyzją.

Kiwa głową. Podchodzę do drabinki i wychodzę z basenu, ociekając wodą i drżąc w leciutkiej bryzie. Matt rusza bez słowa w kierunku parkingu. Idę za nim, rumieniąc się ze skrępowania i niepokoju.

Reflektory Dillhornów oświetlają front domu, w tym wymyślną rabatę z żardynierami na środku imponującego podjazdu. Matt idzie gniewnie. Odwraca się do mnie dopiero w połowie drogi do ulicy. Otwiera usta, ale nie wydobywa z nich żadnego dźwięku, i znowu obraca się ze złością na pięcie. Kiedy wreszcie na mnie patrzy, ma wilgotne oczy i na ten widok czuję dojmujące wyrzuty sumienia.

– Dlaczego to robisz? – pyta.

Biorę głęboki wdech i próbuję zachować spokój, nie ulegać emocjom.

– Niby co takiego?

Matt wyrzuca ramię w kierunku ogrodu.

– Co to za koleś? Jak mogłaś go tu przyprowadzić, kiedy wiedziałaś, że też będę? Dlaczego… – Urywa nagle i znowu robi kilka rozchwianych kroków w kierunku samochodu.

– Myślałam, że już nie pijesz – mówię cicho.

– A ja, że mnie kochałaś – odgryza się.

– Doprawdy?! – odkrzykuję. – I pewnie wydawało ci się, że sam też mnie kochałeś?

– Bo cię kocham! – warczy Matt. – Kocham cię, a ty niszczysz mi życie. Wyrzuciłaś mnie jak jakiś śmieć i do tej pory nie wiem nawet dlaczego. Czy ty w ogóle to wiesz? Jednego dnia mnie kochałaś, a następnego wszystko było skończone, i nigdy nie powiedziałaś wprost, o co chodzi. A wiesz, co jest najgorsze? Że przez cały ten czas cię kochałem, choć to mnie dobija, a teraz zjawiasz się tu z jakimś facetem z ulicy i obcałowujesz się z nim na moich oczach.

– Matt, proszę cię – mówię błagalnie, sięgając po jego rękę. – Przepraszam. Nie wiedziałam, że tu będziesz, przysięgam. Nie zrobiłabym ci tego.

– Przecież to impreza mojego najlepszego kumpla!

– Wiem, ale…

– Przestań! – wrzeszczy, odtrącając mnie. – Niczego poza tobą nie chciałem. Nigdy nie chciałem niczego poza tobą, a teraz jestem dla ciebie niczym.

Kręcę głową.

– To nieprawda. – Przestaję panować nad łzami i zaczynają płynąć mocniej, szybciej, z każdą sylabą coraz bardziej zniekształcając mój głos. – Kocham cię, Matt. Przecież wiesz, że cię kocham.

– Wcale tego nie wiem – mówi, kręcąc głową.

Odwraca się i idzie do samochodu, otwiera gwałtownie drzwi.

Biegnę za nim.

– Matt, ja sobie pójdę. Nie powinieneś w tej chwili prowadzić.

Niemal krzyczę z bólu, kiedy chwyta mnie za ramiona i popycha na samochód.

– Przestań udawać, że obchodzi cię to, co robię.

– Możesz tu zostać – mówię bez tchu, próbując dotknąć jego ramienia, uspokoić, choć ciągle odtrąca moje dłonie. – Ja sobie stąd pójdę. Przepraszam cię.

Matt wpija mi palce w skórę i znowu popycha mnie na drzwi samochodu. Spojrzenie ma niewyraźne.

– Jak mogłaś mi to zrobić?! – krzyczy. – No powiedz, dlaczego wszystko między nami zniszczyłaś?

– Matt, proszę cię. – Jego ręce drżą, a może to ja drżę, albo jedno i drugie, nic już nie widzę przez łzy. – To boli.

– Powiedz mi tylko dlaczego. – Znowu mnie popycha. Mocno, zbyt mocno.

Przed oczami kręcą mi się gwiazdy. Nic mi nie jest, ale jestem w szoku, boję się, cała się trzęsę. Jego usta znajdują się niemal przy moich i boję się, że spróbuje mnie pocałować, kiedy nagle ktoś szarpnięciem posyła go na jezdnię.

Matt zatacza się, by odzyskać równowagę, i rzuca się na Beau, który uderza go pięścią w policzek. Matt znowu zatacza się w tył. W mgnieniu oka na środku ulicy zaczyna się prawdziwa bójka i wszyscy biegną przez trawnik, żeby popatrzeć.

– Przestańcie! – wrzeszczę, ale nie zwracają na mnie uwagi.

Beau trzyma szyję Matta w bloku i kopie go kolanem w brzuch. Próbuję go odciągnąć.

– Beau, przestań! – błagam z płaczem.

Matt potyka się i ląduje na ziemi, dysząc ciężko. Beau podchodzi do niego.

– Beau – proszę.

Zatrzymuje się, odwraca twarzą do mnie i ociera usta wierzchem dłoni.

Matt podnosi się niezgrabnie. Krew cieknie mu z ust i z rozcięcia na policzku. Zatacza się do samochodu. Przez cały czas patrzy na mnie z wściekłością, kręci głową.Wsiada do auta i odjeżdża z piskiem opon.

Nie wiem, jak długo tam stoję. Nie wiem już nawet, w której rzeczywistości się znajduję. Czy to w ogóle ma znaczenie?

Wreszcie odwracam się i widzę Beau oraz tłum kolegów ze szkoły, wpatrujący się we mnie w milczeniu.

– Zabierz mnie do domu – mówię.

Beau podchodzi do swojej furgonetki i bez słowa wsiada. Idę za nim. Nogi trzęsą się pode mną jak galareta i rozpaczliwie uciekam spojrzeniem przed ludźmi, którzy gapią się na nas, gdy zawracamy na podjeździe.

– Nie musiałeś tego robić – mówię.

– Owszem, musiałem. – Beau mówi niskim głosem i jedzie szybko, nie chce na mnie patrzeć.

– Nie powinieneś był się wtrącać. – Beau prycha szorstkim śmiechem. – Mówię poważnie, Beau. Naprawdę go pobiłeś.

Beau kręci głową.

– Masz na myśli, że zrobiłem mu to, co miał zamiar zrobić tobie? – pyta.

– On by mnie nie skrzywdził – upieram się, choć nadal drżę, przypominając sobie ten niewyraźny, niemal krwiożerczy wyraz w oczach Matta.

– Natalie, ty naprawdę nie rozumiesz, o co chodzi, prawda?

– Czego nie rozumiem?

– Nieważne – mówi.

Przez resztę drogi milczymy, a kiedy dojeżdżamy przed mój dom, Beau wyłącza silnik i siedzimy bez słowa. Wreszcie odzywa się, nie podnosząc wzroku znad kierownicy.

– Może i piję za dużo i od czasu do czasu wdaję się w bójki, ale nigdy nie skrzywdziłbym ani ciebie, ani nikogo, na kim mi zależy. Nikt nie zasługuje na coś takiego. Natalie, nie powinnaś się bać kogoś, kogo kochasz.

– Muszę już iść. – Wysiadam z samochodu i wbiegam do domu, zanim Beau zdąży zauważyć cieknące mi z oczu łzy.

Budzę się w środku nocy i natychmiast wiem: nie jestem sama. Kieruję wzrok na fotel na biegunach.

Rzeczywiście siedzi na nim Babcia, ale ten jeden raz ma na sobie coś innego: niezawiązany różowy szlafrok zarzucony na spłowiałą niebieską koszulę nocną. Jej skóra wydaje się mniej pomarszczona, a włosy są zebrane w schludny kok.

– Babciu – mówię, siadając.

Jej oczy wędrują po pokoju, jakby była niewidoma.

– Nie bój się, Natalie – mówi… i już jej nie ma.

– Babciu – mówię w mrok. – Babciu.

Zero odpowiedzi. Próbuję sobie przypomnieć tę melodię, którą Beau grał wtedy w sali muzycznej, to uczucie, jakie mnie przy niej wypełniło. Usiłuję skupić się na tym,

co mnie dręczy – to akurat jest łatwe: mam wrażenie, jakby na piersiach leżał mi kamień, ściska mnie w brzuchu, ogarnia mnie to nieopisane wrażenie, że coś jest nie tak.

Słyszę piszczącego pod drzwiami Gusa. Wstaję z łóżka, żeby wypuścić go na korytarz, i Gus natychmiast truchta do schodów i złazi niezgrabnie. Na dolnych stopniach widzę światło z kuchni i dobiega mnie dźwięk stłumionych głosów.

Zakradam się na dół i idę korytarzem do kuchni. Rodzice siedzą naprzeciwko siebie przy stole, a kiedy mama zauważa mnie w drzwiach, widzę, że oczy ma czerwone i spuchnięte. Tata odwraca się i patrzy na mnie. Jego wzrok też jest ponury i przygnębiony.

– Cześć, cukierku – mówi cicho.

– Co się stało?

Rodzice patrzą na siebie i mama zaczyna płakać, zakrywając usta szczupłą dłonią. Tata wskazuje mi ruchem głowy drewniane żółte krzesło obok siebie, ale nie jestem w stanie się ruszyć. Moje stopy ważą tonę, serce bije mi jak podczas sprintu.

– Tato? – proszę znowu głosem cichym jak piśnięcie myszy.

Tata wzdycha i podnosi się, kładzie rękę na ramieniu mamy, która drży pod wpływem bezgłośnego płaczu.

– Kochanie, chodzi o Matta Kincaida. Żyje – uprzedza pospiesznie. – Ale miał wypadek samochodowy.

20

Kiedy docieramy do poczekalni szpitala, wszystko zaczyna się dziać naraz. Joyce Kincaid obejmuje mnie mocno i zaczyna płakać mi we włosy. Raymond ściska dłoń taty, ale nie może wydobyć z siebie ani słowa. Ale najgorsze, najtrudniejsze do zniesienia, jest nagłe wrażenie ciężkości w żołądku i mignięcie na niebieskim krześle w rogu, pod zainstalowanym na ścianie telewizorem.

Mignięcie, podczas którego przez ułamek sekundy widzę Beau, z łokciami wspartymi o kolana, ze złożonymi rękami zasłaniającymi usta i wzrokiem wbitym w szarą podłogę w ciapki. O kilka krzeseł od niego siedzą w milczeniu inne wersje Joyce i Raymonda. Joyce patrzy na Beau i przysięgłabym, że jej usta wykrzywiają się w wyraz nienawistnej urazy.

Nie widzą mnie, ale ja widzę ich ponad ramieniem mojej Joyce, która ściska mnie aż do bólu i łka mi w ucho.

Widzę i wiem, co to oznacza. I jeden, i drugi Matt tu jest.

Boże.

Przez dwustronne szare drzwi wchodzi lekarz. To młody, chudy blondyn w okularach z drucianymi oprawkami i w białym kitlu, który jest na niego za duży.

– Państwo Kincaidowie, mogę państwa prosić? – mówi.

Ma poważny, straszliwy wyraz twarzy i praktycznie nie odrywa wzroku od ściany, do której postanowił się zwracać. Joyce zaczyna płakać jeszcze gwałtowniej i mama łagodnie gładzi ją po plecach.

– Chodź, Joyce – szepce Raymond, próbując ją ode mnie odciągnąć.

Prowadzi ją do tych szarych drzwi, w stronę złych wiadomości. Robię kilka kroków za nimi.

– Przykro mi – mówi do mnie lekarz. – Tylko rodzina.

– Ona może wejść – mówi Joyce. – To dziewczyna Matta. Może pójść z nami.

Nie poprawiam jej, ale całe moje ciało spina się pod wpływem tych błędnych słów. Doktor kiwa głową i zabiera nas do środka. W głowie mam taki zamęt, że nie słyszę większości z tego, co do nas mówi. Dwa głosy we mnie wykrzykują naraz dwie wersje tej samej historii.

Był pijany. Nie chciał słuchać. Nie mogłaś nic zrobić. Nic mu nie będzie.

Pozwoliłaś mu odjechać. Mogłaś zadzwonić na policję. On umrze. Umrze podwójnie, i to ty zniszczyłaś mu życie.

Nagle dociera do mnie głośniejszy płacz Joyce i na powrót skupiam się na pozornie opanowanym głosie lekarza.

– …wywołać śpiączkę – mówi. – Będziemy musieli go operować, a potem trzeba odczekać, aż zejdzie opuchlizna. Niewykluczone, że dozna urazu mózgu, ale nie jesteśmy w stanie przewidzieć jak poważnego.

– Niewykluczone – powtarza Raymond, masując ramiona Joyce. – Niewykluczone, Joyce. Nie nieuniknione.

Joyce kręci głową, zaciska oczy, z których wciąż płyną łzy, jej uszy pozostają

zamknięte na te słowa, a ja nie czuję nóg.

Nie czuję nóg, nie czuję bicia serca, tylko pustkę w brzuchu.

Cofam się, ale mam wrażenie, jakby to ktoś inny kontrolował moje ciało pilotem. Nie chcę ich opuszczać, ale to robię. Odwracam się. Biegnę.

Uciekam.

Wbiegam przez te straszliwe szare drzwi z powrotem do straszliwej niebiesko-szarej poczekalni, gdzie wszystko jest inaczej; Inna Joyce i Inny Raymond siedzą przygnębieni na krzesłach, z dala od Beau, a moich rodziców nie ma. Biegnę dalej.

Wybiegam ze szpitala, a wtedy i on znika. Znika też ruchliwe skrzyżowanie dwóch autostrad. Steak'n Shake, sklep ze świątecznymi choinkami, Check-into-Cash, wszystko znika. Wszystko z wyjątkiem drzew i falujących wzgórz, które rozbijają się pod moimi stopami jak bałwany, próbując wciągnąć mnie na dno.

Ale nie zrobią tego, myślę.

Tak długo, jak jestem w ruchu, nie mogą mnie zatopić.

Więc biegnę. Biegnę z całych sił, czując na skórze drobinki wilgoci, nie całkiem deszcz.

Babciu, gdzie jesteś?

Boję się.

Pomóż mi.

Pomóż mi.

– Proszę. – To słowo wyrywa się ze mnie, wydziera poszarpane z pękających płuc. – PROSZĘ! – krzyczę.

Przede mną wybucha jasne białe światło i przez ułamek sekundy myślę: to ona, idzie po mnie. Ona mnie z tego wyciągnie. Wszystko to pozostanie za mną.

W następnej sekundzie moje stopy nagle odkrywają, że faktura ziemi jest teraz inna, z miękkiej i plastycznej stała się sztywna i płaska. Odgłosy hukania sów i grania świerszczy zmieniają się w trąbienie klaksonu, a zapach wilgotnej nocy staje się smrodem palonej gumy. Jestem na środku drogi. O kilka jardów od siebie widzę samochód, jadący zbyt szybko, by się zatrzymać.

Z jakiegoś powodu jedyne, co przychodzi mi do głowy, to zasłonić oczy. Podnoszę ramię, by osłonić się przed rażącymi światłami, kiedy nagle coś zderza się za mną, rzuca mnie na bok i samochód przejeżdża dalej.

Odwracam się i widzę Beau, który dyszy ciężko i patrzy na mnie. Reszta świata znowu zdążyła już zniknąć i jesteśmy tylko we dwoje na leśnej polanie. Przez chwilę stoimy tak, oddychając ciężko.

Wreszcie dociera do mnie rzeczywistość i tracę równowagę.

– Wprowadzili go w śpiączkę – mówię, ledwo wydobywając te słowa. – Może mieć uszkodzenie mózgu.

Beau nie rusza się, nawet nie mruga. Kolana uginają się pode mną i osuwam się z łkaniem na ziemię, lecz Beau chwyta mnie w pasie. Z gardła wyrywa mi się płacz. Beau odgarnia mi z twarzy włosy, raz za razem, ale to nie ma znaczenia. I tak nic nie widzę. Nawet nie jestem w stanie otworzyć oczu.

– To moja wina – płaczę i Beau przytula mnie mocniej, przyciska czoło do mojej głowy, wczepia się palcami we włosy na moim karku. – To moja wina!

– Nie – mówi. – Nie. – Odnajduje ustami moje wargi, gorące i mokre od płaczu, i mam wrażenie, jakby z każdym pocałunkiem ból przepływał ze mnie do niego, choć mam go w sobie nieskończone pokłady.

Wciągam powietrze i otwieram oczy.

– Dlaczego to się stało w obu światach?

Beau kręci głową i znowu przyciąga mnie do siebie.

– Nie mogę. – Wypowiedzenie tych słów sprawia mi ból. Tak samo jak patrzenie na Beau ze świadomością, że pragnę go, lecz jego widok zawsze już będzie przypominać mi o tym, co spotkało Matta. – Nie mogę tak.

Beau patrzy mi w oczy i czoło przecinają mu głębokie linie.

– Muszę odnaleźć Babcię – mówię. – Potrzebuję twojej pomocy.

Potrzebuję ciebie.

– Znajdziemy ją.

Ona to naprawi.

Ona mi powie, co robić.

Uratuję go.

Dwa tygodnie do mojego wyjazdu.

Sześć tygodni do końca.

Ona to naprawi.

Przez całą noc dręczy mnie stary koszmar, tylko tym razem zamiast mamy jest w nim Matt. I nie śmiejemy się, tylko sprzeczamy, kłócimy, wrzeszczymy na siebie, aż wreszcie samochód szarpie w bok i stacza się w strumień. Zaczyna się wypełniać krwią, a ja odwracam się i widzę głęboką ranę biegnącą przez głowę Matta. Przyciskam do niej ręce, ale krew wycieka mi przez palce i pali skórę wszędzie, gdzie mnie dotknie, aż w końcu całe moje ciało stoi w ogniu, płonie żarem jego krwi.

To moja wina.

Budzi mnie odgłos grzmotu. Siadam na łóżku. Pościel jest mokra od potu. Widzę nos Gusa na wysokości swoich oczu. Pies opiera się przednimi łapami o łóżko i skamle niespokojnie, drży za każdym razem, kiedy piorun przecina niebo. Chowam twarz w gęstym futrze na jego karku i staram się go uspokoić, choć sama jestem przerażona.

– Wybacz mi, Gus – szepczę wreszcie, odsuwam go na bok i wstaję z łóżka.

Szperam w szufladach w poszukiwaniu sportowych ubrań i wyciągam z garderoby buty do biegania. Ubieram się szybko i zakradam na dół do kuchni, szukając w misce kluczy do auta mamy wśród monet, guzików i innych drobiazgów. Zostawiam jej notkę na kuchennym blacie i wychodzę cicho na ganek. Ulewa i burza już przeszły, pozostawiając tylko niebo o zielonkawym odcieniu.

Jadę do szkoły, parkuję za szatniami sportowymi i przez kilka chwil patrzę na telefon, który włożyłam do podstawki na kubek. Jest coś, co powinnam zrobić już dawno, i po ostatniej nocy nie mogę dłużej tego odkładać. Biorę komórkę, wyszukuję numer doktor Langdon i wybieram go, zanim zdążę się zawahać.

– Halo? – Doktor Langdon odbiera po drugim dzwonku, mówi rozespanym głosem i niemal się rozłączam.

Udało jej się przepędzić moje koszmary, ale nigdy specjalnie za nią nie przepadałam.

Była małomówna i miała kamienną twarz, nigdy nie reagowała na nic, co mówiłam, choćby najdrobniejszą emocją, całkowite przeciwieństwo Alice.

– Halo? – powtarza, a ja odchrząkuję głośno, choć nie jest to zamierzone. – Kto mówi?

Wzdycha i wiem, że zaraz odłoży słuchawkę, więc strzelam bez zastanowienia:

– Sprawdzała pani swój piekarnik?

Na sekundę zapada cisza, po czym doktor Langdon mówi chłodno:

– Natalie?

– Ona miała rację – mówię nieskładnie. – Babcia wróciła i powiedziała, że coś się stanie, i to się stało, i musi pani na siebie uważać.

Na linii znowu zapada cisza. Doktor Langdon nigdy nie odzywa się bez zastanowienia, nigdy zwyczajnie nie reaguje, zawsze kalkuluje.

– Gdzie jesteś, Natalie? Nic ci nie jest? Zrobiłaś ogromne postępy i nie wolno…

– Wszystko ze mną w porządku – przerywam. – To pani coś grozi, a ona się nie myli. Przysięgam, że ona się nie myli. Może sobie pani myśleć, że jestem wariatką, ale musi pani sprawdzić swój piekarnik, kuchenkę i cokolwiek, co może jeszcze grozić pożarem, rozumie pani?

– Co jeszcze mówiła twoja babcia, Natalie? Kazała ci coś zrobić?

– Ona nie jest moją babcią. Niech pani sprawdzi piekarnik – rzucam szorstko i rozłączam się, ciskam telefon na fotel pasażera. Wysiadam z samochodu i biegnę do ogrodzenia z siatki, po czym wdrapuję się na nie tak, jak to zrobiliśmy z Beau w wieczór imprezy Matta.

Nie przejmuję się rozciąganiem. Jest tak gorąco i wilgotno, że i tak mam rozgrzane mięśnie, a moja skóra jest śliska od potu. Zaczynam biec truchtem po asfaltowej bieżni i mój umysł natychmiast przenosi się w medytacyjny stan, jaki ciężko mi osiągnąć bez wysiłku fizycznego.

Liczę okrążenia – jedno, drugie, trzecie, czwarte – aż w końcu zupełnie tracę poczucie odległości i czasu. Nie ma końca. Nie ma żadnego konkretnego momentu, w którym powinnam się zatrzymać. Bezkresny bieg bez punktu początkowego, nie wiem, gdzie zaczyna się każde nowe okrążenie. Wkrótce zaczynam mieć wrażenie, jakby całe moje życie było tym biegiem. Czuję to w sobie; drżącą zasłonę, jakby mój żołądek stał na scenie, a kurtyna za sekundę idzie w górę.

Biegnę dalej i wiem, że przedzieram się przez tę zasłonę na wskroś. Świat znika. Po raz pierwszy od mojego Otwarcia świat znika i wiem, że to ja tego dokonałam. Ziemia nie jest już płaska i twarda pod moimi stopami. Wilgotne metalowe trybuny, zardzewiałe druciane ogrodzenie, pomarańczowe-czarne stanowisko dla prasy, wygaszone reflektory i słupki na boisku – wszystko znika.

Te rzeczy nadal gdzieś tu są, ale nie w tej chwili. Migają mi przelotnie przed oczami i znowu staram się cofnąć, szukając w żołądku tego uczucia przypominającego jazdę kolejką górską. Ale choć mam wrażenie, że zasłona drży i unosi się, ponoszę porażkę. Nie mogę poruszyć czasu.

Zatrzymuję się i nachylam, opierając o kolana, próbuję uregulować oddech.

Po drugiej stronie boiska ktoś idzie po trybunach; drobna blondynka w szortach i podkoszulce. Schodzi na bieżnię i macha do mnie, ale nic nie mówi. Megan. Nie moja

Megan, ale mimo to Megan. Zaczyna biec w miarowym tempie i ja także znowu ruszam. Biegniemy truchtem po przeciwnych stronach bieżni, synchronizujemy się, żadna z nas nie zbliża się do drugiej, jak dwie orbitujące planety.

Znowu tracę poczucie czasu i dopiero, kiedy Megan zwalnia i idzie usiąść w pierwszym rzędzie na trybunach, wypływam z głębin swojego umysłu. Słońce wygląda już zza horyzontu, maluje niebo na płomienny pomarańcz.

Kończę okrążenie marszem i podchodzę do niej, żałując, że to nie moja Megan. Przez jakiś czas siedzimy w milczeniu, patrząc na wschód słońca. W tej ciszy mogę przynajmniej udawać, że jestem tu ze swoją przyjaciółką.

Bo ona jest moją przyjaciółką.

– Przykro mi – mówię nagle. – Z powodu Matta.

Megan zmusza się do uśmiechu, ale nie patrzy na mnie.

– Tak, mnie też.

– Wyjdzie z tego.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Fakt, nie wiem. Ale tak sobie mówię.

Megan wyciera wierzchem dłoni łzy.

– Ja też.

Przez kilka minut milczy i już zaczynam myśleć, że skończyła rozmowę i chce zostać sama, ale wtedy odzywa się znowu:

– Kochałam się w nim, odkąd miałam dziesięć lat.

– Co?! – pytam wstrząśnięta. Czy to możliwe, że zupełnie przegapiłam to w mojej Megan? Kiedy miałyśmy dziesięć lat, w ogóle nie zaprzątałam sobie głowy Mattem, ale on i Megan przyjaźnili się wtedy już od jakichś dwóch lat. – Poważnie?

– W podstawówce mieliśmy w szkole takiego chłopaka, nazywał się Cameron – mówi Megan. – Właściwie był z niego trochę wieśniak. Był dość biedny i przeważnie chodził brudny. Na placu zabaw mieliśmy coś w rodzaju huśtawki i któregoś dnia Cameron na nią wlazł. Spadł i pojechał po trawie, aż zleciały mu gacie. Wszyscy zobaczyli jego tyłek i przez jakiś tydzień nikt nie chciał wejść na huśtawkę. Kiedy ludzie przechodzili obok niej, krzyczeli „dupozarazki!”.

Patrzę na Megan z niedowierzaniem. Mam takie samo wspomnienie. Identyczne.

– Matt nie kolegował się z Cameronem ani nic takiego, ale było mu go żal – mówi dalej Megan. – Wszyscy byli naprawdę wredni, tylko po to, żeby zrobić Cameronowi przykrość, i nikt jakoś nie próbował się wyłamać. To Matt jako pierwszy wszedł potem na tę zjeżdżalnię… nie licząc oczywiście Beau, ale on od urodzenia miał gdzieś, co myślą inni. Beau zawsze był lubiany, ale to nie jest typ człowieka, którego chce się naśladować. A Matt owszem. W każdym razie Derek zaczął się wyśmiewać, że Matt złapie dupozarazki, więc Matt zwyczajnie pokazał mu tyłek. – Megan śmieje się bez wesołości i znowu ociera oczy. – Założę się, że to był jedyny raz, kiedy dostał karę.

Pamiętam to wszystko, mam ochotę powiedzieć. Ty i ja też tam byłyśmy. I też nabijałyśmy się z dupozarazek Camerona, a potem miałyśmy wyrzuty sumienia, kiedy Matt wreszcie położył temu kres.

– Właśnie wtedy się w nim zakochałam – mówi Megan cicho.

Te słowa są jak sztylet w moim sercu. Nie chodzi o zazdrość. Jeśli już, to jestem

zazdrosna, że ta Megan kocha Matta, a mnie nawet nie rozpoznaje. I że mówi mi o rzeczach, o których moja Megan nigdy nie wspomniała. Zastanawiam się, kiedy przestała coś do niego czuć, jeśli w ogóle, i jak to możliwe, że nic nie zauważyłam.

Czy przez ostatnie sześć lat raniłam ją, raniłam ich oboje z powodu naszego związku, mimo że ostatecznie wcale nie byłam pewna, czy w ogóle go chcę? A może świat beze mnie naprawdę jest na tyle inny, że w jednej rzeczywistości Megan mogła kochać Matta, a w drugiej już nie?

– On z tego wyjdzie – mówię. – Macie przed sobą całe lata świecenia ludziom tyłkami po oczach.

Megan wybucha śmiechem i zasłania usta ręką, ale po twarzy nadal spływają jej łzy.

– Nie jestem pewna, czy on w ogóle tego chce – mówi. – Przez cały ten czas, kiedy się przyjaźniliśmy, chodził z różnymi dziewczynami. Dopiero ostatnio zaczęło to wyglądać, jakby… a teraz…

Biorę ją za rękę – bez względu na wszystko to wciąż moja Megan.

– Jeszcze zdąży do tego dojrzeć – mówię. – A jeśli pokpi sprawę, będzie miał całe lata na nurzanie się w miażdżącym żalu, patrząc, jak starzejesz się u boku seksownego zawodowego hokeisty.

– Boże, mówisz, jakbyś zaglądała mi do komputera – żartuje Megan i czuję ukłucie bólu, kiedy dociera do mnie, jak bardzo mi jej brakuje.

– Mam świetną intuicję do przystojniaków – stwierdzam. – W sprawach miłości mówię ich językiem.

– No, w każdym razie wybrałaś sobie trudną sztukę – mówi Megan, kręcąc głową. – Beau Wilkes robiący maślane oczy do panny z ekskluzywnej uczelni. Kto by pomyślał? Właściwie to dość tragiczne.

– Skąd wiesz, że idę na Browna?

– Daj spokój. Beau to nasz dyżurny pozbawiony złudzeń, zblazowany, szaleńczo przystojny, acz niezaprzeczalnie porąbany typ do jednorazowych numerków, do tego naznaczony feromonami Rachel Hanson. Wszyscy o tobie gadają, Natalie. – Widzi moją minę i pospiesznie dodaje: – Nie zrozum mnie źle. Ja uwielbiam Beau. Wszyscy go uwielbiają. Po prostu, no wiesz… wyglądasz na świetną dziewczynę i mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, w co się pakujesz. Ten chłopak dźwiga tyle bagażu, że nie starczyłoby miejsca w samolotowym luku.

Kręcę głową.

– W nic się nie pakuję. Za kilka tygodni wyjeżdżam na resztę wakacji. Beau tylko mi w czymś pomaga.

– Jasne – mówi Megan, kiwając głową. – Chyba w całowaniu. Fakt, że pewnie w całej okolicy nie znalazłabyś lepszego trenera.

Śmieję się i na sekundę ciężar na moich piersiach ustępuje.

– Więc co to za bagaż? – pytam i natychmiast mam wyrzuty sumienia, że tak węszę za plecami Beau.

– No, przede wszystkim jego mama. Ona jest trochę… nie teges. A jego ojciec wyjechał i nigdy go nie odwiedza. W ciągu pięciu lat nie przyszedł chyba ani na jeden mecz, nawet te dwa razy, kiedy grali w stanowych mistrzostwach. Podobno przysyła Beau whisky… Facet wychodzi z alkoholizmu, a zachowuje się, jakby chciał, żeby syn

zajął jego miejsce, skoro on sam wreszcie wytrzeźwiał. Ale to oczywiście tylko pogłoski. Pewnie nieprawdziwe.

– No nie wiem… – mówię, spuszczając wzrok i myśląc o wieczorze zakończenia roku, kiedy Beau zakradł się do szkoły, żeby pić do lustra i grać na fortepianie.

Megan wzdycha.

– No i cała ta sytuacja z Mattem… – dodaje.

– No tak – mówię. – Na pewno wszystkim jest ciężko.

– Tak, ale Beau najbardziej – tłumaczy Megan, obgryzając paznokieć małego palca i wzruszając ramionami. – Bo państwo Kincaidowie sądzą, że to jego wina.

– Obwiniają go za ten wypadek? – pytam osłupiona.

– Za picie. Nie potrafią sobie wyobrazić, że Matty raz na jakiś czas też może popełnić jakiś błąd. Za każdym razem, kiedy coś pójdzie nie tak, kochana Joyce obwinia o to Beau. W dzieciństwie spalili we dwóch stodołę i Matt mówi, że to była głównie jego wina, ale bał się, co powiedzą rodzice. Więc Beau wziął na siebie odpowiedzialność i Matt musiał ich przekonywać, żeby nie wzywali policji.

– Wow… – mówię i przez głowę przemyka mi myśl, że przy państwu Kincaidach moi rodzice sprawiają wrażenie potomstwa jakiegoś hipisa i Matki Teresy.

Myślę o tym, jak w noc wypadku Joyce i Raymond usiedli w szpitalu z dala od Beau i patrzyli na niego tylko po to, żeby zabić go wzrokiem.

– Będzie dobrze – mówię. – Wszystko będzie dobrze.

– Cieszę się, że na ciebie tu wpadłam – odpowiada Megan.

Obie wstajemy do wyjścia i jest tak samo jak zawsze: tylko ona i ja. Rozumiemy się praktycznie bez słów.

– Ja też.

To prawda, że nic nie ma takiej mocy ranienia jak miłość, ale nic też nie potrafi tak uzdrowić.

– Była kiedyś grupa ludzi, która wybrała się na łowy – powiedziała Babcia. – Znalazł się w niej pewien starzec, jego córka z mężem oraz ich mały synek. Choć wyruszyli wszyscy razem, nie minęło wiele czasu, kiedy grupa się podzieliła. Starzec, kobieta i jej mąż udali się w jedną stronę, a chłopiec przypadkowo poszedł w inną.

Nie zauważyli nieobecności dziecka, póki słońce nie zaczęło zachodzić, a wtedy niewiele już dało się zrobić. Mogli tylko rozbić obóz. Na szczęście natknęli się na szałas na leśnej łące. Postanowili, że tam właśnie przenocują.

Rozpalili wielkie ognisko i poszli spać; staruszek po jednej stronie szałasu, a małżonkowie po drugiej. Kiedy ogień zaczął przygasać, mąż i żona obudzili się, słysząc jakiś hałas. Zaczęli nasłuchiwać i stwierdzili, że to tylko jakiś pies obgryza kość. Wtedy jednak dźwięk zmienił się w ostre grzechotanie, więc podnieśli się, żeby znaleźć jego źródło.

Przeszedłszy na drugą stronę szałasu, odkryli, że starzec nie żyje, zabiło go jakieś zwierzę i krew wyciekała z jego ciała na posłanie. Oczywiście ogarnęło ich przerażenie, ale był środek nocy i nie bardzo mogli coś zrobić. Zwierzę, które zabiło starca, już zniknęło, tak więc zakryli ciało zmarłego, dorzucili do ognia i wrócili na swoje posłanie, by czekać na świt.

Kiedy jednak ogień przygasł, znowu usłyszeli ten sam odgłos. Zerwali się i pobiegli do ciała staruszka. Tym razem udało im się ujrzeć istotę, która go zabiła: był to żyjący szkielet, który spojrzał na nich przez dziurę w ścianie, nim umknął. Mąż i żona byli przerażeni. Wiedzieli, że potwór nie pozwoli im uciec, więc wrócili ostrożnie na posłanie i szeptem ułożyli plan.

Znowu podsycili ogień, a potem żona odezwała się głośno, tak by szkielet usłyszał ją, gdziekolwiek się krył: „Ależ jestem spragniona, mój mężu. Muszę się przejść do strumienia po łyk wody”. I wyszła na zewnątrz, a szkielet jej nie ścigał. Wtedy mąż znowu dorzucił do ognia i powiedział na głos: „Gdzież się podziewa ta moja żona? Czemu tak długo jej nie ma? Chyba muszę się przejść do strumienia i upewnić się, czy nic jej nie jest”. I sam również wymknął się z szałasu, a gdy tylko się oddalił, ruszył biegiem. Znalazł żonę w lesie i razem zaczęli uciekać w kierunku swojej wioski.

Kiedy jednak ogień przygasł, szkielet wrócił i odkrywszy, że jego ofiary zniknęły, ruszył za nimi w pościg, wyjąc przeraźliwie. Małżonkowie biegli z całych sił, póki nie dotarli do domu, gdzie trwało właśnie wielkie święto i odbywała się uczta. Słysząc wołanie pobratymców o pomoc, wszyscy pobiegli im na spotkanie do lasu i potwór uciekł.

Następnego ranka grupa z wioski wyruszyła do leśnego szałasu. Znaleźli tam resztki ciała staruszka, a na strychu – starą trumnę z kory, w której leżał szkielet; był to zmarły, którego rodzina i przyjaciele nie pogrzebali. Aby go zniszczyć, plemieńcy obłożyli cały szałas suchą korą oraz opałem i podłożyli ogień, by wszystko strawił. Kiedy tak stali i patrzyli, jak szałas płonie, zobaczyli, jak z wnętrza wybiega lis o oczach lśniących niczym ogień i umyka do lasu. Koniec.

– Chyba sobie żartujesz – powiedziałam.

Babcia zachichotała.

– Gdybym żartowała, wiedziałabyś o tym – stwierdziła. – Jestem niesamowicie dowcipna.

– Twoje opowieści są tak zabawne jak *Dziennik Anny Frank*.

– To nie znaczy, że ja sama nie mam poczucia humoru. Wiesz, ja też mam życie poza tymi chwilami, które razem spędzamy – powiedziała. – Opowiadam ci rzeczy, które musisz wiedzieć. Za to kiedyś, jeśli będzie na to czas, opowiem ci, jak znalazłam w sałatce lateksową rękawiczkę.

– Nie, dziękuję – rzekłam, powstrzymując odruch wymiotny. – A co w ogóle stało się z tym chłopcem?

– Co masz na myśli? Po prostu opuścił tę historię.

– Więc przestał istnieć? W takim razie po co w ogóle o nim wspominać?

– By pokazać ci, że dobrze się stało, że poszedł w drugą stronę.

– Ahaaaaaaa. A to znaczy…?

– Słuchaj, Natalie, czasami opowieści znaczą tylko tyle, ile sama z nich zrozumiesz.

– Mam nadzieję, że to nie jest jeden z tych przypadków.

Zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem.

– Najwyraźniej – stwierdziła. – Nic nie zrozumiałaś, prawda?

– Przykro mi – powiedziałam, wzruszając ramionami.

– Lud, z którego pochodzi ta opowieść, uważał lisa za symbol seksualnej miłości.

– Erotyczny lis-wampir… I nagle wszystko nabrało sensu!

– Słuchaj mnie – powiedziała Babcia ostrzej niż zwykle. – Niektórzy uważają, że ta historia opowiada o różnicy między wiekiem dziecięcym a starością. Dziecko unika bólu, podczas gdy dorośli cierpią.

– A co ty myślisz?

– Że to częściowo prawda – rzekła. – Ale chodzi też o cenę miłości. Dorosnąć oznacza kochać. A kochać oznacza umrzeć.

– Urocze.

– Słuchaj, smarkulo, gdybym mogła w tej chwili wstać, trzepnęłabym cię w głowę. Żarty żartami, ale mówimy o ważnych rzeczach.

– Więc co, powinnam być jak ten chłopiec? Zmienić kurs i zapomnieć o miłości, żyć tylko dla siebie?

– Nie – odparła. – Ale powinnaś wiedzieć, czego oczekiwać od swojego życia, Natalie. Bardzo wszystko przeżywasz. Dorastanie będzie dla ciebie bolesne. Tylko ty możesz zdecydować, czy miłość jest warta tego bólu.

Babcia nauczyła mnie, że miłość ostatecznie łamie człowiekowi serce – czy to przez tysiąc drobnych pęknięć, czy też jednym szybkim uderzeniem. Moje serce właśnie pęka.

– Więc opowiedz mi o swoich doświadczeniach – mówi Alice.

Oczy ma szeroko otwarte, a źrenice rozszerzone. Mam mocne podejrzenie, że tuż przed naszym spotkaniem paliła trawkę, i trochę bym chciała, żeby poczęstowała nią Beau, który pała radością jak wiedźma na stosie. To, że sytuacja między nami jest tak napięta, nie ułatwia sprawy. Od czasu wizyty w szpitalu prawie nie umiemy spojrzeć sobie w oczy, prawie się nie dotykamy.

Beau spogląda na mnie z ukosa, po czym przenosi wzrok z powrotem na Alice.

– Zaczęło się, kiedy miałem jakieś pięć, sześć lat.

– Dobrze – mówi Alice, wychylając się do przodu tak mocno, że tylko czekam, aż rypnie twarzą w stos książek. – Opisz to… Najwcześniejszy raz, który pamiętasz.

Przez następną godzinę udaje jej się wyciągnąć z Beau mniej więcej tyle, ile ja dowiedziałam się w ciągu dziesięciu minut w mojej garderobie. Alice jednak wydaje się zadowolona i ani na chwilę nie przestaje notować, nawet kiedy zadaje pytania, choć odpowiedzi składają się przeważnie z co najwyżej trzech, czterech słów.

Kiedy kończą jej się pytania, zaczyna stukać palcami w usta i znowu robi ten miarowy ruch głową w przód i w tył.

– To nie wszystko – mówię, korzystając ze sposobności. – Nasz przyjaciel Matt miał wypadek. W obu światach. W naszym można powiedzieć, że to przeze mnie. W tym drugim oczywiście nie, a mimo to wypadek się wydarzył.

– Hm… – Alice zastanawia się, rysując w notesie spiralę. – Więc to jak w historii o Bracie Czarnym i Bracie Czerwonym.

– Mniej więcej – zgadzam się. – Ale moja przyjaciółka Megan… w tym drugim świecie jest inna. Przynajmniej trochę. W tym świecie wyjechała już na studia, żeby trenować z drużyną piłkarską. A ta druga Megan nie. Ale ma pewne wspomnienie, które i ja mam.

– Rany Julek… – wzdycha Alice, pocierając koniuszek brwi i mrugając szybko kilka razy. – Poplątane jest to wszystko…

Beau patrzy na mnie i rozgrzewam się pod wpływem jego spojrzenia.

– Owszem – przyznaję.

– Nadal niewykluczone, że to wy powodujecie te różnice – mówi Alice. – Może fakt waszego istnienia albo nieistnienia wpływa na pewne rzeczy, a na inne nie.

– Ale dlaczego my? – pyta cicho Beau.

– I to właśnie jest pytanie za sto punktów. – Alice przeżuwa koniuszek długopisu, lecz nie przestaje mówić: – Dlaczego istnieją dwa światy i dlaczego właśnie wy dwoje możecie się między nimi przemieszczać?

– I co Babcia ma z tym wszystkim wspólnego? – dodaję.

– Czy to możliwe, że w świecie Beau ona mieszka w twoim domu? – podsuwa Alice. – Może to tylko samotna stara kobieta, która nigdy nie przeżyła Zamknięcia i teraz dla towarzystwa zabawia się w udzielanie rad.

– Ona tam nie mieszka – mówi Beau. – Widziałem rodzinę, która zajmuje ten dom.

Alice krzywi usta.

– No tak. To byłoby za proste.

– A poza tym Babcia wie różne rzeczy – dodaję, kręcąc głową. – Ja jej ufam.

Stoper zaczyna piszczeć, informując nas, że sesja dobiegła końca. Alice klnie pod nosem i rzuca notes na biurko.

– Masz rację, Natalie – mówi. – Babcia faktycznie jest inna. Próbuję to wszystko zrozumieć, ale nadal brakuje nam informacji. Najbardziej pomogłoby nam, gdybyś mogła znowu z nią porozmawiać.

– Alice, mam tylko dwa tygodnie, zanim wyjadę na resztę wakacji – mówię. – A co, jeśli chodzi o Matta? Co, jeśli on umrze, o ile czegoś nie zrobię? Albo do końca życia będzie miał uszkodzony mózg? Albo co, jeśli chodzi o kogoś innego, na przykład o tatę albo… – Nie potrafię się zmusić, by wymówić imię Beau.

Nie chcę zasadzać mu w głowie myśli, która cały czas skrycie mnie gryzie.

Trzy miesiące, by go ocalić.

– Staram się, jak mogę – mówi Alice, rozcierając wąskie, ciemne brwi. – W czwartek znowu spróbujemy hipnoterapii. A w międzyczasie powinniście spędzać ze sobą jak najwięcej czasu. Powinniście poświęcać każdą chwilę na przeskakiwanie z jednego świata do drugiego, a może nawet poszukać trzeciego, do którego nie zdołaliście się jeszcze dostać. Natalie, musisz nadal się stresować.

– Żaden problem – wzdycham, wciskając nasady dłoni w oczodoły.

– I dalej nagrywaj swoje opowieści. Tyle, ile zdołasz. Te historie to klucz.

– W porządku – mówię.

W mojej głowie uparcie powtarza się jedna historia, jedna fraza. Ściska mnie bezlitośnie i wypełnia strachem.

Chodzi o cenę miłości. Dorosnąć oznacza kochać. A kochać oznacza umrzeć. Kto zatem umrze?

– Powinniśmy zajechać do szpitala – mówię w drodze powrotnej do Union.

Nie rozmawiamy. Między nami panuje ciężka atmosfera. Beau obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem i czuję ucisk w piersi. Słońce wpadające ukosem przez szybę rozświetla mu orzechowe tęczówki.

– Okej – mówi.

Na szpitalnym parkingu przypominam sobie, że jesteśmy tu, by odwiedzić dwóch różnych Mattów.

– Jak to załatwimy? – pytam.

– Spotkajmy się tu za pół godziny – mówi Beau.

Zatrzymuję się i on również, patrzymy sobie w oczy. Nie potrafię ująć tego w słowa, ale nie chcę wchodzić do szpitala bez niego. Poczekalnia będzie za zimna, za pusta, za straszna. Świat będzie się wydawał za ciemny. Prawda – że niezależnie od tego, czy Matt dojdzie do siebie, czy nie, po moim wyjeździe za dwa tygodnie Beau i ja prawdopodobnie nigdy już się nie zobaczymy – ciąży mi jak kamień. Wyciągam rękę i dotykam go.

Beau patrzy na moją dłoń i wolno przesuwa wzrok z powrotem na mnie. Jestem pewna, że zaraz znowu się pocałujemy, ale w końcu udaje mi się oderwać od niego

spojrzenie i mówię:

– Pół godziny.

Beau odwraca się i odchodzi w kierunku automatycznie rozsuwanych drzwi szpitala. Zanim do nich dociera, znika i on, i jego furgonetka.

Rozmawiam z człowiekiem w recepcji i jedna z pielęgniarek Matta zabiera mnie do sali, gdzie przy łóżku siedzi jego mama, która podnosi się i ściska mnie serdecznie.

– Ucieszy się, słysząc twój głos – mówi.

Patrzę na twarz nieprzytomnego Matta. Wzdłuż linii włosów biegnie czterocalowy szew, a lewe oko i policzek są mocno posiniaczone. Do nosa ma przyczepiony kawałek gazy, z którego wychodzą cienkie rurki podłączone do różnych urządzeń. Joyce odsuwa się ode mnie i ociera oczy.

– Kiedy wyrzuciło go z samochodu, pękł mu kręgosłup – mówi. – Dopóki się nie obudzi, lekarze nie są w stanie dokładnie określić urazu.

– Aha. – Nic więcej nie jestem w stanie z siebie wydobyć.

Podłoga wydaje się kołysać pod moimi stopami, a razem z nią kołyszą się balony, kwiaty i misie leżące na stercie pod przeciwną ścianą. Cały świat zaczyna nagle przypominać wycieczkę łodzią wikingów, a czysta błękitna woda za burtą kryje wszystkie te rzeczy, do których nie mogę się dostać.

– Posiedzisz z nim, kiedy pójdę do łazienki? – pyta Joyce. – Nie chciałam zostawiać go samego na wypadek, gdyby…

Milknie, a ja kiwam głową.

– Jasne.

Joyce wychodzi, a ja przez niezliczone sekundy stoję w miejscu, jak wrośnięta w tę rozkołysaną podłogę, oddycham tylko głęboko i zbieram się w sobie. Wreszcie podchodzę mechanicznie do łóżka i siadam na krześle przysuniętym przez Joyce.

– Cześć, Matty – szepczę, biorąc go za rękę. Mój głos jest inny niż zwykle. Brzmi tak źle, jak źle wygląda twarz Matta. Tak źle jak cichy szum i pikanie urządzeń, do których go podłączyli.

– To ja.

Cisza, która mi odpowiada, sprawia takie wrażenie jak zachmurzone niebo czekające tylko na spadek temperatury, by spuścić na ziemię ulewę. Kiedy wreszcie do tego dochodzi, zamiast deszczu spadają łzy. Przyciskam twarz do dłoni Matta.

– Tak strasznie mi przykro – mówię.

Jego skóra jest chłodna na moim policzku, jakby jego ciało było zbyt zajęte, by przejmować się pompowaniem krwi aż do koniuszków palców. Pamiętam, jak za pierwszym razem, kiedy trzymaliśmy się za ręce, tamtego wieczoru na boisku w ósmej klasie, zdziwiłam się, jak zimne ma dłonie. Przedtem trzymałam się za ręce tylko z Tylerem Murphym i nieświadomie wyrobiłam w sobie przekonanie, że wszyscy chłopcy mają dłonie ciepłe i wilgotne od potu.

Ale Matt nie rozgrzewał mnie swoim ciepłem, kiedy kuliliśmy się razem na wzgórzu w zimnym październikowym wietrze. Pamiętam, jak mimo chłodu pomyślałam, że chyba promienieję od wewnątrz, skoro cała klasa tak na nas patrzy. Po jakimś czasie rola dodatku do Matta zaczęła mi ciążyć jak kula u nogi, ale tamtego wieczoru był to dla mnie zaszczyt.

Kochałam Matta Kincaida od samego początku. Może to uczucie nie było wszechogarniające czy nawet zaskakujące – oczywiście, że każdy, kogo Matt pokocha, też musiał obdarzyć go miłością. To przecież chłopiec, który w każdym widzi tylko to, co dobre, skory do śmiechu, szybko odpuszczający urazy, lgnący do najbardziej nieśmiałych osób w grupie, nie plotkuje i nie osądza jak cała reszta.

I właśnie takiemu człowiekowi złamałam serce, właśnie ten człowiek płakał przy mnie, nim odjechał. Nagle czuję złość. Złość na siebie, na niego, na skrzyżowanie, gdzie wyrzuciło go z jezdni, i na całą resztę świata, że do tego dopuścił.

– Przepraszam – powtarzam raz za razem, ale to niczego nie zmienia i wkrótce moje „przepraszam" zaczyna smakować jak trucizna, i płaczę łzami wściekłości, bo jak on mógł mi to zrobić?

Jak mógł to zrobić nam wszystkim?

Zamykam oczy, by stłumić łzy, a kiedy je otwieram, widzę Beau siedzącego po przeciwnej stronie łóżka, z twarzą ukrytą w dłoniach, z drżącymi ramionami. Jakimś sposobem przeniosłam się do tego drugiego świata, a on nie wie, że jestem przy nim i go widzę. Myśli, że jest sam.

Bo jest sam.

I ja jestem sama.

Tak strasznie chcę do niego podejść. Chcę go przytulić i powiedzieć „Ja cię rozumiem".

Zamiast tego odwracam się i uciekam z pokoju, ocierając łzy z brody.

Pół godziny później Beau wychodzi do poczekalni, gdzie czekam z dala od kilku młodszych zawodników drużyny. Po sposobie, w jaki na niego patrzą, wiem, że jesteśmy w jego świecie. Przystaje, by zamienić z nimi kilka cichych słów, których nie słyszę. Jeden z pierwszoroczniaków ociera oczy i Beau kładzie mu rękę na ramieniu, kręci głową prawie niedostrzegalnym ruchem.

– …będzie w porządku. – Tylko tyle słyszę ponad szumem klimatyzacji.

Beau i ja spotykamy się przy wyjściu i wychodzimy na gorący, duszny parking. Jego oczy są suche i pełne determinacji, wszystko ukryte głęboko i bezpiecznie, gdzie nikt tego nie zobaczy. Ale ja to widziałam. Ja go widzę. Chciałabym móc objąć go całego naraz, ale prawda jest taka, że nawet samej siebie nie potrafię poskładać w całość.

Beau bez słowa wsiada do furgonetki.

– W porządku? – pytam.

Kiwa tylko głową. Dotykam jego ręki i jego palce wolno, mocno zaciskają się na moich.

– U mnie też nie – mówię.

Beau przyjeżdża po mnie w środku nocy, jak uzgodniliśmy. Wymykam się przez okno garderoby. Biegnę do ślepego zaułka, gdzie zaparkował, i otwieram drzwi od strony pasażera. Beau ma na sobie białą koszulkę i staram się nie zwracać uwagi na kształt jego opalonych ramion i szerokiego torsu w przyćmionym świetle kabiny kierowcy. Ja mam na sobie odcinane dżinsowe szorty. Staram się nie zwracać uwagi także na to, w jaki sposób Beau patrzy na moje nogi. W obu przypadkach ponoszę porażkę, co budzi we mnie skrępowanie, niepokój i wyrzuty sumienia, kiedy jedziemy do szkoły.

Beau parkuje pod tylnym wejściem. Wysiada i odsuwa od zewnętrznej ściany duży kamień porośnięty skamieniałymi trylobitami i muszelkami, po czym podnosi spod spodu klucz i wsuwa kamień na miejsce.

– Skąd to masz? – pytam, kiedy otwiera drzwi.

– Klucz? Dali mi razem z Noblem – mówi. – Ukradłem go, Natalie.

Jak najciszej skradamy się korytarzem do sali muzycznej. Beau idzie do fortepianu i siada, uderza nieuważnie kilka klawiszy.

– I to zawsze działa? – pytam, patrząc na jego plecy.

Odwraca się i uśmiecha.

– Przysiądziesz się, Cleary?

Śmieję się do podłogi i idę przez pokój, wsuwam się na ławeczkę obok niego. Czuję przy sobie ciepło jego ciała. Beau nadal się do mnie uśmiecha. To niemal wystarcza, by zdusić myśl o szpitalnym pokoju ze świetlówkami, pełnym szumu urządzeń i maszyn pompujących tlen w ciało Matta. Wydaje mi się strasznie niesprawiedliwe, że w takiej chwili mam wobec Beau takie uczucia, więc naciskam klawisz, żeby zająć czymś myśli.

– Tak, to zawsze działa – mówi Beau i zwraca się do fortepianu. – Zanim cię poznałem, tylko tak umiałem utrzymać się w twoim świecie. A futbol był jedynym sposobem, żeby utrzymać się w moim.

– Więc nigdy nie przeskoczyłeś podczas gry? – pytam.

Beau kręci głową.

– Kiedy gram, w ogóle nie czuję tego, że istnieją dwa światy. Tylko jeden.

– To musiało sprawić ci ulgę – mówię – kiedy już to odkryłeś.

– Dawniej tak. – Znowu patrzy mi w oczy.

– Alice uważa, że za dwa miesiące nie będę już w stanie przechodzić na drugą stronę. – Mówię praktycznie szeptem i Beau spuszcza wzrok.

– Myślisz, że ma rację?

– Nie wiem. Myślę, że Babcia mogłaby mi pomóc. – Nie chodzi tylko o to, że muszę uratować komuś życie – choć to prawda. Jakąś częścią siebie wierzę, że Babcia mogłaby pomóc mi pozostać Otwartą, i naprawdę tego chcę.

Dłonie Beau zaczynają przesuwać się po klawiaturze i zamykam oczy. Melodia jest piękna, mroczna i gęsta, wolna i bolesna. Jak nasze pocałunki, kiedy wybiegłam ze szpitala.

Jak pożegnanie z Megan.

Jak widok nowego życia, które pojawia się na ziemi w tym samym momencie, gdy stare wygasa.

Jak dorastanie i wrażenie, że życie rozciąga, zgniata i przeciska cię niczym kluski domowej roboty w urządzeniu do robienia makaronu. Muzyka mnie porywa i zaczynam tęsknić za tańcem.

– Co to za melodia?

– To ty – mówi Beau. – Ale jeszcze jej nie dokończyłem.

Czuję unoszenie w klatce piersiowej. Spadamy przez czas i Beau przerywa grę. Otwieram oczy i widzę, że znajdujemy się na szczycie oświetlonego księżycową poświatą wzgórza, a niżej pochrapuje stado bizonów. Beau wstaje. Idę za nim.

– Gdzie my jesteśmy?

– Chyba w przeszłości.

– To ty nas tu sprowadziłaś – mówi Beau.

Obraca się w miejscu, a ja podążam za jego wzrokiem w stronę drzewa rosnącego w połowie zbocza. Beau rusza do niego i kładzie dłoń na korze.

– Chciałbym coś sprawdzić – mówi z przebiegłym uśmiechem.

Wyciąga do mnie drugą rękę.

– Doprawdy, Beau Wilkes? – Schodzę do niego.

Z jakiegoś powodu w tym miejscu – czy raczej w tym czasie – nie odczuwam żadnego niepokoju z powodu Matta, utraty dostępu do rzeczywistości Beau ani faktu, że nie mogę odnaleźć Babci. Tutaj istniejemy z dala od tego wszystkiego i czuję spokój, jakiego rzadko doświadczałam w ostatnich kilku latach. Nie ma nic, przed czym należałoby uciekać.

Beau przyciąga mnie do siebie i obejmuje moje plecy ramieniem. Jego usta poruszają się tuż przy mojej skroni i czuję, że puls mi przyspiesza.

– Gotowa?

– Mhm.

Zamyka oczy, bębni palcami w moje żebra jak w klawisze i nagle zaczynamy się poruszać do przodu.

W czasie, nie w przestrzeni, jak wtedy w mojej garderobie. Łagodny nacisk w moim żołądku, jakby coś ciągnęło nas w górę przez ciepłą wodę. Słońce mknie na wschód i znika na zachodzie. Nad głowami przemykają nam chmury o zmiennych barwach, kształtach i gęstości, deszcz spada niczym kurtyna, wyparowuje i znowu kondensuje się w powietrzu wokół nas. Trawa rośnie coraz wyżej i wyżej, aż sięga naszych talii, sękaty pień drzewa pod dłonią Beau porusza się razem z nami.

Smugi rozmytych zwierząt przemykają wokół nas minutami, a dookoła krążą słońce, księżyc i gwiazdy. Czasem pojawiają się też ludzie, choć nie widzimy ich rysów. Wozy, samochody i wielkie żółte buldożery oczyszczają ziemię i ubijają ją, przechodząc przez nas i nasze drzewo, jakbyśmy nie istnieli. Kiedy grunt staje się ubitą glebą, widzimy kładzione fundamenty, tysiące cegieł układanych jedna na drugiej, wylewany cement, a mimo to drzewo pozostaje z nami, zupełnie niewidoczne w świecie ludzi i przedmiotów poruszających się wokół nas jak duchy.

Nagle czuję, jakbyśmy wpadli na ścianę, i mój umysł rozpoznaje, że znowu jesteśmy w teraźniejszości, z całym jej ciężarem i wszystkimi obawami. Wirowanie zwalnia i widzimy ludzi poruszających się w sali muzycznej, ale za szybko, by zauważyć nas albo nasze gigantyczne drzewo. Kiedy czas wreszcie wypluwa nas z powrotem, wciąż stoimy obok naszego tulipanowca. Odchylam głowę i patrzę na sufit. Drzewo przebija go na wskroś i wyciąga się dalej, setki stóp w powietrze.

Sufit nie jest zniszczony i się nie kruszy; wygląda to raczej tak, jakby pomieszczenie zbudowano wokół rośliny, która przez cały ten czas rosła, przepychając się przez drobne szczeliny i rozpościerając w górze swoją koronę. Ogromne korzenie drzewa przekopują się przez niebieską wykładzinę. Śmieję się i patrzę na Beau, który spuszcza ku mnie twarz o poważnym wyrazie.

– To mi przypomina tę twoją opowieść – mówi. – O dziewczynie, która spadła z nieba.

– W życiu nie widziałam czegoś tak pięknego.

– Podoba ci się to drzewo, Natalie Cleary? – pyta. – W takim razie jest twoje.

– Jesteś niesamowity.

Beau spuszcza głowę, niemal nieśmiało. To kolejny nowy kawałek, maleńki fragment Beau, który udało mi się zdobyć. Chcę zebrać je wszystkie i rozłożyć przed sobą, zatrzymać na zawsze. Ujmuję jego twarz w dłonie i całuję go w policzek.

– Przez ciebie nie chcę stąd wyjeżdżać – szepczę.

Jego dłoń osuwa się z pnia i drzewo znika, jakby nigdy go tam nie było. Sufit i podłoga znowu stanowią całość i jesteśmy sami w pokoju muzycznym.

– W takim razie zostań – mówi, obejmując mnie lekko w pasie.

– To nie takie proste.

– Zostań – powtarza z uśmiechem.

– Beau…

– Natalie.

Chcąc być sobą, zostaniesz odepchnięta przez wielu, mawiała Babcia. Ale chcąc spełnić oczekiwania innych, odepchniesz sama siebie. To bolesny wybór, Natalie, ale można podjąć tylko jedną decyzję.

Tak właśnie się czuję przy Beau. Jakbym nie mogła z nim być. Jakbym musiała z nim być. Jakby nie było żadnego wyboru i odpowiedź powinna być oczywista, tylko że nie jest.

Wysuwam się z jego ramion.

– Powinniśmy pracować dalej.

– Jeśli chcesz, zaczekam na ciebie – mówi Beau.

Myślę o życiu bez niego i o nim z kimś innym. Obydwie myśli są nie do zniesienia, ale przełykam kamień w gardle i zaciskam zęby.

– Nie chcę – kłamię. – Nie czekaj.

23

– O Boże! – krzyczy Coco, wpadając do mojego pokoju. – Patrz na to! Mówią o tym we wszystkich wiadomościach!

Podrywam się z łóżka z walącym sercem. Jeszcze przed sekundą byłam pogrążona w koszmarze i pewna, że moje płuca zalewa krew, więc teraz odruchowo łykam wielkie hausty powietrza, podczas gdy Coco podsuwa mi pod oczy telefon.

Czuję na twarzy rumieniec; spodziewam się zdjęć szkoły przeszytej na wskroś przez pięćsetletnie drzewo albo dalszych złych wieści o Matcie. Zamiast tego przed moimi oczami pojawia się twarz kobiety o szeroko rozstawionych oczach i miedzianych włosach obciętych na krótko.

– Doktor Langdon?

– Jej dom się spalił – piszczy Coco, wyszarpując mi telefon. – Zostawiła włączony piekarnik.

– Nic jej nie jest? – pytam, przełykając grudę w gardle.

– Żyje, ale ledwo, ledwo. Podobno obudziła się w środku nocy. Nic nie czuła, ale coś ją tknęło, żeby sprawdzić kuchenkę, a kiedy weszła do kuchni, płomienie sięgały sufitu. Wyciągnęli ją i jej kota przez okno na piętrze. Ma poparzenia drugiego i trzeciego stopnia.

– Ale wyjdzie z tego – mówię. – Prawda?

Coco wzrusza ramionami, nie odrywając oczu od telefonu.

– Nie mogę uwierzyć, że dom twojej psychoterapeutki spalił się w tym samym tygodniu, kiedy twój chłopak miał… – Naraz urywa i zakrywa sobie usta dłonią. – Przepraszam. Tak mi się wypsnęło.

– Nic się nie stało – kłamię. A Matt nie jest moim chłopakiem, dodaję w myślach, bo powiedzieć to na głos byłoby zbytnim okrucieństwem.

– Niewiarygodne – powtarza Coco, pisząc coś szybko w telefonie. Unosi na mnie kryształowo czyste oczy. – A dlaczego ty wyglądasz, jakby cię to nie zaskoczyło?

– Ależ zaskoczyło.

– Wcale nie – mówi Coco, potrząsając czerwonozłotymi puklami. Rzuca spojrzenie w kierunku korytarza i spuszcza głos: – A może to ty podpaliłaś jej dom?

– Coco! – mówię ostro. – Nie spaliłam jej domu. Zupełnie nie o to chodzi, okej?

– Więc o co?

Wzdycham i zamykam drzwi. Mama byłaby niezadowolona, gdyby wiedziała, że rozmawiam o tym z siostrą. Nie podobałoby jej się to, ale nawet by się nie przyznała, bo bałaby się, że mnie tym skrępuje albo zawstydzi. Ona jest jak nadwrażliwy pojemnik na sztućce; ciągle stara się trzymać nas wszystkich osobno i bezpiecznie, żeby widelce nie czuły się gorsze tylko dlatego, że nie są łyżkami, albo żeby łyżki nie martwiły się, że widelce wpychają się nie tam, gdzie trzeba.

– Babcia mi o tym powiedziała – przyznaję i Coco otwiera oczy jeszcze szerzej.

– Czyli… o czym?

– Powiedziała mi, że dom doktor Langdon się spali.

– Nie wierzę.

Kiwam głową.

– I na pewno sama tego nie zrobiłaś? – pyta Coco.

– Coco, co ty w ogóle wygadujesz?!

Coco unosi uspokajająco ręce.

– No nie wiem… może lunatykowałaś albo coś.

– Ja tego nie zrobiłam.

Coco unosi brew i opiera się ręką o biodro.

– A masz jakieś alibi? – Patrzy na Gusa i drapie go za uszami. – Gus, widziałeś, czy Natalie w nocy wychodziła?

– Właściwie rzeczywiście wczoraj z kimś wyszłam.

Coco klaszcze i klapie na moje łóżko.

– Z kim? Z Derekiem Dillhornem?

– Fuj, nie! – mówię. – On nie jest z Union.

– A Megan go zna? Matt o nim wiedział?

– Tak jakby i owszem. – Czuję przygniatające poczucie winy, które wyciska mi z ciała każdą drobinę powietrza. – Tamtego wieczoru się pokłóciliśmy. Matt widział mnie z Beau i sobie poszedł. Próbowałam go przekonać, żeby został. Wiedziałam, że nie powinien prowadzić. Naprawdę próbowałam.

Coco przeżuwa dolną wargę i skubie moją narzutę. A potem wyciąga dłoń i chwyta mnie za rękę.

– Wiesz przecież, że to nie była twoja wina.

– Wcale tego nie wiem.

– A ja owszem.

– Mimo to czuję się, jakbyś była w błędzie.

Coco przewraca oczami.

– Ty jesteś zupełnie jak mama i tata. W tym domu jest tyle „uczuć”, że zatopiłyby i „Titanica”.

– Nie bądź śmieszna. „Titanic” był niezatapialny.

Mój samochód jeszcze do wieczora stoi w warsztacie, więc Beau prosi jakiegoś kolegę o zastępstwo w pracy i zawozi mnie na sesję do Alice.

– Nie mogę ciągle zwalniać się z pracy – mówi w drodze. – Teraz, kiedy skończyłem szkołę, Mason chce, żebym płacił połowę czynszu.

– To już ostatni raz. – Alice będzie wściekła, kiedy się dowie, że Beau nie będzie brał udziału w ostatnich dwóch tygodniach sesji, ale nie mogę go prosić, żeby poświęcał mi każdą wolną chwilę.

Dzisiaj w gabinecie znowu czeka doktor Wolfgang. Pali papierosa przy oknie za biurkiem Alice, podczas gdy ona słucha nagrań, które dałam jej we wtorek. Zaprasza nas ruchem ręki, ale kiedy Beau wchodzi za mną do środka, podnosi dłoń, wyłącza dyktafon i wyciąga z uszu słuchawki.

– Nie na hipnoterapię, Beau – mówi. – Poczekaj w holu.

Patrzę na niego przepraszająco. Beau kiwa głową i wychodzi.

– No siadaj, siadaj – mówi niecierpliwie Alice.

Po godzinie wychodzę z hipnozy, jakbym budziła się z drzemki. Widzę, że doktor Wolfgang jak zwykle nie jest zachwycony, ale Alice uśmiecha się i kiwa do siebie głową.

– Coś znalazłaś? – pytam.

– Taniec – mówi. – Zaczęłaś tańczyć, kiedy byłaś malutka, i rzuciłaś to tuż przed odejściem Babci. Nie przyszło ci do głowy, żeby o tym wspomnieć?

– A powinnam? – pytam. – Co to ma do rzeczy?

Alice przewraca oczami i gwałtownym ruchem otwiera drzwi.

– Dziękuję, doktorze Wolfgang – mówi. – Mógłby pan przysłać tu z powrotem Beau, kiedy będzie pan wychodził?

Zamieniają kilka szybkich zdań po niemiecku. Doktor Wolfgang odchodzi, a Alice znowu przewraca oczami.

– Żałosny staruch.

– Myślałam, że się kolegujecie.

– Był jednym z moich wykładowców. To geniusz, ale nie mogę go znieść. Stary, drażliwy i nie da się zrobić na nim wrażenia. Ale szkoda, że nie możesz zobaczyć, jaki ma wielki…

– Błagam, tylko nie kończ tego zdania…

– Miałam zamiar powiedzieć „pałac pamięci” – mówi z naciskiem Alice.

– Czyli…

– To taka sztuczka do zapamiętywania różnych rzeczy. Budujesz w swoim umyśle dom. Kiedy chcesz zapamiętać jakąś informację, musisz sobie przypomnieć, gdzie ją umieściłaś. Wszystko musi być w największym porządku, żebyś zawsze wiedziała, gdzie co leży. – Alice udaje, że zbiera jej się na wymioty. – Ja nigdy w ten sposób nie pracowałam. To doprowadziło do pewnych… konfliktów, kiedy zadawaliśmy ci pytania pod hipnozą.

– Na przykład?

– On chce chodzić korytarzami twojej małej chatki pamięci – mówi Alice. – Chce przeszukać dokładnie każdy pokój, każdą szufladę, każdą szafkę, każdą półkę, po kolei. A ja wolę podążać za tropem.

– Tropem?

– Tropem światła – wyjaśnia Alice. – Widuję je od dzieciństwa. To połączenia, które wskazuje mi intuicja. Działa to mniej więcej tak: mówisz mi coś o swoich powracających koszmarach. Opisujesz mi je i nagle jeden szczegół tak jakby… rozświetla się. Powiedzmy, że chodzi o tę sferę ciemności, która cię pochłania. Ona na mnie wyskakuje, rozpala się cała, więc podążam za nią do wszystkiego, z czym się łączy: noc, rosnące poczucie strachu, twoje Otwarcie, poczucie bezsilności. To może być coś konkretnego albo wcale nie. W każdym razie czekam, póki coś innego na mnie nie wyskoczy, i dopiero wtedy idę dalej.

– A jeśli nic nie wyskakuje?

Alice krzywi usta.

– Wtedy czekam dalej. Dlatego właśnie tyle to trwa. Ale to i tak łatwiejsze niż zaczynanie od samiuśkiego początku i marnowanie całych godzin w pokoju pełnym wspomnień o kinderbalach, balonach i burakach. No i podziałało, prawda? No, tylko

trochę, ale podziałało.

W drzwiach staje Beau.

– Wchodź, wchodź – mówi Alice, zapraszając go ruchem ręki.

Beau robi krok do przodu i opiera się o framugę.

– Właśnie miałyśmy przełom – mówi Alice, klaszcząc w dłonie. – Trzy dni po zakończeniu swojej terapii EMDR Natalie przestała tańczyć. Do tej pory widywała Babcię kilka razy w roku, a tańczyć zaczęła wkrótce przed pierwszym nawiedzeniem, czyli przed Otwarciem. Może więc istnieć połączenie między zmniejszoną aktywnością fizyczną a faktem, że zgubiłaś Babcię.

– Czy to nie wygląda bardziej na zbieg okoliczności? – pytam.

Alice kręci głową.

– Nie – mówi stanowczo.

– Bo tak ci powiedział sznurek światła? – pytam.

– Pasemko światła, ale owszem. To ważne. Ja to czuję. A poza tym pomyśl tylko: taniec to czynność fizyczna, swego rodzaju rytuał, ale jest w nim też coś z medytacji lub sztuki. O to właśnie chodzi w rytuałach: kiedy ciało czuje się podczas jakiejś czynności wystarczająco swobodnie, umysł może oderwać się od konkretnych ruchów i skupić na czymś innym. Kiedy śnimy albo mamy halucynacje, uaktywniają się różne części mózgu. Niewykluczone, że taniec, w którym łączą się czynności fizyczne z umysłowymi, pozwala ci nawiązać kontakt ze światem Babci lepiej niż sam zwykły stres albo emocjonalne wycieńczenie.

– To tak jak z grą – mówi Beau, patrząc na mnie.

– Co masz na myśli? – pyta Alice.

Beau przenosi ciężar ciała na drugą nogę.

– Ja przechodzę między światami, kiedy gram na fortepianie.

Alice składa razem czubki palców.

– Idealnie. Akompaniator.

– Ale nigdy nie widziałam Babci podczas tańca – protestuję.

– Może i nie – mówi Alice. – Ale istnieje cała masa powodów, dla których to może mieć jakieś znaczenie. Na przykład niewykluczone, że regularny taniec wpływał na twój sen. W końcu ten fenomen zaczyna się w stanie snu. Terapia EMDR mogła wyeliminować część twoich nieprzetrawionych traumatycznych wspomnień, dzięki czemu te podwyższone stany snu stały się zbędne. Ale nadal doskwierają ci powracające koszmary. Nadal jesteś w stanie poruszać się między twoim światem a światem, który dla większości ludzi istnieje tylko w snach. Wciąż uważam, że kluczem jest znalezienie źródła traumy, ale pogłębienie snu może w tym pomóc. Nie chcę posługiwać się żadnymi lekami, które wprowadzą cię w głębszy sen albo nie dopuszczą do przebudzenia, kiedy pojawi się Babcia, ale możemy zwyczajnie wymęczyć cię w naturalny sposób. Poślemy cię późnym wieczorem do studia, a po powrocie do domu możesz wziąć trochę melatoniny, żeby szybciej zasnąć.

– Do studia? – pyta Beau.

– Studia tańca na uniwersytecie – odpowiada Alice. Gorączkowo przekopuje się przez papiery na swoim biurku. – Gdzie też położyłam ten cholerny telefon? W studiach tańca są pianina. Idealnie się składa, wręcz podejrzanie idealnie. Dwoje ludzi z dwóch

wersji tego samego miasta, obdarzonych tych samym darem, do którego dostęp gwarantują uzupełniające się czynności. To musi coś oznaczać.

– Pasemko światła – mówię, a ona gwałtownie celuje we mnie palcem.

– Pasemko światła! A raczej sieć światła. Którą wy dwoje musicie jak najszybciej rozplątać. Zaczniemy dziś wieczorem. Zdobędę dla was klucz.

– I co, siądziesz sobie w kącie i będziesz udawać Degasa?

– Chciałabym – mówi Alice. – Ale ludzie rzadko doświadczają tego rodzaju nawiedzeń w towarzystwie obserwatorów. Chodzi o to, żebyście połączyli swoje zdolności, a ja niestety mogłabym stać się murem berlińskim, blokującym twoje hipnopompiczne halucynacje.

Odwracam się, by rzucić przepraszające spojrzenie na Beau, ale on patrzy na mnie z rysującą się na twarzy troską.

– No dobrze. Dziś wieczorem, Cleary.

Beau znowu przyjeżdża po mnie nocą i parkuje furgonetkę na końcu ulicy, jak poprzednio. Kiedy wsiadam, czuję to samo elektryzujące uczucie co zawsze, kiedy jesteśmy razem, to samo spowolnienie czasu, kiedy Beau patrzy na moje szorty do tańca i gołe nogi. Za dnia napięcie między nami spada do poziomu, na którym jesteśmy w stanie sobie z nim poradzić, ale nocą prawie nie mogę tego znieść – siedzimy tak blisko siebie, a mimo to go nie dotykam.

Autostrada jest pusta, podobnie jak parking uczelni, na którym stoi tylko zielono-brązowe Subaru pokryte naklejkami z politycznymi sloganami i atramentowymi plamami jak w teście Rorschacha, wszystkie wyglądają jak człowiek pokazujący znak pokoju. Przed głównym wejściem budynku widzę zarys postaci Alice, która podnosi ręce i macha w naszą stronę. Beau parkuje, a kiedy wysiadamy w upalną noc, czuję lekki spadek naszego magnetycznego przyciągania.

– Cześć, cześć – mówi niewyraźnie Alice, szukając czegoś w kieszeni.

Wyciąga kółko z kluczami, wsuwa jeden z nich w zamek i otwiera drzwi. Podaje mi klucze.

– Ten złoty otwiera drzwi do studia – mówi. – Powinien działać we wszystkich pomieszczeniach, więc wybierz sobie takie, które najbardziej ci odpowiada. Tylko wyjdźcie przed szóstą rano i pamiętajcie, żeby za sobą pozamykać.

– I tyle? – pytam, kiedy rusza na drugą stronę parkingu.

Alice rozkłada ręce na boki.

– I tyle. Powodzenia!

W budynku jest lodowato i ciemno, klimatyzacja chodzi tak mocno, że rozwiewa mi włosy. Kiedy idziemy przez hol, moją skórę zaczyna pokrywać gęsia skórka.

Otwieramy sobie drzwi do pierwszego studia, na jakie trafiamy. Światła migają kilka razy i wreszcie się zapalają, oświetlając szary winylowy parkiet do tańca, dwie pokryte lustrami ściany i obdrapane drewniane pianino obok stojaka z głośnikami. Beau idzie do niego i siada, po czym wystukuje jednym palcem melodię *Sto lat*.

– Wspaniale – mówię. – Prawdziwa sztuka.

Beau uśmiecha się do klawiatury, dodaje drugą dłoń i zaczyna grać powolną, rozedrganą melodię, od której po karku przebiega mi dreszcz. Wreszcie spuszcza ręce

na kolana i podnosi na mnie wzrok.

– To tańczysz czy nie?

Idę na środek parkietu i siadam, żeby się rozciągnąć.

– Zimno tu – mówię.

– Mam cię rozgrzać?

– Jakoś nie wydaje mi się, że skończyłoby się to tańcem.

– Chyba rzeczywiście nie.

Wstaję i napotykam jego spojrzenie w lustrze.

– Czuję się bardzo niezręcznie.

– Dlaczego?

– Bo tańczę przed jednoosobową widownią. Strasznie to dziwne.

– Striptizerki jakoś dają radę.

– Świetnie, więc będę udawać, że jestem striptizerką. Od razu mi łatwiej.

Beau kiwa głową.

– Albo możesz wyobrazić mnie sobie w bieliźnie.

Zakrywam twarz i wydaję z siebie śmiech zmieszany z jęknięciem.

– Chyba będziesz musiał zamknąć oczy.

– Jesteś najbardziej nieśmiałą striptizerką, jaką widziałem – mówi.

– A ile ich widziałeś, Beau Wilkes?

– Niezbyt wiele – przyznaje. – Kilkadziesiąt.

Znowu jęczę, podchodzę do niego od tyłu i zakrywam twarz rękami. Czuję pod skórą, jak jego usta wyginają się w uśmiech.

– Lepiej? – pyta, zaczynając grać po omacku.

– Światło też wyłączę – mówię.

– W porządku.

– W porzondku.

– W porzondku.

– Tylko nie otwieraj oczu, dobrze? – mówię błagalnie.

Beau chwyta mnie delikatnie za nadgarstki i ściąga moje ręce w dół, do swojego brzucha. Nachylam się przez jego ramię, by spojrzeć mu w twarz, i widzę, że ma zamknięte powieki.

– Dziękuję – mówię. Beau przyciska moją dłoń do ust i po moim ciele rozlewa się ciepło. Odsuwam się i podchodzę do włącznika światła. – Tylko nie otwieraj.

– Robi się, szefie.

Kiedy zaczyna grać, zamykam oczy i słucham, próbując zapomnieć o zdenerwowaniu i skrępowaniu. To łatwiejsze, niż się spodziewałam – Beau gra tak pięknie, że mam wrażenie, jakby melodia była częścią jego, która wyszła mi na spotkanie i mnie też wyciąga z ciała, aż nie dzielą nas żadne mury. Gra na pianinie tak, że chciałabym zobaczyć go też na boisku do futbolu. Założę się, że ma w sobie taką samą gracją jak Matt, tylko mniej powściągliwą. Wyobrażam sobie, że jego gra jest nieokiełznana, pozbawiona hamulców, dzika, zupełnie jak jego muzyka. Beau gra jednocześnie delikatnie i z zapamiętaniem, a kiedy zdarza mu się jakieś potknięcie, podkreśla to tylko piękno i siłę fragmentów zagranych bez błędu. Jego muzyka jest pełna życia i możliwości. Beau gra, jakby spadał i jego palce mogły w każdej chwili przegapić

klawiaturę. Widok ludzi zajętych czymś, co kochają, zawsze mnie fascynuje i inspiruje. A widok Beau grającego z taką pasją zaczyna sprawiać, że wręcz pragnę tańczyć, pragnę żyć z takim rozmachem, by moje życie połknęło cały świat.

Zaczynam się poruszać. W niczym nie przypomina to jazzu ani układów z pomponami, jakie wykonywałam w zespole tańca. Czuję się jak na mojej pierwszej lekcji baletu. Jestem rosnącym drzewem; jestem słońcem ogrzewającym ziemię. Lawiną i falą rozbijającą się o skałę, olejem przelewającym się przez starcze dłonie, a jednocześnie jestem też tylko sobą i niczym więcej. Nie jestem specyficznym chodem mojej matki ani roztrzepotanymi kolibrzymi skrzydełkami mojej siostry i nie przeszkadza mi to.

Jest dobrze. Ludzie, których kocham, tkwią we mnie jak drobinki miki na dnie potoku. Są we mnie też obce osoby o mojej twarzy, rękach i nogach; głos kobiety, która przemawiała do mnie, kiedy byłam tylko maleńką jak orzeszek zapowiedzią w jej brzuchu; dłoń, która prowadziła mnie ulicą. To boli, ale dobrze jest poruszać się i być tym wszystkim, czym jestem, nawet jeśli nie potrafię tego wyjaśnić. Dobrze jest przenieść to napięcie z umysłu na ciało. Staram się stać muzyką i wchłonąć w swoje kończyny coś z Beau. Wkrótce zatapiam się w mroku sali, w dźwięku klawiszy, pot zrasza mi włosy na karku i czole, szyję, pachy i nogi, a ja skaczę, przetaczam się, obracam i skręcam. Jestem mięśniami i ścięgnami, jestem przykucnięciem i wyskokiem, jestem ściągnięciem i wezbraniem. Jestem krągłością, pełnią. Jestem małością, znaczącą drobinką przedzierającą się przez świat.

Mój umysł wędruje. Zapadam się coraz głębiej i głębiej w melodię, w taniec, we własną pamięć. Muzyka milknie, ale ja nadal się poruszam, aż wreszcie ostatni zryw energii zużywa się i czuję, że niknę i zastygam, niczym poruszony przez kogoś piasek osadzający się na powrót na dnie oceanu. Kiedy wreszcie całkowicie nieruchomieję, z wyjątkiem ciężko pracujących płuc, patrzę w lustro i widzę za sobą Beau stojącego przy ławeczce. Opiera się o pianino i nawet w mroku dostrzegam w jego spojrzeniu miękkość.

– Czemu przestałaś tańczyć? – pyta cicho.

Przesuwam dłonią po szyi. Mam wrażenie, jakby upłynęły godziny, od kiedy ostatnio się odzywałam, i serce nadal bije mi szybko.

– Bo ty przestałeś grać.

– Nie, mam na myśli, dlaczego w ogóle z tego zrezygnowałaś?

Przechodzę na drugą stronę sali do ściany składającej się częściowo z okien wychodzących na kampus, i opieram się o drążek. Beau idzie za mną, kładzie dłonie na drewnianej barierce. Czeka i patrzy.

– Trudno to wytłumaczyć – mówię.

Beau nie naciska i może właśnie dlatego po chwili sama kontynuuję.

– Moja matka kiedyś tańczyła. Nie ta biologiczna, tylko prawdziwa – zaczynam. – I moja młodsza siostra Coco. Ma talent, chce grać w musicalach.

Beau patrzy na mnie cierpliwie i czeka na ciąg dalszy.

– Tata lubił sport, a mój brat Jack jest w drużynie futbolu. Coco i Jack nawet wyglądają jak kopie rodziców. Nasze rodzinne zdjęcie znad kominka mogłoby służyć jako reklama nuklearnej rodziny… tylko że z boku stoję ja, dziesięć razy ciemniejsza.

Mama zawsze powtarzała, że nieważne, jak to wygląda, bo jesteśmy rodziną. I to prawda. Wiem o tym. Ale kiedy Babcia odeszła, wreszcie pogodziłam się z tym, że różni nas nie tylko wygląd.

– No i? – pyta Beau.

Wzdycham i usiłuję zebrać myśli, które wypłynęły ze mnie w tańcu. Czuję się emocjonalnie rozciągnięta, luźna i zrelaksowana, nie potrafię skupić się na zwykłych problemach.

– Jako dziecko czułam się inna i starałam się, by nikt tego nie zauważył, a to oznaczało robienie wielu rzeczy, których tak naprawdę nie chciałam robić. Ale kiedy Babcia zniknęła, wszystko, co robiłam jedynie po to, żeby się nie wyróżniać, zaczęło mnie obrzydzać. Nie chciałam się zadawać z nikim poza Megan, bo wstyd mi było tego udawania i nie wiedziałam, jak z tym skończyć. Aż wreszcie któregoś wieczoru poszliśmy całą rodziną na jeden z recitali Coco. Ona i taki chłopak, nazywa się Michael Banks, wykonywali duet z *La Sylphide*. To było piękne. I Coco była piękna, taka opanowana i elegancka. Ja nigdy tak nie tańczyłam. Tata i Jack prawie przysypiali, ale w którymś momencie popatrzyłam na mamę, a ona płakała, i nagle poczułam… to głupie, ale byłam zazdrosna i urażona, i nienawidziłam się za to. Po powrocie do domu zaczęłam czytać w internecie o indiańskich rezerwatach w Alabamie. Myślałam o tym już setki razy, lecz zawsze z poczuciem winy, jakbym zdradzała rodziców. Ale tego wieczoru zwyczajnie mi nie zależało. Było takie słowo, moja biologiczna matka określiła się nim ten jeden raz, kiedy mnie odwiedziła. *Ishki*. Od tego więc zaczęłam. To słowo oznacza „matka” w języku Czikasawów i Czoktawów, więc miałam podstawy przypuszczać, że pochodziła z jednego z tych plemion.

– I znalazłaś ją? – pyta Beau.

– Nie wiem – szepczę. – Właściwie sprawdziłam porządnie tylko jeden rezerwat, a potem się przestraszyłam. Były tam zdjęcia członków plemienia, chyba się tego nie spodziewałam.

– Bo wśród nich mogła być twoja biologiczna matka?

Kiwam głową.

– Ale na głównej stronie był też wywiad z dziewczyną, która dostała właśnie pracę jako wykładowca na Brownie, skończyła tam studia magisterskie. Kliknęłam w niego głównie po to, żeby uciec przed zdjęciami, ale ona mówiła, że Brown to takie świetne miejsce, można się tyle nauczyć i poznać tylu ludzi, i że przed studiami nie doceniała swojego domu i dziedzictwa, ale na uniwersytecie nabrała dystansu, ujrzała wszystko w innym świetle i teraz już wie, że kiedyś wróci do domu, tylko najpierw chce zainspirować młodych ludzi, by uczyli się swojej historii i swoich tradycji. I to jest dokładnie to, czego i ja chcę: chcę studiować coś, co kocham, i poznawać ludzi, którzy są tacy jak ja i nie tacy jak ja, i chcę po skończeniu studiów robić coś, co uczyni świat lepszym miejscem. I chcę przestać współzawodniczyć ze swoim rodzeństwem i robić różne rzeczy tylko po to, żeby ludzie postrzegali mnie w pewien sposób. I może któregoś dnia polubię gry planszowe i oglądanie sklepowych wystaw, i filmy o sporcie i zespołowe układy taneczne, ale w tej chwili chcę tylko zacząć od nowa, gdzieś daleko, gdzie nikt niczego ode mnie nie oczekuje i mogę być zwyczajnie sobą. Rozumiesz coś z tego wszystkiego?

– Rozumiem – mówi Beau – ale myślę, że się mylisz. Może nie we wszystkim, ale przynajmniej w kwestii tańca. Może nie tańczysz tak jak twoja siostra albo mama, ale każdy, kto ma oczy, musi widzieć, że masz to w sobie, Natalie. Nigdy nie wyglądałaś bardziej jak ty.

– Bardziej jak ja, tak?

Beau uśmiecha się lekko.

– Nie przedrzeźniaj. Próbuję powiedzieć coś na serio. – Jego usta znowu prostują się w poważną linię. – Nie powinnaś rezygnować z tańca tylko dlatego, że twoim zdaniem ktoś ma do niego większe prawo.

Wzdycham.

– A ty i futbol?

Beau odchyla głowę w bezgłośnym śmiechu.

– To co innego.

– Niby jak?

– To nie był mój wybór.

– Beau, powiedz szczerze. Chcieli cię zwerbować, prawda?

Beau przesuwa sobie ręką po karku.

– To nie ma znaczenia.

– Czemu nie?

– Natalie, przebrnąłem przez liceum tylko dlatego, że nauczyciele zawyżali mi oceny, żebym mógł zostać w drużynie. Naprawdę sądzisz, że udałoby mi się skończyć studia?

– Myślę, że tak. I myślę, że uniwersyteckie wydziały sportowe są dokładnie tak samo skorumpowane jak licea, więc pewnie też przepychaliby cię na zawyżonych stopniach.

– Może – mówi Beau. – W międzyczasie Mason straciłby dom, a ja siedziałbym na uczelni, myśląc, że zaraz oszaleję.

– A czy Mason nie mógłby więcej pracować, znaleźć współlokatora albo coś podobnego? To tylko cztery lata, Beau, ale to mogłoby zmienić twoje życie.

– Może ja nie chcę zmieniać swojego życia – rzuca ostro Beau, a kiedy się od niego odsuwam, znowu opiera się o drążek i przesuwa ręką po ustach, po czym wbija we mnie wzrok. – Ja tego wszystkiego nie chcę. Nie to się dla mnie liczy.

– W porządku – ustępuję. – Więc czego właściwie chcesz, Beau? – Patrzy na mnie przez parę chwil, aż zaczynam drżeć z napięcia. – Beau, czego pragniesz?

– Ganku – mówi cicho. Wypowiada to słowo jak moje imię i myślę, że w tym momencie oboje najbardziej na świecie pragniemy czegoś, czego nigdy nie będziemy mogli mieć. – Wszystko, czego naprawdę chcę, to zbudować dom z ładnym, dużym gankiem, na którym codziennie będzie ktoś siedział.

24

W czwartek rano po wyjątkowo nieudanej sesji z Alice jadę do szkoły po Jacka. Dojeżdżam pod koniec treningu, parkuję przy szatniach, otwieram okna i czekam, przymykając oczy. Teraz, kiedy dżip znowu jest na chodzie, wróciłam do szoferowania, a ponieważ pół nocy spędzam z Beau w studiu tańca, rano ledwo żyję.

Życie wydaje mi się w tej chwili za szybkie i za jasne, ale mój umysł jest zamglony i ociężały. Za dnia wszystko zdaje się mniej dotkliwe – nie mam sił martwić się o Babcię czy nawet o Matta, którego mama śle mi strumienie cytatów z Biblii i zdjęcia balonów z napisami: „Szybkiego powrotu do zdrowia!", lecz nie przekazuje właściwie żadnych konkretnych informacji. Ale kiedy nocą przebywam z Beau, świat znowu staje się wyraźny i ogarnia mnie przerażenie. Czuję się pełna strachu, w pełni przytomna i trochę jakbym stała w ogniu. Przez cały czas, kiedy jesteśmy razem, boję się, że Beau znowu mnie pocałuje, a kiedy jednak tego nie robi, czuję miażdżące rozczarowanie.

Krzyki na boisku wytrącają mnie z zamyślenia. Otwieram oczy i rozglądam się. Mój wzrok pada na dwóch chłopców – Jacka i jeszcze kogoś – lejących się na ziemi, podczas gdy reszta drużyny próbuje ich rozdzielić. Wyskakuję z auta i pędzę do bramy, ale zanim do niej dobiegam, Stephen Lehman ściąga Jacka z tego drugiego, a trener wydziera się na nich obu i wyrzuca z boiska.

– Co się stało? – pytam roztrzęsiona, kiedy Jack mija mnie z wściekłością i wsiada do dżipa, trzaskając drzwiami. Otwieram je na powrót. – Jack, co to, do cholery, miało znaczyć?

Brodę ma usmarowaną błotem i trawą, ale nie widzę żadnych obrażeń. Mimo to jego twarz jest wykrzywiona w grymas wściekłości i Jack w ogóle nie przypomina teraz mojego młodszego brata.

– Nic – rzuca gniewnie i znowu zatrzaskuje drzwi.

Obchodzę samochód i sama wsiadam.

– Co się stało? – pytam łagodniej.

Wyciągam do niego rękę, ale odtrąca ją i odwraca się do okna.

– Nie mów rodzicom.

– W porządku, więc powiedz mi, o co poszło.

– Jak wygadasz, to powiem im o tym chłopaku, który przyjeżdża po ciebie w środku nocy.

– Jack, to nie… – Kręcę głową, ale nie kończę zdania.

Telefon dzwoni mi w kieszeni, a kiedy go wyjmuję, widzę na ekranie słowo MAMA. Jack przeklina i opiera czoło o szybę.

– Pewnie trener do niej zadzwonił. – Jack nie odpowiada, a ja odbieram połączenie.

– Nic mu nie jest? – pyta mama.

Patrzę z ukosa na Jacka, który spogląda gdzieś przed siebie beznamiętnym wzrokiem.

– Pod względem fizycznym nie. Nic mu nie jest.

Mama wzdycha z ulgą.

– No dobrze – mówi z rosnącą troską. – Dobrze. Nie mogę w tej chwili wyrwać się z pracy, ale tata wyjdzie wcześniej i od razu pojedzie do domu.

Jack słyszy to i rzuca mi spojrzenie, po czym znowu odwraca się z żałosną miną.

Po zakończeniu rozmowy nie bardzo wiem, jak go przeprosić.

– Na pewno wszystko zrozumieją, jeśli powiesz im, co się stało.

Jack nie odpowiada, nie patrzy na mnie. Gdy docieramy do domu, wchodzi gniewnym krokiem do środka. Idę za nim do jego pokoju, ale drzwi są już zamknięte i słyszę tylko dobiegające ze środka szepty Jacka i Coco. Przyciskam ucho, ale nagle słyszę cichy jęk, taki, który wyrywa się z piersi, kiedy człowiek powstrzymuje łzy. To zdecydowanie Jack. Nie ma nic bardziej przerażającego niż płacz ukochanej osoby, a im cichszy, tym bardziej wbija się w serce.

– …czasem po prostu mam tego dosyć – mówi Jack.

– Czego masz dosyć? – pyta łagodnie Coco.

– Dosyć bycia.

Odsuwam się od drzwi i opieram o ścianę. W głowie mi się kręci, przed oczami wirują mi czarne plamki.

Trzy miesiące, żeby go ocalić.

Nie ma nic bardziej przerażającego niż płacz ukochanej osoby, z wyjątkiem myśli o świecie, w którym ten płacz ucichnie na zawsze. Nagle nie mogę złapać oddechu. Nie mogę tu być. Nie ma nic bardziej przerażającego niż miłość.

Aż do czasu kolejnej sesji z Alice co noc wymykam się z Beau do studia i co noc wszystko odbywa się tak samo. W drodze na uczelnię siedzimy w niespokojnym napięciu, powietrze pulsuje biciem naszych serc. Kiedy rozciągam się na środku parkietu, rozmawiamy i flirtujemy. Potem gasimy światło, Beau zamyka oczy, a ja zaczynam tańczyć. Każda melodia jest piękna, ale żadna nie jest tą moją. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek ją jeszcze usłyszę, a może to, że kazałam Beau nie czekać na mnie, oznacza, że nigdy jej nie dokończy. Pod koniec Beau zawsze zaczyna na mnie patrzeć, ale wtedy jestem już rozluźniona i jego wzrok mnie nie krępuje. A potem, kiedy wsiadamy do furgonetki, napięcie znowu opada na nas ze zdwojoną siłą.

Każde spojrzenie rzucane w ciemnej kabinie, każda chwila kontaktu wzrokowego, każda zapowiedź dotknięcia wydaje się przytłaczająca. Co rano, kiedy Beau odwozi mnie do domu i żegnamy się szeptem, wbiegam do sypialni, spycham Gusa z poduszki i rzucam się rozemocjonowana na łóżko.

Ale kiedy zasypiam, mój sen jest głęboki, ciemny, ciepły i pozbawiony snów. Pozostało mi tylko półtora tygodnia do wyjazdu na wakacje i choć te noce w studiu najwyraźniej nie zbliżają mnie do Babci, i tak niecierpliwie ich wyglądam. Każda spędzana z Beau chwila wytłumia moje lęki, ale kiedy budzę się po południu i emocje związane z poprzednią nocą opadają, obawa znowu wypełnia mnie aż po czubek głowy.

Ktoś umrze.

Ktoś umrze, a ja tu się przejmuję, czy Beau i Rachel nie zeszli się może, skoro kazałam mu na siebie nie czekać i nie widujemy się nigdzie poza studiem.

Wtorkowa sesja z Alice zupełnie się nie udaje. Wszystko mi się plącze i Alice

denerwuje się moimi długimi pauzami i krótkimi odpowiedziami. Kiedy prosi, bym opowiedziała o swojej relacji z mamą, a ja po trzydziestu sekundach mówię, że „Mama jest miła", Alice zatrzaskuje notes, choć zostało nam jeszcze pół godziny.

– Natalie, nie mogę tak pracować.

– Jak? – pytam, co najmniej tak samo rozdrażniona jak ona.

– Na każdej sesji aż buzujesz od emocji, a teraz mówisz tylko „Ona jest miła". Jeśli terapia ma podziałać, musisz naprawdę całkowicie się otworzyć, a ty nie chcesz tego zrobić. Próbujesz zabić w sobie uczucia, żeby uprościć sobie życie. Zupełnie się poddałaś. I nie zrozum mnie źle; naprawdę doceniam twój wkład w tę sprawę. Ale jeśli jesteś taka pewna, że Babcia to jakaś prorokini albo bóstwo, to wiesz też, że jeśli tego nie rozgryziemy, ktoś wkrótce zginie. Ja weszłam w to dla dobra nauki, ale taka dziewczyna jak ty, która i tak już boryka się z nadwrażliwością, zupełnie się załamie, jeśli pozwoli umrzeć komuś, kogo kocha.

– Wcale nie jestem nadwrażliwa!

Alice wstaje i otwiera przede mną drzwi gabinetu.

– Nie dopuszczasz mnie do siebie. Za bardzo się boisz.

– Czego niby się boję? – pytam, nie ruszając się z miejsca.

– Chcesz terapii, Natalie? O to ci chodzi? W porządku. Gdybym wiedziała, że skończę na psychoanalizowaniu nastolatek, mogłabym sobie oszczędzić połowy studiów, ale jeśli tego właśnie potrzebujesz, niech będzie, pobawmy się przez chwilę w dziecięcego psychologa. Oto moja diagnoza: cierpisz na jak najbardziej typowy, banalny, egocentryczny kryzys egzystencjalny z gatunku: „kim ja właściwie jestem?". Po urodzeniu rozdzielono cię z biologiczną matką, więc cierpisz na strach przed odrzuceniem. Choć twoi adopcyjni rodzice wspierają cię i kochają, jak tylko mogą, i owszem, zgodnie z twoimi własnymi słowami są „mili", w dzieciństwie nie potrafiłaś odnaleźć się w żadnym z nich. Dlatego nauczyłaś się koncentrować na sobie samej, komplikować wszystko nadmiarem przemyśleń na temat swojej tożsamości, wyobrażać sobie różne rzeczy i fantazjować. Najprawdopodobniej taki po prostu masz charakter i nawet gdyby wychowali cię twoi prawdziwi rodzice, i tak czułabyś się wyizolowana, ale twoją obsesję na punkcie zrozumienia samej siebie wzmaga przekonanie, że biologiczni rodzice oddali cię z tego samego powodu, dla którego nie widzisz się w swoich rodzicach adopcyjnych: bo czegoś ci brakuje. Więc podczas gdy większość dzieci buduje swoją tożsamość na podstawie tego, co lubią albo czego nie lubią, swoich zainteresowań i relacji z innymi, ty poświęcasz cały czas na próby stworzenia sobie zupełnie nowej tożsamości od zera. A na jakim fundamencie ją budujesz? Na emocjach. Tylko że problem z nadmiernie emocjonalnymi ludźmi polega na tym, że emocje są zmienne i nie można na nich polegać. Przychodzą i odchodzą. Szybko się zmieniają. Czasami, w niektórych okresach życia, wydaje się, że w ogóle znikają. To chyba nie najlepsze podstawy, prawda? Mam mówić dalej?

– Alice, ja…

– Im więcej negatywnych interakcji miałaś jako dziecko, tym bardziej wzmagało się twoje przekonanie, że czegoś ci brakuje, i tym bardziej wyizolowana i osamotniona się czułaś. Tym łatwiej było ci przekonać samą siebie, że nie jesteś taka jak twoi rówieśnicy. I w pewnym kluczowym aspekcie jest to prawda. Większość twoich

kolegów w wieku dziesięciu lat w ogóle nie zastanawiała się nad tym, kim właściwie są. Nie zrozum mnie źle: w końcu do tego dojrzeją. Pewnie za jakieś pół roku, kiedy po raz pierwszy będą zdani sami na siebie. Ale w tej chwili większość z nich skupia się zwyczajnie na przeżywaniu własnego życia. Więc czemu ty nie robisz tego samego? Bo zaprogramowałaś się tak, że większość czasu zajmują ci próby zrozumienia samej siebie. Nie potrafisz zostawić w spokoju żadnego uczucia, wszystkie je musisz nazwać. Twoje pragnienie samoświadomości doprowadziło cię do chorobliwego egocentryzmu. Nie potrafisz opisać mi swojej matki innym słowem niż „miła", bo rozpaczliwie pragniesz, by cię zrozumiano, i jednocześnie z całego serca się tego boisz. Boisz się ujawnić o sobie cokolwiek, co ci się nie podoba albo czego się wstydzisz. I mogę ci jeszcze powiedzieć, że gdybym nawet naprawdę spędziła na studiach o połowę mniej czasu, i tak poszłabym w zakład, że w tym przypadku chodzi o urazę i zazdrość. Gardzisz sobą za te uczucia i wydaje ci się, że ty jedna myślisz o swojej matce w ten sposób, co tylko utwierdza w tobie ten wzorzec myśli, które co noc sobie powtarzasz: Nie jestem wystarczająco dobra. Nie jestem dobra, koniec i kropka. A może nawet: Jestem zła. Jest we mnie coś, czego nie da się naprawić.

Czuję się, jakby jej słowa przebijały mnie na wskroś. Z trudem oddycham i nie widzę wyraźnie. Chcę powiedzieć Alice, żeby przestała, ale gardło mam ściśnięte, a na piersiach czuję ciężar, który uniemożliwia mi nabranie oddechu, by coś powiedzieć. Alice mówi dalej:

– Nieważne, ile razy rodzice zachęcali cię do swobodnego wypytywania o swoje pochodzenie, nadal czujesz się winna, że jesteś tego ciekawa, więc nie chcesz szukać odpowiedzi nigdzie poza sobą. Nawiązujesz relacje z ludźmi w nadziei, że ukażą ci twoje odbicie i potwierdzą istnienie osoby, za którą się uważasz, osoby, której twoim zdaniem rodzice nie widzą. A kiedy odkrywasz, że nikt nie jest w stanie w pełni cię zrozumieć, czujesz się rozczarowana. Tracisz nadzieję, popadasz w desperację i chowasz się jeszcze głębiej w przekonaniu, że nie możesz zacząć normalnie żyć, póki nie zbudujesz sobie jasnego wizerunku tego, kim jesteś. A fakt, że przez lata miałaś przy sobie Babcię, istotę, która zdawała się wiedzieć o tobie wszystko i która nagle porzuciła cię, kiedy najbardziej potrzebujesz potwierdzenia swojej tożsamości, jeszcze bardziej komplikuje sytuację. Ale dla mnie osobiście najgorsze w tym wszystkim jest to, że jako naukowiec lepiej niż ty rozumiem tę nienazwaną kwintesencję, która czyni z ciebie Natalie Cleary, i muszę patrzeć na tę gigantyczną kraksę, którą sama prowokujesz. To prawdziwa tragedia, że przez tę swoją bierność prowadzisz do autodestrukcji, choć jesteś inteligentną, silną, wytrzymałą, kompetentną i zdolną młodą kobietą, która powinna podbijać świat, zakochiwać się do szaleństwa i mówić „tak" wszystkim napotkanym możliwościom, a przy okazji, jeśli wolno mi dodać, powinna pomagać mi w odkryciu prawdy o Babci, tym samym przyczyniając się do rozmontowania patriarchalnej struktury rządzącej światem naukowych publikacji.

W głowie mi się kręci i cała się trzęsę, oczy mam wilgotne, ale ciężar w piersiach zelżał. Czuję się pusta, jakbym była tylko konturem.

– Staram się.

– Posłuchaj mnie. – Alice przechodzi przez pokój i szorstko chwyta moją dłoń. – Jestem starsza od ciebie i, bez urazy, ale o wiele mądrzejsza. Niczego ci nie brakuje.

Nie jesteś popsuta. Twoja wspaniała tożsamość nie objawi się przed tobą jak grom z jasnego nieba. Nie ma nic złego w tym, że się boisz. Twoje wielkie uczucia są potężne. Złe natomiast jest to, że się ukrywasz, zwłaszcza kiedy najbardziej na świecie pragniesz, by ktoś cię naprawdę zrozumiał. Nie zamykaj się. Wytrzymaj. Weź się w garść, powiedz rodzicom, co robisz, i zostań tu, póki nie doprowadzimy tej sprawy do końca.

Ukrywam twarz w dłoniach. W tej chwili trudno mi choćby spojrzeć na Alice. Czuję się przezroczysta, straszliwie odsłonięta i to nie tak, jak przy Beau, bo z nim mam poczucie swobody. A teraz odnoszę raczej wrażenie, jakbym znalazła się w jasno oświetlonym pokoju pełnym luster.

– Alice, a co, jeśli nie dam rady? Głos mi drży i dopiero teraz dochodzi do mnie ogrom mojego strachu. – Co, jeśli zrobię wszystko, co w mojej mocy, a to i tak nie wystarczy i stracę Matta albo Beau, albo tatę, albo Jacka? Co wtedy?

Podnoszę na nią wzrok. Jej twarz złagodniała; Alice wygląda niemal jak inna osoba.

– Nie wiem, dziecko – mówi. – W tej chwili mogę ci zagwarantować tylko jedno: jeśli wyjedziesz teraz z Union, możesz już nigdy nie zobaczyć Babci. Możesz już nigdy nie zobaczyć tego chłopca z równoległej rzeczywistości, który się w tobie kocha, i możesz się nie dowiedzieć, kto ma umrzeć. I nawet jeśli to będzie twoja decyzja, i tak będzie boleć jak cholera.

– Mama się na to nie zgodzi – mówię do Megan, kiedy dzwoni do mnie następnego popołudnia. Właśnie się obudziłam po kolejnej długiej nocy w studiu. Wstałam rano tylko po to, żeby odwieźć Jacka na trening. Nawet nie przebrałam się z piżamy, a po powrocie padłam ponownie na łóżko. Rozpaczliwie potrzebuję wziąć prysznic i zmienić pościel, ale nie mam energii ani na jedno, ani na drugie. – Ona żyje dla tych wyjazdów. Dla niej to jak uświęcona rodzinna pielgrzymka. A reszta roku to tylko wypełniacz.

– W końcu przecież będzie musiała pogodzić się z tym, że sama o sobie decydujesz – mówi Megan. – Klan Clearych nie może po wiek wieków pozostać jedną wielką, szczęśliwą, pięcioramienną rozgwiazdą i zawsze wszędzie razem jeździć, i wszystko razem robić. Będą przecież studia, małżeństwa, praca.

– Studia, małżeństwa i praca będą przychodzić i odchodzić. Ostatecznie przetrwają tylko te wyjazdy.

– Zaufaj mi. Twoja matka zaleje się łzami radości na wieść, że dobrowolnie poszłaś do psychologa – upiera się Megan. – A poza tym wracam do domu na weekend przed rozpoczęciem zajęć, więc jak zostaniesz, będziemy mogły spędzić razem trochę czasu. Proszę, zostań! Po prostu zapytaj mamę, jak wróci z pracy. Choćby ze względu na to, że mogłybyśmy spędzić razem jeden ostatni weekend. No i może ocalisz komuś życie. No i jest jeszcze Beau Wilkes.

– Nie potrafisz wymyślić żadnego lepszego powodu?

– Staram się, ale w tej chwili nic mi nie przychodzi do głowy. Przy okazji, są jakieś wieści o Matcie?

– Nie – mówię, czując ścisk w dołku. – Joyce mówiła, że zadzwoni, kiedy lekarze zdecydują się wybudzić go ze śpiączki. Za każdym razem, kiedy o niego pytam, odpowiada powiedzeniem, o którym nie słyszał nawet wujek Google: „Kiedy chmury

się rozstępują, cierpliwa krowa daje najlepsze mleko, módlmy się dalej". – Obie milczymy i jak zwykle zaczynam szarpać luźne nitki w kapie. – Czy Alice ma rację? Czy naprawdę chowam głowę w skorupę, zamiast zwyczajnie żyć?

Megan wzdycha cicho.

– Nie wiem, Nat. Ale jeśli tak, to czy można mieć o to pretensje?

Czuję, że coś dławi mi gardło, i kiwam głową, jakby Megan mogła to zobaczyć.

– Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym – proponuje Megan. – Opowiadaj o Beau. Jak rozwija się sytuacja; uczucie kwitnie?

– Nie potrafię opowiadać o swoich uczuciach. To chyba jasne. Nawet terapeutka wyrzuciła mnie za drzwi.

– Ale ja cię nie pytam jako terapeuta – odpowiada Megan. – Tylko jako twoja najlepsza kumpela. To prawie tak, jakbyś rozmawiała sama ze sobą. Gdybym tam była, wystarczyłoby, żebym na ciebie spojrzała i od razu wszystko bym wiedziała. Ale mnie nie ma i jestem skazana na takie same metody komunikacji jak reszta świata, więc musisz mi powiedzieć. No więc uczucia et cetera. Tylko krótko. Gotowa, start.

– Hm, moje uczucia są… ciepłe?

Megan wybucha śmiechem.

– Przepraszam – mówi natychmiast. – To dobra odpowiedź.

– Jasne, bo nic nie śmieszy tak jak dobra odpowiedź na temat czyichś uczuć!

– Nie, naprawdę. Nie chciałam wprawiać cię w skrępowanie. Po prostu… po prostu wzięłaś mnie z zaskoczenia tą temperaturą.

– To wcale nie takie proste – wzdycham.

Wiem, co czuję, ale mam wrażenie, że ujęcie tego w słowa byłoby ryzykowne, jakbym prowokowała świat, żeby zrobił mi na złość. Jakbym opowiadała o koszmarze albo wystroiła się w białe ciuchy na ogródkową imprezę z grillem. Kiedy się coś powie, słowa zaczynają żyć własnym życiem i wszechświat może wykorzystać je przeciwko tobie.

– Boże, ja naprawdę jestem jedną gigantyczną kraksą bierności czy jak to ona powiedziała. Alice ma rację.

– Przecież chodzisz na terapię, prawda? – mówi Megan. – Dajesz się hipnotyzować i nie śpisz nocami, bo tańczysz, odbierasz wiadomości od rodziców Matta i starasz się pomóc Jackowi, i nie zdziwiłabym się nawet, gdybyś wysłała na ten rodzinny wyjazd jakiegoś sobowtóra, żeby twoja mama dostała swoje idealne wakacje, podczas gdy ty zostaniesz w domu i będziesz wypruwać sobie żyły, by ocalić komuś życie. To jasne, że się boisz i że masz problemy z wywnętrzaniem się, Natalie, ale nie jesteś bierna. I przecież dajesz sobie szansę z Beau. To na pewno się liczy.

– Beau i ja pochodzimy dosłownie z różnych światów – mówię sfrustrowana. – Więc czemu w ogóle robię sobie coś takiego? Z jednej strony nie potrafię nawet powiedzieć najlepszej przyjaciółce, co do niego czuję, a z drugiej nie mogę się powstrzymać przed tymi conocnymi wyprawami.

– Nat – mówi Megan i słyszę, że uderzenia jej stóp o bieżnię zwalniają. – Nie musimy o tym rozmawiać.

– On naprawdę sprawia, że czuję ciepło – mówię. – Czuję się bezpieczna. On jest… taki zrównoważony. Wątpię, czy w ogóle potrafiłabym nim wstrząsnąć. No i wie

o Babci i dwóch rzeczywistościach, a dzięki temu czuję się rozumiana. Po raz pierwszy w życiu czuję się mniej samotna. Tak jakbyśmy byli dwiema częściami tej samej rzeczy. – Właśnie do tego bałam się przyznać. Dlatego boję się go pragnąć i dlatego nie potrafię się powstrzymać. – Sama nie wiem. On jest taki łagodny. Do tego stopnia, że jak o tym myślę, mam ochotę płakać. Sama tego nie rozumiem, ale taka jest prawda, i nie chcę go stracić, ale to się przecież stanie, a mimo to i mimo tego poczucia winy w związku z Mattem nadal sądzę, że każda spędzona z nim chwila jest tego warta.

Megan milknie na parę chwil, aż w końcu mówi cicho:

– Zmieniłam zdanie.

– Na temat czego?

– Pamiętasz, jak rozmawiałyśmy o tym, żeby zapomnieć o studiach i zamieszkać gdzieś razem? Już nie chcę o niczym zapominać – mówi Megan. – Nie chcę z niczego rezygnować. Chcę przeżywać wszystko aż do bólu.

Biorę głęboki wdech i szukam odpowiednich słów.

– Czy nie myślałaś kiedyś, że ty i Matt moglibyście… no wiesz… – zaczynam.

– Moglibyśmy co?

– Być parą.

Megan prycha śmiechem.

– Masz na myśli, czy myślałam o tym przez te wszystkie lata, kiedy on gapił się na ciebie jak cielę na malowane wrota, rozpaczliwie pragnąc cię zadowolić? Jasne, oczywiście. Nic na świecie nie kręci tak jak facet z obsesją na punkcie mojej najlepszej przyjaciółki.

– Meg, mówię poważnie. Naprawdę nigdy nie myślałaś, że byłby z was dobry zespół?

– W szkolnym projekcie albo w piłce nożnej, owszem. Ale jeśli chodzi o romantyczny związek, musiałabyś najpierw urodzić mu dziecko i umrzeć, a ja musiałabym przeżyć z tego powodu załamanie nerwowe i zacząć nosić twoje ubrania i jeść tylko twoje ulubione potrawy i w ogóle udawać, że przejęłam twoją osobowość. A skoro już mowa o załamaniach nerwowych: istnieje jakiś powód, dla którego próbujesz mnie swatać ze swoim eksem w śpiączce?

Słowo „śpiączka” przecina mnie jak nóż, ale mimo to śmieję się z ulgą.

– Przepraszam – mówię. – Ja też nie chcę z niczego rezygnować. Chcę żyć w świecie, gdzie ludzie dostają wszystko to, o czym zawsze marzyli. I chcę jeszcze frytki z serem.

– Ma się rozumieć.

Czwartkowa hipnoterapia kończy się porażką i Alice w ogóle nie chce ze mną rozmawiać.

– Dzisiaj zapytam rodziców – mówię do niej, wychodząc – czy mogę nie jechać na wakacje.

– Pożyjemy, zobaczymy – mówi ostro Alice.

– Po prostu potrzebuję jeszcze trochę czasu. To bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje, ale naprawdę zamierzam ich o to zapytać.

– Wszystko na tym świecie jest skomplikowane – mówi chłodno Alice.

Kiwam głową i odchodzę.

Wolałabym, żeby się myliła, ale kiedy nadchodzi pora kolacji i siedzimy spokojnie

przy stole, zaczynam czuć, jakby na moim przełyku zaciskały się jakieś dłonie. Fakt, że rozmowa naturalnie schodzi na temat wyjazdu, wcale nie poprawia sytuacji. Mama zaczyna wymieniać wszystkie przygotowania, jakie zdążyła poczynić, jest wyraźnie podekscytowana. Obiecałam sobie, że zaraz po kolacji zapytam, czy mogę nie jechać, ale teraz na samą myśl o tym cała się trzęsę.

I nagle w połowie posiłku Coco odkłada widelec i odchrząkuje, natychmiast ściągając na siebie naszą uwagę.

– Nie chcę zmieniać szkoły – oświadcza. – Chcę zostać w Ryle'u.

Mama również odkłada widelec, otwiera usta i wbija w nią zdumione spojrzenie, ale tata tylko wzrusza ramionami i je dalej.

– Skoro tak wolisz, maleńka. – Od zawsze ją tak nazywa, ale teraz to słowo powoduje przewracanie oczami.

Mama posyła mu spojrzenie pod tytułem: „O takich rzeczach trzeba porozmawiać, zanim się coś powie!" i tata odchrząkuje dokładnie tak samo jak przed chwilą Coco.

– A chodzi o jakiś konkretny powód? – pyta.

Coco wzrusza ramionami i bawi się włosami. Mam wrażenie, jakbym oglądała jakąś nieziemską wersję tenisa, w której gracze odbijają do siebie nie piłeczkę, ale dziedziczne manieryzmy.

– Po prostu nie chcę i już – mówi.

– Coco, tak ciężko na to pracowałaś – wtrąca mama. – Szkoła sztuk performatywnych…

– Jak Natalie chciała rzucić taniec, to jej pozwoliłaś – mówi Coco i teraz nawet tata podnosi wzrok.

– Chcesz zupełnie zrezygnować? – pyta ją.

– Nie… ale nie chcę, żeby to było całe moje życie.

Jack oficjalnie wypisuje się z rozmowy i zaczyna karmić makaronem Gusa, który zawsze przy posiłkach żebrze pod stołem. Mama wzdycha i przeczesuje rękami włosy, po czym znowu zwraca się do Coco:

– No cóż, tata i ja będziemy musieli to omówić.

Jak zwykle usiłuje zachować spokój, choć wyraźnie widać, że wewnętrznie zalewa się łzami i zastanawia się, jakież to przeciwne tańcowi bóstwo rzuciło klątwę na jej rodzinę.

Po kolacji Jack idzie grać na komputerze, a Coco zaczyna pakować się na nocleg u Abby. Ja zostaję w kuchni i pomagam rodzicom sprzątnąć ze stołu. Kiedy wreszcie uruchamiamy zmywarkę, opieram się o kuchenną wyspę, modlę się w myślach do Babci i wreszcie zmuszam się, żeby powiedzieć:

– Chciałabym z wami o czymś porozmawiać.

– Jasne, kochanie – mówi mama.

Rusza przodem do sypialni, więc chyba myślą, że sprawa jest naprawdę poważna. Pozostała część domu jest elegancka i oryginalna, starannie urządzona tak, by sprawiać wrażenie rodzinnego ciepła bez zagracenia, przytulności bez przytłoczenia i wiejskiego uroku bez kiczu, lecz własnej sypialni rodzice nie poświęcili aż takiej uwagi. Jest czysta, ale nie schludna, toaletkę zawala korespondencja, a na plecionych krzesłach za łóżkiem piętrzą się stosy czystego prania. Ściany są w tym samym kremowobiałym

kolorze, na który pomalowali je poprzedni właściciele, a pościel, zasłony, nocne szafki i lampy tak się gryzą, że efektu nie można nawet nazwać „eklektycznym". Kiedy mama zastępuje jakiś przedmiot czymś przyniesionym z wyprzedaży albo sklepu z antykami, zazwyczaj trafia on tutaj, by dożyć swoich dni. Gdyby jakiś importer zagranicznych mebli zrealizował tu własną produkcję *Króla lwa*, w tym pokoju mieściłaby się kryjówka hien.

Obchodząc za rodzicami łóżko, myślę o komodzie Beau – jedynym jasnym punkcie w pokoju, który byłby straszliwie przygnębiający, gdyby nie mieszkający w nim człowiek. W przeciwieństwie do mamy nigdy nie rozczulałam się nad ładnymi meblami, ale widok czegoś, co Beau wykonał własnymi rękami – co bez niego by nie istniało – zupełnie mnie rozłożył. W tamtej chwili Beau mógłby nawet powiedzieć, że to on zawiesił gwiazdy na niebie, a i tak nie zaskoczyłoby mnie to i nie zrobiło większego wrażenia niż ta komoda. Kiedy o tym myślę, znowu czuję w sobie ciepło, wzruszenie i jakby ból. To nie Beau jest powodem, dla którego ta rozmowa ma takie znaczenie, ale myśl o nim pomaga mi zebrać się na odwagę. Chcę dostać te dodatkowe trzy tygodnie. Bardzo tego chcę.

Mama przysiada na skraju łóżka i poklepuje pościel. Siadam obok niej, a tata zajmuje jedno z krzeseł.

– Chodzę do psychologa – mówię.

– Naprawdę? – pyta mama. – Do doktor Langdon?

– Nie, nie do niej. Ta terapeutka pracuje na Uniwersytecie Kentucky. Znalazłam ją w internecie. Specjalizuje się w… no, w problemach takich jak moje.

– Jak za to płacisz? – pyta tata.

– Al… doktor Chan robi to za darmo. To znaczy te sesje pomagają jej w badaniach, więc to tak jakby wymiana.

– Aha. – Mama kiwa głową zachęcająco. – Kochanie, to wspaniale. Prawda, że to wspaniale, Patrick?

– Rzeczywiście – przytakuje tata, ale patrzy na mnie bystro i wiem, że czuje, że coś jeszcze ukrywam.

– Robimy duże postępy – mówię – ale jeszcze nie skończyłyśmy i… – zbieram się na odwagę i brnę dalej: – …i chciałabym chodzić do niej jak najdłużej.

– A ona by się na to zgodziła? – pyta mama. – Na sesje na odległość? Może przez wideoczat albo coś takiego?

– Nie – mówię.

– Więc może poleciłaby kogoś w okolicach Providence.

Wzdycham i strzelam knykciami.

– Właściwie myślałam o czymś innym.

Kiedy już wyrzucam z siebie całą prawdę, a przynajmniej tę jej część, która nie obejmuje nieziemskich ostrzeżeń i alternatywnych rzeczywistości, mama i tata patrzą na mnie w milczeniu. Ku memu zdziwieniu jako pierwszy odzywa się tata:

– No cóż, cukiereczku… wygląda na to, że już się zdecydowałaś.

Mama podnosi na niego wzrok z twarzą zastygłą w wyrazie przypominającym przerażenie. Przełyka głośno ślinę i usiłuje nad sobą zapanować.

– Kochanie, myślałam, że cieszyłaś się na ten wyjazd.

– Bo to prawda – mówię pospiesznie, zanim mama zupełnie się rozklei. – I będzie mi bardzo, bardzo przykro, że nie jadę. Ale to dla mnie też bardzo, bardzo ważne. Czuję, że to mi potrzebne, jeśli mam iść na Browna.

– Jeśli? – Głos mamy załamuje się lekko. – Co to znaczy „jeśli”?

Tata znowu odchrząkuje.

– Natalie, pójdziesz na Browna – mówi. – To już postanowione. Zaciągnęliśmy na to ogromną pożyczkę i te pieniądze nie mogą się zmarnować.

– Nie to miałam na myśli. Po prostu… Muszę rozwiązać przed wyjazdem pewne sprawy. Proszę, zaufajcie mi.

– Ufamy ci, kochanie – mówi mama, nerwowo przeczesując włosy. – Puszczamy cię na prywatki, nie mówimy ci, kiedy masz wracać do domu, staramy się nie wtrącać, chociaż zawsze wolelibyśmy wiedzieć, gdzie w danej chwili jesteś. Wiemy, że jesteś dobrą, bystrą dziewczyną i jeśli zdarzy ci się jakiś błąd, przyjdziesz do nas po pomoc. Tu nie chodzi o zaufanie. Chodzi o naszą rodzinę, a ten wyjazd jest dla nas bardzo ważny.

– Wiem o tym – mówię. – Dla mnie też i mam nadzieję, że nigdy już nie będę musiała z niego rezygnować. Ale mam w tej chwili pewne problemy…

– Przecież możesz nam o nich powiedzieć – mówi mama, kręcąc głową.

– Nie mogę – odpowiadam wprost. Mama wygląda na kompletnie załamaną. Jej oczy robią się wilgotne i mkną ku tacie, który tylko patrzy na mnie i czyta mi w myślach, jak to robi z końmi. Pewnie przez całe lato wiedział, że coś nie gra. – Nie chodzi o was. Tylko o mnie. Nie jestem gotowa, żeby rozmawiać z wami o pewnych sprawach, i muszę wiedzieć, że wam to nie przeszkadza.

Mama ociera oczy nasadą dłoni, a tata przesiada się do niej i przyciąga ją do siebie.

– Nie mamy nic przeciwko temu, cukierku – mówi. – Ale musimy się zastanowić.

Mama przytakuje mu, a ja przytulam się do niej.

– Ja naprawdę uwielbiam te wyjazdy.

– Z wyjątkiem gier planszowych – mówi tata. – Bo ich nie znosisz.

– Nigdy tak nie powiedziałam – protestuję.

– Nie musiałaś. Jesteśmy twoimi rodzicami. Wiemy, co ci chodzi po głowie.

Rodzice wyrażają zgodę podczas kolacji w poniedziałek, cztery dni przed wyjazdem.

– Pod jednym warunkiem – mówi mama.

– Zrobię wszystko.

– Musisz u kogoś mieszkać – mówi tata. – Z dorosłymi. Nie chcemy, żebyś siedziała tu sama jedna, kiedy my będziemy na drugim końcu kraju.

– Rozmawialiśmy z rodzicami Megan – dodaje mama. – Z chęcią cię przyjmą.

– Przecież Megan nie ma w domu – zauważam.

– Nie o to chodzi – mówi tata. – Musimy mieć pewność, że ktoś choć trochę ma na ciebie oko.

Nie chcę im przypominać, że styl rodzicielstwa uprawiany przez rodziców Megan to podręcznikowa definicja „pozwalania na niezależność”. Megan żartowała, że pewnie do tej pory nawet się nie zorientowali, że wyjechała.

– W porządku – zgadzam się szybko. – Zostanę u nich. Świetnie.

– Doskonale. A my wrócimy dwudziestego pierwszego – mówi mama. – Będziemy musieli się nacieszyć ostatnim wspólnym tygodniem.

Wstaję i obejmuję ich oboje.

– Bardzo, bardzo dziękuję – mówię.

– To dobrze, że o siebie dbasz, kochanie – stwierdza mama. – A jeśli trzy tygodnie z dala od nas mogą doprowadzić do dobrych efektów, to jakoś to przeżyjemy.

– Obiecuję, że doprowadzą – mówię.

Dostałam trzy dodatkowe tygodnie na załatwienie sprawy, trzy dodatkowe tygodnie z Beau. Smutno i dziwnie będzie przegapić rodzinny wyjazd, ale to najlepszy pożegnalny prezent, jaki rodzice mogli mi sprawić. Znajdę sposób, żeby ten czas trwał jak najdłużej, i wykorzystam każdą sekundę na tworzenie wspomnień, które zostaną ze mną na zawsze.

– Dziękuję wam – powtarzam.

Tata staje za krzesłem mamy i ściska jej ramiona.

– To będzie dla nas dobre ćwiczenie przed twoim wyjazdem na uniwersytet. Bo jedziesz tam. Bez względu na wszystko.

Nocą Beau przyjeżdża po mnie jak zawsze, ale tym razem jest brudny od smaru z pracy, a oczy ma nabiegłe krwią.

– Cześć – mówię, wsiadając obok niego.

– Cześć.

– Wyglądasz na zmęczonego.

– A ty wyglądasz pięknie.

Spuszczam wzrok i uśmiecham się.

– Mam wieści.

– Tak? A jakie?

– Nie jadę na wakacje z rodziną – mówię, patrząc mu w oczy. – Zostanę kilka tygodni dłużej.

– Naprawdę? – Kącik jego ust podjeżdża odrobinę do góry, sugerując najlżejszy z uśmiechów, a ja mam ochotę zrobić wszystko, co w mojej mocy, byle tylko nie zniknął. – W takim razie musimy to uczcić.

– Doprawdy?

Beau kiwa głową.

– Zrobimy, co będziesz chciała. To twój wieczór.

– I mogę zażądać wszystkiego?

– Czego tylko zechcesz – przytakuje z kiwnięciem głowy.

Wyglądam przez okno i zastanawiam się, czy nie poprosić o księżyc albo gwiazdy, ale dzisiaj te drobiazgi, które może mi dać Beau, wydają się większe i jaśniejsze niż światła nieba.

– Chcę płatki kukurydziane – oświadczam i Beau śmieje się, po czym przesuwa mi kciukiem po brodzie.

– Chcesz wpaść do mnie na płatki, Natalie Cleary? – pyta, a jego głos robi się niższy, łagodnieje, wypełniając samochód ciepłem.

– Chcę, Beau Wilkes.

Jedziemy w milczeniu. Kiedy docieramy do jego domu, widzimy buicka należącego do jego brata. Włączone światła świecą na zaniedbane, porośnięte chwastami podwórko. Beau prowadzi mnie do środka, drzwi skrzypią i człowiek, którego kilka tygodni temu widziałam tak pijanego, że nie mógł chodzić, prostuje się na wyblakłej brązowej sofie i wita nas, podnosząc do góry butelkę piwa.

– Kto to? – pyta.

– Mason, to jest Natalie – przedstawia mnie Beau. – Natalie, to mój brat.

– Miło mi – mówię.

Mason jeszcze bardziej mruży i tak przymrużone oczy.

– Natalie – mówi i kiwa ostro głową. – Weź sobie piwo z lodówki i powiedz, co taka dziewczyna jak ty robi z moi bratem?

– Przegrałam zakład – odpowiadam, wychodząc za Beau z salonu.

– Wiedziałem! – woła za nami Mason. – Będę czekał, jak już się nim znudzisz.

– Zostawiłeś samochód na światłach! – odkrzykuje Beau.

Nie idziemy do kuchni. Zamiast tego udajemy się nieoświetlonym korytarzem prosto do sypialni Beau. Beau przykuca w kącie między łóżkiem a komodą, żeby włączyć stojącą na podłodze lampę. Staję w drzwiach. Patrząc na wyraźnie rysujące się pod koszulką mięśnie Beau, z trudem łapię oddech. Beau siada na łóżku i pyta:

– Nie wchodzisz?

Zamykam za sobą drzwi i siadam obok niego. Patrzę na brązowe, zielone i złote plamki w jego oczach, a potem przesuwam spojrzenie na jego szyję i ramiona, piersi, brzuch i nogi. Podnoszę wzrok z powrotem do góry, a on nachyla się nade mną. Jego włosy opadają mi na twarz, usta zbliżają się do moich warg.

– Hej – mówi, wolno podnosząc dłoń do mojego policzka.

– Hej – odpowiadam, zakrywając ją ręką.

Beau przysuwa się bliżej i delikatnie unosi mi brodę tak, że oddychamy na siebie nawzajem. Z każdym oddechem nasze płuca coraz bardziej wypełniają się powietrzem tak, że wreszcie stykamy się piersiami. Zamykam oczy, a Beau zsuwa się ustami do wgłębienia w moim gardle, muska moją skórę językiem.

– Beau – szepczę prawie bezgłośnie.

Odchyla mnie na łóżko i kładzie się na mnie, zsuwając dłoń na moje biodro.

– Beau – mówię znowu w jego usta. Jego dolna warga zahacza o moją górną i Beau uśmiecha się.

– Natalie – odpowiada szeptem.

Podnoszę palce do jego szyi. Beau drży pod moim dotykiem. Odwraca usta do mojej dłoni i całuje ją delikatnie, a moja ręka zsuwa się do kołnierzyka jego koszulki. Beau przesuwa się niżej tak, że leżymy przy sobie, cali rozgrzani. Nasze usta dotykają się jak najlżej. Każda pusta przestrzeń między nami boli. Całe jego ciało wydaje się ciepłe i magnetyczne.

Oboje oddychamy ciężko. Przesuwam wargami po jego ustach, rozsuwając je i tworząc kolejną pustą przestrzeń między nami.

– Powiedz moje imię jeszcze raz – mówi Beau, uśmiechając się delikatnie.

– Beau. – Całuje mnie. Głęboko, łagodnie, ciepło.

Moje dłonie przesuwają się wzdłuż jego pleców i unoszę się, by być bliżej niego.

– Dobrze mi tak z tobą – mówi mi w ucho.

Przyciągam go bliżej za szlufki paska i Beau mruczy cicho. Nie mogę myśleć i walczę z ochotą, by szepnąć, że go kocham. Słowa rozbrzmiewają raz za razem w mojej głowie, podczas gdy on całuje mnie coraz mocniej, i sama już nie wiem, czy to tylko przyzwyczajenie po całowaniu się z Mattem, czy też naprawdę zdążyłam się już zakochać w Beau Wilkesie. Wiem jednak, że nie chcę uciekać. Wiem, że kiedy jestem z nim, pragnę obronić go przed całym mrokiem, i czuję, że on tak samo myśli o mnie.

– Natalie – mruczy Beau w moje włosy, a jego usta przesuwają się na mój obojczyk. – Pragnę cię.

Gdzieś w domu trzaskają drzwi. Zrywam się do góry, zderzając czołem z Beau, który klnie i chwyta się za głowę.

– O Boże, przepraszam – mówię, łapiąc go za rękę. Beau kręci głową i ogląda się przez ramię na drzwi, za którymi słychać głosy. – Kto to?

Nie licząc głębokich bruzd między brwiami, jego twarz pozostaje zupełnie bez wyrazu.

– To chyba moja matka.

Wstaje, wygładza na brzuchu wygniecioną koszulkę, po czym przeczesuje rękami włosy i pociera twarz.

– Beau! – woła świdrujący głos z korytarza.

Beau patrzy na mnie przepraszająco.

– W porządku – mówię, podnosząc się i poprawiając ubranie i włosy.

Beau unosi kącik ust i podchodzi do mnie, przyciąga mnie do siebie za biodra. Całuje mnie w usta, a potem w czoło, i wyprowadza mnie na korytarz. Wchodzimy do salonu i kobieta siedząca po dalszej stronie kanapy piszczy na jego widok.

– Cześć, skarbie! – mówi, szczerząc się niewyraźnie i wyciągając ramiona.

Jest chuda, ma tlenione loki i zniszczoną, nadmiernie opaloną skórę. Ubrana jest w dżinsy, kowbojki i obcisłą kurtkę z denimu.

Beau wodzi wzrokiem od niej do krzepkiego, łysego mężczyzny stojącego za nią.

– Co ty tu robisz? – pyta ją.

Kobieta patrzy na Masona, który dalej siedzi na kanapie, a potem z powrotem na Beau.

– Czy wypada się tak odzywać do mamy?

– I co on tutaj robi? – Beau kiwa głową w stronę mężczyzny, który obejmuje jego matkę w talii.

– Darlene, powiedz mu.

Kobieta podnosi lewą rękę przed siebie i z dumą prezentuje diamentowy pierścionek.

– Zeszliśmy się z Billem i… no cóż, skarbie, pobraliśmy się!

Beau wbija w nią spojrzenie. Mason pociąga długi łyk piwa, nie odrywając wzroku od stolika, na którym trzyma nogi. Nagle Darlene zauważa mnie. Wychyla się przez Beau, żeby mi się przyjrzeć, zaciskając usta.

– Cześć – mówi, po czym zwraca się do Beau: – Skarbie, bądź dżentelmenem i odwieź koleżankę do domu. Powinniśmy to uczcić w gronie rodzinnym.

Beau bez słowa wymija ją i idzie do drzwi. Biegnę za nim, odwracając się tylko, by rzucić pospiesznie:

– Miło było was poznać.

Schodzę za nim po schodach i idę na skraj oświetlonego księżycem pola kukurydzy. Beau wpija sobie ręce we włosy i ciężko oddycha.

Dotykam jego ramienia. Odwraca się na pięcie.

– Ten facet to drań – rzuca pogardliwie. – Co jej strzeliło do głowy, żeby do niego wracać?

– Przykro mi – mówię bezradnie.

Beau przesuwa rękami po twarzy.

– Chodź – mówi. – Odwiozę cię do domu.

Kiedy zatrzymujemy się w naszym zaułku, Beau wciąż piekli się w milczeniu. Zastanawiam się, do czego doszło między nim a jego mamą albo nim a Billem, że aż tak się przejmuje.

– Poradzisz sobie? – pytam cicho.

– Nie zamierzam tam wracać.

– To dokąd pojedziesz?

– Prześpię się w furgonetce – mówi, wzruszając ramionami.

Przyciągam go do siebie i Beau wtula twarz między moją szyję a ramię.

– Chodź ze mną – mówię. – Możemy spać w mojej garderobie.

Beau obejmuje mnie mocno w pasie.

– Natalie, z tobą tuż obok nie będę mógł zasnąć.

Znowu wypełnia mnie ciepło i cała drżę.

– W takim razie ja będę spała w pokoju – mówię. – Będą nas dzieliły drzwi.

– Myślisz, że leżąc dziesięć stóp od ciebie, będę spał lepiej niż w furgonetce?

– A nie?

Beau śmieje się, wciąga mnie sobie na kolana i kładzie mi ręce na biodrach.

– Bardzo jesteś w tej chwili zmęczona?

– Jakbym nie spała od czterech dni i ktoś nagle zrobił mi zastrzyk adrenaliny w serce.

– Dokładnie tak samo się czuję, kiedy jestem całe mile stąd, u siebie w domu, i o tobie myślę. – Odsuwa mi z twarzy kilka zbłąkanych włosów i całuje. – Dobranoc, Natalie.

– Coś ty taka rozpromieniona? – pyta prosto z mostu Alice, kiedy wchodzę do jej gabinetu.

– Sama nie wiem – mówię. – Może dlatego, że rodzice pozwolili mi zostać do końca wakacji?

Alice obrzuca mnie sceptycznym spojrzeniem.

– Ty się bzykasz z tym chłopakiem z innego świata.

– Wcale nie!

Alice podnosi ręce.

– W porządku, to nie bzykanie, tylko kochanie, zresztą mam to gdzieś. Byle to nie wpłynęło na całą resztę.

– Wcale się z nim nie kocham i nie pozwolę, żeby to coś zmieniło – mówię, próbując siłą woli zgasić rumieniec.

Opadam na sofę.

– Ciekawe, co by się stało, gdybyś zaszła w ciążę – zastanawia się Alice, patrząc przed siebie.

– Alice, ja nie uprawiam seksu z Beau!

– Tak tylko się zastanawiam. Sądzisz, że dziecko zniknęłoby po twoim Zamknięciu? A może byłoby takie jak wy? Do którego świata by należało? Właściwie to nie taki zły pomysł… Byłabyś skłonna zajść w ciążę?

– A ty byłabyś skłonna pozwolić, żebym odeszła i nigdy już tu nie wróciła?

Alice zbywa mnie ruchem ręki.

– Dobrze już, nie irytuj się. Tak się tylko zastanawiałam. W każdym razie dobrze, że udało ci się kupić trochę czasu. Ale trzy tygodnie to i tak niewiele.

– To prawda – zgadzam się. – Więc może weźmy się do pracy.

– A jak idzie taniec?

Wzruszam ramionami.

– Jest super. Czasem mam wrażenie, jakbyśmy przenosili się w czasie do przodu lub do tyłu, ale nie widziałam żadnych śladów jakiejś trzeciej rzeczywistości.

– Ona się gdzieś ukrywa.

– Tak – potwierdzam. – Albo kiedyś.

– Co powiedziałaś? – pyta Alice, patrząc na mnie szybko.

– Mam tylko na myśli, że może Babcia ukrywa się w jakimś innym czasie – wyjaśniam. Alice zrywa się nagle i odsuwa z drogi stertę książek, chwyta torebkę i biegnie do drzwi.

– A ty dokąd? – pytam.

– Coś mi wypadło – rzuca w odpowiedzi. – Zobaczymy się w czwartek na hipnoterapii, okej?

– Alice! – wołam za nią.

– W czwartek!

Mój telefon zaczyna wibrować i wyławiam go z kieszeni. Na ekranie widzę imię

Joyce. Serce mi staje, ale kiedy otwieram wiadomość, jest w niej tylko zdjęcie bukietu kwiatów z liścikiem od trenera i pani Gibbons. „Jak to miło z ich strony!”, odpisuję, próbując otrząsnąć się z fali niepokoju. Każda wiadomość w tym stylu to kolejny fałszywy alarm, kolejne przypomnienie, że życie Matta zawisło na włosku, a ja nadal nie wiem, co tu się dzieje.

Kiedy Beau przyjeżdża po mnie wieczorem, wygląda na straszliwie zmęczonego. Przez cały dzień odgrywałam sobie w głowie naszą ostatnią noc i odliczałam sekundy do momentu, kiedy się znowu zobaczymy, ale widząc go po nocy spędzonej w furgonetce i długim dniu w pracy, uświadamiam sobie, że te wyprawy zaczynają go wyczerpywać. Beau potrzebuje odpoczynku.

– Powinniśmy zrobić sobie przerwę na kilka dni – proponuję.

– Zgoda. – Beau wyciąga ręce i wciąga mnie sobie na kolana, budząc elektryzujący dreszcz na mojej skórze.

– Nie o to mi chodziło – mówię, patrząc na jego uchylone usta. Beau zaczyna całować mnie po szyi i mój oddech staje się płytszy. Opieram palce o jego pierś. – Beau, ty potrzebujesz snu. I w końcu będziesz musiał wrócić do domu. – Wcale tego nie chcę, ale dokładnie tego mu potrzeba.

Beau wzdycha, sadza mnie na powrót obok siebie i przesuwa wzrok na kierownicę.

– Wiem. – Przesuwa sobie ręką po ustach i kręci głową. – Masz rację. Muszę wrócić do domu.

– Będę za tobą tęsknić – mówię cicho. – Nie przyszedłbyś do nas jutro na kolację?

Beau odchyla głowę na oparcie i wypuszcza długi oddech.

– O co chodzi? – pytam.

– To chyba nie najlepszy pomysł. Rodzice zwykle za mną nie przepadają.

– Moi by cię polubili. – Nie wszystkim mogę się z nimi podzielić, ale Beau owszem. Chcę, żeby go poznali.

– Skąd to przypuszczenie?

– Bo ja cię lubię – odpowiadam. Beau spuszcza głowę i śmieje się, jego oczy marszczą się w kącikach.

Przez chwilę wygląda jak mały chłopiec.

– A ty mnie lubisz, Beau? – drażnię się, ciągnąc go za łokieć.

Beau podnosi oczy, a potem splata ręce na mojej talii, odchyla mnie na oparcie i siada na moich nogach.

– A jak myślisz?

– To nieważne, co ja myślę – mówię. – Ważne, co ty myślisz.

– Natalie, nie potrafię wyrażać swoich uczuć.

– Spróbuj.

– Pamiętasz tamtą noc na boisku? – Kiwam głową. – Teraz pragnę cię bardziej niż wtedy, a nie sądziłem, że to w ogóle możliwe.

– Więc mnie lubisz.

– Lubię – mówi cicho.

– I pragniesz mnie – szepczę.

– Wszędzie – mówi. – Przez cały czas.

Patrzy na mnie tak samo jak wtedy, gdy spytałam go w studiu, czego chce: poważnie, niemal smutno. Podnoszę ręce i przesuwam je po liniach jego twarzy, zapisując je w pamięci.

– Ja też cię pragnę – mówię. – Wszędzie, cały czas.

Jego oczy mrużą się w uśmiechu, ramiona obejmują mnie mocniej, a głos spada do szeptu.

– Natalie…

– Potrzebujesz snu.

– Potrzebuję ciebie.

W mojej głowie rozpoczyna się krótka walka, a potem podejmuję jedną z tych decyzji, co do których tak naprawdę nie ma się wyboru.

– Chodźmy do domu – mówię.

Pospiesznie wychodzimy z samochodu, zostawiając go na ulicy, i ruszamy ciemną uliczką. Zanim docieramy do ganku, nasza skóra pokrywa się połyskiem potu od wilgoci w powietrzu. Wspinam się pierwsza i wchodzę przez okno, po czym odwracam się. Nie widzę Beau na trawniku, więc widać wszedł już na balustradę. Czekam w milczeniu przez kilka sekund, lecz nie pojawia się na daszku.

– Beau? – syczę w mrok, przerywając granie świerszczy.

Czekam na odpowiedź, ale żadna nie nadchodzi. Po najdłuższej minucie w życiu wychodzę z powrotem na dach, żeby sprawdzić, co zajmuje Beau tyle czasu. Wychylam się przez krawędź i patrzę w dół, ale nie widzę po nim ani śladu.

– Beau – szepczę znowu, nieco głośniej.

Żadnej odpowiedzi poza pohukiwaniem sowy.

Pospiesznie schodzę z powrotem na ganek i zeskakuję na podwórko, rozglądając się po uliczce.

– Beau? – mówię jeszcze głośniej.

Serce bije mi jak oszalałe. Coś jest nie tak.

Najwidoczniej przeskoczył z powrotem do swojego świata.

Biegnę ulicą do miejsca, gdzie zostawił przy krawężniku samochód, ale nic tam nie ma. Obracam się i rozglądam w poszukiwaniu przebłysków drugiej rzeczywistości, które stały się już dla mnie normalnością.

– Beau! – wołam znowu. – Beau!

Zamykam oczy i próbuję pochwycić fragmenty melodii dryfujące w moim umyśle.

Nic nie czuję. Nic nie słyszę.

– Były sobie kiedyś cztery duchy – powiedziała Babcia – które mieszkały w czterech podziemnych domach, a każdy z tych domów znajdował się głębiej niż poprzedni. Była też kobieta z pobliskiego plemienia, której ojciec zmarł. Poszła na jego grób, położyła się na nim i płakała przez cztery dni. Czwartego dnia jednak usłyszała głos spod ziemi. „Płacząca kobieto – powiedział ów głos. – Zejdź na dół”.

Kobieta zerwała się więc i podążyła za głosem ducha w głąb ziemi, aż wreszcie dotarła do domu zwanego Liście-Cykuty-na-Grzbiecie. Weszła do środka i zobaczyła staruszkę siedzącą w kącie w pobliżu ognia, która rzekła: „Usiądź i zjedz”. I podała płaczącej kobiecie suszonego łososia.

Zanim kobieta zdążyła jednak wziąć strawę, pojawił się ktoś inny i poprowadził ją do domu poniżej, który nazywał się Robactwo-na-Korze-na-Glebie. Tam znowu ujrzała siedzącą przy ogniu staruszkę, która wydawała się identyczna jak ta w pierwszym domu. Ona również zaproponowała jej coś do jedzenia, lecz jak wcześniej, tak i tym razem nim kobieta zdążyła wziąć pokarm, zjawił się kolejny przewodnik i rzekł: „Chodź do Miejsca-Ust-Widocznych-na-Ziemi", a ona poszła za nim.

Jak poprzednio, ujrzała staruszkę przygotowującą mięso na ogniu. I jak poprzednio, nim zdążyła poczęstować się jadłem, przerwał jej kolejny przewodnik. „Chodź do Miejsca-Skąd-Się-Nie-Wraca", rzekł i poprowadził ją głębiej w dół ziemi, do kolejnego domu.

Tym razem jednak, gdy weszła do środka, ujrzała siedzącego przy ogniu ojca, który na jej widok uniósł się gniewem. „Po coś tu przyszła? – krzyknął. – Kto wejdzie do jednego z pierwszych trzech domów, może jeszcze zawrócić, ale z tego miejsca nie ma powrotu! Nie przyjmuj żadnego pokarmu od duchów i natychmiast wracaj do domu! A my zaczniemy śpiewać, żeby plemię usłyszało i po ciebie przyszło".

Zawołał przewodnika, który przywiódł do niego płaczącą kobietę, i zaczął błagać, by natychmiast odprowadzono ją na ziemię. Tak więc przewodnik wyniósł ją na desce z powrotem pod drzewo przy grobie. Kobieta zległa pod nim jak martwa, a przewodnik zgodnie z prośbą jej ojca zaśpiewał. Plemię usłyszało pieśń i przyszło na mogiłę pod drzewem. Choć jednak wszyscy widzieli deskę i słyszeli śpiewający głos, nie mogli zobaczyć leżącej na desce dziewczyny.

Czekałam przez parę chwil, choć miałam już piętnaście lat i do tego czasu nauczyłam się rozpoznawać zakończenia Babcinych opowieści.

– I już? – spytałam w końcu.

– Już – powiedziała Babcia.

Usiadłam na łóżku, obracając w głowie tę historię i próbując nadać jej jakiś sens. Kilka razy już mi się zdawało, że pochwyciłam jej znaczenie, ale wtedy znowu mi uciekało.

– Czasami – powiedziałam – kiedy opowiadasz mi te historie, ja je czuję.

– Co masz na myśli? – spytała Babcia, mrużąc ciemne oczy.

– To tak, jakbym niemal je pamiętała. Jakby przydarzyły się mnie samej. Jakby były bardziej prawdziwe niż moje życie, tylko nie mogę ich do końca uchwycić. Czy to ma jakiś sens?

– Nie – rzekła wprost Babcia. – Ale wiem, co chcesz powiedzieć. Ja też to czuję.

– Mam wrażenie, jakby coś było nie tak ze światem – powiedziałam, ziewając. Zaczynała mnie ogarniać senność i w moim umyśle pojawiały się na wpół uformowane myśli, których do końca nie ogarniałam.

– Jesteśmy zakładnikami, Natalie – powiedziała cicho Babcia.

– Zakładnikami?

– Żyjemy na swojej ziemi, ale ona nigdy już nie będzie należeć do nas. Odpowiadamy przed rządem, który nie uznaje, że stanowimy wielość narodów; narodów kupionych od ludzi, którzy sami nie mieli żadnych praw do tej ziemi. Otaczają nas ludzie, którzy w ogóle o nas nie pamiętają, chyba że czytają o naszym upadku w podręcznikach historii, tak jakbyśmy nie istnieli już na świecie, jakbyśmy nie

żyli pod okupacją, nie czekali na jej koniec, choć po pięciuset latach wiemy, że on nigdy nie nadejdzie. Uczymy się żyć i przynależeć jednocześnie do dwóch światów. Istnieje bariera oddzielająca nas od wszystkiego dokoła. Jakkolwiek byśmy się starali, nie możemy się zbliżyć do otaczającego nas świata. Ty i ja czujemy ten dystans w każdej chwili każdego dnia. Pod pewnymi względami już jesteśmy duchami. Te historie to nić łącząca nas ze światem, który istniał przed nami, światem, którego nigdy nie zobaczymy, ale zawsze o nim śnimy.

– Co za optymistyczna wizja…

Babcia wzruszyła ramionami.

– Czasami najpiękniejsze chwile naszego życia to te, które najbardziej bolą w danym momencie. Dopiero u samego końca, kiedy spoglądamy w przeszłość, widzimy, czym naprawdę były.

– Mówisz dziś samymi zagadkami – stwierdziłam.

– Bo czuję się dziś bardzo stara, Natalie. Wiek skłania do namysłu.

– O czym?

Po długiej chwili Babcia odpowiedziała:

– O żalu.

Patrzyłam, jak jej oczy przybierają zamyślony wyraz.

– Babciu?

– Hm?

– Czy ty znasz moją matkę? – spytałam. – To jest tę biologiczną.

– Oczywiście – powiedziała. – Znam wszystkich ludzi, których ty znasz, i wielu innych.

Przed kolejnym pytaniem musiałam uzbroić się w odwagę.

– A czy wiesz… dlaczego?

Babcia utkwiła we mnie spojrzenie i potarła brodę.

– Dlaczego cię zostawiła?

Przytaknęłam.

– Rozumiem jej decyzję tak dobrze jak ona sama, ale te sprawy rzadko są proste.

– Była młoda.

Babcia pokiwała głową.

– I biedna – dodała.

– I nieszczęśliwa.

– Bardzo – potwierdziła Babcia.

– Czy kiedyś ją spotkam? – spytałam. – Czy ona o mnie myśli?

– Myśli o tobie codziennie – zapewniła mnie Babcia. – I niewykluczone, że któregoś dnia ją poznasz.

– Ale nie wiesz tego na pewno?

Babcia zawahała się, po czym pokręciła głową.

– Przyszłość rzadko jest pewna, Natalie. Wszystko, co mamy, to teraźniejszość.

Lecz moja teraźniejszość być może już się skończyła. Może stała się już moją przeszłością.

Beau nie zjawia się na kolację. Połączenia telefoniczne nie przechodzą. Nie przyjeżdża

też, by zabrać mnie do studia, więc leżę w łóżku i się zamartwiam. Co gorsza, Joyce Kincaid przysłała mi zdjęcie Matta w szpitalu. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że Matt się obudził, póki nie odczytuję podpisu: „Pomyślałam, że tęsknisz za jego widokiem".

Nie tęsknię. Może powinnam, ale bladość Matta, rurki w jego nosie i sińce na skroni wcale nie podnoszą mnie na duchu. Za każdym razem, kiedy zamykam oczy, znowu widzę ten obraz, aż wreszcie pomimo zmęczenia wstaję z łóżka i zaczynam chodzić po pokoju.

Nienawidzę prowadzić nocą, pewnie ma to związek z moimi koszmarami i z upartą obawą, że na tylnym siedzeniu kryje się jakiś morderca, ale mimo to zaciskam zęby i postanawiam pojechać na NKU.

Idę przez nieoświetlony budynek do naszego studia i zmuszam się do szybkiego rozciągania, jednocześnie usilnie starając się przypomnieć sobie dźwięki wygrywane przez palce Beau na klawiszach pianina. On tu jest. Wiem, że tu jest. Prawie go czuję. Zamykam oczy i staram się poczuć jego zapach, pochwycić brzmienie jego głosu, dostrzec linię jego ramion.

Ale nie mogę. Beau jest tutaj, ale dzielą nas światy i mam wrażenie, że wszystko jest zupełnie nie tak. Boję się, że może tak już zostanie na zawsze. Nie mogę wytrzymać ani chwili dłużej i wracam do domu, a przez całą drogę serce wali mi jak młot, oddycham płytko i spazmatycznie.

Kiedy podczas czwartkowej sesji mówię Alice o zniknięciu Beau, jedyną odpowiedzią, jaką jestem w stanie z niej wyciągnąć, jest jeden z tych jej nieznośnych pomruków.

– Hm…

– Hm co? – naciskam.

Alice wzrusza ramionami.

– Szczerze mówiąc, wolę nie mówić za dużo. Zanim zaczniemy wpadać w panikę, pozwólmy sprawom potoczyć się własnym rytmem.

Ja jednak wiem, czego Alice nie chce powiedzieć na głos: co, jeśli właśnie przeżyłam Zamknięcie? Albo Beau przeżył swoje?

Nadchodzi piątek i rodzice pakują wynajęty minivan. Teraz pozostało nam już tylko pożegnanie, a potem mam się przenieść do Megan. Mama i tata chcą pojechać ze mną, porozmawiać z rodzicami Megan i upewnić się, że niczego mi nie brakuje, ale Jack i Coco postanawiają zostać w domu, więc ściskam ich w kuchni na pożegnanie.

Gus strasznie jęczy, całe to zamieszanie z pakowaniem bardzo go stresuje – wie, że to oznacza dla niego wywózkę do hotelu dla psów. Kucam i obejmuję go za potężną szyję, wtulając twarz w miękką sierść.

– Bądź grzeczny – mówię i wstaję, żeby pożegnać się z bliźniakami.

– Daj mi znać, jak coś się będzie działo, dobrze? – mówi Coco. – Z Mattem i w ogóle.

– Jasne – obiecuję. – Choć szczerze mówiąc, chyba więcej się dowiesz od Abby.

Na te słowa Coco spuszcza wzrok i widzę, że coś jest nie tak. Rozglądam się, żeby sprawdzić, czy rodzice nie podsłuchują, po czym wyciągam ją za łokieć na korytarz.

– Co się dzieje? – pytam. – Abby nie spodobała się ta woda toaletowa? Pewnie trzeba było wybrać jadalny brokat do ciała…

– Wszystko w porządku – wzdycha Coco.

– Coco, mów prawdę.

– Abby to suka, okej? Podła baba i już.

– Twoja najlepsza przyjaciółka?

Coco porusza niecierpliwie nogą.

– Ona po prostu… Rozpowiadała różne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Głupie, podłe kłamstwa.

– Coco, jeśli ktoś ci dokucza…

– Nie chodziło o mnie – przerywa Coco i nagle zaczyna do mnie docierać, w czym problem. – Mówiła, że wypadek Matta to twoja wina. Tak naprawdę wcale tak nie myśli. Wiem, że nie, ale i tak rozpowiadała to wśród pierwszoroczniaków, żeby… sama nie wiem… pewnie żeby im zaimponować.

Oglądam się na salon, gdzie Jack rozpiera się na kanapie i gapi bezmyślnie w sufit.

– A ta bójka Jacka?

Coco wolno kiwa głową.

Świat zaczyna mi się rozmazywać w oczach i zakrywam je dłońmi.

– Nie powinniście się kłócić i wdawać w bójki z tego powodu.

Coco krzyżuje ramiona.

– Ty nic nie rozumiesz. Abby zaczęła się zmieniać albo może to ja się zmieniam. W każdym razie dość mam tej głupiej plotkarskiej szkółki. A Jack ma jeszcze gorzej… i nie, nie chodzi tylko o ciebie i Matta.

– Coco… przecież dopiero co mówiłaś rodzicom, że chcesz zostać w Ryle'u.

W jej oczach, bardzo dla niej nietypowo, pojawia się ślad łez. Coco kręci głową, aż znikają.

– Chodzi o Jacka – mówi wreszcie.

– Gotowa? – pyta mama, zaglądając do korytarza i klaszcząc w dłonie.

Coco posyła mi spojrzenie z gatunku „Tylko nic im nie mów" i dyskretnie kręci głową.

– Muszę jeszcze znieść swoje rzeczy – mówię niewyraźnie i mama patrzy na nas podejrzliwie, po czym wraca do kuchni.

Przyciągam Coco i obejmuję ją mocno.

– Jesteś taka jak ja. Ty i Jack jesteście tacy jak ja – szepczę. – Powinnam była bardziej na was uważać, a kiedy wrócicie…

Coco kiwa głową, a ja znowu patrzę przez korytarz na Jacka. Mama ciągle kręci się wokół niego, sprawdzając, czy czegoś nie zapomniała. Mimo to ryzykuję, że zacznie podejrzewać jeszcze więcej, i przysiadam się do niego.

– Hej.

– Cześć – mruczy.

– Pamiętasz, jak byłam dla ciebie okropna? – mówię przyciszonym głosem.

Jego brwi podjeżdżają do góry i Jack próbuje ukryć uśmiech.

– Niby kiedy?

– Co najmniej przez całe lato – wyjaśniam. – A może i dłużej.

Jack wreszcie postanawia na mnie spojrzeć i choć jego pulchne policzki zaczęły się

zapadać, odkąd niedawno wystrzelił w górę, to nadal wygląda jak mój mały braciszek, tylko wyższy. Coco, jako bardziej asertywna, zawsze wiodła prym, więc teraz nagle ze zdziwieniem dostrzegam, jak dorosły i zgnębiony wydaje się ten wiecznie błaznujący, wyluzowany, beztroski Jack.

– Przykro mi – mówię cicho.

– Ponieważ…?

Oglądam się na mamę, która wchodzi do pralni.

– Coco powiedziała mi o ostatniej bójce.

Jack przewraca oczami i wzdycha z irytacją, wykręcając szyję w poszukiwaniu bliźniaczki.

– Jack, w porządku. Nie powiem rodzicom – zapewniam go. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że… jesteś wspaniały i kocham cię, i nie chcę, żebyś przeze mnie pakował się w bójki, i przepraszam, że ostatnio prawie mnie nie ma, i jeszcze, że nie miałeś racji co do gaźnika. I to tyle.

Jack parska śmiechem.

– Ale ty jesteś dziwna.

– Naprawdę? Bo nikt mi jeszcze tego nie mówił.

– I wcale nie jesteś taka okropna.

– I nawzajem – mówię. – Ty też wcale nie jesteś okropny.

Wstaję, żeby odejść, ale kiedy przechodzę za kanapę, podbrzusze przeszywa mi ostry ból i zginam się wpół, a kiedy patrzę na Jacka, jego już nie ma. W domu panuje ciemność, za oknami widać granat nocnego nieba, a na kuchenny stół pada krąg łagodnego żółtego światła z podwieszonej nad nim witrażowej lampy. Czuję kołysanie w zwolnionym tempie, jakby świat wirował dookoła mnie na zmniejszonych obrotach.

Na końcu stołu siedzi mama, sama, z twarzą ukrytą w dłoniach i z drżącymi ramionami. Podnosi stopy na krzesło i przyciąga kolana do piersi, opierając się o nie czołem. Wygląda młodo, o wiele młodziej albo może ma ufarbowane włosy.

O Boże. Czemu ona płacze? Po kim?

Nie chcę na to patrzeć. Nie mogę. Biegnę, potykając się, do tyłu i na górę, i nagle, kiedy popycham drzwi sypialni, znowu przeskakuję w czasie i widzę moją okropną maskotkę Grasanta, która gapi się na mnie jednym okiem. Podłoga jest pusta, nie licząc ustawionych w rogu kartonowych pudeł, ale nadal jestem w takim szoku, że nie mogę oddychać.

Próbuję skupić się na czymś innym, żeby zapomnieć o bólu w klatce piersiowej i o wielobarwnych plamkach, które wirują mi przed oczami. Wieczory spędzone z Megan na oglądaniu burzy z garażu. Wypatrywanie z ganku spadających gwiazd. Godziny przespane w ramionach Beau na podłodze garderoby. Historie opowiadane przez Babcię z fotela na biegunach. Przystanek autobusowy, na którym czekałam w szkolne poranki w ciemnościach, w dusznym skwarze albo na trzaskającym mrozie.

Nadal nie mogę złapać tchu, nie mogę się uspokoić.

Przypominam sobie górkę do jazdy na sankach w ogrodzie i strumyk obok, przez który prawie nabawiłam się odmrożenia. Zraszacze, przez które biegaliśmy latem. Wigilijne wieczory, kiedy zakradaliśmy się z bliźniakami do salonu, by sprawdzić, czy rodzice podłożyli już prezenty pod choinkę. Serię wskazówek, które mama rozłożyła

w całym domu i które zaprowadziły mnie do garażu, gdzie czekał na mnie urodzinowy prezent w postaci szczeniaka bernardyna z niebieską kokardką na szyi.

I noc, kiedy wdrapałam się do pokoju przez okno i obejrzałam się tylko po to, by odkryć, że Beau zniknął. Wolno płynące minuty, które spędziłam od tamtej chwili na czekaniu.

Znajduję się w domu pełnym duchów. Nie mogę znieść myśli, że miałby do nich dołączyć jeszcze jeden. Podnoszę rękę i dotykam ściany.

– Babciu – szepczę w pustkę. – Jeśli mnie słyszysz, znajdź mnie.

Mama Megan jest anestezjologiem, a tata to architekt z żyłką myśliwską, tak więc ich dom jest nie tylko ogromny, ale też położony za miastem, ukryty na końcu długiej żwirowej drogi w otoczeniu pięknego lasu. Kiedy byłam dzieckiem, jego rozmiary i białe kolumny przywodziły mi na myśl Biały Dom, ale rozkład pomieszczeń jest zaskakująco otwarty i nowoczesny.

Państwo Phillipsowie prowadzą nas do pokoju Megan, który zajmuje większą część podpiwniczenia, a jego rozsuwane drzwi wychodzą na duże patio nad sztucznym jeziorem do łowienia ryb. Urządzony jest wyraźnie w stylu „księżniczkowym" – Megan ani nie miała z tym nic wspólnego, ani też nie starała się zmienić wystroju czy choćby konsekwentnie się go trzymać. Podłoga, zwykle zawalona ubraniami, papierami i książkami, teraz jest puściutka i czysta, i czuję ukłucie smutku.

– Nie mogę uwierzyć, że pozwoliliśmy ci się wymigać od tego wyjazdu – mówi za moimi plecami tata.

– Przecież uznaliście, że to dobry pomysł – przypominam mu. – Niezależność, zdrowie psychiczne itepe, itede.

– Nie, to mama tak uznała – poprawia tata. – Mama to ten fajny, wyluzowany rodzic. A ja to strażnik dyscypliny.

Parskam śmiechem.

– Tak, cały ty. Może powinieneś zmienić informację na wizytówkach z Zaklinacza Koni na Końskiego Dyscyplinatora.

– A wiesz, że to nawet dobrze brzmi. Niezły pomysł, cukiereczku. – Tata całuje mnie w czubek głowy, a mama wydaje z siebie ciche łkanie.

– Damy wam chwilę na osobności – mówi pani Phillips i razem z mężem wraca po schodach na górę.

Mama obejmuje mnie mocno.

– Przecież to tylko kilka tygodni – przypominam.

– Ale zaraz potem wyjeżdżasz na studia – odpowiada mama. – Robisz się za dorosła. Przestań już.

– Wierz mi, staram się.

Mama śmieje się i pociąga nosem, który zapchał jej się od płaczu.

– Jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

– Dzięki.

– Tylko dzwoń do nas, cukierku – mówi tata, trzymając mnie za brodę.

Rodzice odjeżdżają, a ja padam zrozpaczona na łóżko. Gdyby tylko był tu Beau, nie czułabym się tak przerażona i samotna. I gdybym wiedziała, gdzie się podziała Babcia.

26

Joyce Kincaid dzwoni do mnie w sobotę rano, by przypomnieć o wieczornej imprezie dobroczynnej. Połączyli ją z Grasanckim Szałem i część dochodów ma pójść na pokrycie kosztów leczenia Matta, a reszta na drużynę futbolową.

– Mam tylko nadzieję, że Matt widzi to, gdziekolwiek jest – wzdycha Joyce, siąkając nosem. – Że widzi, jak bardzo wszystkim na nim zależy. I tak się cieszę, że mogłaś zostać, żeby towarzyszyć nam w tym trudnym czasie. To wiele by dla niego znaczyło.

– Tak – mówię. – Ja też się cieszę.

Szczerze mówiąc, ze wszystkich sił starałam się wmówić sobie, że wcale nie muszę iść na tę imprezę, a jednocześnie niemal wariowałam na myśl, że Beau najprawdopodobniej też tam będzie, choćby w innej rzeczywistości. Samo przebywanie w tym samym miejscu, nawet po drugiej stronie nieprzeniknionej zasłony, wydaje się lepsze niż ostatnie kilka dni bez niego. Kiedy kończę rozmowę z Joyce, wychodzę z pokoju Megan na taras. Powietrze jest chłodniejsze, niż się spodziewałam, a nad stawem i lasem wiszą nisko ciemne chmury. Wszystko zniekształca mgła, ale mimo to idę na spacer, zabierając ze sobą telefon. Znowu próbuję dodzwonić się do Beau, ale połączenia nie są realizowane, i ostatecznie błąkam się po lesie bez celu, z całych sił próbując znowu otworzyć przejście do jego świata.

Telefon zaczyna wibrować mi w ręce i niemal wypuszczam go z ręki, ale w ostatniej chwili udaje mi się go złapać. Odbieram połączenie, nim dociera do mnie imię dzwoniącego.

– Rachel?

– Ciebie też miło słyszeć – mówi Rachel, jakby urażona moim zaskoczeniem.

Wzdycham.

– Rachel, masz do mnie jakąś sprawę?

Rachel też wzdycha.

– Słuchaj – mówi. – Przepraszam za to, co się wydarzyło między mną a Mattem. On był pijany, a ja… no cóż, chyba po prostu byłam ciekawa.

– W porządku – mówię cierpko. – To wszystko?

– Chryste, Natalie, przecież usiłuję cię przeprosić.

– Nie ma potrzeby. – Gniew w moim głosie sprawia, że te słowa wypadają nieprzekonująco, choć naprawdę sama nie wiem, na kogo właściwie się gniewam.

– W porządku, jak sobie chcesz – mówi Rachel. – Dzwonię, bo… bo chciałam spytać, czy nie pojechałabyś ze mną na Szał.

– Ale dlaczego? – pytam, szczerze zdumiona.

– Bo nikt inny tego nie rozumie – tłumaczy gwałtownie Rachel. – Bo nie zniosę ani jednej cholernej sekundy więcej, słuchając ryczenia Molly Haines, która przecież nawet go nie znała. W ogóle nie chciałam tam iść, ale skoro to dla Matta… Pomyślałam, że jeśli i ty byś poszła… – Głos Rachel cichnie. Jestem tak zdumiona, że nie wiem, co powiedzieć. – Halo, jesteś tam?

– W porządku – mówię.

– Co w porządku?

– Możemy razem jechać. Nie do końca rozumiem dlaczego, ale okej.

– Świetnie – mówi Rachel. – Możesz po mnie przyjechać o dziewiątej. Nie chcę tam siedzieć przez cały wieczór.

– Wow, naprawdę, mogę? Strasznie ci dziękuję!

– A ludzie myślą, że to ja jestem suką – odgryza się Rachel.

Rachel mieszka w jednej z mieszkalnych przyczep kempingowych zainstalowanych za willowym osiedlem McMansion, gdzie stoi dom Dereka Dillhorna. Zupełnie jakby spece z miejskiego wydziału zagospodarowania przestrzeni uznali, że dobrze będzie przypomnieć ubogim, że są ubodzy, a bogaczom, że są bogaci. Niektóre przyczepy są zadbane, inne wyglądają jak śmietniska. Dom Rachel należy do najładniejszych, ma też wypielęgnowany ogródek, którym zajmuje się pewnie sama Rachel, skoro jej matka i siostra pracują na nocną zmianę i w ciągu dnia przeważnie śpią.

Kiedy byłyśmy małe, uwielbiałyśmy chodzić tam na nocleg. Gdy zajmowała się nami siostra Rachel, Janelle, nie obowiązywały nas żadne zasady. Jednak z czasem Rachel przestała nas zapraszać i od lat u niej nie byłam.

Rachel czeka na dworze – to zwyczaj jeszcze z czasów, kiedy ją odwiedzałyśmy; pilnuje w ten sposób, żeby nikt nie dzwonił do drzwi, kiedy pani Hanson odsypia pracę. Patrząc, jak idzie w stronę dżipa, czuję ukłucie żalu. Nie żebym się nad nią litowała – bo tak nie jest – po prostu przypominam sobie wszystkie powody, dla których ją kocham. Powody, dla których się przyjaźniłyśmy. Może to i suka, ale prawdziwa suka o złotym sercu. A do tego ma w sobie ducha walki, dba o całą rodzinę i ciężko pracuje, żeby skończyć szkołę, choć pani Hanson od dzieciństwa powtarza jej, iż przy takiej ładnej buzi Rachel wcale nie potrzebuje matury.

– Nigdy nie przypuszczałam, że zobaczę pod swoim domem kogoś, kto ma studiować na jednej z najlepszych uczelni w kraju – mówi Rachel, wskakując na siedzenie pasażera. – Więc czemu postanowiłaś przesiedzieć resztę lata w tej dziurze?

– Mam różne sprawy do załatwienia.

Rachel przeczesuje ręką włosy.

– Brzmi to poważnie.

Wyjeżdżam z osiedla i zawracamy w stronę szkoły. Między nami zapada cisza. Kiedy jesteśmy jeszcze dziesięć minut od celu, Rachel patrzy nagle przez okno.

– Zatrzymaj się – mówi gwałtownie.

– Co? Czemu?

– To tutaj, epitafium dla Matta!

– Epitafium? – pytam, rozglądając się po poboczu. – Dla Matta? Przecież on jeszcze żyje!

– No to tablica upamiętniająca, ołtarzyk, co tam sobie chcesz, w każdym razie zatrzymaj się.

Zwalniam i zatrzymuję się obok przytwierdzonego do słupa telefonicznego znaku z napisem „Módlcie się za Matta Kincaida #4”. Znak otacza cała sterta pluszaków, liścików, kwiatów i sportowych kurtek. Rachel wyskakuje z samochodu i biegnie tam, nim wyłączam silnik. Wysiadam i idę za nią. Rachel klęczy na żwirowym poboczu z dwoma palcami przyciśniętymi do tablicy.

– Co robisz? – pytam cicho, podchodząc do niej.

Rachel otwiera oczy i pyta z irytacją:

– A jak to wygląda? Modlę się! Ty pewnie jesteś na to zbyt intelektualna?

– Rachel, możemy dać sobie spokój z tymi szpilami na temat Browna? – mówię, siadając obok niej. – Naprawdę nie jestem w nastroju.

Rachel patrzy na mnie z ukosa.

– Ale poważnie, dlaczego zostałaś? – pyta. – Przez wzgląd na Matta?

Drapię się po głowie palcami obu rąk.

– Nie wiem – mówię. – Może częściowo. Ale głównie staram się po prostu rozgryźć, co powinnam ze sobą zrobić. Miałam wrażenie, że to zła pora na wyjazd.

Rachel opada na pośladki i przyciąga nogi do siebie, opiera brodę o kolana.

– Szczęściara z ciebie.

– Niby czemu? – pytam podejrzliwie.

– Bo należysz do tych nielicznych osób, które powinny „coś" ze sobą zrobić, podczas gdy cała reszta po prostu robi to, co musi, rozumiesz?

– Nie – mówię. – I nie wydaje mi się, by tacy ludzie w ogóle istnieli.

Rachel śmieje się nerwowo.

– Natalie, marzysz o studiach na Brownie, odkąd miałaś piętnaście lat. A ja w tym wieku chciałam tylko, żeby Janelle zabierała mnie ze sobą na imprezy i żeby Derek zaprosił mnie na szkolny bal. Wtedy wydawało mi się, że zwyczajnie cieszę się życiem, podczas gdy ty od swojego uciekałaś. Tylko że wszystkie moje marzenia były związane z liceum, a teraz skończyliśmy szkołę i mam wrażenie, jakby nic mi nie zostało. Nic poza Mattem w śpiączce. Wszyscy moi znajomi idą na Uniwersytet Kentucky. A ty się stąd wynosisz, tak jak chciałaś.

– To nie od was chciałam uciec – mówię cicho. – Wiesz o tym, prawda?

Rachel rzuca mi niedowierzające spojrzenie i przenosi wzrok z powrotem na tablicę.

– Ty przynajmniej czegoś pragniesz, nawet jeśli tym czymś jest ucieczka. A ja nie mam nic, czego mogłabym pragnąć, poza tym, żeby wszyscy tu wrócili. Nic na zawsze.

– A taniec?

– Nigdy nie chciałam tańczyć – odpowiada. – Chciałam tylko być w zespole tańca. To co innego.

– Nie jestem pewna, czy chcę iść na Browna. – Mówię to, jakbym spuszczała powietrze z balona, a mimo to słowa wiszą między nami, po raz pierwszy wypowiedziane na głos. – Chcę po prostu być mądra. Chcę poznać prawdę, chcę się liczyć.

– Głupota – mówi Rachel.

– Proszę?

– Głupota – powtarza bez ogródek. – Nie będziesz się liczyć tylko dlatego, że studiowałaś na Brownie. Już się liczysz.

– Rachel… – wzdycham. Ona nic nie rozumie (bo skąd miałaby zrozumieć?), ale otworzyła się przede mną, więc teraz, w tej chwili, i ja spróbuję otworzyć się przed nią. – Słuchaj. Kiedy miałam piętnaście lat, straciłam kogoś, kto był dla mnie bardzo ważny. Ona znała mnie lepiej niż ktokolwiek inny, lepiej nawet niż moja rodzina, Megan albo Matt. Rozumiała mnie doskonale i była do mnie bardziej podobna niż ktokolwiek, kogo

kiedykolwiek spotkałam, a kiedy zniknęła, zaczęłam się czuć, jakbym nie wiedziała, kim jestem, miałam wrażenie, jakbym nie pasowała do otoczenia. Znowu czułam się jak pięciolatka, która musi udowadniać, że jest dokładnie taka jak wszyscy. Dlatego zrezygnowałam z tańca… Wydawało mi się, że taniec wzmacnia we mnie to przekonanie, a chciałam nauczyć się być sobą i nie czuć, że muszę za to przepraszać. Chcę też dowiedzieć się czegoś o kulturze, z której pochodzę, bo dotąd właściwie nigdy nie szukałam informacji na ten temat. Dlatego właśnie wybrałam Browna. Bo jest daleko, ale nie za daleko, i mają tam Zakład Badań nad Kulturą Indian Amerykańskich. No i taniec. I owszem, fakt, że to jeden z najlepszych uniwersytetów w kraju, też miał znaczenie. Łatwiej wyjaśnić marzenia o prestiżowej uczelni niż całą resztę…

– Mogłaś mi to wszystko powiedzieć. – Rachel obrzuca mnie tym samym spojrzeniem co lata temu, kiedy się poznałyśmy. – No cóż – mówi wreszcie. – Brown też nie pomoże ci się stać sobą. Ty po prostu jesteś sobą, chcesz czy nie.

– A to, że ty jeszcze nie wiesz, czego pragniesz, nie znaczy, że w ogóle nie masz czego pragnąć.

Rachel przewraca oczami, ale potem jej usta wyginają się w uśmiechu.

– Nieważne. – Podpiera się o kolana, żeby wstać, i otrzepuje tył dżinsów. – Powinnyśmy się zbierać.

Kiwam głową.

– Daj mi jeszcze chwilę.

– Nie ma sprawy. – Rachel odchodzi, żeby poczekać na mnie przy samochodzie.

Odwracam się do tablicy, nie do końca pewna, co właściwie chcę zrobić. Dotykam jej palcami jak Rachel i zamykam oczy.

– Pomóż mi – szepczę.

Unoszę powieki i coś miga mi przed oczami. Serce mi staje i próbuję uchwycić tę zmianę. Tablica rozpływa się w powietrzu, a zamiast niej pojawia się kamienny znak. Pluszaki i kartki walające się po poboczu też znikają, zastąpione rabatą żółtych i fioletowych kwiatów, ale nim mogę odczytać słowa na znaku, ten znowu się zmienia. Zamiast imienia i numeru Matta widzę jednak drewniany krzyż z wyrytym napisem. Nie mam czasu mu się przyjrzeć, bo niemal natychmiast znika i w jego miejsce na powrót pojawia się tablica ze słowami „Módlcie się za Matta Kincaida #4”.

O Boże.

Widać Alice miała rację.

Naprawdę istnieją więcej niż dwa światy.

Albo to, albo znowu przeniosłam się w czasie. Może któregoś dnia ta tablica zostanie czymś zastąpiona. Albo kiedyś było na niej napisane coś innego. Wiem tylko, że dokładnie w tym samym miejscu znajdują się co najmniej dwa inne znaki.

W tym momencie Rachel trąbi klaksonem i krzyczy:

– Nat, gorąco tu, a Bóg usłyszy cię i z samochodu. Jedźmy już, dobrze?

Zanim Babcia odeszła, zanim istniały więcej niż dwa światy i zanim moja pierwsza miłość zapadła w śpiączkę, Grasancki Szał był jedną z moich ulubionych letnich imprez. Pamiętam, jaka byłam podniecona i przejęta, kiedy mama wiozła mnie na nią w pierwszej klasie. Zabawa zawsze kończy się treningiem futbolu dla wszystkich chętnych, a to był pierwszy rok Matta w drużynie. Zastanawiałam się, czy w ogóle

dadzą mu wyjść na boisko, czy też przez cały czas będzie się po nim szarogęsił ten nadęty Devin Berkshire, starszy rozgrywający. Nawet martwiłam się, że pozwolą Mattowi rozegrać kilka piłek i coś mu nie wyjdzie. Nie obchodziło mnie, czy jest dobrym graczem, po prostu wiedziałam, że bardzo by się wstydził porażki, no i co powiedziałby jego tata. Dziwnie pomyśleć, że jeszcze tylko kilka tygodni i Matt mógłby uciec przed tą nieustanną ojcowską krytyką na studia, a teraz…

Rzeczy, które dawniej mnie przerażały, w tej chwili wydają się drobiazgami. Czuję w sobie coraz bardziej znajomy ból, dojmujące pragnienie, by znalazł się przy mnie Beau. Nie mogę zapanować nad myślą, że gdyby tu był, wszystko byłoby dobrze, a przynajmniej lepiej.

Idziemy z Rachel przez parking, ściągając na siebie niejedno spojrzenie i prowokując szepty. Rachel reaguje na to zgrzytaniem zębów.

– Cholerni plotkarze – mruczy. – Gapią się, jakbyśmy nie miały prawa stać obok siebie, skoro obie całowałyśmy się z Mattem Kincaidem.

– Oni nie gapią się na ciebie – mówię. – Tylko na mnie.

– Zaleciało egocentryzmem…

– Stwierdzam tylko fakt. To ja całowałam się z kimś innym u Dereka, a potem pokłóciłam się z Mattem na ulicy, zanim odjechał. Oni wszyscy myślą, że to moja wina, i w sumie nie do końca się mylą.

Rachel przystaje i prycha ze zniecierpliwieniem.

– Boże, nie mów mi, że naprawdę tak myślisz.

– A ty nie?

Rachel rozgląda się ukradkiem, po czym chwyta mnie za rękaw i ciągnie za nadmuchiwany tor przeszkód.

– Słuchaj – mówi. – Matt powiedział mi o czymś. I naprawdę nie chciał, żebym o tym rozpowiadała, ale jeśli to pomoże ci się otrząsnąć, to chyba zaryzykuję.

– Mów dalej.

Rachel krzyżuje ramiona i patrzy na sandał, którym kręci dziurę w ziemi.

– Matty jest alkoholikiem.

– Co?! – pytam. – Niemożliwe.

– No cóż, można to tak podsumować. On sam nie użył tego słowa, ale to prawda – mówi Rachel. – Powiedział mi tamtego wieczoru na swojej imprezie… a właściwie następnego ranka. – Patrzy na mnie, a ja tłumię zniecierpliwiony jęk. – Kiedy się rozstaliście, zaczął pić jeszcze więcej i chyba stracił nad tym kontrolę. Ostatnio nie był nawet w stanie wypić jednego łyka, musiał skończyć całą butelkę.

Kręcę z niedowierzaniem głową i opieram się bezwładnie o gumowy zamek do skakania.

– Jak ja mogłam tego nie zauważyć?

– Nikt nie zauważył. – Rachel wzrusza ramionami. – Wszyscy myśleliśmy, że pije tylko na imprezach, jak my wszyscy. Matt powiedział mi to tylko dlatego, że miał straszne wyrzuty sumienia: prawie się puknęliśmy, a on praktycznie nic nie pamiętał. Było mu naprawdę wstyd. I to nie był pierwszy raz, kiedy nie pamiętał, co się działo. I wie, że po alkoholu zachowuje się jak fiut. Po prostu jeszcze nie wykombinował, jak nad tym zapanować.

– Boże…

– No – zgadza się Rachel, choć nie zna nawet połowy całej prawdy.

Nie wie, że w tamtą fatalną noc Inny Matt odmówił piwa, a Beau cały się spiął, kiedy to zaproponowałam.

„Nie, chyba lepiej nie”, powiedział wtedy Matt.

I nie wie, że po naszej kłótni przy samochodzie Beau ściągnął go ze mnie i rzucił na ulicę.

I że tamtego ranka w szpitalu Beau siedział z dala od Kincaidów, podczas gdy Joyce patrzyła na niego z wyrazem gniewu i pogardy, jakby ten wypadek to była jego wina. A Inna Megan potwierdziła, że owszem, Joyce naprawdę obwinia o to Beau. Nie o sam wypadek. Tylko w ogóle o picie.

Wszystko zaczyna nabierać sensu. Może w naszym świecie Matt dopiero został alkoholikiem, ale w świecie Beau już nim był. Złoty chłopiec ze skłonnością do nałogu – tylko to nie uległo zmianie, bez względu na okoliczności.

– Dobrze się czujesz? – pyta Rachel, kładąc mi rękę na ramieniu.

Dopiero wtedy dociera do mnie, że kręci mi się w głowie. Rachel podtrzymuje mnie, kiedy zaczynam osuwać się po gumowej ściance na ziemię.

– Więc to nie była moja wina – mówię.

– Nie, nie była.

– Pada deszcz.

– Co za błyskotliwe spostrzeżenie – komentuje Rachel. Ja jednak ledwo ją słyszę. Moją uwagę przyciąga czyjś niewyraźny cień przechodzący za jej plecami.

Rachel odwraca się, by sprawdzić, na kogo tak się gapię, i spogląda na mnie, nic nie rozumiejąc. Nie ma pojęcia, że właśnie widziałam jej wersję w platynowym blondzie, chodzącą w pojedynkę po terenie zabawy. Drugi świat powraca, znowu jest w zasięgu ręki. Zupełnie jak w szpitalu, kiedy widziałam naraz obie Joyce. Tak jakby rzeczywistości zderzały się i odbijały, czasem nachodząc na siebie, a czasem oddalając na niezmierzoną odległość.

– Muszę gdzieś iść – mówię do Rachel. – Znajdziesz kogoś, kto cię potem odwiezie?

– Od tamtego wieczoru z Mattem wszyscy traktują mnie jak trędowatą, ale jasne, nie ma sprawy, zagryzę zęby i pojadę z kimś, kto najpierw się do mnie uśmiecha, a potem obrabia mi za plecami tyłek.

– Przepraszam – mówię. – Ale to naprawdę ważne.

Rachel wzdycha.

– No dobrze, panno Brown. Ale wisisz mi przysługę.

– Ach tak? Wiszę ci przysługę za to, że pojechałam po ciebie i cię tu przywiozłam?

– Dokładnie tak.

Chwytam ją i obejmuję. Rachel momentalnie sztywnieje, po czym również mnie ściska.

– Dziękuję ci – mówię. – Za wszystko.

– Dobrze już, dobrze.

Jadę żwirową drogą, mijam stodołę Kincaidów i kieruję się do domu Beau. Prawie nic nie widzę przez deszcz, chociaż wycieraczki chodzą na najwyższych obrotach.

Wysiadam z samochodu i przy akompaniamencie gromów patrzę na mały domek i podwórko przed sobą.

Widzę nieużywaną działkę pod wynajem, z potłuczonymi szybami i nieskoszonym trawnikiem, nie dom Beau. Wchodzę do środka i idę zawilgoconym korytarzem do pustego pokoju, który powinien być jego sypialnią. Siadam w kącie, gdzie powinno stać jego łóżko, i ze wszystkich sił staram się go przywołać, powtarzam jego imię i wyobrażam sobie, że żołądek podjeżdża i opada mi w brzuchu, jakbym unosiła się na ogromnych falach.

Nie czuję go. Nie ma go w tym miejscu, nawet w jego własnej rzeczywistości.

Wychodzę z domu. Drzwi zatrzaskują się za mną. Pochylam głowę w deszczu i biegnę do samochodu, wsuwam kluczyk do zamka.

– Hej – mówi jakiś głos, stłumiony przez odległość. Podnoszę wzrok i obracam się. Czuję jego obecność na sekundę przed tym, jak go widzę; stoi po przeciwnej stronie podjazdu, włosy i ubrania ma przemoczone, to samo z papierową torebką, którą trzyma w ręce.

Mimo to wydaje się szczęśliwy. Spokojny, zadowolony.

– Hej.

Beau unosi torebkę.

– Właśnie cię szukałem – mówi.

W moich oczach wzbierają łzy ulgi i wolno ruszam w jego stronę. On też idzie do mnie, a kiedy przyspieszam, odrzuca torebkę z butelką i zaczyna biec w deszczu.

Co za ulga.

Jestem prawie szczęśliwa, prawie czuję się bezpiecznie.

Rzucam się na niego i Beau podnosi mnie, obejmuje, całuje w usta. Deszcz pada między nami i na nas.

– Ty drżysz – mówi Beau, patrząc mi w oczy.

Potrząsam głową. Nie mogę wydobyć z siebie głosu, od razu zalałabym się łzami. Nie jestem w stanie mu powiedzieć, że wszystko wiem – że problemy Matta z piciem to nie jego wina, nawet jeśli Kincaidowie tak myślą. Jedyne, co potrafię z siebie wydusić, to:

– Myślałam, że cię straciłam.

– Nie. – Beau przesuwa rękami po moich ociekających wodą włosach, kładzie je na moich policzkach i całuje mocno, a potem kręci głową. – Nie.

Deszcz leje jak z cebra, smaga bezlitośnie kłosy kukurydzy, trawę i żwir. Głos Beau ledwo do mnie dociera ponad szumem ulewy.

– Matt jest alkoholikiem – mówię.

– Wiem – odpowiada Beau, spuszczając wzrok.

– Czemu mi nie powiedziałeś?

Beau unosi leciutko wzrok i na jego twarzy pojawia się nikły, wymuszony uśmiech.

– A jak sądzisz, Natalie, od kogo taki złoty chłopiec jak Matt Kincaid mógł się nauczyć pić? Myślisz, że któregoś dnia po prostu natknął się w lesie na butelkę whiskacza? Bo przecież nie nauczył się tego od szczeniaka sąsiadów alkoholików.

– Ty pijesz, żeby przechodzić między światami – mówię. – Nie możesz się o to obwiniać.

Beau kręci głową, uciekając wzrokiem przed moimi oczami.

– Natalie, oboje wiemy, że piję z różnych powodów – mówi. – A wiesz, co w tym wszystkim najgorsze? Ja mogę przestać, kiedy chcę, w połowie drinka, mogę odstawić szota dosłownie od ust, to nie ma dla mnie znaczenia. Mieszkałem z różnymi alkoholikami i wiem, że oni tego nie potrafią. Ale nigdy nie sądziłem… Myślałem, że dla Matta to nie będzie problem, tak jak i dla mnie. Myślałem, że jemu będzie nawet łatwiej. Przegrywamy mecz albo on wścieka się na starych, musi się jakoś wyżyć… W porządku, myślałem. Zalejmy robaka. Tak robiłem, od kiedy miałem czternaście lat i mama po raz pierwszy odeszła. Nie wiedziałem, co to z nim zrobi… co ja z nim zrobię.

Spuszcza brodę i zaciska oczy, kręci głową, żeby nad sobą zapanować.

– Nie wiedziałem…

– Beau. – Ujmuję jego twarz w dłonie. – W moim świecie Matt też jest alkoholikiem. I to nie dlatego, że przyjaźni się z Beau Wilkesem. Tam w ogóle dla niego nie istniejesz. On po prostu ma taką osobowość. Wszyscy zbyt lekko to traktowaliśmy. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy.

Odchylam jego twarz do góry, ale Beau nadal spuszcza wzrok, nie chce na mnie patrzeć.

– To, co się stało… To nie była twoja wina, w żadnym ze światów. A problemy Matta… Nie ty je spowodowałeś. I tak wyszłyby kiedyś na wierzch.

Beau wreszcie podnosi na mnie oczy, marszczy brwi.

– Mówiłem ci już. To i tak nie miałoby znaczenia. Moja wina czy nie, i tak nie zamierzałem z ciebie rezygnować, Natalie. Ale coraz trudniej odnaleźć mi drogę do ciebie, a do tego zaczynam tracić poczucie czasu. Gubię całe fragmenty.

Czuję, że serce staje mi w piersi. A już myślałam, że odkryłam klucz, znalazłam odpowiedź. Myślałam, że jeśli zdołam sprawić, by Beau przestał się obwiniać, to on przestanie znikać, a tymczasem w ogóle nie mieliśmy na to żadnego wpływu. Czuję w gardle blokadę, dławi mnie węzeł wielki jak pięść.

– Jak myślisz, co to oznacza?

Beau zsuwa ręce na moje biodra i spuszcza wzrok, a potem patrzy mi w oczy.

– Że kończy nam się czas.

Znowu próbuję zapanować nad łzami. Ostatnio ciągle płaczę. Mam już tego dość. Wspinam się na palce u stóp i całuję Beau w czoło, jakby chcąc wygładzić bruzdę między jego brwiami.

– Nie poddawaj się jeszcze – szepczę.

I Beau się nie poddaje.

Idziemy do pustego domu, trzeszczącego od napęczniałych wilgocią desek i różnicy temperatur. Kładziemy się na podłodze, gdzie powinno stać jego łóżko, i przez całą noc leżymy przytuleni.

Beau przez cały czas trzyma mnie mocno i patrzy mi w oczy, prawie nie mruga, aż nagle niespodziewanie znika z moich ramion.

– Kończy nam się czas – mówię do Alice.

Co najmniej dwie minuty temu skończyłam opowiadać o wszystkim, co zaszło, a ona nie powiedziała o tej pory ani słowa. Przez ostatnie dwa dni widywałam Beau po jakieś dwie godziny, ale obie wizyty zakończyły się jego nagłym zniknięciem – w niedzielę wieczorem rozpłynął się, kiedy siedzieliśmy na trybunach boiska i oglądaliśmy zachód słońca, a w poniedziałek rano, kiedy leżeliśmy na jego łóżku, z palcami wplecionymi nawzajem w swoje włosy.

– A o co chodziło wtedy, kiedy tak nagle wybiegłaś? – pytam. – Wpadłaś na coś?

Alice wzdycha.

– Niezupełnie – mówi. – Myślałam, że na coś trafiłam, kiedy wspomniałaś, że Babcia może się ukrywać w innym czasie. Poszłam rozejrzeć się po teorii podróży w czasie, ale wpadłam w prawdziwe bagno.

– Nic nie znalazłaś?

– Tylko jeden drobiazg. Albert Einstein uważał, że czas to iluzja, tak jakby czwarty wymiar, który pokazuje, gdzie jesteś, i jest zależny od tego, jak szybko się poruszasz. Może to właśnie się dzieje, kiedy ty i Beau widzicie przyszłość i przeszłość: przenosicie się w przód lub wstecz, ale nie po długości, wysokości czy szerokości. Może właśnie dlatego nic nie wchodzi wtedy z wami w reakcję, jakbyście tylko wy znajdowali się w stanie stałym. Może przenosicie się tak szybko, że moglibyście przeniknąć nawet między cząstki ściany.

– Ale dla siebie nawzajem jesteśmy realni – przypominam.

– Owszem, i mówiliście też, że w tamtą noc, kiedy się poznaliście, Beau nie mógł wrócić do swojego świata. Zdaje się, że użył wtedy słowa „przykuty". Może kiedy jesteście razem, jesteście ze sobą związani. A ponieważ najwyraźniej oboje możecie przenosić się w czasoprzestrzeni, teoretycznie jedno z was może ciągnąć to drugie z tą samą prędkością. Może istnieje też luźniejsza forma powiązania w przypadku zwierząt. I stąd niezwykła podróż chomika Beau i twoja akcja z psem. Tak jakby zwierzęta nie umiały określić, do którego miejsca czasu przynależą, więc skaczą w tę i z powrotem. – Alice otwiera szufladę biurka i wyciąga zabawkową sprężynkę Slinky, przerzucając metalowe pętle z ręki do ręki z zamyślonym wyrazem twarzy.

Unoszę brew.

– Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego ty, osoba dorosła, psycholog i badacz, trzymasz w biurku coś takiego?

– To pomaga mi myśleć – odpowiada rzeczowo Alice. – Daje zajęcie dłoniom. A poza tym kiedy szukałam informacji na temat podróży w czasie, byłam na haju. Bawiłam się tym i nagle coś mi przyszło do głowy. – Składa zabawkę w rękach. – A co, jeśli ta sprężyna to czas, który od początku istnieje całościowo: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, tyle że ludzie i zwierzęta mogą go doświadczać, jedynie poruszając się w jednym kierunku wzdłuż kolejnych momentów? Nie możemy zobaczyć, usłyszeć ani dotknąć żadnego momentu poza tym, który aktualnie przeżywamy, ale one wszystkie

istnieją jednocześnie. Dlatego właśnie mogłaś zobaczyć wcześniejszą wersję siebie, kiedy Beau po raz pierwszy pokazał ci, jak poruszać się w czasie. Tamta Natalie stale istnieje, dokładnie tak samo jak ty sprzed dwóch minut i ty z dwóch minut od teraz. Zasadniczo ludzka percepcja powinna pozwolić ci widzieć tylko jedną Natalie naraz, a nie milion różnych Natalie stojących w rzędzie prowadzącym z parkingu do tego gabinetu, albo miliardy różnych Natalie i Beau rozciągnięte wzdłuż autostrady z Union aż po ten uniwersytet. To tak, jakbyś kartkowała do przodu książkę, animując narysowane w niej obrazki; te inne wersje ciebie przed i za tobą nadal istnieją.

– Chyba popsułaś mi mózg. Nic z tego nie rozumiem.

Alice rozciąga sprężynę, naciągając mocno metalowe pętle, po czym wskazuje małym palcem jedną z nich mniej więcej pośrodku.

– Każda z tych pętli to jeden moment i w tej chwili obydwie doświadczamy o, tego tutaj. Ale powiedzmy, że zaczniesz przesuwać się po sprężynie w tył. Mijasz wtedy wszystkie momenty, które wydarzyły się w twojej obecnej przestrzeni fizycznej: przechodzisz przez tę spiralę. A kiedy obsunięcie mija, wskakujesz z powrotem na swoje miejsce tuż po ostatniej chwili, której doświadczyłaś w porządku chronologicznym, nawet jeśli w międzyczasie ta wersja ciebie, która nie doświadczyła skoku, przesunęła się na inną pozycję w przestrzeni fizycznej.

– Poruszam się po sprężynie czasu – podsumowuję sceptycznie.

– Mówiąc dokładniej, poruszasz się przez tunel, który biegnie przez sprężynę czasu i który umożliwia jednej z wersji ciebie, istniejącej w tym konkretnym momencie, przeniesienie się do innego momentu.

– I to niby jest możliwe.

Alice kiwa głową w przód i w tył.

– Oppenheimer… no wiesz, ten od bomby atomowej… dowiódł, że czarne dziury są fizycznie możliwe.

– Czekaj… ten, co powiedział „I tak stałem się śmiercią”?

– Właśnie on, choć te słowa były właściwie cytatem z Bhagavad Gity. W każdym razie Einstein sądził, że tunele czasoprzestrzenne to kolejny logiczny krok. Ale sądził też, że taki tunel nie mógłby długo przetrwać, od razu by się zapadł.

Nachylam się do przodu.

– Więc myślisz, że w Union w stanie Kentucky istnieje taki tunel czasowy?

– Oczywiście, że nie – mówi Alice. – Gdyby tak było, wszyscy doświadczalibyśmy tych przesunięć. Myślę, że ten tunel… istnieje w tobie.

Chyba szczęka mi opadła. Pomysł, że osiemnastolatka bojąca się ciemności może zawierać w sobie dziurę w czasie, jest niemal śmieszny. Tym rodzajem śmieszności, od którego chce się płakać.

– Pomyśl tylko – dodaje śpiesznie Alice. Nagle zaczyna sprawiać wrażenie podekscytowanej, co stanowi wyraźny kontrast do przygnębienia i osamotnienia, jakie ogarnia mnie samą. Wyobrażam sobie smutny tuman kurzu przetaczający się przeze mnie jak po pustyni, a potem nagle moja wewnętrzna czarna dziura wsysa go i unosi w ciemność. – Jeśli cały czas wydarza się tak naprawdę jednocześnie, a jego upływ to tylko złudzenie, to może tacy ludzie jak my kryją te tunele w swojej świadomości! Te pozostałe momenty stale istnieją, ale to anomalie w naszej percepcji pozwalają nam

wchodzić z nimi w interakcje. To miałoby sens, bo przecież wszystkie te doświadczenia zaczynają się od stanu snu. A gdy tylko świadomość przestaje podróżować, przeskakuje z powrotem na to miejsce w strumieniu czasoprzestrzennym, gdzie powinna się aktualnie znajdować. Budzi się i znowu odczuwa czas tak, jak ludzki umysł powinien go odczuwać, czyli w sposób linearny. Nawet gdybyś była w stanie znaleźć czas, w którym ukrywa się Babcia, nie sądzę, byś potrafiła się w nim utrzymać. A Zamknięcie to pewnie moment, kiedy twoja świadomość na powrót zostaje ograniczona do jednego miejsca i zaczyna poruszać się w czasie tak jak powinna, czyli w stałym tempie i tylko do przodu.

– Ale przecież musi istnieć jakiś sposób. Skoro Babcia to potrafi…

– Teoretycznie owszem – mówi Alice. – Nie jestem pewna, czy ta teoria do końca mnie przekonuje, ale załóżmy, że tak. W takim wypadku nadal uważam, że klucz kryje się w hipnoterapii. Największą szansę na powodzenie mamy, odnajdując twoją traumę i wykorzystując ją do stymulacji czynności mózgowej, która powoduje te wizje, czyli obsunięcia w czasie.

– A co z Beau? – pytam. – Jak on pasuje do tej teorii? Czy on też jest tunelem czasoprzestrzennym?

– No cóż, to właśnie jest ten jeden element, który się nie zgadza. – Alice podnosi się i przedziera między stertami papierów do tablicy wciśniętej między regały. Rysuje linię, a potem dodaje odchodzące od niej odgałęzienia, aż w końcu zaczyna to wyglądać jak poziome drzewo. – Teraz mówimy o zupełnie innej teorii czasu, nazywa się ona „interpretacją wielu światów". Ta teoria zakłada, że każda decyzja i czynność ma swoje alternatywy. Równoległe rzeczywistości. To by tłumaczyło współistnienie naszego Union z rzeczywistością Beau. A do powstania obu tych światów doprowadziła czyjaś decyzja lub ciąg decyzji. – Alice zakreśla ostatnie dwie gałęzie na drzewie. – Hipotetycznie rzecz biorąc, nawet najdrobniejsza decyzja może doprowadzić do istnienia dwóch różnych wyników.

Czuję ucisk w żołądku i napinam ramiona.

– Na przykład moi rodzice nie zdecydowali się mnie zaadoptować.

Alice zamyka nagle usta.

– Albo twoja biologiczna matka postanowiła cię zatrzymać. Albo ktoś zaoferował twojej mamie inną pracę i w świecie Beau cała wasza rodzina mieszka w Timbuktu. Natalie, tu może chodzić o cokolwiek; nigdy się tego nie dowiemy, ale nawet zwykłe włączenie drzemki w budziku mogło stanowić punkt, w którym oba światy się rozgałęziły. Chodzi o to, że te dwie teorie wydają mi się nie do końca kompatybilne. Nadal umyka nam coś ważnego.

– A czy nie mogą obie być prawdziwe? Co, jeśli to wszystko to po prostu jedna wielka czasowa sprężyna z milionami odgałęzień?

– Nie mam pojęcia. Wierz lub nie, ale nie poświęcam aż tyle czasu na zgłębianie kwestii podróży w czasie. Wykonałam kilka telefonów do tak zwanych ekspertów, ale szczerze mówiąc, w tej chwili ty i ja wiemy chyba więcej od nich. Oni operują tylko na teoriach matematycznych, bez namacalnego doświadczenia.

– A my z kolei podążamy za świetlnymi tropami i twoim instynktem. – Chowam twarz w dłoniach i wczepiam palce we włosy. – Właściwie mam to gdzieś. Nie muszę

rozumieć, jak to wszystko działa, ani nawet dlaczego. Muszę tylko odnaleźć Babcię i dowiedzieć się, jak uratować Matta czy tę inną osobę, której coś grozi, a od zeszłego tygodnia nie zbliżyłyśmy się do tego ani o krok.

Zaciskam oczy, póki nie jestem pewna, że nie pociekną z nich łzy, i znowu patrzę na Alice, która siedzi z powrotem na krześle z grymasem na ustach i z lekko ściągniętymi brwiami. Nachyla się do przodu i niezręcznie nakrywa moją dłoń ręką. Po kilku sekundach puszcza i przesiada się obok mnie.

– Będziemy próbować dalej.

– Ktoś umrze – szepczę.

Alice wzdycha i odchyla głowę na oparcie kanapy.

– Może – mówi cicho.

Siedzimy tak do końca sesji i stąd wiem: obie się poddałyśmy.

Kiedy wstaję, żeby wyjść, Alice chwyta mnie za łokieć.

– Przyjdziesz w czwartek. – To coś pomiędzy pytaniem a stwierdzeniem.

– Prawdopodobnie – odpowiadam z trudem.

Przez resztę wtorku i większość środy wydzwaniam do Beau co pół godziny, ale nadal nie mogę się dodzwonić na jego jednorazowy numer. Czas wypełniam sobie wydeptywaniem ścieżek w dywanie Megan, ponurymi spacerami po lesie, zmuszaniem się do boleśnie banalnych rozmów z panią Phillips przy kolacji oraz jeżdżeniem do domu Beau i przesiadywaniem w pokoju, w którym powinien mieszkać.

Około północy leżę w łóżku, kiedy nagle leżący przy uchu telefon zaczyna wibrować.

– Halo? – mówię, natychmiast przytomniejąc.

– Natalie. – Beau wymawia moje imię niczym westchnienie ulgi.

– Dzięki niech będą Babci…

– Tęskniłem za tobą – mówi. – Myślałem, że może…

Nie kończy, ale wiem, co zamierzał powiedzieć.

– Nie, jeszcze nie.

Poprzedni raz nie był naszym ostatnim spotkaniem.

– Mogę do ciebie przyjechać? – pyta.

– Do domu Megan?

– Nie wytrzymam w tej chwili u siebie.

Przez chwilę debatuję nad tym w myślach. Nie chcę lekceważyć rodziców Megan, ale jeszcze bardziej nie chcę stracić ani chwili z Beau.

– Zaparkuj dalej na ulicy i podejdź do tylnych drzwi.

– Zaraz tam będę.

– Możemy się w międzyczasie nie rozłączać? – pytam. – Tak na wszelki wypadek.

– Jasne – zgadza się Beau. – Zróbmy tak.

Nie wyłączam telefonu aż do momentu, kiedy widzę Beau po drugiej stronie szklanych drzwi, z telefonem przy uchu i tym swoim ciężkim uśmiechem. Podnosi dłoń na powitanie. Rzucam telefon na krzesło, odsuwam drzwi i przyciągam go do siebie. Beau przytula policzek do mojej twarzy.

– Jesteś.

Odwraca mnie tak, że opieram się plecami o uchylone drzwi, i jego palce spoczywają

na pasku moich szortów.

– Jestem.

Patrzy na mnie tak intensywnie, że czuję ciepło wszędzie, gdzie zatrzymuje się jego spojrzenie.

– Myślisz, że gdybyśmy mieli więcej czasu, nie czulibyśmy tego do siebie?

– To zależy – mruczy Beau.

– Od?

– Od tego, co dokładnie czujemy.

Zanim mam czas odpowiedzieć, lampa przy łóżku gaśnie i warstwy pustej pościeli unoszą się nagle, wypełnione ciałem, którego przedtem tam nie było.

– O Boże. – Wciągam powietrze i zasłaniam usta ręką.

Beau ogląda się przez ramię na leciutko pochrapującą osobę na łóżku: Inna Megan.

– Chodź – mówi bezgłośnie, wyciągając mnie na dwór i zasuwając drzwi.

Idziemy przez taras do drewnianych leżaków i stolika, gdzie przesiadywałyśmy z Megan w sobotnie poranki przy kawie i słodkich płatkach śniadaniowych, żeby wyleczyć lekkiego kaca.

– Co ja mam zrobić? – pytam Beau. – Nawet jeśli ona teraz zniknie, to co będzie, jeśli wrócę tam, zasnę i obudzę się wtulona w wersję Megan, która zna mnie dosłownie od paru dni?

Beau pociera bruzdę między brwiami.

– To naprawdę zaczyna się robić lekko zwariowane.

– Co ty powiesz. I nie możemy wrócić do ciebie?

Beau wbija wzrok w ziemię i przygryza dolną wargę.

– Nie dzieje się tam dobrze.

Dotykam jego twarzy. Jego skóra jest ciepła i śliska od potu.

– W porządku.

Siadamy na pokrytych rosą leżakach, opierając głowy o ścianę domu.

– Szkoda, że się tego nie dowiemy – mówi Beau.

– Hm?

– Co byśmy do siebie czuli – wyjaśnia. – Gdybyśmy mieli więcej czasu.

Wzdycham i otaczam się jego ramieniem.

– Pewnie miałbyś dość tego, że przy każdym filmie krzyczę, co się zaraz stanie, a ja miałabym dość twojego picia i rzucania ubrań, gdzie popadnie. Wkurzałby mnie bałagan w twoim pokoju, a ty z kolei nie mógłbyś znieść tego, że nie jestem w stanie nic zrobić bez uprzedniego planowania każdego szczegółu.

Beau śmieje się.

– Co, nie wierzysz?

– Myślę – mówi, patrząc na mnie – że to kłamstwo, i dobrze o tym wiesz.

– Dobrze, niech ci będzie. W takim razie sam powiedz, co by się wydarzyło.

– Pobralibyśmy się – mówi Beau.

– Ach tak? W moim świecie czy w twoim?

– W jednym i drugim – odpowiada. – A potem, za jakieś dziesięć czy piętnaście lat, urodziłabyś dziecko.

– I jak byśmy je nazwali? – pytam, podejmując grę.

– Ją – poprawia Beau.

– Więc jak byśmy ją nazwali? – pytam cicho.

– Nie wiem. Może Natalie Junior – mówi. – Wyglądałaby kubek w kubek jak ty.

– Ale piłkę rzucałaby tak jak ty.

– I odziedziczyłaby po tobie inteligencję. Rozmawiałybyście sobie o wszystkim, czego ja nie łapię, i dzięki temu nigdy byście się mną nie znudziły.

Śmieję się w jego szyję.

– A ty trenowałbyś drużynę futbolową, żeby nie znudzić się mną. – Twarz Beau rozświetla się na tę myśl i mam ochotę powtarzać to zdanie raz za razem. – I oczywiście grałby w niej Beau Junior.

– Nie możemy nazwać syna Beau Junior. Wszyscy mówiliby na niego BJ i śmieliby się, że to skrót od Bez Jaj.

– Ojejku, słusznie. To jak byśmy go nazwali?

– Nie wiem. – Beau gładzi mnie po włosach i całuje w głowę. – Pewnie też Natalie.

– Mówisz tak, bo wiesz, że nie mogę trzymać cię za słowo.

– Nie – odpowiada. – Mówię tak, bo mogę nie mieć drugiej okazji.

Wsuwam palce w jego włosy i przyciskam usta do jego policzka. Słowa więzną mi w gardle, rodzą się i giną raz za razem, w nieskończoność. Kocham cię.

W czwartek wychodzę z mgiełki hipnozy i pierwszą rzeczą, którą widzę, jest uśmieszek doktora Wolfganga. Od razu myślę, że w transie zdradziłam się z czymś upokarzającym, ale wtedy widzę, że Alice wykręca sobie ręce, oczy ma szeroko otwarte.

– Znaleźliście coś? – pytam.

– Zawsze coś znajduję – skrzeczy Wolfgang. – Po to właśnie używa się mapy.

Te ostatnie słowa to złośliwość i oczy doktora przesuwają się mimowolnie na Alice, ale ona chyba tego nie zauważa. Przełyka tylko ślinę i mówi:

– Dziękuję ci, Frederick. Chyba dalej już sobie poradzimy.

Doktor Wolfgang mruczy coś po niemiecku, ale mimo to zbiera rzeczy i wynosi się. Kiedy zostajemy same, Alice idzie zamknąć drzwi i siada na krześle, gapiąc się na mnie.

– No i? – pytam. Czuję się niezręcznie i zaczynam się niepokoić. – Powiesz mi wreszcie?

Alice bierze z biurka dyktafon i podaje mi go.

– No dalej.

Chwilę trwa, zanim zbieram się na odwagę. Cokolwiek jest na tym nagraniu, kiedy to usłyszę, już nie zapomnę. Ale jeśli tu kryje się klucz do odzyskania Babci, to naprawdę nie mam wyboru. Biorę głęboki wdech i wciskam PLAY.

Z początku słyszę tylko swój równy oddech, pewnie tak to brzmi, kiedy śpię.

Nagle rytm zakłóca ostry wdech, jakby coś mnie gwałtownie obudziło.

– Mamusiu? – słyszę swój głos, tylko wyższy i cichszy, jakby młodszy. – MAMUSIU!

Zaczynam krzyczeć – ta ja z nagrania – wrzeszczę tak, że krew ścina się w żyłach.

I nagle przestaję to tylko słyszeć. Wydaję z siebie te dźwięki. Ta ja w pokoju. Widzę to. Czuję.

Wszystko.

Nie jestem już w gabinecie. Jestem w samochodzie, przypięta pasem do dziecięcego fotelika. Auto wpada na coś i zjeżdża na bok, wyskakuje w powietrze, żołądek podjeżdża mi do gardła jak podczas jazdy kolejką górską. Spadamy na ziemię, szyby tłuką się pod wpływem uderzenia. Wszędzie szkło. Ból. Mrok nocy. Nad nami rozlegają się grzmoty, ale ledwo je słyszę. Cały świat ogarnia cisza, zatyka mi uszy, tłumi dźwięk mojego głosu, który krzyczy: „Mamo! Mamusiu!", a auto zaczyna się wypełniać wodą ze strumienia i deszczem.

– PRZESTAŃ – mówi inny głos.

Nie w moim wspomnieniu. To głos Alice i nagle jestem z powrotem w jej gabinecie. Kręci mi się w głowie.

– Obudź ją – mówi Alice w dyktafonie. – Frederick, masz ją natychmiast obudzić.

Nagranie dobiega końca i dyktafon się wyłącza. Podnoszę wzrok znad kawałka plastiku w rozedrganych rękach na Alice, której twarz jest trupio blada.

– Moje sny.

Kiwa głową.

– To nie sny – potwierdza. – Tylko wspomnienie.

– Ona zasnęła – mówię z płaczem. – Zasnęła za kierownicą i miałyśmy wypadek.

Twarz Alice zachowuje kamienny wyraz, podczas gdy ja raz za razem odgrywam w głowie to wspomnienie, fragmentaryczne i mroczne, zimne i mokre. Zaczyna mnie ogarniać panika. Nie powinnam tak się bać – to było dawno temu. Nie powinnam czuć się w ten sposób, jakby nic nie mogło dać mi poczucia bezpieczeństwa. Ogarnia mnie fala zawrotów głowy i nie mogę sobie przypomnieć, jak się oddycha. Wciągam powietrze raz za razem, ale tlen nie dociera do moich płuc. Czuję w całych piersiach ból, który rozchodzi się aż do ramion.

– Natalie – mówi Alice. Jej ton jest szorstki, ale też dziwnie krzepiący w swojej konkretności. – Oddychaj głęboko. Skup się na oddechu. Wszystko będzie dobrze, obiecuję. To, co w tej chwili czujesz, zaraz minie.

Prawie jej nie słyszę. Nie mogę oddychać. Zaraz umrę. Cokolwiek mnie spowija i dusi, nie da się przed tym uciec.

– Natalie – mówi Alice ostrzej. Chwyta mnie za rękę. – Złap się mnie, z całej siły.

Tak strasznie kręci mi się w głowie, czuję się taka oderwana i nie mogę złapać oddechu.

– Natalie, złap mnie za rękę.

Zaciskam palce na jej dłoni.

– Mocniej – mówi Alice. – Z całej siły, i oddychaj. Wdech.

Wykonuję polecenie, przemagając słabość w płucach, i zaciskam rękę na dłoni Alice.

– Dobrze – mówi Alice. – A teraz rozluźnij się i wydech. Możesz to zrobić?

Mogę, a po kolejnych kilku powtórzeniach zawroty i ból zaczynają ustępować. Alice ściska lekko moją dłoń i uśmiecha się słabo.

– Jeśli to za trudne, możemy wezwać specjalistę od EMDR – mówi cicho. – Nie musisz się tak czuć.

Wysuwam rękę z jej palców. Wciąż oddycham z trudem, ale to wrażenie przytłaczającego ciężaru minęło.

– Jeszcze dwa tygodnie – mówię. – To wszystko.

– Jeśli jesteś pewna – odpowiada Alice, prostując się.

Robię, co mogę, by skupić uwagę na tym zagraconym gabinecie. Wbijam wzrok w Alice i mój puls uniezależnia się wreszcie od wspomnienia wypadku.

– Czemu mi nie powiedziała? – pytam.

– Kto, Babcia?

– Mama – mówię. – Przez całe życie dręczy mnie ten koszmar. Ona o tym wie. Dlaczego mi nie powiedziała?

Alice wzdycha i odchyla głowę.

– Natalie, raz w całym swoim życiu uprawiałam seks z mężczyzną. To było, kiedy miałam dziewiętnaście lat. Zaszłam w ciążę.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś…

– Stuprocentową lesbijką – potwierdza Alice. – Ale nie to chcę powiedzieć. Chodzi o to, że ten facet nie chciał być ojcem, a ja nie chciałam, żeby został w moim życiu na zawsze, a do tego byłam w połowie studiów na Stanfordzie… Wszystko przemawiało za tym, bym dokonała aborcji. Tylko że ja bardzo chciałam tego dziecka. Byłam lesbijką, feministką i naukowcem, ale w głębi serca wiedziałam, że pragnę również mieć dzieci. Ostatecznie przekonałam samą siebie, że nie jestem na to gotowa, ale było już za późno. Znalazłam parę, której postanowiłam oddać dziecko, a w międzyczasie wymawiałam się jakoś od wizyt w domu podczas ferii. Kiedy urodził się mój syn, oddałam go tamtym ludziom i nigdy nie powiedziałam rodzinie o jego istnieniu.

Kręcę głową.

– Czemu mi to mówisz?

– Bo przyczyną, dla której to ukrywałam, nie był strach, że się na mnie zawiodą. Miałam złamane serce. Teraz wiem, że cierpiałam na depresję poporodową, ale to nie wszystko. Żałowałam swojej decyzji. Mogę sobie wmawiać, że mojemu dziecku było lepiej z dorosłymi rodzicami o stałych dochodach, i to pewnie prawda, tylko że nigdy nie będę mieć pewności.

Alice wciąga z wysiłkiem powietrze i mówi tak, jakby z trudem wydobywała z siebie głos.

– Od trzynastu lat żałuję tej decyzji. Nic nigdy nie bolało mnie tak jak obawa, że dokonałam niewłaściwego wyboru dla swojego dziecka. Czasem ludzie nie mówią o pewnych sprawach, bo po prostu nie chcą, żeby ich pocieszano. Nie chcemy, żeby ktoś nam wmawiał, iż to nie nasza wina, albo że nam wybacza, albo że postąpiliśmy najlepiej, jak mogliśmy. Chcemy zatrzymać w sobie ten ból, bo wydaje nam się, że na niego zasługujemy. Boimy się, że jeśli pozwolimy mu odejść, to tak jakbyśmy odbierali mu znaczenie. A kiedy patrzę na ciebie… – Alice przyciska koniuszki palców do ust i kołysze głową, walcząc ze łzami.

Wcale nie chcę jej pocieszać. Chcę, żeby płakała. Tak jak ja płakałam i jak chciałabym, żeby płakała moja rodzona matka. Przeraża mnie to, co czuję, kiedy wreszcie ustępuje panika: wściekłość, gotującą się, wybuchową wściekłość.

– Cześć, skarbie! – Głos mamy w telefonie brzmi wesoło i energicznie, co tylko jeszcze bardziej mnie denerwuje. – Właśnie mówiliśmy, jaka szkoda, że cię tu nie ma!

Chwilę trwa, zanim jestem w stanie się opanować. Chodzę w kółko po tarasie przed

pokojem Megan.

– Wiem o wszystkim – wyduszam wreszcie.

– Co?

– Wiem o wypadku.

Po chwili ciszy słyszę długi wydech mamy.

– Skarbie, tak mi przykro.

– Przykro ci?! – Z całej tej frustracji mogę się tylko roześmiać. – Cały czas wiedziałaś! Dlaczego miałam te koszmary, dlaczego bałam się ciemności, dlaczego miewałam napady paniki. W każdym momencie ostatnich PIĘTNASTU LAT mogłaś mi pomóc, ale tak się bałaś, że się dowiem, że to wszystko twoja wina, że wolałaś zwyczajnie pozwolić mi cierpieć. Mogłaś mi pomóc, ale nie pomogłaś.

– Nie rozumiesz – mówi błagalnie mama. – Chciałam ci oszczędzić niepotrzebnego bólu…

– Oszczędzić mi bólu? – wrzeszczę. – Po co w ogóle prowadzałaś mnie na terapię, jeśli nie miałaś zamiaru mówić, skąd się wzięły moje problemy?

– Nie wiedziałam, że były związane z wypadkiem! – mówi mama i głos jej drży. – Twoi lekarze byli pewni, że chodziło o…

– Chryste, więc jestem tu jedyną osobą, która nie ma prawa wiedzieć nic o własnym życiu, czy tak?!

– Natalie, to nie w porządku. Jestem twoją matką. Moje zadanie to…

– Okłamywać mnie? Przyznaj się, mamo, chroniłaś samą siebie.

– Kochanie, proszę cię – szepcze mama. – Ty nie rozumiesz. Pragnęłam ci powiedzieć, myślałam o tym tysiące razy, ale nie chciałam zmuszać cię do ponownego przeżycia tego wypadku, nie mając pewności, że to ci w czymś pomoże. Przecież terapia EMDR podziałała. Nie sądziłam… Nie sądziłam, że musisz to wiedzieć…

– Przestań się usprawiedliwiać.

– Natalie, jestem twoją matką!

– Ja nie mam matki! – krzyczę.

Nie potrafię, nie jestem w stanie dokończyć tej rozmowy. W głowie mi się kręci. Nie mogę złapać oddechu. Znowu czuję na piersiach ciężar. Rozłączam się i ciskam telefon w stronę lasu. Ląduje w krzakach i niemal natychmiast zaczyna dzwonić.

Głosy Sheryl Crow i Stevie Nicks zwalniają i robią się niewyraźne, świat zaczyna wirować, dyszę ciężko i widzę przed oczami ciemne plamy. W momencie, kiedy zdaję sobie sprawę, że nie czuję nóg, spowija mnie mrok.

– Był sobie kiedyś człowiek o imieniu Abraham, z którym rozmawiał Bóg – mówi Babcia.

– Tak jak ty rozmawiasz ze mną – wtrącam.

– Mniej więcej – zgadza się Babcia. – A może bardziej w sposób, w jaki rozmawia z Bogiem Megan, w cichości myśli i w głębokich, intensywnych uczuciach. W każdym razie rozmawiali ze sobą przez cały czas i Abraham znał głos Boga tak dobrze, że kiedy Bóg się odzywał, zawsze doskonale go słyszał. Znał też serce Boga tak dobrze, że kiedy Bóg nakazywał mu coś zrobić, Abraham ufał mu całkowicie, jak dziecko ufa rodzicowi, nim odkryje, że dorośli nie zawsze mają rację.

Ta myśl jest bolesna.

Ale dlaczego?

Nic mi nie grozi, leżę w łóżku, rodzice śpią w sypialni na drugim końcu korytarza, ale coś jest między nami nie tak.

Ten powracający sen. To odkrycie uderza we mnie jak smagnięcie wichury. Ten sen o wypadku samochodowym to wcale nie sen. To wspomnienie.

Podnoszę wzrok na stojący w kącie fotel Babci i widzę, że nie ma obok niego drzwi.

– Ja śnię – mówię. – To też jest sen.

– Nie. – Babcia kręci głową i posiwiałe pasmo włosów opada jej na czoło. – To wspomnienie wewnątrz snu.

– Wspomnienie – mruczę, zakopując się w pościel.

– Miałaś czternaście lat, kiedy opowiedziałam ci tę historię.

– Zgadza się – potwierdzam, choć w umyśle nadal mam zamęt. – Wtedy wydawało mi się, że nie ma w niej sensu.

– A teraz? – pyta Babcia.

– Ja… sama nie wiem – odpowiadam z trudem. – W każdym razie mówi o zaufaniu i o tym, że rodzice nie zawsze mają rację. To rozumiem.

– Ach – mówi Babcia, składając ręce na podołku. – Więc dotarliśmy już do tego momentu.

– Którego? – pytam, usiłując otrząsnąć się z otępienia.

– Tego, w którym twoje zaufanie zostaje zdradzone – mówi Babcia.

– Więc wiedziałaś o tym?

– Dziecko, ile razy mam ci powtarzać, że ja wiem wszystko?

– Wszystkie te opowieści – mówię. – One nic nie znaczyły, kiedy mi je opowiadałaś, ale potem zaczynają mieć przełożenie na moje życie, prawda? Jak proroctwa.

– Owszem, jak proroctwa – mówi Babcia. – Ale też nie proroctwa. Jak przypowieści, ale nie przypowieści.

– Nawet w moich snach mówisz zagadkami – stwierdzam.

– To twoja wina. Nie możesz mieć do mnie pretensji. Przecież wcale mnie tu nie ma.

– Jak to działa, takie wspomnienie we śnie?

– Przypuszczam, że dokładnie tak samo jak twój koszmar. Przypominasz sobie

historię, którą ci opowiedziałam, i łączysz ją z aktualnymi wydarzeniami, by wydobyć z nich jakiś sens.

– Teraz przemawiasz jak Alice.

– No cóż, zaabsorbowałaś trochę jej osobowości. Natalie, bardzo się związujesz z ludźmi, których kochasz. Przechowujesz w sobie cząstki nich. Pozwalasz wszystkim napotkanym osobom, by na ciebie wpływały.

– Chciałabym umieć sprawić, żeby nie wpływały na mnie aż tak bardzo.

– Na pewno teraz, kiedy już wiesz o wypadku, czujesz się pozbawiona oparcia – mówi Babcia. – Masz wrażenie, że twoja rodzina nie jest już bezpiecznym schronieniem, a skoro tak, to gdzie masz go szukać?

– Skoro tak twierdzisz, na pewno masz rację. W końcu jesteś tylko pochodną mojej podświadomości.

– Bezczelna jesteś, dziewucho – mówi Babcia.

– Uczyłam się od mistrzyni. Zanim mnie zostawiłaś.

Jej wszystkowiedzący uśmiech blednie i Babcia nachyla się w moją stronę ruchem, który przypomina mi Alice.

– Ja cię nigdy nie zostawię. Nie zapominaj o tym – mówi.

Czy ona naprawdę to powiedziała? – zastanawiam się. Wydaje mi się, że nie, ale brzmi to tak realnie, że postanawiam jej uwierzyć, tej wyśnionej wersji Babci. Widać w głębi serca naprawdę tak uważam albo przynajmniej chciałabym tak uważać, skoro moja podświadomość wkłada te słowa w jej usta.

– A teraz ułóż się wygodnie, a ja opowiem ci tę historię – mówi Babcia.

– Po raz drugi – przypominam.

– Po raz drugi. Któregoś dnia Bóg przemówił do człowieka o imieniu Abraham. „Abrahamie, rzekł do niego. Weź syna swego Izaaka (czy też Izmaela, w zależności od tego, kto opowiada tę historię), którego kochasz nad życie, i idź do kraju Moria, gdzie wejdziesz na górę i złożysz go w ofierze". Słysząc i znając głos Boga, Abraham usłuchał i wyruszył do kraju Moria wraz ze swym synem i dwoma sługami. Kiedy ujrzał wybraną przez Boga górę, rozkazał sługom zaczekać u jej podnóża, sam zaś wszedł z Izaakiem, by oddać cześć Panu. „Potem obydwaj wrócimy tu do was", rzekł, wiedział bowiem, że Bóg nie wydałby go na pastwę niebezpieczeństwa. Nie skrzywdziłby go. Kiedy wspinali się na szczyt, Abraham zbierał drewno na ołtarz ofiarny. Podawał je Izaakowi, który zapytał: „Ojcze, ale gdzie jest jagnię na ofiarę?". „Bóg się o nie zatroszczy", odparł Abraham swemu umiłowanemu synowi i wspinali się dalej. Kiedy dotarli na szczyt, Abraham wytężył słuch w oczekiwaniu na głos Boga, lecz nic nie usłyszał. Zbudował zatem ołtarz ofiarny i przywiązał do niego Izaaka. Ogarnął go strach, lecz nadal ufał, że Bóg kocha go i nie pozwoli mu zabić syna, chyba że zamierza przywrócić go do życia. Tak więc wzniósł nóż nad sercem Izaaka i wtedy nagle Bóg przemówił do niego. „Abrahamie, Abrahamie – rzekł. – Odłóż nóż i nie rób krzywdy chłopcu. Ujrzałem bowiem twoje serce i wiem, że niczego mi nie odmówisz. Znasz moje oblicze jak oblicze ojca swego. Znasz miłość moją do ciebie jak swoją własną do Izaaka. Wiesz, co sam zrobiłbyś dla swojego dziecka, i rozumiesz, że ja zrobiłbym to samo dla ciebie". Abraham rozwiązał syna, a kiedy podniósł wzrok, ujrzał barana, którego rogi zaplątały się w ciernie. Wraz z Izaakiem zabił stworzenie, które zesłano

mu na ofiarę w miejsce syna. I od tej pory miejsce to znane było pod nazwą „Bóg Się Zatroszczy”.

– Ale dlaczego w ogóle musieli składać jakąkolwiek ofiarę?

– To był symbol – wyjaśnia Babcia. – Niewinne życie musi zginąć za kogoś innego; jest to akt najwyższej miłości. Decyzja, by zginąć, aby ktoś inny mógł żyć.

– Twoje opowieści są pełne symboli, prawda?

– Każda wielka opowieść mówi o ofierze – stwierdza Babcia.

– Nie wydaje ci się to sprzeczne z twoją mantrą, że „nie możemy przykładać anglosaskiego kontekstu i standardów do opowieści indiańskich”?

– Owszem – zgadza się Babcia. – Ale ja tak nigdy nie mówiłam. To twoje słowa.

Ktoś powtarza moje imię. Cichy głos o śpiewnej, zaciągającej wymowie. Czyjeś ręce ściskają mnie za ramiona, odsuwają mi włosy z twarzy.

– Natalie, obudź się.

Mrugam, wybudzam się z wielkim trudem i widzę nad sobą pełne usta, ciemne włosy i orzechowe oczy, wszystko spowite mrokiem. Głowa, nie wiedzieć czemu, pulsuje mi bólem. Słyszę pohukiwanie sów i odgłosy nocnych stworzeń.

– Beau?

Pomaga mi usiąść.

– Gdzie ja jestem? – pytam, po czym dochodzi do mnie, że leżę na chłodnym cemencie na tarasie Megan.

– Od kilku godzin próbowałem się do ciebie dodzwonić – mówi Beau, delikatnie podpierając moją głowę. – Co się stało? Nic ci nie jest?

– Mój telefon – mówię, próbując otrząsnąć się z oszołomienia. – Wyrzuciłam go w lesie.

Beau unosi ze zdziwieniem brwi, ale nie widzę zwykłego uśmiechu na jego twarzy, jego ramiona są przygarbione i napięte.

– Co się dzieje? – pytam, dotykając jego ust.

Kąciki jego oczu się marszczą.

– Kincaid się obudził.

– Jeden i drugi? – pytam głosem niewiele mocniejszym niż szept.

– Nie wiem – odpowiada Beau. – Coraz bardziej tracę poczucie czasu. Chyba nikt tego nie zauważa, ale mam wrażenie, jakby wypadały mi z życia całe godziny. Ocknąłem się na środku swojego pokoju z telefonem w dłoni i wiadomością od Rachel na sekretarce.

– Byłeś już u niego?

Kręci głową.

– Najpierw chciałem ci powiedzieć.

Co się ze mną stało? Gdzie byłam przez ostatnie godziny? Obejmuję Beau i przyciskam czoło do jego piersi.

– Co się z nami dzieje?

Beau gładzi mnie po głowie.

– Nie wiem.

Może właśnie przeżywamy nasze Zamknięcia, ale chodzi też o coś więcej. Wszystko

jest wzajemnie powiązane: opowieści Babci, jej ostrzeżenie, nasze dwa światy i to, że gubimy czas.

– Boję się – mówię.

Beau całuje mnie, by mnie pocieszyć i jednocześnie powiedzieć, że sam też czuje strach.

Wypuszcza długi oddech.

– Jest coś jeszcze. – Odsuwam się, żeby widzieć jego oczy, kiedy będzie to mówił. – Nie wiem, co to oznacza – zaczyna Beau, kręcąc głową – ale widziałem twoją rodzinę.

– Co? Kiedy? Przecież ich tu nie ma, są…

– Wiem – przerywa mi z kiwnięciem. – Musieli być w mojej rzeczywistości. Widziałem ich na stacji benzynowej, mieli na tylnym siedzeniu masę bagaży, może tylko przejeżdżali przez okolicę. Twój brat miał na sobie bluzę Szkoły Świętego Pawła. Może tam chodzi albo chodził, albo… sam już nie wiem.

– Nie rozumiem… I mnie z nimi nie było?

Beau znowu kręci głową.

– Odczekałem, póki nie odjechali, żeby mieć pewność, że nie poszłaś tymczasem do łazienki albo gdzie indziej. – Znowu robi mi się niedobrze i czuję zawroty głowy, jakby mój umysł tkwił w miejscu, a całe ciało wirowało. Beau dotyka mnie po ramieniu, żeby mnie uspokoić.

– Natalie.

– Wszystko w porządku – wmawiam sobie. Wcale nie czuję się w porządku. Czuję się źle; mam wrażenie, że to słowo zostało wynalezione dokładnie po to, by opisać mój stan. – W porządku. Później to rozpracujemy. Jedźmy do Matta. – Beau nie rusza się, póki nie zaczynam się chwiejnie podnosić, a wtedy pomaga mi wstać i prowadzi za dom. – Beau?

Zatrzymuje się przed furgonetką.

Zmuszam się, żeby przełknąć ślinę przez ściśnięte gardło.

– Jakie oni sprawiali wrażenie?

Beau przyciąga mnie do siebie i jego usta dotykają mojego czoła.

– Byli szczęśliwi – mówi. – Twoja rodzina wydawała się szczęśliwa.

Zaciskam oczy.

– To dobrze.

Jedziemy do szpitala, choć nie wiemy, którą rzeczywistość zastaniemy na miejscu. Kiedy idziemy przez parking, biorę Beau za rękę.

– W którym jesteśmy świecie?

Beau przymyka na chwilę oczy, po czym patrzy na mnie.

– Nie wiem. Coraz trudniej mi je rozróżnić.

Co to może oznaczać? Co to może oznaczać, że dwie różne wersje tego samego miejsca nie wydają się już tak różne? Co to może oznaczać, że Beau gubi całe godziny z życia? Co to może oznaczać, że w jego rzeczywistości nie jestem ze swoją rodziną, ale nie jestem też z nim?

Wchodzimy do środka i orientuję się, w którym jesteśmy świecie, kiedy w poczekalni podbiega do mnie Rachel. Ma ciemne włosy i spuchnięte oczy.

Coś jest nie tak.

Rachel przywiera do mnie mocno i zaczyna drżeć i płakać.

– Rachel – mówię i mój głos zaczyna się łamać, brzmi niemal, jakbym była zła. Ona jednak nie przestaje płakać, więc odpycham ją mocniej, niż zamierzam. – Rachel, co się stało?

Rachel patrzy na mnie z otwartymi, wykrzywionymi ustami, ściągniętym czołem i mokrymi policzkami.

– Rachel – powtarzam z naciskiem. Beau stoi kilka kroków za mną, zastygły w bezruchu i oczekiwaniu. – Co się stało?

– On… – Rachel zaciska dłonie na rąbku koszulki i chrypi piskliwie przez ściśnięte gardło. – On odszedł.

– Odszedł? – mówię prawie bezgłośnie.

Rachel zgina się wpół i łka spazmatycznie.

– Nie ma go – wykrztusza. – Lekarze mówią, że nie ma aktywności mózgowej. Podtrzymują go przy życiu, ale chcą… – Nie może dokończyć.

Opada na podłogę i z płaczem wyciąga do mnie rękę, lecz nie potrafię nawet jej ująć.

Nie mogę się ruszyć.

Nie mogę.

Nic nie mogę.

Za moimi plecami Beau odwraca się i rusza gwałtownie do automatycznych drzwi, uderza w nie otwartą dłonią i kopie, kiedy za wolno się otwierają, po czym wychodzi w noc.

Ja nadal tkwię jak wrośnięta w ziemię.

A więc takie to uczucie, kiedy świat się kończy.

Kiedy wiesz, ponad wszelką wątpliwość, że nic już nie możesz zrobić, że możesz sobie tylko stać w miejscu, póki wszystko nie zniknie.

Zawiodłam. Nie ocaliłam go. Mojego najlepszego przyjaciela. Mojego biednego najlepszego przyjaciela. Osobę, która najbardziej mnie zraniła, którą głęboko kochałam, od której spodziewałam się przeprosin i zamierzałam jej wybaczyć. To wszystko już skończone.

Wszystko skończone.

Nie wiem, ile czasu upływa, zanim znowu się ruszam. Wiem tylko, że Rachel dalej płacze na podłodze. Wiem też, że rodzice Matta nadal są za tymi drzwiami, których nie wolno mi przekroczyć.

Wiem, że Matt dalej leży podłączony do urządzeń, z których jedne podtrzymują pracę jego płuc, a inne rejestrują brak aktywności mózgowej.

Świat dalej jest skończony.

Kiedy wreszcie zyskuję co do tego wszystkiego pewność, odchodzę. Bo nie mogę już nic zrobić, mogę tylko stać tu nieruchomo, póki nie skamienieję.

Beau siedzi w furgonetce. Kiedy wsiadam, podnosi z kolan telefon.

– Rozmawiałem z Rachel – mówi cicho. – Tą drugą. – Wolno przenosi na mnie wzrok. – Drugi Matt ma się dobrze. Jest przytomny, mówi. Niewiele pamięta.

– To dobrze – stwierdzam i głos mi drży.

Chciałabym mówić szczerze, ale to nieprawda. To wcale nie jest dobrze. Chciałabym

cieszyć się z tego, że Inny Matt żyje, kiedy mój ma umrzeć, ale wcale się nie cieszę. Chciałabym nie nienawidzić wszystkich w tamtym świecie za to, że mogą zatrzymać swojego Matta, kiedy w mojej rzeczywistości to niemożliwe. I chciałabym nie czuć wściekłości, że nie zdążyliśmy się z Mattem pogodzić. Te rzeczy nie powinny mieć znaczenia, kiedy ktoś umrze. Prawda?

– To przeze mnie – mówi Beau. – Jestem niszczycielem światów.

To nieprawda, ale nie potrafię się zmusić, by to powiedzieć.

– Chcę znaleźć się w jakimś bezpiecznym miejscu – mówię. Gdzieś, gdzie nie pójdzie za mną ten ciężar na piersiach.

– Dobrze, Natalie Cleary – mówi cicho Beau. – Zabiorę cię w bezpieczne miejsce.

Odjeżdżamy ze szpitala, jedziemy daleko od Union, za miasto, w kierunku dawnej naturalnej lizawki przekształconej w park narodowy, gdzie w osiemnastym wieku odkryto skamienieliny mamuta włochatego. Oddalamy się od życia i ulicznych latarni, aż wąska droga zaczyna się wić między oświetlonymi poświatą wzgórzami. Wreszcie Beau parkuje pod zaniedbanym domem z czerwonej cegły z walącym się gankiem i wielkimi oknami obmalowanymi łuszczącą się białą farbą. Wysiadamy w milczeniu z furgonetki i deski ganku skrzypią nam pod nogami, kiedy wchodzimy po nich do ciemnego wnętrza.

Idziemy z holu do dawnego salonu. Prostokąty światła padającego z okien kładą się w kierunku starego ceglanego kominka. Podłoga, choć stara, jest gładka i wypolerowana, tapety w większości pozdzierane.

– Nie wygląda specjalnie ładnie – mówi cicho Beau, jakby się bał, że poruszy tumany kurzu – ale ma mocne fundamenty.

Oglądam się na niego; przystanął z wahaniem w drzwiach.

– Co to za miejsce?

Podchodzi i bierze mnie za rękę. Powoli zaczynamy się poruszać w czasie, jakby coś ciągnęło nas w górę przez spokojną wodę. Kiedy Beau przenosi nas w przyszłość, za oknami migoczą plamy czerwieni i złota, a potem błękitu i zieleni. Widzę inną wersję jego samego, która przesuwa się błyskawicznie po pokoju, wymieniając cegły kominka, listwy przypodłogowe i boazerię, łatając dziury w gipsie, malując ściany na delikatny brzoskwiniowy kolor i przysuwając stare pianino, a przez cały ten czas oświetlają nas na zmianę słońce i gwiazdy. Polne kwiaty wyrastają pod oknem i na całym podwórku, a potem giną, ścięte mrozem, by za chwilę odrosnąć. Wisteria wspina się po parapetach, kwiecie otwiera się i zamyka jakby w rytm bicia serca.

Czuję, jak wzbierają we mnie łzy. Cała nimi nabrzmiewam, patrząc, jak budynek pięknieje, ożywa, coraz bardziej przypomina dom. Ale tym razem podróż w czasie wydaje się inna, mniej rzeczywista, bardziej jak sen – to tylko cień przyszłości.

– Beau, gdzie my jesteśmy?

Na podłodze pojawia się sterta zabejcowanych na biało desek. Jakaś rozmyta, wielka jak niedźwiedź postać macha młotkiem, mocuje i skręca je razem. Stają się prostokątem, skrzynką. Kołyską.

– Chcesz usłyszeć historię, Natalie Cleary?

Kiwam głową i Beau zamyka mnie w ramionach.

– Żyjemy w tym samym świecie – mówi cicho, powoli. – Po studiach zaczynasz

pracować jako wykładowca na NKU. A ja trenuję drużynę futbolu w liceum albo w gimnazjum. Mieszkamy w starym domu z wielkim ogrodem i któregoś dnia udaje mi się namówić cię, żebyś za mnie wyszła. – Opiera brodę na mojej głowie. – Na ślubie masz we włosach kwiaty, a Mason zalewa się w pestkę i wymiotuje podczas swojej mowy, ale jesteśmy tacy szczęśliwi, że tylko się z tego śmiejemy.

– I kończysz komponować moją melodię – mówię.

Beau kręci głową.

– Zrobiłem to już dawno – mówi. – Wybierz coś innego.

Zaciskam oczy, żeby nie pociekły z nich łzy, mocno obejmuję Beau.

– Ganek – mówię. – Siadamy na nim co wieczór i oglądamy zachód słońca. I pianino. Pianino to prezent niespodzianka ode mnie.

– I tańczysz, kiedy na nim gram.

– Niby gdzie? – pytam ze śmiechem.

– W ogrodzie zimowym, oczywiście – szepcze.

– No tak, oczywiście. A czy czas przyspiesza, kiedy ty grasz, a ja tańczę?

Beau bierze moją twarz w dłonie i całuje mnie w czoło.

– Nie, Natalie – mówi. – Czas nie przyspiesza. Staje w miejscu.

– I nigdy nam się nie kończy – szepczę.

Beau patrzy na mnie, ociera kciukami ślady łez na obu moich policzkach.

– Wystarczyłoby ci to?

Przełykam przez ściśnięte do bólu gardło.

– Aż nadto.

I przez chwilę pozwalam sobie uwierzyć, że to prawda. Beau odnawia dla mnie ten dom. Co wieczór wracam tu do niego, zasypiam i budzę się, a nasze nogi splatają się we śnie. Chodzę na wszystkie mecze drużyny, którą trenuje, i patrzę, jak całuje na dobranoc nasze dzieci, i któregoś dnia zauważam, że jego dłoń w mojej pokrywają zmarszczki. To ja jestem kobietą, która może poznać go do głębi duszy i patrzeć, jak jego miękkość łagodzi twardy świat. I przez cały ten czas nadal poruszamy się naprzód, naprzód, naprzód, aż przez dwa uderzenia serca jestem pewna, że widzę zaglądającą przez okno na ganku przygarbioną staruszkę. Ciemne włosy opadają jej na przygięte ramiona, a czubek głowy okrywają różowe palce jutrzenki, przez które widzę tylko kontur jej twarzy, lecz mimo to wydaje mi się, że dostrzegam nikły uśmiech, kiedy jej dłoń unosi się i opiera o pokrytą rosą szybę. Zanim mogę coś powiedzieć, Babcia znowu znika, zupełnie bez śladu, tak że tracę pewność, czy w ogóle tam była.

– Pytałaś, czego pragnę – mówi Beau.

Odwracam się do niego i patrzę mu w twarz, w serce. Beau obejmuje dłonią mój policzek.

Czas wsuwa się z powrotem na miejsce i wszystko znika. Ja pragnę tego samego. Pragnę tego aż do bólu.

– Mylisz się, Beau – mówię. – Wcale nie jesteś bombą atomową. Stworzyłeś przecież to wszystko. To ty stworzyłeś świat.

Nieustannie dręczą mnie koszmary. Teraz to ja prowadzę, a Matt siedzi obok w miejscu, gdzie powinien znajdować się mój dziecięcy fotelik. Przed szybą rozbłyskują

jasne światła, sprawiając, że ulewny deszcz na tę jedną cichą sekundę migocze jak brokat, a potem samochód stacza się z jezdni.

W uszach dzwoni mi tak, że nie słyszę własnych krzyków, ale Matt milczy, oczy ma szklane, a z tylnego siedzenia ciągną się do jego nozdrzy całe metry zwiniętych rurek.

– Matt – wrzeszczę. – Matty!

Budzę się, dysząc, serce mi wali, a kiedy otwieram naraz oczy, całe moje ciało spina się do bólu na widok unoszącej się nade mną czarnej sfery.

– Nie – szepczę, odsuwając się gwałtownie. – Nie, nie. NIE.

Zaczyna się: to koniec.

Kula podpływa do mnie, a ja wytaczam się z łóżka, uciekam przed nią do toaletki, na której leżą klucze do samochodu. Nie wiem, co sobie myślę; wiem tylko, że muszę uciec przed tą sferą. Muszę ją prześcignąć. Wpycham nogi w stojące pod drzwiami buty i uciekam z pokoju, przebiegam sprintem dom i wskakuję do dżipa.

– Babciu – szepczę do siebie. – Nie pozwól, żeby to się stało. Nie pozwól na to.

Włączam silnik, po czym niemal na ślepo wycofuję auto z podjazdu i wytaczam się na wiejską drogę.

Jak to powstrzymać?

Z początku jadę do Beau, jakbym myślała, że jeśli tylko go zobaczę, jeśli wczepię się rękami w jego włosy i ubranie, nikt nie zdoła mi go odebrać. I nikt nie odbierze mi Innego Matta. Nie wyrwie mi życia, jakie znam, spomiędzy zaciśniętych palców.

Ale zbliżając się do zjazdu w stronę prezbiteriańskiego kościoła, czuję na karku pot, ręce zaczynają mi drżeć na kierownicy i wiem już dokładnie, dokąd jadę, dokąd zmierzałam przez cały ten czas. Mijam kościół i szkołę i jadę dalej, w ustach czuję suchość i przyspiesza mi tętno.

Staram się o niczym nie myśleć. Staram się myśleć o czymkolwiek, byle nie o celu, do którego zmierzam, ani o obawie czającej się na dnie brzucha i pełznącej po karku. Widzę go przed sobą i czuję na tylnej części języka zastrzyk adrenaliny, metaliczny i zimny.

Nie myśl o tym. Nie idź tam. Nie przypominaj sobie.

Zjeżdżam na pobocze i znowu się dziwię na widok tablicy oraz sterty zabawek i kwiatów dla Matta. Wychodzę z auta, nie wyłączając świateł – poza nimi i czerwonym blaskiem świateł stopu nad jezdnią panuje całkowita ciemność. Stoję przy skrzyżowaniu dwóch wąskich dróg. Drzewa po obu stronach bardzo ograniczają widoczność. Kiedyś jedna z dróg była podporządkowana, ale potem zmienili całe skrzyżowanie na równorzędne, a jeszcze potem dodali światła, kiedy wreszcie wydarzył się tu o jeden wypadek za wiele.

Mój wypadek.

Biegnę do słupa, cały czas czując, jakby czarna sfera ścigała mnie zażarcie, a zamykające się drzwi próbowały odciąć mnie od świata Beau, i Babci też.

Ale tu właśnie wszystko się zaczęło. Nie wiem skąd, ale to wiem. Jakimś cudem wierzę, że mogę to powstrzymać.

Padam przed znakiem na kolana, wytężam oczy w mroku. Myślę o dłoniach Beau przemykających po klawiaturze i wyobrażam sobie mój taniec, ale nie mogę sprawić, by zasłona we mnie opadła i przepuściła mnie na drugą stronę.

– PROSZĘ! – krzyczę w noc.

Moje oczy kierują się na prawie wyschnięty już strumień na poboczu, moje uszy wychwytują szemranie wody na kamieniach i bzyczenie komarów przemykających po powierzchni potoczku.

To tak, jakbym znalazła się z powrotem w tym samochodzie, wirowała w nieskończoność, żołądek podjeżdża mi do gardła, mój dziecięcy głosik wrzeszczy, kiedy wpadamy do wody i okna eksplodują w delikatną mgiełkę cząsteczek szkła. Przyłapuję się na tym, że dyszę ciężko, sięgam po coś, o co mogłabym się oprzeć, czuję w żołądku kilka mocnych szarpnięć. Kiedy moje dłonie wyciągają się do tablicy, a zamiast niej znajdują zimny kamień, dociera do mnie, że wreszcie się przedarłam.

Nie wiem, do którego świata – Beau, Babci czy jeszcze innego. Do świata, w którym ziemię wokół słupa telefonicznego porastają gęsto fioletowe i żółte kwiaty.

Wiem tylko, że nie jest to mój świat. Nie może być mój.

Bo imię wyryte na nagrobku pod napisem „Spoczywaj w pokoju” brzmi „Natalie Layne”.

Jestem martwa.

W jakimś miejscu, w jakimś czasie, nie żyję.

Jest też epitafium, ale litery rozmazują mi się przed oczami, nie mogę ich odczytać. Deszczowe chmury pękają mi nad głową i czuję, że robi mi się niedobrze. Odbiegam o kilka kroków. Żółć wzbiera mi w gardle i wymiotuję ją na śliską, błotnistą trawę między butami. Nie powinnam prowadzić, ale nie mogę tu zostać. Nie mogę tu zostać – to jedyne, co wiem. Idę, potykając się, z powrotem do dżipa i zawracam go w kierunku szkoły, domu Beau, własnego domu, domu Megan.

Wybieram żwirową drogę i przejeżdżam w burzy przez mostek prowadzący na farmę Kincaidów. Zanim mam czas się zorientować, jestem już przed domem Beau – i to naprawdę jego dom, w środku palą się światła, ale nie widać furgonetki.

Mimo to nie odjeżdżam. Bo dokąd? Gdzie będę bezpieczna, skoro wiem, że gdzieś tam jestem martwa, moje ciało gnije pod ziemią, a jutro rano mogę się obudzić i odkryć, że ta czarna kula już mnie pochłonęła, odcięła mnie od dwojga ludzi, którzy jako jedyni mogą to wszystko zrozumieć.

Wyłączam silnik i dopiero wtedy dochodzą do mnie krzyki. Dwa praktycznie nieznajome głosy wrzeszczą na siebie z wściekłością: mama Beau, Darlene, i jej nowy mąż, Bill.

Nie jestem w stanie wyłapać słów, stłumionych przez warstwy gipsu i linoleum, ale słyszę, że kłótnia jest poważna, brutalna, pełna złości. Nie wiem, co robić.

Uruchamiam samochód i odjeżdżam, na powrót pogrążając się w rozmyślaniach i strachu, póki nie zatrzymuję się pod domem Megan. Cała drżę niczym małe drzewko w huraganie, a twarz pokrywają mi łzy i śluz. Wycieram nos o ramię i wysiadam, obchodzę białą willę z kolumnami i wpuszczam się przez drzwi tarasowe, chronię się przed deszczem.

Sfera zniknęła, ale wiem, że wróci. Pochłonie mnie, gdy tylko zasnę. Czuję to. To już koniec, a ja nie mam żadnych odpowiedzi. Nie zaznam już spokoju.

Zrzucam buty i zaczynam chodzić w kółko. Bolą mnie nogi i grzbiet, więc siadam na brzegu łóżka, starając się opróżnić umysł, ale jednocześnie nie zasnąć; nie myśleć, ale i nie spać. Mijają godziny, podczas których zdołałam się w prowadzić w stan bezmyślnego otępienia, ale kiedy słyszę pukanie do szklanych drzwi, z ust wyrywają mi się słowa: „Dzięki Bogu” i odkrywam, że tak naprawdę przez cały ten czas czekałam na wstrzymanym oddechu.

Biegnę otworzyć drzwi, ale Beau waha się, chwieje się w progu z nachyloną głową. Coś jest nie tak: cały ocieka wodą, deszcz ścieka mu z włosów po krawędzi spuszczonej twarzy. Biorę go za rękę i Beau ściska ją niemal do bólu.

– Beau? – mówię szeptem.

Dotykam jego policzka i Beau wzdryga się pod moimi palcami. Odchylam mu brodę do góry.

– O mój Boże… – Wciągam powietrze. Beau ma rozciętą wargę, nadal pokrywa ją

czerwień, choć krew przestała już płynąć. Lewy oczodół jest straszliwie posiniaczony, policzek nad wysoką kością policzkową zaczyna już puchnąć. – Beau!

Wreszcie podnosi na mnie wzrok i czuję, że serce mi pęknie.

– Czemu jesteś przemoczony? – Beau odwraca się częściowo, znowu spuszcza głowę. – Beau, co się stało?

– Bill sprzedał moją furgonetkę – mówi.

– Co?! – pytam. – Jak to? Przecież nie należy do niego.

– To ćpun. Oni wszyscy to przeklęte ćpuny – mówi. – Samochód był zarejestrowany na mamę, ale ona o niczym nie wiedziała. Ktoś po prostu przyszedł i go zabrał. A potem Bill wrócił do domu nawalony. Mama się wściekła i zaczęli się kłócić.

Przerywa na chwilę i dolna warga zaczyna mu drżeć. Nic nie mówię; stoję niczym na krawędzi przepaści, bojąc się, że najmniejszy ruch zamknie mu usta, zablokuje go. Wreszcie Beau mówi dalej:

– Zaczął ją bić, więc go z niej ściągnąłem, ale…

Przyciskam palce do jego rozciętej wargi i Beau patrzy mi w oczy.

– Kazała mi sobie pójść.

– Tak mi przykro. – Obejmuję go ramionami za szyję. – Tak mi przykro, Beau.

Przyciągam go bliżej i Beau na sekundę spina się i sztywnieje, a potem zamyka oczy i zaczyna się trząść, wtula twarz w moją szyję, moje piersi, chwyta mnie rękami za biodra i płacze w milczeniu.

– Tak mi przykro – powtarzam i biorę jego twarz w dłonie, całuję go w czoło, w policzki, w spuchnięte oko, w szyję. – Tak mi przykro.

Wciągam go do pokoju i niezgrabnie zamykam za nim drzwi, podczas gdy on całuje mnie gwałtownie, nie zważając na rozciętą wargę i ociekające wodą ubrania.

Zimny deszcz i gorące łzy, jego i moje, ciekną nam po twarzach, spływają do ust, kiedy splatamy się razem. Beau niesie mnie na łóżko i słyszę swój szept:

– Nie puszczaj mnie.

Beau kręci głową, nie odrywając ode mnie twarzy.

– Nie puszczę.

Chcę mu powiedzieć, że go kocham. Nic się nie stanie, jeśli nie powiem mu o nagrobku ze swoim imieniem ani o czarnej kuli unoszącej mi się nad głową, ani o atakach paniki czy wiszącym nad nami końcu. Ale jeśli nie powiem mu, że go kocham, będę tego żałować przez długie lata.

On musi wiedzieć, że jest kochany.

Muszę dać mu poczucie bezpieczeństwa, tak jak on mi je daje. Muszę otulić go swoją miłością tak, by pozostała przy nim, nawet kiedy na zawsze nas rozdzielą.

– Kocham cię.

Beau odsuwa ode mnie twarz i szorstkimi rękami odgarnia mi z twarzy włosy, przyciska mokry nos i usta do mojego policzka.

– Kocham cię, Natalie Cleary.

To tylko cichy szept. Trwa nie dłużej niż uderzenie serca.

– Kocham cię – powtarzam.

– Kocham cię – mówi prawie bezgłośnie, przyciągając mnie do siebie.

Przywieramy do siebie, oboje mamy napięte mięśnie. Przesuwam rękami po

przemoczonej koszulce na jego grzbiecie i po mokrej skórze. Beau odsuwa się i siada, ściąga z siebie szary podkoszulek i rzuca go na podłogę. Ja też siadam.

Serce bije mi mocno, ale nie jestem zdenerwowana. Czuję tylko przytłaczający ciężar przyszłości bez Beau, w której nie będę mogła wciągnąć go do pokoju i osłonić przed mrokiem, nie będę mogła wlać w niego światła pocałunkami, dotykiem i szeptanymi słowami.

Jego palce muskają rąbek koszulki na ramiączkach, w której miałam spać. Jej przód i tak jest już zimny i wilgotny od jego przesiąkniętych wodą ubrań. Beau unosi ją i zdejmuje mi przez głowę, jego dłonie są delikatne, a wzrok ciężki. Przez chwilę siedzimy i patrzymy na siebie. Jego ręce spoczywają lekko na mojej talii. A potem Beau przyciąga mnie do siebie i obejmuje moje nagie plecy, stykamy się piersiami. Beau kładzie usta w miejscu, gdzie moja szyja przechodzi w ramiona. Jego skóra jest delikatniejsza, niż się spodziewałam, nierówno opalona, a pod nią rysują się mięśnie.

Unosi dłonią moją brodę i znowu całuje w usta – głęboki, ale delikatny pocałunek. Czuję wokół siebie zmieszane zapachy deszczu i potu. Przesuwam rękami po jego plecach, badając palcami każdy nowy skrawek jego skóry. Nagle trafiam na coś szorstkiego i wypukłego na kręgosłupie, między łopatkami.

– Co to? – pytam szeptem, odsuwając się.

– To tylko blizna – mówi.

– Co się stało? – pytam, znowu dotykając delikatnie wypukłej szramy.

– Wypadek samochodowy – odpowiada. – Kiedy miałem pięć lat. Tata był pijany. Prawie zginąłem.

Serce staje mi w piersiach. Czuję, jak cała krew odpływa mi z twarzy i dłoni. Przełykam grudę w gardle i znowu czuję, że noc kładzie się na mnie całym ciężarem.

– Gdzie? – pytam, choć znam już odpowiedź.

– Gdzie? – powtarza Beau, wyraźnie nie rozumiejąc.

– Beau, gdzie to było? – pytam z trudem.

Wzrusza ramionami.

– W tym samym miejscu, gdzie rozbił się Matt.

Zrywam się z łóżka, chwytam z podłogi koszulkę i zaczynam wciągać ją na siebie, rozglądając się jednocześnie za butami. Beau łapie mnie za rękę, ale wyrywam mu się.

– Dokąd idziesz? – pyta, kiedy wkładam obuwie.

– Muszę znaleźć Babcię – mówię i głos mi drży, ocieram oczy nasadą dłoni.

– W tej chwili?!

Kiwam głową i ścieram łzy z policzka, odwracam się do drzwi. Beau wstaje i też bierze swoją koszulkę.

– Pójdę z tobą.

– Nie! – mówię gwałtowniej, niż zamierzam. – Nie wiem… Nie wiem, czy ona przyjdzie, jeśli ze mną będziesz. Zostań tutaj. Proszę cię, zostań tutaj – mówię błagalnie. – Nie odchodź, dobrze? Zostań tu i poczekaj na mnie.

Beau patrzy mi przez długą chwilę w oczy i w końcu mówi:

– W porządku.

Wracam do niego i wyciągam się na palcach po jeden ostatni pocałunek, nim wyjdę. Potem odsuwam się, idę do drzwi, otwieram je i jeszcze raz się na niego oglądam.

– Kocham cię – mówię.

– Ja ciebie też, Natalie Cleary – mówi Beau cicho.

Wybiegam na deszcz.

Wiem, dokąd muszę się udać – w jedyne miejsce, gdzie mam szansę znaleźć i Babcię, i prawdę, i zrozumieć, dlaczego losy Beau i moje tak się splotły – ale najpierw muszę zajechać w jeszcze jedno miejsce.

Wsiadam w dżipa i jadę do skrzyżowania udekorowanego pluszakami, kwiatami i liścikami. Zostawiam samochód na włączonym silniku, z obsesyjnie tańczącymi wycieraczkami, i biegnę w deszczu do tablicy upamiętniającej. Strasznie trudno przedrzeć się przez światy, ale kiedy wreszcie mi się udaje, widzę przed sobą te same upiorne słowa co poprzednio: „Spoczywaj w pokoju, Natalie Layne”.

Odsuwam od siebie ten świat i natychmiast wyrywa mi się, przeskakując z powrotem do tablicy z napisem „Módlcie się za Matta Kincaida #4”, a mój żołądek wraca na swoje miejsce. Próbuję pochwycić inne światy, ale pomimo nadchodzącego ataku paniki ściany trzymające mnie w mojej rzeczywistości wydają się mocniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Krzyczę z frustracji, próbując odepchnąć w myślach otaczającą mnie zasłonę i nagle czas znowu zaczyna mknąć do tyłu. Płynę wstecz w czasie, słońce wstaje i opada, auta mkną do tyłu tak szybko, że niemal przegapiam moment, kiedy tablica przede mną się zmienia.

Niemal.

Ale mi się udaje.

Znak Matta znika, a zamiast niego stoi coś innego: drewniany krzyż wbity w wilgotną ziemię, zniszczony przez czas. Wypalona jest w nim data, sprzed czternastu lat, i słowa: BEAU WILKES.

Cofam się przerażona, zatykam palcami otwarte usta, chwytam powietrze i głośno

zawodzę. A potem krzyż znika. Znowu opada na mnie noc i deszcz, a tablica Matta stoi na swoim miejscu, lecz mimo to wciąż nie mogę złapać oddechu i na wpół krzyczę, płacząc. Biegnę z powrotem do samochodu i wsiadam do środka.

Jadę do domu. W głowie mam zamęt. Docieram do kamiennego znaku strzegącego wjazdu na osiedle, wjeżdżam w swój zaułek i parkuję pod domem.

Obręcz do koszykówki nadal wisi. Okiennice są zielone. To wciąż mój świat. Wysiadam z samochodu i idę wolno przez podwórko, staję pod osłoną drzewa i patrzę w okno swojej garderoby. Usiłuję pochwycić czas, pociągnąć go w górę i zanurzyć się w przeszłość.

I czas ustępuje. Forsowanie bariery między światem moim a Beau staje się coraz trudniejsze, za to coraz łatwiej przychodzi mi pochwycić słońce i przesunąć je wokół ziemi, patrzeć, jak raz za razem zanurza się po przeciwnej stronie mojego rodzinnego domu, aż wreszcie widzę otwartą ciężarówkę firmy od przeprowadzek. Niebo jest rozsłonecznione, a moja rodzina biega w kółko między domem i garażem a samochodem.

Cofam się dalej. Spadam, spadam, spadam przez czas.

Ciężarówka znika. Deszcz wystrzela z ziemi w niebo, chmury rozstępują się, słońce wstaje i zachodzi. Samochody na podjazdach poruszają się w przód i w tył, znikają przy wyjeździe z zaułka i wracają. Przez sekundę miga mi furgonetka Beau. Widzę, jak idziemy tyłem w jej kierunku i kładziemy się w niej. Widzę Beau, który ciągnie mnie ze sobą, aż opieram się plecami o samochód. Widzę, jak się kłócimy. Widzę, jak cofam się w kierunku ganku i wdrapuję z powrotem, wchodzę przez okno do pokoju.

Idę dalej.

To takie proste. Oto, jak mogę odnaleźć Babcię. Mogłam to zrobić od samego początku, ale na to nie wpadłam.

Czas wciąż mknie w tył, a ja przechodzę przez trawnik i podciągam się na daszek ganku. Na plecach czuję światło słońca, potem księżyca, potem słońca. Wskakuję do garderoby i widzę siebie, jak krążę między nią a sypialnią, rozbieram się rankiem i tyłem wdrapuję na łóżko, kiedy dzień cofa się w noc.

Wchodzę do sypialni, serce podnosi mi się do gardła, wszystko porusza się nadal, kiedy podchodzę do fotela na biegunach. Czas przepływa przeze mnie, świat przewija się, aż w końcu widzę przed fotelem wcześniejszą wersję siebie i zasycha mi w ustach.

To nie ma sensu. Babcia powinna tu być. To ta noc trzy miesiące temu, kiedy przyszła mnie ostrzec. Gdy zaczęła płakać, podeszłam do niej i przyklękłam, zupełnie jak teraz dziewczyna przede mną, tylko że Babci tam nie ma. Fotel jest pusty.

Robię kolejny krok przed siebie i znowu płynę przez czas, tym razem do przodu, gwałtownie, jakby w mgnieniu oka przeciągnięto mnie w górę przez milę wody. Wszystko w pokoju zmienia się, ale bardzo subtelnie.

Na miejscu mojego łóżka stoi inne, podobne, nakryte prawie taką samą kapą. Pomarańczowe i czarne ściany połyskują w świetle księżyca, ale odcienie nie do końca się zgadzają, a w bujanym fotelu w rogu wyrzeźbione są małe różyczki. To nadal mój pokój, ale inny.

I wreszcie widzę ją: Babcia siedzi w tym nieco innym fotelu, a u jej stóp klęczy Wcześniejsza Ja.

Zatrzymuję upływ czasu, by pojawić się we własnej sypialni, za klęczącą na podłodze samą sobą, patrząc na starą kobietę, którą zawsze uważałam za Boga.

Jej oczy, ciemnobrązowe i pokryte mleczną powłoką, unoszą się znad Wcześniejszej Mnie, i jej usta otwierają się ze zdumieniem.

– Ty… – szepcze bezgłośnie. – Już… już tu jesteś!

Patrzę, jak Wcześniejsza Ja zaczyna oglądać się przez ramię – dokładnie jak sama to zrobiłam kilka miesięcy temu.

– Nie bój się, Natalie. Alice ci pomoże – mówi do niej Babcia. – Musisz odszukać Alice Chan. Ona ci pomoże.

Wcześniejsza wersja mnie znika, nim jej oczy mają czas mnie zarejestrować, i pozostaję sam na sam z Babcią. Babcia podnosi się z fotela. Jedynym dźwiękiem jest jej chrapliwy oddech.

– Kim ty jesteś? – pytam gwałtownie.

Jej popękane usta rozciągają się w smutnym uśmiechu.

– Natalie – mówi wolno Babcia. – Ja jestem tobą.

– Jak to możliwe? – pytam.

Babcia znowu posyła mi smutny uśmiech.

– A jak cokolwiek z tego może być możliwe?

Dokładnie to samo powiedział Beau, kiedy wyznał mi, że on również widzi dwie wersje Union.

– Czego ty chcesz? – pytam ją desperacko. – Nie zdołałam ocalić Matta. Nie powiedziałaś mi, że to o niego chodzi, i nie zdołałam go uratować. Żyje jeszcze tylko dzięki aparaturze.

Jej ciemne oczy – moje oczy – kierują się na podłogę.

– Wiem – mówi. – Ale nie przyszłam do ciebie, żeby uratować Matta.

– Więc kogo?

– Co ty tak naprawdę chcesz wiedzieć, Natalie? Zapytaj mnie o to, co cię dręczy.

Pytanie pcha mi się na usta, choć jestem coraz mniej przekonana, że chcę poznać odpowiedź.

– Dlaczego istnieją dwa światy… Dlaczego Beau i ja?

– Wcale nie istnieją dwa światy – odpowiada Babcia zwyczajnie.

– Co ty mówisz?

– Natalie, ty skaczesz w czasie, widzisz tylko inne momenty w tej samej przestrzeni fizycznej. Hipnopompiczne skoki naprzód i hipnagogiczne skoki w tył.

– Przecież Alice rozgryzła już przesunięcia w czasie – mówię zniecierpliwiona. – Nie rozumiem tylko, dlaczego… – waham się, zbierając na odwagę, by powiedzieć to na głos – …dlaczego w tym samym miejscu, gdzie znajduje się mój nagrobek, jest też krzyż z imieniem Beau.

Babcia bierze głęboki wdech.

– Och, słodkie dziecię. Przecież znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. Wiem, kiedy kłamiesz. Wszystko rozumiesz. Po prostu nie chcesz tego rozumieć.

– Nie wierzę, że w przyszłości będę aż tak irytująca.

– Młodzi ludzie zawsze myślą, że starzy są irytujący – mówi Babcia. – Ale nas to nie obchodzi, bo dla nas to młodzież jest irytująca.

– Przestań – mówię. – Po prostu powiedz mi, co się dzieje.

– Beau zginął, Natalie. Taka jest prawda. Jeśli spojrzysz na czas w prostej linii; żadnych skrótów, żadnych powtórek, żadnych tuneli… Ojciec Beau skręcił w lewo, mimo że nadjeżdżał stamtąd samochód. On był pijany, a twoja matka zasnęła za kierownicą. Zobaczył ją i przyspieszył, żeby ją wyminąć. Ona obudziła się i szarpnęła w lewo, ale żadne z nich nie było dostatecznie szybkie. Auta zderzyły się od strony pasażerów. Ty przeżyłaś, a pięcioletni chłopiec o imieniu Beau Wilkes zginął.

Czuję, jak po policzkach spływają mi wielkie łzy.

– Kłamiesz – mówię piskliwym głosem zza palców. – On ma przyszłość. Widziałam ją. Byłam tam. – Byłam w jego domu. Naszym domu. Widziałam naszą wisterię. I kołyskę.

– Nie kłamię – mówi cicho Babcia.

– Więc czemu mogę go dotknąć? – krzyczę. – I czemu na tym nagrobku jest też moje imię?

– Bo to nie jest pełna prawda – mówi Babcia, znowu spuszczając wzrok na podłogę. – Bywa, że czas naprawdę daje nam szansę, by coś powtórzyć. Tunele istnieją. Sądzę, że świat Beau istnieje dla ciebie, ponieważ masz moc, by zmienić różne rzeczy.

– Jakie rzeczy? O czym ty w ogóle mówisz?

– Śmierć Beau to przeszłość – wyjaśnia. – To się wydarzyło. Ale kiedy ty oderwałaś się od swojego położenia w czasoprzestrzeni, sam czas zaczął się pruć, tworząc te przesunięcia. Kiedy więc byłam w twoim wieku, poznałam Beau Wilkesa, choć zginął on całe lata wcześniej. Odkryłam coś, co miałam za inny świat. Zakochałam się w chłopcu, który w nim mieszkał, i całe moje życie się zmieniło. Bardziej zależało mi na tym, by spędzać z nim każdy dzień, niż na tym, by uciekać od tego, co się wokół mnie działo. Miłość do niego mnie odmieniła. A potem odkryłam… – Babcia urywa, zaciska usta. – No cóż, odkryłam to samo co ty: krzyż z jego imieniem i datą naszego wypadku. Ciągle naciskałam na barierę między naszymi światami i barierę czasu, próbując przeniknąć ją i znaleźć jakieś wytłumaczenie. Przez całe lato coraz trudniej było mi przeniknąć do świata Beau, ale pozostałam tam, klęcząc w błocie, póki nie zdołałam znowu prześlizgnąć się w czasie. A kiedy mi się udało, ujrzałam własne imię, nie Beau. Bez daty, ale to nie miało znaczenia. Wiedziałam od razu, podobnie jak ty, że jakimś sposobem tamtej nocy oboje musieliśmy zginąć. Przejrzałam informacje, znalazłam artykuł o wypadku, który zakończył życie Beau w naszym świecie. Tym samym wypadku, przez który w jego rzeczywistości nasza matka płakała przy kuchennym stole, przez który nasza zrozpaczona rodzina wyprowadziła się z tego domu, uciekła przed jego mrokiem. Podobnie jak ty myślałam, że musi chodzić o jakieś rozwidlenie w czasie: w jednej wersji przeżył Beau, a w drugiej ja. Chciałam mu powiedzieć, ale nie miałam okazji. Tej nocy obudziłam się z czarną sferą wiszącą nad moją twarzą i jego świat zamknął się dla mnie na dobre. Tak jakby przykuto mnie z powrotem do linearnego czasu, żadnych przesunięć, żadnych alternatywnych rzeczywistości. Czy raczej jakby zaszyto rozdarcie między naszymi światami. Pogrążona w rozpaczy, wyjechałam na studia. Za każdym razem, kiedy tu wracałam, usiłowałam się do niego przedostać, ale nie potrafiłam sprawić, by czas choćby drgnął z miejsca. Nie mogłam znaleźć jego świata. Po studiach wróciłam do Union i zaczęłam pracować na Northern Kentucky University z badaczką, która zajmowała się tego typu doświadczeniami. U wszystkich ludzi, z którymi pracowała, odkryłyśmy coś wspólnego: jakieś straszne wydarzenie, które poprzedzało ich przesunięcia w czasie, jakieś sugestie innych rzeczywistości i świata, w którym to wydarzenie przebiegło inaczej albo w ogóle się nie wydarzyło, a w końcu czarna sfera, która kładła wszystkiemu kres. Chyba u wszystkich osób takich jak my, które mogą poruszać czas, odbywa się to podobnie. Istnieje jakiś powód, jakieś coś, co moglibyśmy naprawić albo zmienić, gdybyśmy tylko umieli. Może komuś kiedyś się to udało. Ale gdyby naprawdę zmienił coś lub naprawił tamten błąd, cała jego przeszłość uległaby zmianie, nie pozostawiając żadnego dowodu ani pamięci po tym, że przedtem było inaczej. Możliwe, że Alice i ja pomogłyśmy komuś dokonać tego innego wyboru, ale pewnie poskutkowało to

wymazaniem z naszej pamięci faktu, że kiedykolwiek znałyśmy tę osobę. Pamiętamy za to tych pacjentów, których tajemnice usiłowałyśmy rozwiązać i nie zdążyłyśmy zrobić tego w porę. W każdym razie stało się oczywiste, że mamy tylko ograniczony okres, w którym możemy sięgnąć w przeszłość i ją zmienić; żadnej z badanych przez nas osób nie udało się przenieść w czasie albo przeskoczyć do alternatywnej rzeczywistości po Zamknięciu. Tak jakby rozdarcia w czasie same się zaleczały; najpierw umożliwiają ludziom oderwanym od naturalnego biegu swobodne przenoszenie się, ale w końcu zamykają ich znowu w strumieniu linearnym. Wiedziałam, że wszystko to oznacza, że nie zdołam już przedostać się do Beau. Ale nawet kiedy wyjechałam na studia magisterskie, nie mogłam przestać o nim myśleć, ani o tym, co się z nim stało, ani czy istnieje jakiś sposób, by to cofnąć. Jeszcze przed moim Zamknięciem Beau tracił poczucie czasu, jakby ponowne zapieczętowanie strumienia czasowego sprawiało, że Beau stawał się coraz mniej rzeczywisty. To był dla Alice i dla mnie pierwszy sygnał, że wraz ze zniknięciem mojego tunelu świat Beau zapadł się: inaczej mówiąc, moje Otwarcie stało się początkiem alternatywnego ciągu wydarzeń, a Zamknięcie – jego końcem. Wszyscy badani potem przez nas ludzie twierdzili, że to samo działo się z ludźmi poznanymi w ich alternatywnych rzeczywistościach tuż przed Zamknięciem. Gubili czas, podobnie jak Beau. Tracili go coraz więcej i więcej, aż w końcu nie było już co tracić. Może to tylko teza, ale nawet Alice Chan była co do niej przekonana: to my jesteśmy drzwiami do Beau i jego świata, Natalie. Kiedy te drzwi się zamkną, on zniknie. Zniknął, kiedy zamknęły się we mnie. Robiłam, co mogłam, by zostawić to wszystko za sobą. Wyszłam za poznanego na studiach chłopaka, zajmowałam się pracą, na której mi zależało, nawiązywałam ważne przyjaźnie. Ale mimo to nie chciałam pogodzić się z faktem, że Beau już nie ma, więc ciągle szukałam sposobu, by do niego dotrzeć. Wreszcie Alice zdała sobie sprawę, że podchodziłam do sprawy zupełnie na odwrót. Ja sama, nie będąc już w stanie przenosić się w czasie, nigdy nie zdołam odnaleźć Beau. Moją jedyną nadzieją było zostać odnalezioną. Kupiłam więc dawny dom rodziców i odnowiłam go, przywracając dziecinny pokój jak najbardziej do poprzedniego stanu, żebyś się nie przestraszyła, gdybyś kiedyś się tu zjawiła… I czekałam.

– Czekałaś? – szepczę.

– Na ciebie – mówi. – Żebyś to ty mnie znalazła. A w międzyczasie zaczęłam nauczać na University of Cincinnati. Dojeżdżałam tam, by nadal móc współpracować z Alice i jej kolejnymi pacjentami, którzy dostarczyli następny element układanki: fizyczne odczucie podróży w czasie. Kiedy przenoszą się do przodu, czują parcie w żołądku, jakby podnosili się w górę. A kiedy przenoszą się w tył, czują się, jakby spadali. Właściwie to dość oczywiste, ale do tamtej pory nie miałyśmy potwierdzenia, że fizyczne odczucie związane z przekroczeniem do Innego Świata zawsze zgadzało się z odczuciem podróży w przyszłość, podczas gdy wracanie do swojego świata budziło takie samo odczucia jak podróż w przeszłość.

– Nie rozumiem – mówię, kręcąc głową. – Co to oznacza?

– Czas jest iluzją, Natalie, i zależy od doświadczającej go osoby. Istnieje ogólny zarys dziejów świata: era dinozaurów, epoka lodowcowa, średniowiecze, czasy elżbietańskie i tak dalej, ale każdy człowiek doświadcza też swego własnego, unikatowego

strumienia czasu. Dla większości ludzi to tylko drobny ułamek w ogólnej linii dziejów. Ale dla takich jak my jest inaczej. Nasz strumień czasowy może obejmować fragmenty zdarzeń wykraczających poza nasze linearne życie. Przypomnij sobie, jak jechałaś na paradę maturzystów. Chwilę potem ujrzałaś bizony tam, gdzie powinna być szkoła. Ten moment był jeszcze wtedy w twojej przyszłości, mimo że faktycznie wydarzył się dziesiątki, a może setki lat wcześniej. Czasem przesuwasz się w czasie i widzisz, jak wszystko zmienia się na twoich oczach. Kiedy indziej przeskakujesz gdzieś jednym krokiem. To właśnie zdarzało nam się w dzieciństwie. Nasze ciało budziło się w środku nocy, ale śniąca świadomość przeskakiwała w inny czas; była to hipnopompiczna halucynacja. Nie widziałaś przemijania każdego momentu. Po prostu zjawiałaś się w mojej teraźniejszości, jakby coś cię do mnie ściągało. Tak właśnie robisz, kiedy przechodzisz do świata Beau. Przeskakujesz do przodu, jakbyś przestępowała nad zmarszczkami w czasie do jakiegoś punktu w przyszłości.

– Do przodu? – powtarzam.

– Czujesz to, prawda? To samo wrażenie jak wtedy, kiedy przenosisz się w przyszłość?

– Przecież Beau znajduje się w tym samym roku, nawet dniu co ja. Jak to może być przyszłość?

Babcia wypuszcza powietrze.

– Jeszcze do tego dotrzemy – mówi. – W każdym razie wkrótce po tym, jak dokonałyśmy tego odkrycia, Alice zmarła. Wtedy byłam już sama, mój mąż odszedł i prawie porzuciłam nadzieję, że kiedyś do mnie trafisz. Aż którejś nocy, kiedy siedziałam w tym fotelu, znalazłaś drogę do mojej teraźniejszości. Wiedziałam po twoim wyglądzie, że miałaś około osiemnastu lat, pewnie było już lato tego roku, kiedy poznałyśmy Beau. Zdołałaś się tu utrzymać tylko przez chwilę, a potem znowu wróciłaś do siebie. W końcu twoje Zamknięcie było już blisko. Zupełnie mnie zaskoczyłaś. Próbowałam cię pocieszyć, ale nie wiedziałam, czy w ogóle mnie słyszysz.

To było w noc wypadku Matta, kiedy widziałam ją po raz ostatni. Tymczasem dla niej to był dopiero początek. Na samo wspomnienie tamtej nocy – dzisiejszej nocy – znowu przytłacza mnie strach, jaki wtedy czułam.

– Przez całe lata czekałam, aż znowu mnie znajdziesz. Myślałam, że jeśli zobaczę cię jeszcze choć raz, mogę przynajmniej wcześniej pokierować cię do Alice. Ale kiedy znowu do mnie trafiłaś, znajdowałaś się na wcześniejszym etapie swojego strumienia czasowego. Byłaś taka malutka, nie chciałam cię przestraszyć… nie chciałam wywierać nacisku, więc zwyczajnie opowiedziałam ci bajkę, jedną z setek historii, które przez całe życie badałam i o których uczyłam. To była dla mnie najnormalniejsza rzecz pod słońcem, bo te historie wiele dla mnie znaczyły i wiedziałam, że któregoś dnia będą znaczyć równie wiele dla ciebie. Tamtej nocy wysłuchałaś opowieści, a po czterdziestu minutach znowu zniknęłaś. Ale chwilę później znowu się pojawiłaś i zdołałaś utrzymać się w moim czasie przez całą rozmowę. Wszystko zaczęło przeskakiwać jak na zadrapanej płycie. Opowiadałam ci jakąś historię, a wtedy mimowolnie obsuwałaś się z powrotem w swój czas. Dla ciebie te wizyty były sporadyczne, następowały co pół roku lub nawet rok. Ale dla mnie mijały między nimi tylko minuty, jakby twój śniący umysł mimowolnie sprowadzał cię wciąż do punktu, w którym ostatnio przerwałyśmy.

W kilka dni zobaczyłam, jak dorastasz. Jak mówiłam, wtedy już wiedziałam, że nigdy nie dostanę się do Beau… czy Alice tłumaczyła ci już interpretację wielu światów?

– Tak… tak myślę. – Mój głos brzmi jak piśnięcie myszy. – Narysowała linię czasu z wieloma odgałęzieniami. Każde z nich było chyba innym światem, tak mi się wydaje… Nie jestem do końca pewna, w końcu mówimy o Alice, a ona była wtedy w naukowym transie.

Babcia uśmiecha się smutno i kiwa głową.

– Sądzimy – mówi dalej – że te odgałęzienia to tunele czasowe. Mają więc ograniczony czas istnienia. Można zainicjować alternatywną przyszłość, ale ona zniknie, o ile osoba z dostępem do tunelu jej nie wybierze. Wyobraź sobie zapieczętowaną kopertę. Przesuwasz palcem po jej krawędzi: to właśnie czas, jedna prosta linia. A potem bierzesz nożyk do papieru i rozkrawasz kawałek przy brzegu. Jeśli teraz przesuniesz palcem po kopercie, natkniesz się na miejsce, gdzie istnieją dwie osobne ścieżki, tworzące elipsę. To czas od Otwarcia do Zamknięcia. Powiedzmy, że przesuwasz palcem po jednej krawędzi, czyli po obecnej wersji świata, a potem decydujesz, że wolisz jednak tę drugą. Przeskakujesz więc z powrotem do miejsca rozgałęzienia i zmieniasz bieg wydarzeń tak, by obrać drugą ścieżkę. Wtedy na Paradzie tamta wycieczka w przeszłość była jeszcze częścią twojej przyszłości, tak samo jak jest nią świat Beau. Jeśli spojrzeć tylko na konkretne dni czy lata, jego świat to także teraźniejszość, ale dla ciebie jest przyszłością, bo jego wersja wydarzeń tak naprawdę jeszcze się nie wydarzyła, w każdym razie nie dla nikogo poza tobą.

– Nadal się gubię – przerywam gwałtownie. – To nie ma żadnego sensu.

– To rozcięcie koperty, te czternaście lat pomiędzy naszym Otwarciem a Zamknięciem: to okres, kiedy możemy wybrać inny bieg czasu, Natalie. Możesz wybrać wersję, w której sprawy potoczą się tak jak dla mnie i świat Beau zniknie. Albo możesz wrócić do momentu, kiedy powstało to rozdarcie, i wszystko zmienić. Możesz wybrać wersję Beau. A twoje Zamknięcie równać się będzie z ostatecznym wyborem ścieżki, która przetrwa na zawsze, czy dokonasz tego wyboru przez aktywne działanie, czy przez bierność. Dla mnie oznaczało to, że Beau zginął. Zginął, kiedy miałam cztery lata, i w pewien sposób zginął ponownie, kiedy miałam osiemnaście lat i jego świat, cała jego możliwa przyszłość, zniknęły. Ale ty… ty wciąż to widzisz. Przyszłość, w której… – Babcia patrzy mi w oczy i kręci głową, a na jej rzęsach pojawiają się łzy – w której wracasz i wybierasz jego życie.

W mojej głowie kłębią się pytania, teorie i panika. Usiłuję zrozumieć to, co mówi Babcia. Raz za razem moje ciało przypomina sobie wrażenie przeskakiwania do świata Beau i za każdym razem czuję to samo: ruch w górę, uczucie, jakby ktoś ciągnął mnie szybko do przodu, tak samo jak wtedy, kiedy przenoszę się w czasie w przyszłość. Co to oznacza, że jego wersja ostatnich czternastu lat jeszcze się nie wydarzyła i dopiero ma to zrobić?

Ramiona Babci drżą od wstrzymywania łez, a może tylko tak mi się wydaje, bo nawet w tej chwili czas próbuje mnie wciągnąć, sprowadzić z powrotem w moją teraźniejszość. Wreszcie dociera do mnie sens tego, czego Babcia nie jest w stanie wypowiedzieć na głos, w każdym razie nie wprost.

– Myślisz, że ujrzenie jego rzeczywistości oznacza, że cofnę się do momentu

rozdarcia – mówię cicho. – Że zmienię to, co wydarzyło się w noc wypadku, i w ten sposób doprowadzę do powstania świata Beau.

Ale przecież w jego świecie nie istniejemy oboje.

Beau widział tam moją rodzinę. Wszystkich poza mną. „Byli szczęśliwi – powiedział. – Wyglądali na szczęśliwych".

A ja widziałam swoje imię na kamiennej płycie.

– Myślisz, że on przeżyje, a ja zginę – szepczę.

Babcia ukrywa twarz w dłoniach i zaczyna płakać.

– Nie mogę wrócić – mówi. – Nie mogę wrócić, inaczej bym to zrobiła. Nie masz nawet pojęcia, ile razy próbowałam. Myślałam, że może mogłabym całkowicie powstrzymać ten wypadek, ale Natalie… to szarpanie i ciąganie, ten fizyczny objaw podróży w czasie… kiedy zobaczyłyśmy ten nagrobek z twoim imieniem, byłyśmy w przyszłości. Nie tej naturalnej, tylko tej wybranej. Czułyśmy nacisk czasu. Nie sądzę, byś mogła całkowicie zapobiec wypadkowi, ale możesz go zmienić.

– Sądzisz, że wybiorę… – mój głos się łamie i płacz zniekształca moje słowa – … własną śmierć.

Babcia podnosi na mnie wzrok. Pomimo głębokich zmarszczek, plam wątrobowych i katarakty, wydaje się młoda, maleńka. Jak Mała Ja na rodzinnych nagraniach, szkrab w za dużych ubrankach.

– Myślę, że zrobisz to, czego ja nie mogłam – szepcze.

Otwieram usta, ale nie potrafię z nich wydobyć żadnego dźwięku poza wysokim jękiem.

– Ta sfera – mówię wreszcie. – Widziałam ją dzisiaj.

Babcia kiwa głową, ale nie potrafi spojrzeć mi w oczy. Zsuwa się na podłogę i obejmuje chudymi ramionami.

– To dziś – mówi. – Czuję się dokładnie tak jak za pierwszym razem. Jakby wszystko się zaszywało. To rozdarcie w czasie dzisiaj się zamknie.

Pierwszy raz.

Dzisiaj pierwszy raz tak naprawdę pokłóciłam się z matką. Pierwszy raz zemdlałam. Pierwszy raz straciłam kogoś bliskiego, mojego pierwszego chłopaka. Pierwszy raz myślałam o własnej śmierci na widok swojego imienia napisanego gdzieś, gdzie nie powinno go być. I pierwszy raz powiedziałam Beau, że go kocham.

I drugi.

I trzeci.

I zamierzałam pierwszy raz się z nim kochać.

A teraz Beau czeka w sypialni Megan, podczas gdy jego świat się kruszy. Czuję w żołądku, że zaraz przeniosę się w przeszłość. Coś próbuje mnie przykuć do czasu, do którego przynależę, a kiedy tak się stanie – jeśli tak się stanie – Beau zostanie uwięziony w ruinach świata, który nigdy się nie wydarzył.

– Przecież ja jeszcze wcale nie żyłam – mówię bezradnie.

Wszystko, czym mogę się teraz bronić, to słowa. Mam przed sobą straszliwy wybór, ale w ogóle nie czuję, jakbym mogła wybierać. Mogę co najwyżej powiedzieć: „Nie chcę tego robić".

Babcia wyciąga do mnie rękę. Biorę ją i sama siadam przed nią na podłodze.

– To powinnam być ja – mówi. – Ja mogłabym to zrobić bez żalu. Ja podjęłabym właśnie taką decyzję, ale to nie znaczy, że ty również musisz wybrać to samo. Nie mogę cię o to prosić. Wiem, że nie przeżyłaś jeszcze swojego życia. Wiem, jakie życie cię czeka, i wiem, że będzie pełne nawet bez Beau. Wiem, że odmienisz życie innych ludzi i że inni ludzie na zawsze odmienią twoje. Znam wszystkie historie, które powinnaś któregoś dnia poznać. Znam obie twoje matki i wiem, jak bardzo cię kochają. Wiem takie rzeczy o Coco, od których padłabyś z zachwytu, znam dzieci Jacka i wiem, jak bardzo go kochają. Ja mam wszystkie odpowiedzi, a ty żadnych.

Ściska mnie za rękę.

– Masz tylko te historie, które zdążyłam ci opowiedzieć, i miłość, jaką czujesz w tej chwili do Beau. Wiem to wszystko, Natalie, a mimo to proszę cię o coś, o co nigdy nie powinnam prosić kogoś w twoim wieku, zwłaszcza kogoś, kogo kocham i kogo cierpień i radości sama zaznałam. Proszę cię o to, bo sama chciałabym to zrobić, a ty możesz jeszcze wybrać.

– Wcale nie mogę! – wybucham. – Wiesz, że nie mam wyboru. Praktycznie wychowałaś mnie do tego. Całe lata tłoczyłaś mi to do głowy. Nauczyłaś mnie, że kochać znaczy umrzeć.

– Kochanie, zupełnie nie zrozumiałaś. Nie opowiadałam ci tych historii, żeby cię do czegoś przekonać. Opowiedziałam ci je, bo pamiętam, jak bardzo mnie bolało, że nie mogłam zobaczyć prawdy, że czułam się, jakby pożerał mnie mrok. Czym jest miłość – ciągnie – jeśli nie przedłożeniem cudzych potrzeb nad swoje? Nasza rodzona matka oddała nas, bo miała nadzieję, że dzięki temu będziemy miały lepsze życie. Nasi rodzice zachowali ten wypadek w tajemnicy, bo mama przez lata cierpiała na zespół stresu pourazowego. Bardzo ciężko pracowała, żeby nauczyć się radzić sobie z tym bólem, ale nas przed nim chroniła. Miłość to nic innego jak stawianie czyichś potrzeb przed swoimi. Nie uczyłam cię tego po to, byś uratowała Beau. Tylko po to, żebyś zobaczyła, że cały ten świat został stworzony dla ciebie. Rozświetla się, kiedy się uśmiechasz, i cierpi, kiedy ty cierpisz. Opowiedziałam ci te historie, żebyś przestała się bać.

– Jeśli to prawda, to musi istnieć jakiś inny sposób – mówię ostro. – Jak możesz mówić, że cały świat mnie kocha, i jednocześnie twierdzić, że muszę umrzeć? Chcę to wiedzieć. Chcę posiąść tę tajemną wiedzę, która daje ci tę pewność, że właśnie tak musi być, która sprawia, że jesteś w stanie prosić mnie, bym przeniosła się w przeszłość i położyła się pod kołami samochodu, by zabić swoje dziecięce ja. Bo sama tego nie rozumiem. Musi istnieć inne wyjście.

– Dlaczego? – pyta Babcia. – Widziałaś dowody dokładnie dwóch teraźniejszości. Ja widziałam dowód, że w naszym świecie Beau zginął tamtej nocy. Beau widział dowód, że w jego świecie ty nie istniejesz. Widziałaś tablicę upamiętniającą twoją własną śmierć w dokładnie tym samym miejscu. Więc dlaczego niby ma istnieć jakieś inne wyjście?

– Bo to się dzieje! – krzyczę. – Bo takie rzeczy się nie zdarzają, a przynajmniej nie każdemu. Musi istnieć lepszy powód, dla którego jestem w stanie to zmienić. Dlaczego właśnie Beau i ja, spośród wszystkich ludzi na świecie? Dlaczego właśnie my mamy dostać drugą szansę? Co niby czyni nas tak wyjątkowymi?

– Może nic – mówi Babcia. – Może przypadek. A może ktoś uważa, że ten wybór to dar, jaki mógłby ci się spodobać.

– A może chodzi o to, że świat byłby lepszym miejscem, gdybyśmy oboje mogli w nim żyć – odparowuję. – Albo dlatego, że rzeczywistość jest popsuta, a kiedy jesteśmy razem, trochę się naprawia. Może jesteśmy jakoś złączeni albo pasujemy do siebie, albo powinniśmy być razem, a jeśli czas naprawdę jest płaski, to może wszystko to zobaczył. Może mimo śmierci Beau sam świat ujrzał każdą możliwą wersję rzeczywistości, w której moglibyśmy się kochać, i to było prawie tak, jakbyśmy naprawdę się kochali. Bo przecież w każdym świecie mogliśmy się pokochać. Może mamy na to wpływ właśnie dlatego, że to, co nas łączy, jest na tyle wielkie, że sięga do każdego rozgałęzienia w czasie. Może nasza miłość nie chciała umrzeć, nawet jeśli my zginęliśmy. Coś ściąga nas do siebie, Babciu. Coś sprowadziło go z martwych z powrotem do mnie. Nawet jeśli wrócę do nocy wypadku i zginę, czemu tym razem śmierć i czas miałyby się okazać silniejsze? To musi coś oznaczać. To musi oznaczać jakąś przyszłość!

– Może i istnieje inny sposób, Natalie. Ale nie zamierzam ci obiecywać nic, czego nie mogę zagwarantować. – Jej głos jest napięty, pobrzmiewają w nim łzy, wydaje się dziki i przepełniony, jak menisk, który za sekundę przeleje się przez krawędź szklanki. – Nie powiem ci, że będziesz miała wspólną przyszłość z Beau, bo tego nie wiem. Nie zamierzam ci wmawiać, że możesz mieć wszystko, nawet jeśli chcę, żeby Beau dostał szansę na życie. Chcę wierzyć w tę przyszłość, Natalie, ale nie wierzę. Mówisz, że ją widziałaś? A ja nie. Nawet jeśli potrafisz stworzyć jakąś inną przyszłość, kto powiedział, że to naprawdę siebie w niej widziałaś? Patrz na nas. Jesteśmy tą samą osobą, ale przeżywamy inne życia. Nawet jeśli zdołasz stworzyć świat, w którym oboje będziecie żyli, to nadal nie będziesz do końca ty, podobnie jak ty nie jesteś do końca mną.

Mam wrażenie, jakby spuściła mi na piersi ogromny ciężar.

– W takim razie okłam mnie – proszę. – Bo zamierzam to zrobić i musisz mi powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Musisz mnie okłamać.

Jej usta rozciągają się w uśmiechu, a z oczu wreszcie płyną łzy, które staczają się po policzkach.

– To nie jest kłamstwo – szepcze. – Wszystko będzie dobrze.

Zaciskam oczy, żeby powstrzymać płacz, i przez głowę przelatują mi jej opowieści. Są jak ciepły elektryczny prąd wpleciony w moje życie, jak sieć Babki Pająk i smugi światła Alice – prowadzą mnie i uczą wszystkiego, co wiem o miłości. Ale cała ta sieć boli, jakby narastała mi w żyłach. Życie, które pragnę przeżyć, pulsuje obok życia, które pragnę dać Beau: wszystkie te rzeczy, które chciałabym roztoczyć przed jego oczami, włożyć mu w dłonie i zaśpiewać do ucha, i miejsca, które chcę, by zobaczył, tysiące złocistych zachodów słońca na rozgrzanym ganku.

– Widziałam to – chrypię. – Widziałam, jak to wszystko będzie wyglądać. – Widziałam całość, którą stworzymy, i to, co pospołu wybudujemy. – Byłam tam. Co mam z tym zrobić?

– Słodkie dziecko. – Babcia wyciąga rękę i odsuwa mi z twarzy kosmyk wilgotnych od łez włosów. – Może i sama tego nie widziałam, ale ta wizja nigdy nie opuściła

mojego serca, przez cały ten czas. Do ostatniej chwili zachowujesz nadzieję, tak jak ja.

Podnoszę oczy do jej twarzy, próbując zrozumieć, co ma na myśli, a ona przyciska palec do ust, spuszcza wzrok na podłogę. Kiedy znowu się odzywa, jej głos jest zachrypnięty:

– Ja umieram. – To wyznanie brzmi niewiele głośniej niż piśnięcie i chwilę trwa, zanim Babcia jest w stanie znowu wydobyć z siebie głos. – Tu już nie chodzi o mnie. Tylko o ciebie, i o to, czego ty chcesz.

– Umierasz? – szepczę. – Jak to?

Babcia przymyka oczy.

– Nie powiem ci tego. Nie chcę psuć ci żadnej niespodzianki ani zaszczepiać w tobie żadnych lęków. Każdy kiedyś umiera, kochanie. Wiesz już o tym, choć masz dopiero osiemnaście lat.

– Ale nawet Jezus bał się śmierci – przypominam jej.

– To prawda.

– Nic mi nie możesz wyjawić? Żadnej podpowiedzi?

Babcia składa dłonie, żeby powstrzymać drżenie.

– Mogę ci powiedzieć, że ból życia jest tego wart. Że jeśli będziesz żyć, twoje życie będzie pełne nie tylko bólu, ale też i miłości, a za każdą chwilę cierpienia zostaniesz wynagrodzona chwilą radości. Jedno, czego nie poczujesz, to to, co łączy cię teraz z Beau, ale to nie znaczy, że twoje życie stanie się mniej wartościowe. No, ale w końcu nie wartość decyduje o tym, czy żyjemy lub czy jesteśmy kochani. Masz wybór: możesz albo cieszyć się niemożliwym i niezasłużonym darem życia, albo przekazać go komuś innemu. Wykorzystać swą miłość, by odmienić rzeczywistość. Czy przekażesz ten dar Beau, czy też zatrzymasz go dla siebie, Natalie, świat nadal będzie jednocześnie tak samo straszny i piękny.

Tak bardzo się bałam tych strasznych rzeczy, tego, że wszystko się rozpadnie, a ja nie dowiem się, kim jestem, i nie znajdę miejsca, do którego przynależę. Ale teraz stoję tu, patrzę na siebie na końcu czasu i widzę, że ona nigdy nie była sama, nie tak naprawdę. Widok jakiejś wersji siebie, która przeżyła już swoje życie i wyzbyła się w końcu tych niespełnionych obaw, sprawia mi jakby bolesną ulgę. Nadal chcę zagarnąć dla siebie całość, dotrwać do końca mojego świata i cicho się z niego wymknąć, ale właściwie nie mam wyboru. Nie wiem na pewno, co się wydarzy, kiedy wrócę do nocy wypadku, ale wiem, że to zrobię. Nie dlatego, że przyszłość Beau jest taka wielka albo że moja jest tak mała, lecz ponieważ miłość oznacza, że zrezygnowalibyśmy dla kogoś z całego świata, a kiedy ktoś nas kocha, to tak, jakbyśmy mogli mu zaofiarować cały świat.

– Ile mam czasu? – pytam.

– Godziny – mówi Babcia. – Minuty. Nie wiem, Natalie. Niewiele.

– Strasznie się boję.

Babcia obejmuje mnie i odgarnia mi włosy z twarzy takim samym ruchem, jakim tysiące razy czyniła to mama. Mama. Ostatnie słowa, jakie do niej skierowałam, brzmiały „Ja nie mam matki”. Tyle rzeczy muszę jeszcze zrobić. Zobaczyć rodziców, Jacka i Coco. Powiedzieć mamie, żeby przestała się zadręczać wyrzutami sumienia, i obiecać jej, że wszystko się ułoży. Pożegnać się z Megan i powiedzieć, jak bardzo ją

kocham. Pocieszyć Kincaidów, którzy – jeśli mi się uda – odzyskają syna. Podziękować Rachel za to, że kochała mnie tą swoją brutalną miłością do tego stopnia, by znienawidzić mnie, kiedy o niej zapomniałam.

I muszę jeszcze raz znaleźć się w ramionach Beau. Muszę dopilnować, by zrozumiał, jak bardzo go kocham. Musi się dowiedzieć, jaki jest szlachetny i łagodny, i delikatny. Jakim poczuciem bezpieczeństwa i troski napełnia innych ludzi i o ile weselszy jest świat dzięki temu, co on z siebie daje. Jaki jest dobry i na jakie życie zasługuje pomimo tego, które mu dano.

Ale mogę nie mieć czasu na te wszystkie pożegnania. Nie mogę ryzykować. To moja jedyna szansa. Nigdy nie będę mogła powiedzieć Beau, że gdybyśmy mieli taką możliwość, kochałabym go z całych sił aż do śmierci.

No cóż, właściwie to tak się stanie. Muszę wierzyć, że świat przejmie ode mnie pałeczkę. Muszę wierzyć, że niezależnie od tego, czy wytrwam z Beau do końca, czy nie, miłość zatryumfuje nad śmiercią.

– Ja też się boję – szepcze mi Babcia do ucha. – Ale jesteśmy bardzo odważne, dziecko.

Śmieję się przez zatkane od płaczu gardło. Za kilka minut umrę i odejdę w niebyt, a mimo to się śmieję. Mój śmiech nagle zaczyna się robić histeryczny, zarażam nim Babcię i obie zanosimy się na podłodze sypialni, aż łzy spływają nam po twarzach i śluz leci nam z nosów.

Babcia pierwsza odzyskuje panowanie nad sobą, zaciska zęby, uśmiecha się z przekonaniem i kiwa do mnie głową.

– Dasz radę. Wiem o tym. Byłam surogatką dla Jacka i jego męża. Dwa razy. – Na moją zdumioną minę odpowiada dramatycznym puszczeniem oka. – Nie ma nic, czego nie mogłybyśmy dokonać.

Kiwam głową, bo nie potrafię wydobyć z siebie głosu. Nagle ogarnia mnie okrutna powaga, a mimo to w głowie i w piersiach czuję niezwykłą lekkość, jakbym była balonem, jakby teraz, kiedy wreszcie podjęłam decyzję, opadł ze mnie cały ciężar strachu, a zamiast niego wypełnia mnie coś jasnego i ciepłego – dar dla chłopca, którego kocham. Wstaję i Babcia również się podnosi, po czym zamyka mnie w uścisku, który niemal miażdży mi kości. Potem odsuwa się, lecz nadal trzyma mnie za ramiona ze zdumiewającą siłą.

– Dzięki tobie – mówi – narodzi się cały nowy świat.

Puszcza mnie, a ja podchodzę do drzwi garderoby. W progu opieram się o framugę i przystaję. Oglądam się na nią. Babcia stoi wyprostowana, z rękami złożonymi na brzuchu i z uniesioną brodą.

– Babciu – mówię.

– Co, kochanie? – pyta.

– Czy myślisz… to jest, czy to możliwe… że Bóg naprawdę istnieje?

Babcia uśmiecha się do mnie tym samym uśmiechem, który zapamiętałam z dzieciństwa – tajemniczym, z błyskiem w oczach.

– Dziecko – mówi. – Czy ty naprawdę sądzisz, że cokolwiek z tego byłoby możliwe, gdyby ktoś tego nie chciał? Coś wydarło dziurę w czasie tuż nad naszym łóżkiem tylko po to, żebyś ty, cholerna szczęściaro, mogła zrozumieć, co to znaczy kochać. Ktoś

wyrwał drzewo z korzeniami, żebyśmy mogły zajrzeć do dziury i postanowić, że chcemy w nią wskoczyć.

– Myślisz, że Bóg kocha mnie tak jak ty?

– Myślę, że On czy Ona czy Ono kocha nas tak, jak my kochamy Beau. Myślę, Natalie Cleary, że Bóg kocha nas naprawdę cholernie mocno.

Łzy przesłaniają mi widok. Kiwam głową i odwracam się, po raz ostatni wchodzę do garderoby, wyłażę przez okno, zeskakuję na swój piękny, niebieskozielony ogródek i idę do samochodu. Przed odjazdem widzę stojącą w garderobie Babcię odcinającą się na tle światła. Opiera się o parapet i krzyczy do mnie, głośno i wyraźnie:

– Nazywała się Bridget. Nasza ishki nazywała się Bridget i nigdy nie przestała nas kochać.

Bridget. Szepczę to imię dwa razy i chowam je w sercu razem ze wszystkimi ludźmi, którzy stanowią część mnie, wszystkimi, których jakaś wersja mnie już poznała, i tymi, których – muszę w to wierzyć – jakaś wersja mnie kiedyś jeszcze pozna. Potem jadę z powrotem do skrzyżowania i po raz ostatni parkuję na poboczu, czując, jak moją skórę przeszywa dreszcz za dreszczem. Jednak mimo strachu nie panikuję. Pomimo wrażenia tej niezwykłej lekkości nie kręci mi się w głowie. Zostaję tu, myślę sobie. Zostaję tu aż do końca i do tego, co przyjdzie potem, cokolwiek to będzie.

„Chcę, żebyś zrozumiała jedno, Natalie. Nieważne, jak trudne się to wydaje, nie musisz się obawiać przejścia do następnego etapu. Zawsze jest coś jeszcze, co można zobaczyć i poczuć”.

Stoję na środku drogi, zwrócona twarzą w kierunku, z którego nadjedzie samochód z moich koszmarów, znoszony bezwładnie na drugą stronę jezdni. Deszcz na razie ustał i noc jest spokojna. Tym razem, kiedy myślę o tamtej melodii, którą grał Beau, bez trudu ją sobie przypominam – w każdym razie jej fragment – i ujmuję czas za rękę; wystarczy lekkie pociągnięcie i zaczynam przewijać go w sobie do tyłu.

Noc zmienia się w dzień zmienia się noc z błyskami światła, jak złotożółty stroboskop. Samochody śmigają obok mnie jak kolorowe smugi, rozwiewając mi włosy i poruszając ubraniami, aż wysycham.

Nie wiem, jak poznam, że dotarłam do właściwego momentu, ale wierzę, że mi się uda.

Oglądam po drodze kilka wypadków, aż wreszcie widzę brązową plamę przy strumieniu – stertę rozgniecionego metalu, która rozwija się z powrotem w auto i cofa na jezdnię, wymija z czarną furgonetką. Przewijam tuż za ten moment i przestaję powtarzać w głowie melodię Beau, przestaję skupiać się na kole czasu, pozwalając, by świat znowu zwolnił do normalnego tempa.

Nie widzę ani samochodu taty Beau, ani mamy, ale po moich plecach przebiega dreszcz, który mówi mi – tak samo jak musiał powiedzieć Babci, kiedy mówiłam jej o zbliżającym się Zamknięciu – że to ta sama noc. Czuję, że nawet powietrze gęstnieje w oczekiwaniu, tak jakby nieruchomy las i nieme świerszcze, i ciśnienie na barometrze, i przepływające chmury, i pradawne skały wstrzymywały oddech, szykując się, by mnie opłakiwać.

Na końcu wszystkiego, na krańcu świata, stoję na żółtym pasku farby i spoglądam w nocne niebo, wpatrując się w gwiazdy.

– Jesteś tam? – pytam szeptem.

Nie czuję nic poza ciepłem pozostałym po ostatnim zachodzie Słońca, poza łagodnym światłem Księżyca, odległym pulsem Gromu, liźnięciem Ognia i przebłyskiem Tęczy, a choć żadna z tych rzeczy nie jest głosem mego ojca ani twarzą matki, wiem – ponad wszelką wątpliwość – że jestem czyimś dzieckiem, że jestem głęboko kochana. I kiedy za zakrętem na drodze, który odcina mi widok, pojawiają się światła samochodu, nic więcej mi nie potrzeba.

Nic mi nie potrzeba, kiedy oglądam się przez ramię i widzę pędzącą z przeciwnego kierunku furgonetkę, jadącą zygzakiem po jezdni.

Nic mi nie potrzeba, kiedy zwracam się twarzą do oślepiających świateł, dostrzegam za nimi brązowy samochód i wchodzę na środek pasa. Znalazłam się bowiem w jednej z historii, które opowiadała Babcia, i w sercach tych, którzy mnie kochali.

Zaczynam iść w kierunku końca, stając na drodze własnego wypadku. Czas nieustannie drży wokół mnie. Szarpie mnie jak rzeczny prąd, próbując ściągnąć z powrotem do mojej teraźniejszości. Znajduję na jezdni kamień i biorę go do ręki. Nie mam już wiele czasu do chwili, kiedy zostanę stąd zabrana, na pewno nie dość, by spróbować jeszcze raz, jeśli coś się nie uda. Mam tylko jedną szansę, by dokonać

jakiejkolwiek zmiany, więc z każdym krokiem coraz mocniej zaciskam zęby i idę dalej. W pewien sposób staję się tą tajemniczą ciemną masą z moich snów, zmierzającą ku sobie samej.

Myślę o błękicie, w który wskoczyła dziewczyna z opowieści Babci, o nieskończonych możliwościach. Nawet to potrafi być przerażające. Muszę wierzyć, że coś się tam kryje, że w tej pierwotnej magmie jest jakiś inny Beau, jakaś inna Natalie, jakieś inne lato mieszczące w sobie cały czas, i że tam przestaniemy wreszcie zadawać sobie pytanie, kim jesteśmy, i pozwolimy, by świat smakował naszą miłość. A jeśli nawet po drugiej stronie nie ma żadnej Natalie, to muszę wierzyć, że kryje się tam przynajmniej długie i niezwykłe życie dla człowieka, którego kocham. Z oczu zaczynają mi płynąć łzy; zwiększam tempo.

Do widzenia, Słońce. Dobranoc, Księżycu. Dziękuję ci, Gromie. Kocham cię, Ogniu. Żegnaj, Tęczo.

I mamo, która gładziłaś mnie po włosach, kiedy budziłam się zlana potem z koszmarów.

I tato, który dotknąłeś mnie na zamglonym ganku, obiecując, że zawsze mnie wysłuchasz.

I Matcie, który pierwszy mnie pokochałeś.

I Megan, która kochałaś mnie najmocniej.

I Rachel, która kochałaś mnie najgwałtowniej.

I moja Bridget, która kochałaś mnie z poświęceniem.

I Beau – Beau Wilkes, który kochałeś mnie aż do końca.

Zatrzymuję się, kiedy światła zaczynają się zbliżać. Rosną. Jaśnieją i jaśnieją, i jaśnieją, aż stają się zalewem czystego błękitu. Pięknym, cudownie niedoskonałym nowym światem. Umarłabym, by go zobaczyć. Przez chwilę wyobrażam sobie ciemny kontur zgarbionej kobiety, jej uśmiech i uniesioną pomarszczoną dłoń. Ona tam była. Babcia tam była, choć mówiła, że nigdy nie widziała przyszłości, w której Beau i ja byliśmy razem. Stała na ganku i zaglądała przez okno. Może przybyła tam, by spojrzeć na przeszłość z Beau, którego sama już utraciła, podczas gdy ja patrzyłam na jego przyszłość beze mnie, z kimś innym. Ale może, tylko być może, ta stara, pomarszczona wersja mnie właśnie wróciła z zakupów. Może przystanęła na ganku domu, który wybudował dla niej mąż, garbiąc się pod ciężarem reklamówek z piwem i płatkami kukurydzianymi, bo zdawało jej się, że widzi w oknie coś znajomego. Może przystanęła i poczuła w sobie drżenie, bo przysięgłaby, że przez ułamek sekundy widziała siebie, młodszą o sześćdziesiąt lat, stojącą w salonie z ramionami dookoła miłości jej życia. Może uniosła rękę, by powiedzieć: „Jestem tu. Nadal tu jestem, po tych wszystkich latach".

Zamierzałam cisnąć trzymanym kamieniem w maskę samochodu, ale prawie nic już nie widzę. Czas kłębi się wokół mnie, każdy oddech staje się walką o to, by pozostać w tej chwili.

Teraz – teraz nadchodzi mój wielki moment – żadnej przyszłości, żadnej przeszłości. Teraz nadchodzi czas, kiedy muszę wybrać, jak będę żyć, ale mam na to tylko sekundę. Wypuszczam kamień z ręki i unoszę ramiona. „Jestem tutaj", myślę. Może to wystarczy, by wszystko cofnąć, ale jeśli nie… Jeśli nie, nadal czuję w sobie szczęśliwy

smutek. „JESTEM TUTAJ”.

Światła rosną. A potem pochłaniają mnie, obejmują mnie w nieskończonym uścisku i nic nie czuję.

Tylko ciepło.

Choć widzę ciemną sferę nabrzmiewającą za samochodem, za światłem, próbującą złapać mnie i cisnąć z powrotem na moje miejsce, nim czas się zamknie.

Choć słyszę pisk i uderzenie, nawet ostre wciągnięcie oddechu za szybą.

Choć słyszę otwierane drzwi i rozpaczliwe dyszenie.

A ostatnimi, najostatniejszymi słowami, które kiedykolwiek usłyszę, są słowa mojej matki:

– Nikogo tu nie ma. Przysięgłabym, że widziałam jakąś dziewczynę. Nikogo tam nie ma. Ona…

I wtedy gubię się, i odnajduję swoje miejsce, i rodzi się świat.

Była sobie kiedyś dziewczyna, która zakochała się w duchu. Kiedy spoglądała przez jego przezroczyste ciało, widziała świat taki, jaki powinien być: ciepły, bujny, pełen wzrostu i drżący od czułości. Przez niego dostrzegała sieć czasu i to, jak każda chwila – przeszła i przyszła, dobra i zła – stanowiła część spisku, by opowiedzieć historię ich miłości.

Kochała chłopca ducha tak bardzo, że myślała, iż samo to uczucie wystarczy, by naprawić wszystko, co kiedykolwiek się popsuło. W niej. W nim. W całym świecie.

A ponieważ kochała go taką właśnie miłością, zrozumiała, jak bardzo sama jest kochana.

Wiedziała, że zrobiłaby dla niego wszystko. Otoczyłaby go sobą, by go osłonić. Wypiłaby z niego cały mrok i wylała na niego całe swoje światło. Odbudowałaby dla niego cały świat.

Któregoś dnia przemówił do niej głos z góry. Być może przyszedł jako cichy szept niesiony łagodnym wiatrem. Niektórzy mówią, że był to pomruk gromu lub szelest jędrnej letniej trawy. Inni jeszcze opisują go jako delikatny furkot skrzydełek ćmy.

– Moje dziecko – powiedział ów głos. – To ja, Miłość, twórczyni światów. Jeśli chcesz, by chłopiec duch znowu ożył, wyprowadź go dziś pod światło księżyca, a ja ześlę Śmierć, by odebrała twoje życie w zamian za jego.

Dziewczyna kochała chłopca ducha tak bardzo, że wahała się tylko przez jedną chwilę. Kiedy się kogoś kocha, niewiele jest rzeczy, których trzeba się obawiać. A nic zgoła, kiedy to ciebie kochają. Tak więc tej nocy dziewczyna zabrała swego ukochanego w dolinę pod księżycem i znalazła tam czekający na nią nóż Śmierci. Zdziwiła się, że Śmierć nie ścigała jej, nie przyszła, by ją zabrać, nie chciała jej połknąć.

Zamiast tego dziewczyna stała pod gwiazdami, trawa ogrzewała jej kostki ciepłym oddechem, pod stopami czuć było łagodny, wierny puls świata, a dookoła słychać było kołysankę świerszczy. Dziewczyna spojrzała w oczy swojego chłopca ducha i jego łagodny uśmiech tak szybko przepełnił jej serce, że zaczęło pękać, kiedy uniosła nóż do piersi.

Niebo otworzyło się nad nimi.

Gwiazdy zaczęły spadać jak srebrny deszcz.

Świat stanął w miejscu. Wszechświat wstrzymał oddech.

I znowu rozległ się ten głos.

– Poczekaj. Odłóż nóż Śmierci. Ujrzałam bowiem twe serce i wiem, że nic dla siebie nie zachowałaś. Znasz moje oblicze. Znasz moją miłość do ciebie jak własną miłość dla chłopca-ducha. Wiesz, co sama byś dla niego zrobiła, tak więc pojmujesz teraz, że dla ciebie, moja ukochana, ja naprawiłabym cały świat.

Wtedy i poświata księżyca opadła na ziemię niczym jaśniejący welon bieli, który oczyścił całą dolinę i pozostawił świat w całkowitym mroku i w idealnej ciszy, tak jak było u samego początku, zanim zaistniały wszystkie rzeczy. W tym mroku dziewczyna zapadła w pozbawiony marzeń sen.

Kiedy się obudziła, słońce zaczynało już wstawać. Ptaki śpiewały. Nic nie pamiętała, ani poprzedniej nocy, ani żadnej nocy przed nią.

Był to pierwszy dzień jej życia, a kiedy spojrzała na zbocze doliny, ujrzała chłopca, który się jej przyglądał. Wydawał się jednocześnie znajomy i nieznajomy, jak ktoś, kto mignął jej może we śnie.

– Tęskniłam za tobą – usłyszała własne wołanie, choć czy można tęsknić za kimś, kogo się dotąd nie znało? I poczuła w piersiach niezmierzony przypływ bólu.

– Każdego dnia – odparł chłopiec cicho. – Przez cały czas.

Podszedł do niej, a na jego skórze, we włosach i oczach lśniło światło poranka.

Podziękowania

Jeśli doczytaliście tę książkę do końca, to pewnie domyśliliście się, że otaczający mnie ludzie traktowali mnie lepiej, niż ktokolwiek miałby prawo oczekiwać. Serce mam tak pełne, że brakuje mi słów. Oto niektórzy, którym pragnę podziękować:

Plemionom indiańskim, których opowieści są zawarte w książce: Irokezom (Kobieta, Która Spadła z Nieba), Natchezom (Adopcja Rasy Ludzkiej), Siuksom (Opowieść o Duchu Tetonów), Senekom (Brat Czarny i Brat Czerwony), Caddom (Potop), Creekom (Lud Yamasee i Potop), Onondaga-Irokezom (Szkielet-Wampir) i Kwakiutlom (Kraina Duchów). Każda z tych historii ma kilka pięknych wariantów i osobom, które ich nie znają, serdecznie polecam, by w wolnym czasie poświęciły chwilę i przysiadły nad nimi, najlepiej nad wersjami z interpretacją jakiegoś uczonego pochodzącego z plemienia, które stworzyło daną opowieść. Bez tych urzekających i niezwykłych historii ta książka nie byłaby taka sama. To, co w nich znalazłam, na zawsze mnie odmieniło.

Babci i dziadkowi, za łagodność i miłość, które nadal panują w naszej rodzinie; kiedy dorosnę, chcę być taka jak Wy. Mamie i tacie, za wszystkie te wieczory, kiedy czytali nam w korytarzu między naszymi pokojami – i zawsze udawali różne głosy. Moim braciom i bratowym; dziękuję Wam za to, że potraficie przewalczyć to, co trudne, i docenić to, co dobre.

K.A. Applegate, za pierwsze książki, w których się zakochałam (o chłopcu uwięzionym w ciele jastrzębia). Lois Lowry, za nauczenie mnie, że słowa mogą na zawsze odmienić czyjś świat. J.K. Rowling, za bystre dziewczyny, czułych chłopców, głęboką magię i miłość, która odrzuca strach. Madeline L'Engle i Kurtowi Vonnegutowi, za uzależnienie mnie od tego, co dziwne.

Pani Hanke, za tamto pierwsze zadane wypracowanie. Pani Neugabauer za tamtą kozę po lekcjach. Pani Richards za to, że nie dała mi kary, kiedy oddałam jej opowiadanie, w którym można było wybrać sobie przygodę, ale i tak wszystkie kończyły się tym, jak to ona zamyka nas w ogarniętej płomieniami klasie i po kolei odstrzeliwuje wszystkich z łuku.

Rhodzie Janzen, za to, że dzięki niej miałam kogoś, kogo mogłam podziwiać, i za powtarzanie, że mogę i powinnam napisać tę książkę. Beth Trembley za nauczenie mnie, jak to zrobić. Heather Sellers, od której po raz pierwszy usłyszałam zwrot: „wykochać kogoś na świat". Sarah B., Peterowi S., Pablowi P., Stephenowi H., Stevenowi I., Marcie G., Jesusowi M., Deanowi Reynoldsowi i reszcie kadry nauczycielskiej w Hope College, za stworzenie idealnego inkubatora dorosłości, pomimo zamarzniętego jeziora pod bokiem.

Danielowi Nayeriemu, który dwa razy nieświadomie dodał mi sił, bym nie rezygnowała, i Johnowi Silvisowi, za wspaniały i nieistniejący już program NYCAMS. Miejmy nadzieję, że kiedyś przywrócą go do życia.

Bri Cavallaro i Annie Breslaw, za podnoszenie mnie na duchu/sprowadzanie do pionu/i wszystko inne: piękne i rzadkie z Was klejnoty. Królowej Candice, za

przeczytanie wczesnej wersji tej książki oraz za trzy (jeśli dobrze pamiętam) zakończenia i pomoc w wyborze tego właściwego.

Internetowa społeczność poświęcona literaturze dla młodzieży, blogerzy książkowi i Słodkie Szesnastki: mam niesamowite szczęście, że przyjęliście mnie do swoich serc. Nie zgrywajcie głupich. Wiecie, kogo mam na myśli.

Nooshy, za to, że był moim pierwszym fanem, najlepszym przyjacielem, miłością, która odmieniła moje życie. Megan, za to, że jest moją siostrą, moim ciepłem, nigdy się z nią nie rozstanę.

Lanie Popovic, mojej niezwykłej agentce, za to, że przeczytała moją pierwszą powieść w dwadzieścia trzy godziny, a tę – w trzydzieści sześć, za to, że zawsze znajduje dla mnie czas, za rozkładanie moich książek na części pierwsze i za wszelkie dokonywane na nich operacje; za twoją ikrę, inteligencję i miłość. I za to, że namówiłaś mnie do obejrzenia serialu *Fringe: na granicy światów*.

Lizie Tingue, redaktorce, którą chciałabym zatrzymać na własność i którą mogę teraz nazywać swoją (mówię to w najmniej perwersyjnym możliwym sensie). Dojrzałaś coś w tej dzikiej, dziwnej, przydługiej i czasem nudnawej książce. Wiedziałaś, czym chciała być ta opowieść, i uwierzyłaś, że może się tym stać. Dziękuję za zrozumienie, za to, że pokochałaś Beau i Natalie, i za to, że jesteś tak niesamowicie zabawną, promienną, genialną, piękną istotą ludzką.

Marissie Grossman i Jessice Harriton, których zręczne i eleganckie dłonie pomogły ukształtować tę historię i spakować ją do kopert.

Anthony'emu Elderowi, za stworzenie okładki wydania oryginalnego, która powaliłaby na kolana i sprowadziła łzy zachwytu do oczu najbardziej zatwardziałych kryminalistów i najbardziej zblazowanych bohaterek antyutopijnych opowieści.

Benowi Schrankowi, za to, że zaserwował mi moje marzenie na lśniącym LED-owym półmisku, od czasu do czasu lajkował moje tweety (chciałabym zobaczyć, co powiedzą o tym zdaniu antropologowie za tysiąc lat) i przypominał mi, że On Zawsze Czuwa z chmur.

Jennifer Dee, Racheli Lodi i Annie Jarzab – wiecie, co zrobiłyście. Wszystkie jesteście wspaniałe, każda na swój sposób.

Kriscie Ahlberg, Phyllis DeBlanche, Shari Beck, Jennie Pocius i reszcie wydawnictwa Razorblade/Penguin oraz wszystkim pingwinom za to, że ciężko pracują, są niesamowite, odporne i urocze.

Każdy, kto sięgnął, przeczytał, pożyczył (sam lub komuś) albo kupił tę książkę: jeśli Wam się spodobała, to chyba wiecie, że należy do Was. A jeśli nie, to mam nadzieję, że znajdziecie w praniu dwadzieścia dolarów, które wynagrodzą Wam poniesiony na nią wydatek.

Wszystkim, których tu pominęłam: zasługujecie na lepszy los.

I wreszcie Joeyowi, który skradł moje serce, gdy miałam siedemnaście lat, byłam młod(sz)a i głupi(sz)a, i który codziennie otacza mnie wytrwałą, cichą miłością. Nie wiedziałam, że jej potrzebuję, póki jej nie dostałam. Dzięki Tobie świat jest dla mnie piękny. Kocham wszystkie wersje Ciebie, które poznałam i poznam, i których nigdy nie spotkam. Kocham Cię w każdym momencie.

Na koniec dziękuję Miłości, która wymarzyła ten świat, która dała mi oddech i która

łagodnie przekazywała mi tę opowieść strona po stronie: dziękuję za Twoje łzy i za to, że kochasz mnie tak mocno.

Przekład: Agnieszka Walulik
Redakcja: Agnieszka Jędrzejczak
Korekta: Anna Jagiełło
Projekt okładki: Julia Karwan-Jastrzębska

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4647-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.